wolnelektury.pl

Honoré de Balzac
(tłum. Tadeusz Boy-Żeleński)

Jaszczur

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

HONORÉ BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

Jaszczur

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OD TŁUMACZA

Jaszczur (*La peau de Chagrin*), pisany w latach 1830–1831, ukazał się w całości w sierpniu 1831. Powieść ta należy tedy do pierwszej epoki twórczości Balzaca, pisał ją tuż po sukcesach odniesionych *Fizjologią małżeństwa* i *Szuanami*.

Jak wszystkie dawniejsze utwory (z wyjątkiem młodzieńczych powieści wydanych pod pseudonimem), Balzac wciągnął później i *Jaszczura*, pisanego na parę lat przed uświadomieniem sobie gigantycznego planu, w obręb *Komedii Ludzkiej*[1]. Mimo to powieść ta pod wieloma względami różni się charakterem od późniejszych utworów. Nieraz zaznaczałem, że w dziele Balzaca spotyka się, a często walczy, romantyk wątpliwej nieraz próby z realistą; otóż *Jaszczur* jest jednym z najciekawszych dokumentów ewolucji pisarza.

Jaszczur jest poniekąd sam w sobie *Komedią ludzką* ujętą w skrócie. Problem życia i śmierci, jednostki i społeczeństwa, człowieka genialnego i mierności świata, problem myśli i użycia, nędzy i zbytku, poezji i prozy, wiedzy i Tajemnicy, miłości i ambicji, materii i woli — wszystkie te wielkie zagadnienia, które później wypełniają dzieło Balzaca, są już i tutaj; kipią nadmiarem myśli, tłoczą się gorączkowo na kartach tego tomu.

Ale sposób ujęcia jest inny.

Cechą *Komedii ludzkiej* i jedną z największych zdobyczy Balzaca w literaturze jest jego *realizm* w tym znaczeniu, iż Balzac bierze za materiał twórczy swoich powieściowych dramatów życie, nie „heroiczne", ale życie przeciętne, zwyczajne, przedstawione z drobiazgową wiernością i ścisłością; równocześnie jednak zapuszcza w nie wzrok tak głęboko, widzi w każdym potocznym fakcie tak dalekie perspektywy i związki, uskrzydla je, daje im taki patos i takie rozpięcie, iż, wyszedłszy z realistycznych założeń, przenosi je w świat fantastyczny niemal przez swą intensywność i filozoficzną wymowę. Balzac mitologizuje codzienność.

Tu, w tej powieści, Balzac nie osiągnął jeszcze pełni własnego wyrazu, lub — można powiedzieć — nie opanował jeszcze *techniki* swoich dążeń. Dominuje tu romantyzm koncepcji, a zwłaszcza przeprowadzenia; nie sama rzeczywistość staje się baśnią, mitem, wyłącznie przez sposób jej ujęcia, ale element baśniowy, fantastyczny miesza się wręcz z realizmem wielu szczegółów. Czuć tu zarazem wpływy innego niż francuskie pochodzenia. Tajemniczy starzec, właściciel magazynu starożytności, ma coś z postaci Hoffmana i coś z Goethowskiego Mefista; pakt złej mocy z człowiekiem ma coś z romantycznych poematów. Później Balzac podejmie ten motyw paktu człowieka z szatanem-kusicielem, ale już bez pomocy fantastycznego elementu, a raczej dobywając ten element z realnych możliwości: w historii młodego Rastignaca, a zwłaszcza Lucjana de Rubempré.

Toż samo stosunek poety do świata, nędzy do zbytku, problem talentu zagrzebanego na poddaszu, powróci niejednokrotnie pod piórem Balzaca. Fedora, ten (powiedzmy bez ceremonii) komunał, przedzierzgnie się w świat żywych istot, w panią d'Espard, de Bargeton, de Maufrigneuse, etc. Już tutaj widzimy, jak w tę fantastyczną baśń wdziera się

[1] *Balzac wciągnął (…) w obręb „Komedii Ludzkiej"* — Czyniąc to, Balzac zmieniał wstecz nazwiska działających osób, dając im odpowiednie nazwiska bohaterów *Komedii Ludzkiej*. [przypis tłumacza]

ów zawsze przytomny oczom Balzaca realny rys, owa kwestia pięciu franków lub ich tragiczny brak w wielkim momencie w kieszeni; ów stosunek „między szczęśliwą miłością a rachunkiem praczki", który zajmuje Balzaca już w *Fizjologii małżeństwa*. Ale te realne rysy zjawiają się tu jeszcze dość nieśmiało i, powiedzmy wręcz, dość nieharmonijnie wyskakują z bajkowego poza tym tła utworu. Trudno o coś naiwniejszego, fałszywszego niż środki, którymi młody Rafael chce wzruszyć hrabinę Fedorę, aby, kiedy nawet dzieje jego golizny nie otworzyły jej serca, rzucić jej na głowę owo sakramentalne w tej epoce: „Kobieto! puchu marny!...". Dodajmy, iż w samym zaraniu miłości Rafaela Balzac odsłania z całą naiwnością jego chęć „przyżenienia" się po prostu do bogatej wdowy... Cały ten epizod z Fedorą mógłby zgryźliwy człowiek pomówić o niedorzeczność i brak gustu.

Jakże inaczej później Balzac nauczy się operować tym materiałem! Przypomnijmy sobie ową niezrównaną analizę pierwszych kroków Lucjana w Paryżu (*Stracone złudzenia*) i jego pierwsze zetknięcie się z wielkim światem. Albo też cierpienia młodego Rastignaca (*Ojciec Goriot*) w pensjonacie pani Vauquer!

Valentin — mimo iż lata jego pracy i nędzy są odbiciem ciężkich lat „próby literackiej" samego Balzaca[2] jest jeszcze w znacznej mierze typowym romantycznym bohaterem, ze swoim „aniołem" i „demonem" przy boku. Bo też Paulina i Fedora są to majaki czystej wyobraźni; twarda, ale rozjaśniona jego wesołością i werwą młodość Balzaca spłynęła i bez anioła, i bez demona; pierwszego swego anioła znalazł nieco później, ale był to anioł o dwadzieścia i parę lat starszy od młodego Honoriusza...

I tu możemy rzucić porównanie z późniejszym rozwinięciem tego motywu np. w *Straconych złudzeniach*. „Aniołem" Lucjana jest tam aktorka Koralia, demonem pani d'Espard. I oto anioł prowadzi go do zguby, demon mógłby go ocalić! Im bardziej Balzac poznaje życie, tym mniej przedstawia mu się ono prostolinijnie, komplikuje się, wikła.

Podobnie inne figury. Ów Rastignac w *Jaszczurze* to ledwie gruby zarys tej pełnej i wycieniowanej postaci, jaka później będzie nosić to nazwisko. Można rzec, iż poza nazwiskiem niewiele te dwie postacie mają z sobą wspólnego; tak samo korsarz literacki Finot jest jeszcze grubą karykaturą tego, czym będzie gdzie indziej.

Można rzec, iż Balzac czuje wartość, jaką życie Paryża i jego nieograniczone prawie możliwości mają dla jego koncepcji, ale jeszcze nie umie — a przynajmniej nie zawsze umie — dość pewną dłonią skojarzyć element rzeczywisty z fantastycznym lub też wydobyć fantastyczność z samejże realności. Trzeba mu nie tylko cudownego talizmanu, ale paru milionowych spadków, przychodzącego na zawołanie szczęścia w karty itp., aby podtrzymać wątek bajki. Kariera Lucjana de Rubempre — niemniej fantastyczna — a przynajmniej pierwsza jej połowa, wysnuta będzie całkowicie z naturalnego — skondensowanego tylko artystycznie — biegu wypadków i gry charakterów.

Jeżeli podjąłem tę konfrontację *Jaszczura* z późniejszymi utworami pisarza, to dlatego, iż oglądane w tym świetle nawet słabsze momenty tej książki mogą czytelnikowi-balzakiście stać się interesujące. Tym bardziej, iż w każdym szczególe mają one styl, *myszkę* epoki, która dla przeciętnej publiczności jest wadą książki, dla znawcy jej wdziękiem.

Ale nawet brana sama w sobie książka ta zdradza „lwi pazur". Bije z niej pełnia, nadmiar życia, myśl przelewa się niemal poza brzegi. Są tam stronice przejmujące, niezapomniane, jak np. błądzenie samobójcy nad Sekwaną, ostatnie momenty Rafaela w górskiej dolinie lub ten oszałamiający opis gabinetu starożytności. Balzac będzie całe życie namiętnym kolekcjonerem i niejedna jego powieść zawierać będzie inwentarz jakiegoś małego muzeum, ale nigdzie nie wydobył z tych martwych przedmiotów takiej perspektywy wieków, nigdzie tak ich nie przepoił duchem jak tutaj.

Słynny opis biesiady Taillefera jest pierwszą redakcją owych uczt paryskich, gdzie myśl musuje i perli się na równi z szampanem, że tylko przypomnę owe dwie kolacje dziennikarzy w *Straconych Złudzeniach*. W pierwszym wydaniu *Jaszczura* nazwiska osób cytowanych były nazwiskami żyjących osób (np. zamiast Canalis był Wiktor Hugo etc.); później Balzac zastąpił je nazwiskami osób z *Komedii ludzkiej*. Interesującym w owej scenie jest to, że stanowi ona — na dystans trzech wieków! — echo rozdziału z *Gargantui* Rabelego pt. „Pogwarki pijackie", parafrazą owego rozdziału, z wyraźną intencją

[2]*są odbiciem ciężkich lat „próby literackiej" samego Balzaca* — Życiorys Balzaca znajdzie czytelnik w przedmowie tłumacza do *Ludmiła Lambert*. [przypis tłumacza]

wydobycia tego, co jest cechą współczesności: hiperintelektualizm, nadużycie myśli żrącej wszystko niby gryzący kwas i nieopuszczającej nowoczesnego człowieka nawet przy biesiadzie i zabawie.

Ale najgłębszym może, najbardziej nowym motywem *Jaszczura* jest ów problem *śmierci* sam w sobie, wyprzedzający o pół wieku głośną powieść Tołstoja.

Śmierć, choroba, ten temat ujęty z komicznej strony przez Moliera w *Chorym z urojenia*, tu występuje w całym swoim tragizmie.

Patrzałem przed kilku laty na powolną śmierć znajomego lekarza, chorego na chroniczne cierpienie nerek. Miał przed sobą — i wiedział o tym — kilka lat, w razie zachowania najściślejszego trybu życia. Miesiącami przestrzegał drobiazgowo diety i innych przepisów, codziennie sam oznaczając procent białka: ta probówka lekarska czyż to nie był jego „jaszczur"? To znów rzucał w kąt probówkę, lekarstwa i pił na umór, spraszał gości, szukał gwaru, światła, sam jeden obcy tej sztucznej wesołości, wodząc szklanym wzrokiem po obecnych...

Ale Balzac nie poprzestał na nagim fakcie śmierci, fakcie zbyt powszechnym, nieuniknionym, aby mógł być sam przez się dramatem. Wyczuł on doskonale, jakich elementów trzeba, aby wydobyć pełny tragizm śmierci.

Wyobraźmy sobie chorego nieuleczalnie artystę, myśliciela, który wie, że każda napisana stronica, każdy namalowany obraz jest gwoździem do jego trumny, i który miota się między instynktem życia a potrzebą, przymusem tworzenia. Wyobraźmy sobie człowieka kochającego namiętnie kobietę, a świadomego, iż każdy jej pocałunek jest kupiony ceną paru tygodni życia! Ten jaszczur, w którego fatydycznym[3] konturze skupia się stosunek między nasileniem życia a trwaniem jego płomienia, staje się wówczas głębokim i przejmującym symbolem.

Są pewne książki Balzaca, które czyta się niejako „na potem". Póki się je czyta, mnóstwo szczegółów razi, śmieszy dziś nawet; ale skoro od nich odejść, giną w spojrzeniu myśli wszystkie te skazy, trywialności, śmiesznostki, niby pocieszne grupki turystów na granitowym złomie gór; wzrok pamięci ogląda jedynie surowy zarys szczytu. Do nich należy *Jaszczur*. Kto pozna tę książkę, temu nieraz przyjdzie się zadumać nad jej wspomnieniem.

Boy

Warszawa, w kwietniu 1924.

Panu Savary Członkowi Akademii Nauk

Sterne: Tristram Shandy *r. CCCXXII.*

I. Talizman

Pod koniec października roku 1829 młody człowiek wszedł do Palais-Royal, w chwili gdy otwierano domy gry, zgodnie z prawem popierającym namiętność tak dogodną do opodatkowania. Nie namyślając się zbytnio, wszedł na schody wiodące do szulerni nr 36.

— Panie, panie, kapelusz? — krzyknął za nim suchy i zrzędny głos małego, wyblakłego staruszka, przycupniętego w cieniu, za barierą, który wstał nagle, ukazując plugawą fizjonomię. Gra

Skoroś przekroczył próg domu gry, prawo obiera cię najpierw z kapelusza. Jest li to ewangeliczna i opatrznościowa przenośnia? Czy to nie jest raczej sposób zawarcia z tobą piekielnej umowy, mocą wziętego od ciebie jakiegokolwiek zastawu? Czy to ma wymóc na tobie pełną szacunku postawę wobec tych, którzy zabiorą ci pieniądze? Czy to policja, przyczajona we wszystkich ściekach społecznych, pragnie znać nazwisko tego kapelusznika albo twoje, o ile je wypisałeś na swym nakryciu głowy? Czy to może wreszcie po to, aby

[3] *fatydyczny* — proroczy; por. *fatum*. [przypis edytorski]

zdjąć pomiar twojej czaszki dla celów pouczającej statystyki co do pojemności mózgów graczy? Na tym punkcie zarząd zachowuje zupełne milczenie. Ale, wiedz to dobrze, ledwie uczyniłeś krok w stronę zielonego stolika, już twój kapelusz nie należy do ciebie, tak samo jak ty sam nie należysz do siebie: należysz do gry, ty, twój majątek, twoje nakrycie głowy, twoja laska i twój paltot. Przy wyjściu GRA okaże ci, jakby dla zadrwienia z ciebie, że jeszcze zostawiła ci coś, oddając ci twoje rzeczy. Bądź co bądź, o ile miałeś kapelusz nowy, dowiesz się po szkodzie, że gracz powinien mieć specjalny kostium.

Zdziwienie młodego człowieka, kiedy otrzymał drewienko z numerem w zamian za swój kapelusz, którego brzegi na szczęście były lekko wytarte, dość wyraźnie świadczył o duszy jeszcze niewinnej; toteż starzec, który z pewnością od młodu gnił w gorączkowych rozkoszach życia graczy, objął go martwym i wystygłym spojrzeniem, w którym filozof wyczytałby nędze szpitala, tułaczkę bankruta, protokoły samobójstw, dożywotnie galery, wysiedlenia do Guazacoalco. Człowiek ten, którego długa biała twarz była tak chuda jak zupka w garkuchni, przedstawiał blady obraz namiętności sprowadzonej do swej najprostszej wymowy. W zmarszczkach jego czaiły się ślady dawnych tortur; z pewnością człowiek ten niósł molochowi gry swoją nędzną płacę tuż po jej otrzymaniu. Podobny szkapie, na którą bat już nie działa, nie wzruszał się niczym; głuche jęki zrujnowanych graczy, ich nieme błagania, ich tępe spojrzenia znajdowały go stale obojętnym. Była to wcielona Gra. Gdyby młody człowiek przyjrzał się temu smutnemu cerberowi, może byłby sobie powiedział: „W tym sercu jest już tylko talia kart!". Nieznajomy nie usłuchał tej żywej przestrogi, pomieszczonej tu bez wątpienia przez Opatrzność, tak jak pomieściła ona wstręt u progu wszystkich miejsc rozpusty. Wszedł pewnym krokiem do sali, gdzie dźwięk złota działał upajająco na rozgrzane pożądliwością zmysły. Młodzieńca tego pchało tam zapewne najlogiczniejsze ze wszystkich wymownych zdań Jana Jakuba Rousseau, którego smutna myśl jest, jak sądzę, ta: „Tak, rozumiem, że człowiek idzie grać, ale wtedy, gdy między sobą a śmiercią, widzi jedynie ostatniego talara".

Gra, Kondycja ludzka

Wieczorem domy gry mają poezję jedynie pospolitą, ale o działaniu tak pewnym jak działanie krwawego dramatu. Sale pełne są widzów i graczy, ubogich starców, którzy przywlekli się, aby się tu ogrzać, podnieconych twarzy, orgii, które zaczynają się w winie, a łacno mogą się skończyć w Sekwanie. Jeżeli plon namiętności jest obfity, nadmierna liczba aktorów pozwala ci przyjrzeć się twarzą w twarz demonowi gry. Taki wieczór jest istnym ansamblowym utworem, gdzie cała trupa krzyczy, gdzie każdy instrument w orkiestrze wyciąga swoją frazę. Ujrzysz tam wielu szanownych ludzi, którzy przychodzą szukać rozrywki i płacą za nią tak, jak płaciliby za teatr, za dobrą kuchnię lub jakby szli do jakiejś nory kupić za tanie pieniądze piekące żale na parę miesięcy. Ale czy pojmujesz, ile szału, ile energii musi się gromadzić w duszy człowieka czekającego niecierpliwie otwarcia szulerni? Między graczem dziennym i nocnym jest ta różnica, co między flegmatycznym mężem a kochankiem mdlejącym z żądzy pod oknami lubej. Jedynie rano dygocąca namiętność i potrzeba zjawiają się w całej swej okropności. W tej chwili możesz podziwiać prawdziwego gracza, gracza, który nie jadł, nie spał, nie żył, nie myślał, tak mocno smagał go bicz obmyślonego „systemu", tak nieznośnie swędzą go kombinacje *trente-et-quarante*. O tej przeklętej godzinie spotkasz oczy, których spokój przeraża, twarze, które cię przykuwają, spojrzenia, które przyciągają karty i pożerają je. Toteż domy gry są wspaniałe jedynie w chwili otwarcia. Jeżeli Hiszpania ma swoje walki byków, jeżeli Rzym miał swoich gladiatorów, Paryż pyszni się swoim *Palais-Royal*, którego drażniące rulety dają przyjemność oglądania krwi płynącej strumieniami, bez niebezpieczeństwa pośliźnięcia się o nią na podłodze. Spróbuj rzucić przelotne spojrzenie na tę arenę, wejdź!... Cóż za nagość! Ściany obite papierem zatłuszczonym na wysokość człowieka nie przedstawiają ani jednego obrazu zdolnego orzeźwić duszę. Nie ma tam nawet gwoździa dla ułatwienia samobójstwa. Podłoga zużyta i niechlujna. Podłużny stół zajmuje środek sali. Proste słomiane krzesła, cisnące się dokoła tego sukna wytartego złotem, świadczą o szczególnej obojętności na zbytek u tych ludzi, którzy przychodzą tu ginąć dla majątku i dla zbytku. Ta sprzeczność ludzka ujawnia się wszędzie, gdzie dusza żyje potężnie własnymi zasobami. Kochanek chce spowić swą lubą w jedwabie, oblec ją w najmiększe tkaniny Wschodu, a najczęściej posiada ją jakimś tapczanie. Ambitny marzy o bezgranicznej władzy, płaszcząc się w błocie służalstwa. Kupiec wegetuje w głębi wilgotnego i niezdrowego

sklepu, wznosząc wspaniały pałac, skąd syna jego, przedwczesnego spadkobiercę, wypędzi braterska subhasta. Wreszcie czy istnieje coś wstrętniejszego niż przybytek „rozkoszy"? Osobliwy problem! Wciąż w sprzeczności z samym sobą, oszukując swoje nadzieje obecną niedolą, a swoje niedole przyszłością, która doń nie należy, człowiek daje wszystkim swoim uczynkom piętno niekonsekwencji i słabości. Na tym padole pełne jest tylko nieszczęście.

W chwili, gdy młody człowiek wszedł do sali, było już tam kilku graczy. Trzech łysych starców siedziało dokoła zielonego stołu; ich gipsowe twarze, niewzruszone jak twarze dyplomatów, odsłaniały dusze zużyte, serca, które od dawna odwykły bić, nawet przy stawianiu na kartę posagu żony. Młody Włoch o kruczych włosach i oliwkowej cerze stał oparty spokojnie o stół i zdawał się słuchać owych tajemnych przeczuć, które krzyczą niechybnie graczowi; „Tak! — Nie!". Ta południowa głowa oddychała ogniem i złotem. Siedmiu czy ośmiu widzów stojących kołem tak, że tworzyli galerię, oczekiwało scen, które im gotowały igraszki losu, twarze aktorów, ruch pieniędzy i grabek. Próżniacy ci stali tam milczący, nieruchomi, baczni, jak lud na placu Greve, kiedy kat kosi głowę. Wysoki, suchy mężczyzna w wytartym ubraniu trzymał w jednej ręce kartkę, a w drugiej szpilkę, aby znaczyć *czarne* lub *czerwone*. Był to jeden z tych nowożytnych Tantalów żyjących na marginesie wszystkich uciech swej epoki, jeden z owych skąpców bez skarbu, rozgrywających urojoną stawkę; gatunek rozsądnego wariata, który pociesza się w swej nędzy, pieszcząc chimery, który, słowem, manipuluje występkiem i niebezpieczeństwem tak, jak młodzi księża odprawiający *białe msze* eucharystią. Na wprost banku znajdowało się paru owych szczwanych kombinatorów wytrawionych w ogniu gry, podobnych starym galernikom, których nie przerażają już galery; tacy przychodzą, aby postawić dwa lub trzy razy i unoszą natychmiast prawdopodobny zysk, stanowiący ich utrzymanie. Dwaj starzy służący zakładowi przechadzali się niedbale z założonymi rękami, spoglądając od czasu do czasu w ogród przez okno, jak gdyby dla pokazania przechodniom, niby szyldu, swoich tępych fizjonomii. Krupier i bankier objęli właśnie poniterów owym bladym spojrzeniem, które ich zabija, i wyrzekli dyszkantem: „Proszę obstawiać!" w chwili, gdy młody człowiek otworzył drzwi. Milczenie stało się jak gdyby głębsze, głowy obróciły się przez ciekawość ku nowo przybyłemu. Rzecz niesłychana! Stępiali starcy, skostnieli funkcjonariusze, widzowie, nawet zaciekły Włoch, wszyscy na widok nieznajomego doznali jakiegoś okropnego uczucia. Czy nie trzeba być bardzo nieszczęśliwym, aby uzyskać litość, bardzo słabym, aby wzbudzić sympatię lub też wyglądać bardzo złowrogo, aby wstrząsnąć dreszczem dusze w tej sali, gdzie cierpienie musi być nieme, gdzie nędza jest wesoła, a rozpacz przyzwoita? Otóż było coś z tego wszystkiego we wrażeniu, które poruszyło te lodowate serca, kiedy młody człowiek wszedł. Czyż kaci nie płakali nieraz nad jasnowłosymi dziewicami, których głowy miały spaść na znak Rewolucji?

Od pierwszego rzutu oka gracze wyczytali na twarzy nowicjusza jakąś straszną tajemnicę; młode jego rysy były przepojone melancholijnym wdziękiem, spojrzenie świadczyło o zawiedzionych wysiłkach, o tysiącu oszukanych nadziei. Martwa bezczułość samobójstwa dawała temu czołu matową i chorobliwą bladość, gorzki uśmiech rysował lekkie fałdy w kątach ust, a fizjonomia wyrażała rezygnację, na którą przykro było patrzeć. Jakiś tajemniczy Duch migotał w głębi tych oczu zamglonych może wyczerpaniem rozkoszy. Czy to rozpusta naznaczyła swoim brudnym piętnem tę szlachetną twarz, niegdyś czystą i promienną, obecnie spodloną? Lekarze przypisaliby z pewnością chorobie serca lub piersi żółtą obwódkę okalającą powieki i rumieniec barwiący policzki; poeci chcieliby w tych znakach widzieć spustoszenia sprawione przez naukę, ślady nocy spędzonych przy blasku studenckiej lampy. Ale namiętność bardziej śmiertelna od choroby, choroba bardziej bezlitosna od nauki i talentu szpeciły tę młodą głowę, napinały te pełne życia muskuły, kurczyły to serce, które rozpusta, nauka i choroba zaledwie musnęły. Podobnie jak słynnego zbrodniarza, gdy zjawi się w kaźni, skazańcy przyjmują z szacunkiem, tak wszystkie te czarty ludzkie, znawcy wszelkich męczarni skłonili się przed niesłychaną boleścią, przed głęboką raną, którą zgłębili wzrokiem, uznając w przybyszu jednego ze swych książąt po majestacie jego niemej ironii, po wytwornej nędzy jego stroju. Młody człowiek miał frak wykwintnie skrojony, ale kamizelka nazbyt misternie spojona była z krawatem, aby można było pod nią przypuszczać obecność bielizny. Ręce, ładne jak u kobiety, były wątpliwej czystości: od dwóch dni obywały się bez rękawiczek! Jeżeli

krupier, a nawet służący zadrżeli, to dlatego, że czar niewinności wykwitał tu i ówdzie w tych wątłych i delikatnych kształtach, w tych jasnych i rzadkich włosach, układających się w naturalne pukle. Ta twarz miała jeszcze dwadzieścia pięć lat, a występek zdawał się na niej jedynie czymś przygodnym. Krzepkie, młode życie walczyło ze spustoszeniami bezsilnej lubieżności. Mroki i światło, nicość i istnienie ścierały się na niej, rodząc równocześnie i wdzięk, i ohydę. Młody człowiek wyglądał tam niby anioł bez promieni, zbłąkany w swej drodze. Toteż wszyscy ci starzy nauczyciele występku i hańby, podobni do bezzębnej staruchy zdjętej litością na widok młodej dziewczyny, która rzucić ma się w rozpustę, omal nie krzyknęli nowicjuszowi: „Wyjdź stąd!". On podszedł prosto do stołu, zatrzymał się, cisnął bez żadnych obliczeń na stół sztukę złota, którą miał w ręce i która potoczyła na *czarne*, po czym jak silne dusze brzydzące się małostkową niepewnością, objął krupiera spojrzeniem wraz burzliwym i spokojnym. Zaciekawienie w sali było tak wielkie, że starcy zapomnieli postawić; natomiast Włoch chwycił się z fanatyczną namiętnością myśli, która mu się nagle uśmiechnęła, i postawił kupę złota przeciw stawce nieznajomego. Bankier zapomniał wygłosić tych frazesów, które z czasem zmieniły się w chrapliwy i niezrozumiały krzyk: „Panowie, proszę stawiać! — Obstawione! — Nie przyjmuje się więcej!". Krupier rozłożył karty z miną taką, jak gdyby życzył szczęścia ostatnio przybyłemu, obojętny na zysk lub stratę przedsiębiorców tych posępnych rozkoszy. Każdy z graczy dopatrywał się dramatu i ostatniej sceny szlachetnego życia w losach tej sztuki złota; oczy ich utkwione w fatydycznych obrazkach błyszczały; ale mimo uwagi, z jaką spoglądali kolejno na młodego człowieka i na karty, nie mogli dostrzec żadnej oznaki wzruszenia na jego zimnej i zrezygnowanej twarzy.

— Czerwone, parzyste *passe* — wywołał urzędownie krupier.

Głuchy charkot dobył się z piersi Włocha, kiedy ujrzał padające kolejno zwitki banknotów, które mu rzucał bankier. Co się tyczy młodego człowieka, zrozumiał katastrofę dopiero w chwili, gdy grabki wysunęły się, aby mu zgarnąć ostatniego napoleona. Kość słoniowa dobyła suchy dźwięk ze sztuki monety, która, szybka jak strzała, pomknęła ku kupie złota wznoszącej się przed kasą. Nieznajomy przymknął lekko oczy, wargi mu zbielały; ale niebawem podniósł powieki, usta odzyskały barwę koralu, przybrał minę Anglika, dla którego życie nie ma już tajemnic, i znikł nie żebrząc pociechy owym rozdzierającym spojrzeniem, jakie zrozpaczeni gracze rzucają dość często w stronę galerii widzów. Ile wypadków tłoczy się na przestrzeni sekundy, a ile rzeczy w jednym rzucie kości!

— Z pewnością ostatni jego nabój — rzekł z uśmiechem krupier po chwili milczenia, przez którą trzymał tę sztukę złota w dwóch palcach, aby ją pokazać obecnym.

— To wariat; pójdzie teraz rzucić się w wodę — odparł jakiś bywalec, spoglądając dokoła po graczach, którzy znali się wszyscy.

— Ba! — wykrzyknął służący zakładowy, biorąc szczyptę tabaki.

— Gdybyśmy byli naśladowali pana! — rzekł starzec do swoich kolegów, wskazując Włocha.

Wszyscy spojrzeli na szczęśliwego gracza, któremu ręce drżały przy liczeniu banknotów.

— Usłyszałem — rzekł — głos, który mi krzyczał do ucha; „Gra zadrwi sobie z rozpaczy tego chłopca".

— To nie jest gracz — dodał bankier — inaczej byłby podzielił swoją stawkę na trzy partie, aby zyskać więcej szans.

Młody człowiek przeszedł, nie żądając kapelusza; ale stary cerber, zauważywszy nędzny stan tego łachmana, oddał mu go bez słowa; gracz zwrócił machinalnie znaczek i zeszedł po schodach gwiżdżąc *Di tanti palpiti* tak wątłym tchem, że ledwie sam mógł słyszeć tę uroczą melodię.

Niebawem znalazł się w galeriach Palais-Royal, dotarł aż do ulicy Św. Honoriusza, skręcił ku Tuileriom i przebył ogród niepewnym krokiem. Szedł jakby wśród pustyni, potrącany przez ludzi, których nie widział, słysząc poprzez uliczny gwar tylko jeden głos, głos śmierci; słowem, zatopiony w martwej zadumie, podobnej do tej, jaka niegdyś musiała ogarniać zbrodniarzy, gdy wózek wiózł ich z *Pałacu* na plac Grève, ku owemu rusztowaniu czerwonemu od wszystkiej krwi wylanej od roku 1793.

Jest coś dziwnie wielkiego i okropnego w samobójstwie. Upadek większości ludzi nie jest niebezpieczny, jak u dziecka, które pada ze zbyt bliska, aby się skaleczyć; ale kiedy rozbija się wielki człowiek, musi to być z bardzo wysoka, musiał się wznieść aż w niebo, dojrzeć jakiegoś niedostępnego raju. Nieubłagane muszą być huragany, które mu każą szukać spokoju duszy w lufie pistoletu. Ile młodych talentów uwięzionych na jakimś poddaszu więdnie i ginie dla braku przyjaciela, dla braku kobiety pocieszycielki, pośród miliona istot, w obecności tłumu przesyconego złotem i żartego nudą! Na tę myśl samobójstwo przybiera gigantyczne kształty. Między dobrowolną śmiercią a żyzną nadzieją, której głos wołał młodego człowieka do Paryża, sam Bóg wie, ile tłoczy się pomysłów, poniechanych poezji, zdławionych rozpaczy i krzyków, daremnych pokus i poronionych arcydzieł. Każde samobójstwo jest wzniosłym poematem melancholii. Gdzie znajdziecie w oceanie literatury książkę, która by mogła walczyć na siłę wyrazu z tą gazeciarską notatką: Samobójstwo

> „Wczoraj o godzinie czwartej młoda kobieta rzuciła się do Sekwany z mostu *des Arts*".

Wobec tego paryskiego lakonizmu dramaty, romanse, wszystko blednie, nawet ten stary napis: *Lamentacje wspaniałego króla Kaërnawana wtrąconego do więzienia przez własne dzieci*; ostatni fragment zagubionej książki pobudzającej do płaczu owego Sterna, który sam opuścił swoją żonę i dzieci...

Nieznajomego oblegało tysiąc podobnych myśli, przebiegały strzępami przez jego duszę, tak jak podarte sztandary fruwają na polu bitwy. Jeżeli na chwilę odkładał brzemię swej inteligencji i swoich wspomnień, aby przystanąć przed jakimś kwiatkiem, którego główkę miękko kołysał wietrzyk wśród zieleni, niebawem, owładnięty spazmem życia, które prężyło się jeszcze pod gniotącą myślą samobójstwa, wznosił oczy ku niebu: tam szare chmury, podmuchy wiatru przepojone smutkiem, duszna atmosfera doradzały mu znowuż umrzeć. Skierował się w stronę mostu Królewskiego, myśląc o ostatnich zachceniach swoich poprzedników. Uśmiechnął się, przypominając obie, że lord Castlereagh zaspokoił wprzód najniższą z ludzkich potrzeb, zanim sobie poderżnął gardło; akademik zaś Auber poszukał tabakierki, aby zażywać tabakę idąc na śmierć. Rozbierał te dziwactwa i zastanawiał się nad samym sobą; naraz, kiedy się usunął ku parapetowi mostu, aby przepuścić jakiegoś tragarza, ten oprószył mu lekko rękaw; otóż złapał się tym, że starannie otrzepał pył. Doszedłszy do połowy mostu, spojrzał posępnie na wodę.

— Lichy czas dla topielców — rzekła, śmiejąc się, staruszka w łachmanach. — Ależ brudna i zimna ta Sekwana! Samobójstwo

Odpowiedział szczerym uśmiechem, który świadczył o napięciu jego determinacji; ale naraz zadrżał, ujrzawszy z daleka, koło tuileryjskiego portu, barak uwieńczony napisem, gdzie rysowały się literami na stopę wysokimi te słowa: POMOC DLA TOPIELCÓW. Ukazał mu się pan Dacheux zbrojny swą filantropią, jak budzi i wprawia w ruch owe cnotliwe wiosła, rozbijające głowy topielcom, skoro nieszczęściem wynurzą się nad wodę; ujrzał go, jak ściąga ciekawych, woła lekarza, cuci; odczytał żale dziennikarza kreślone przy wesołej kolacji, pod okiem uśmiechniętej tancerki; usłyszał dźwięk talarów wyliczanych za jego głowę przewoźnikowi przez prefekta policji. Po śmierci wart był pięćdziesiąt franków; ale żywy był jedynie talentem bez protektorów, bez przyjaciół, bez legowiska, bez dachu, prawdziwym zerem społecznym, bezużytecznym dla państwa, dla którego się nie liczy. Śmierć w biały dzień wydała mu się ohydną, postanowił umrzeć w nocy, aby rzucić nieodgadnionego trupa temu społeczeństwu nierozumiejącemu wielkości jego życia! Szedł tedy dalej przed siebie i skierował się ku wybrzeżu Woltera, przybierając niedbały chód próżniaka starającego się zabić czas. Skoro zeszedł po stopniach, którymi kończy się chodnik mostu, uwagę jego ściągnęły książki rozłożone na parapecie na rogu wybrzeża; mało brakło, a zacząłby targować którą. Uśmiechnął się, włożył filozoficznie ręce do kieszeni i miał wrócić do swej niedbałej postawy, w której przebijała zimna wzgarda, kiedy nagle usłyszał ze zdumieniem w swej kieszeni zgoła fantastyczny dźwięk kilku sztuk monety. Uśmiech nadziei rozjaśnił jego twarz, ześlizgnął się z warg na policzki, na czoło, rozpromienił radością oczy i posępne lica. Ta iskierka szczęścia podobna była do owych ogników, które biegną po strzępach papieru już zżartego płomieniem; ale twarz podzieli- Pieniądz, Bieda

ła los czarnych popiołów, stała się z powrotem smutna, kiedy nieznajomy, wyciągnąwszy żywo rękę z kieszonki, ujrzał trzy miedziaki.

— Och, mój dobry panie, *la carità! la carità! Catarina!* grosika na chlebuś!

Mały kominiarczyk z obrzękłą czarną twarzą, z ciałem ciemnym od sadzy, odziany w łachmany wyciągał rękę do tego człowieka, aby mu wydrzeć jego ostatni grosz.

O dwa kroki od małego Sabaudczyka stary, nieśmiały żebrak, chorowity, znękany, odziany w jakąś brudną i dziurawą szmatę, ozwał się grubym i bezdźwięcznym głosem:

— Panie, daj mi *co łaska*, będę się modlił za Pana...

Ale kiedy młody człowiek spojrzał na żebraka, ów zamilkł i nie prosił już o nic, poznając może na tej grobowej twarzy liberię nędzy okropniejszej może niż jego własna.

— *La carità! la carità!*

Nieznajomy rzucił swoje groszaki dziecku i starcowi, po czym opuścił chodnik, udając się w stronę domów, nie mógł znieść przejmującego widoku Sekwany.

— Będziemy się modlili do Boga, aby panu dał długie życie — rzekli dwaj żebracy.

Zbliżając się do wystawy handlarza sztychów, wpółmartwy ten człowiek spotkał młodą kobietę wysiadającą ze świetnego pojazdu. Patrzał z rozkoszą tę uroczą osobę, której biała twarz była harmonijnie oprawna w atłas wykwintnego kapelusika. Oczarowała go smukła kibić, zręczne ruchy. Suknia podniesiona przez stopień pojazdu odsłoniła nóżkę, której delikatny zarys znaczył się białą i dobrze obciągniętą pończochą. Młoda kobieta weszła do sklepu, oglądała albumy, zbiory litografii; nakupiła za kilka sztuk złota, które zabłysły i zadźwięczały na ladzie. Młody człowiek, na pozór zajęty na progu oglądaniem rycin wystawionych w oknie, objął żywo piękną nieznajomą wymownym spojrzeniem, otrzymując w zamian ów obojętny rzut oka, jakim się darzy niekiedy przechodnia. Było to z jego strony pożegnanie z miłością, z kobietą! Ale to ostatnie i przejmujące zapytanie nie znalazło oddźwięku, nie poruszyło serca płochej kobiety, nie przyprawiło jej o rumieniec, nie kazało spuścić oczu. Cóż to było dla niej? Jedno pochlebstwo więcej, zbudzone pragnienie, które wieczorem podsunie jej te lube słowa: „Byłam dziś ładna!". Młody człowiek skupił żywo wzrok na jakiejś rycinie i nie odwrócił się, gdy nieznajoma wsiadała do powozu. Konie ruszyły, ten ostatni obraz wykwintu i zbytku znikł, tak jak miało zniknąć jego życie. Szedł smętnym krokiem wzdłuż sklepów, oglądając bez wielkiego zainteresowania próbki towarów. Kiedy mu zbrakło sklepów, oglądał Luwr, Instytut, wieże Notre-Dame, Pałacu, most *des Arts*. Budowle te przybrały jak gdyby wyraz smutku, odbijając szare tony nieba; rzadkie poblaski światła dawały jakiś groźny wygląd Paryżowi, który jak ładna kobieta podlega niewytłumaczonym kaprysom piękna i brzydoty. Tak więc natura sama siliła się pogrążyć skazańca w bolesnej ekstazie. Wydany tej złowrogiej potędze, której rozkładowe działanie sączy się wraz z fluidem krążącym w naszych nerwach, uczuł, iż organizm jego dochodzi nieznacznie do zjawisk jak gdyby *płynności*. Męczarnie tej agonii dawały mu wrażenie ruchu podobnego ruchowi fal i sprawiały, iż widział budynki i ludzi poprzez mgłę, w której wszystko falowało. Chciał się otrząsnąć z tego łaskotania, jakim niepokoiły jego duszę wrażenia natury fizycznej i skierował się ku magazynowi starożytności w zamiarze dania strawy swoim zmysłom lub doczekania nocy, targując jakieś dzieła sztuki. Znaczyło to niejako skupiać odwagę i prosić o kordiał jak skazaniec, który nie ufa swoim siłom, idąc na rusztowanie; ale świadomość bliskiej śmierci wróciła na chwilę młodemu człowiekowi pewność siebie godną księżnej mającej dwóch kochanków: wszedł do handlarza osobliwości swobodnie, z uśmiechem zastygłym na ustach jak uśmiech pijaka. Czyż nie był pijany życiem lub może śmiercią? Niebawem nawiedził go znów ten sam zawrót głowy, wciąż widział przedmioty dziwnie zabarwione lub ożywione lekkim ruchem, którego przyczyny tkwiły niewątpliwie w nieregularnym krążeniu jego krwi, to kipiącej jak wodospad, to spokojnej i mdłej jak letnia woda. Poprosił naturalnym tonem o pokazanie mu magazynów dla zobaczenia, czy nie znajdzie się coś, co by mu się nadało. Młody chłopiec o świeżej i pyzatej twarzy, o rudej czuprynie nakrytej futrzaną czapeczką powierzył opiekę nad sklepem starej wieśniaczce, wcieleniu żeńskiego Kalibana, zajętej czyszczeniem pieca, którego cuda zawdzięczały istnienie geniuszowi Bernarda Palissy; po czym rzekł obojętnie do przybysza:

— Proszę, bardzo proszę! Na dole mamy jedynie rzeczy dosyć pospolite; ale jeżeli raczy pan potrudzić się na pierwsze piętro, będę mógł panu pokazać bardzo piękne mumie

kairskie, gliniane wyroby inkrustowane, rzeźbione hebany, *prawdziwy renesans*, wszystko świeżo przybyłe, rzeczy skończenie piękne.

W okropnym położeniu, w jakim znajdował się nieznajomy, ten szczebiot *cicerona*, te głupio reklamowe zdania były dlań niby małostkowe dokuczliwości, jakimi małe dusze zamordowują genialnego człowieka. Niosąc swój krzyż do końca, udawał, iż słucha swego przewodnika i odpowiadał mu gestem lub monosylabami; ale niebawem zdołał sobie wywalczyć prawo do milczenia i mógł się oddać bezpiecznie swoim ostatnim dumaniom, które były straszne. Był poetą, a dusza jego znalazła przypadkowo olbrzymi żer: miał widzieć z góry cmentarzysko dwudziestu światów.

Na pierwszy rzut oka magazyny nastręczyły mu skłębiony obraz, w którym mieszały się wszystkie dzieła ludzkie i boskie. Krokodyle, małpy, wypchane węże uśmiechały się do witrażów kościelnych, zdawały się chcieć kąsać biusty, biec za jakimś wazonem lub drapać się na świecznik. Waza sewrska, na której pani Jacotot wymalowała Napoleona, znajdowała się obok sfinksa poświęconego Sezostrisowi. Początek świata i wczorajsze wydarzenia kojarzyły się z pocieszną dobrodusznością. Rożen leżał na monstrancji, szabla republikańska na średniowiecznym rzędzie. Pani du Barry malowana pastelami przez Latoura, z gwiazdą na głowie, w chmurze, zdawała się pożądliwie oglądać indyjską fajkę, siląc się odgadnąć przeznaczenie skrętów, które ku niej pełzały. Narzędzia śmierci, sztylety, samopały, tajemne bronie pomieszane były z narzędziami życia: półmiski porcelanowe, saskie talerze, przeźroczyste filiżanki przybyłe z Chin, stare solniczki, feudalne kubki. Okręt z kości słoniowej płynął pełnymi żaglami na grzbiecie nieruchomego żółwia. Pneumatyczna maszyna właziła w oko majestatycznie nieruchomego cesarza Augusta. Kilka portretów ławników francuskich, burmistrzów holenderskich, niewzruszonych obecnie jak za życia, wznosiło się ponad tym chaosem starożytności, obejmując go zimnym i bladym spojrzeniem. Rzekłbyś, wszystkie krainy świata przyniosły tu jakiś szczątek swej wiedzy, próbkę swoich sztuk. Był to rodzaj filozoficznego śmietnika, gdzie nic nie brakowało, ani trzcinowej fajki dzikiego, ani zielono-złotych pantofli z seraju, ani jatagana Maura, ani tatarskiego bożyszcza. Nawet żołnierska puszka na tytoń, nawet cyborium kościelne, nawet pióropusz znad jakiegoś tronu. Te potworne obrazy podlegały jeszcze tysiącznym igraszkom światła wskutek kaprysu mnóstwa refleksów wynikłych z pomieszania odcieni, z nagłych przeciwieństw światła i mroku. Wreszcie uparty kurz zasnuł swą lekką zasłonę na wszystkich tych przedmiotach, których mnogie kąty i liczne wklęsłości rodziły nader malownicze efekty.

Te trzy sale przepełnione cywilizacją, obrządkami, bóstwami, arcydziełami, królestwami, rozpustą, rozumem i szaleństwem, wydały się zrazu nieznajomemu niby zwierciadło rżnięte w tafelki, z których każda odbijała jakiś świat. Po tym mglistym wrażeniu chciał rozkoszować się ze świadomością; ale pod wpływem patrzenia, myślenia, marzenia popadł w gorączkę zrodzoną może przez głód, który szalał w jego wnętrznościach. Widok tylu istnień, narodowych lub indywidualnych, zaklętych w te dokumenty ludzkie, które po nich przetrwały, do reszty zamroczył zmysły młodego człowieka; chęć, która go pchnęła do tego magazynu, ziściła się: opuścił rzeczywiste życie, wstąpił stopniowo w świat złudy, przybył do zaczarowanych pałaców ekstazy, gdzie wszechświat objawił mu się w strzępach, w ognistych smugach, tak jak przyszłość ukazała się niegdyś w blasku oczom świętego Jana na Patmos.

Mnóstwo bolesnych twarzy, uroczych i straszliwych, mrocznych i świetlnych, dalekich i bliskich, podniosło się gromadnie, miriadami, pokoleniami. Egipt sztywny, tajemniczy wstał ze swoich piasków wcielony w mumię spowitą w czarne przepaski; potem faraonowie grzebiący narody całe, aby sobie wznieść grobowiec, i Mojżesz, i Hebrajczycy, i pustynia — ujrzał cały świat, starożytny i uroczysty. Pełen świeżości i wdzięku, lśniący białością marmurowy posąg na kolumnie rozwijającej się w kształt kielicha mówił mu o rozkosznych mitach Grecji i Jonii. Ach, któż nie byłby się uśmiechnął jak on, widząc na czerwonym tle ciemnowłosą dziewczynę tańczącą na delikatnej glinie wazy etruskiej przed bogiem Priapem, którego pozdrawiała radosnym obliczem? Królowa łacińska pieściła miłosnym spojrzeniem swą chimerę! Kaprysy cesarskiej Romy oddychały tu pełną piersią i odsłaniały kąpiel, łoże, gotowalnię leniwej i rozmarzonej Julii oczekującej swego Tibulla. Uzbrojona mocą arabskich talizmanów głowa Cycerona budziła wspomnienia wolnego Rzymu i rozwijała karty Tytusa Liwiusza. Młody człowiek ujrzał oto *Senatus*

populusque romanus[4]: konsul, liktorzy, togi obramione purpurą, walki na Forum, gniewny lud przesuwały się z wolna przed nim niby mgliste obrazy senne. Wreszcie Rzym chrześcijański zapanował nad tymi obrazami. Pędzel malarza otworzył mu niebo; widział w nim Maryję-dziewicę w chmurze ze złota, na łonie aniołów, zaćmiewającą przepych słońca, słuchającą skarg nieszczęśliwych, do których ta odrodzona Ewa uśmiechała się łagodnie. Dotykając mozaiki wykonanej z rozmaitych law Wezuwiusza i Etny, dusza jego ulatywała ku gorącym i dzikim Włochom; brał udział w ucztach Borgii biegł w Abruzzy, pożądał miłości włoskiej, palił się do białych twarzy o podłużnych czarnych oczach. Drżał na myśl o nocnej schadzce przerwanej zimną szpadą męża, oglądając średniowieczny sztylet, którego rękojeść rzeźbiona jest jak koronka, a na którym rdza podobna bywa do plam krwi. Indie i ich religie odżyły w bożyszczu ustrojonym w szpiczasty kapelusz o płaskich brzegach zdobnych dzwoneczkami, przybranym w złoto i jedwab. Obok magota mata ładna jak bajadera, która się na niej przeciągała, wydzielała jeszcze zapach sandału. Potworek chiński o skośnych oczach, krzywych ustach, powykręcanych członkach, drażnił duszę wymysłami ludu, który znudzony jednostajnością piękna znajduje niewymowne rozkosze w mnogości form szpetoty. Solniczka pochodząca z pracowni Benwenuta Cellini przeniosła go z powrotem na łono Odrodzenia, w czasy, gdy kwitły sztuki i rozpusta, gdy panujący przyglądali się dla rozrywki torturom, gdy sobory, spoczywając w objęciach nierządnic, uchwalały dla prostych księży czystość. Ujrzał na koniec podboje Aleksandra; rzezie Pizarra w starej rusznicy; wojny religijne, rozszalałe, namiętne, okrutne, na dnie kasku. To znów dworne i lube obrazy rycerstwa wykwitły z cudnie nabijanej zbroi mediolańskiej, w której spod przyłbicy błyszczały jeszcze oczy rycerza.

Ten ocean mebli, wynalazków, mód, dzieł, szczątków, tworzył dlań poemat bez końca. Kształty, barwy, myśli, wszystko tu nabrało życia; ale nic nie jawiło się duszy w pełnej postaci. Poeta musiał kończyć szkic wielkiego malarza, twórcy tej olbrzymiej palety, gdzie niezliczone przypadki życia ludzkiego były rzucone bez rachuby, ze wzgardą. Ogarnąwszy świat, napatrzywszy się krajom, wiekom, królestwom, młody człowiek wrócił do istnień poszczególnych. Podjął na nowo swoje wcielenia, zapuścił się w szczegóły, odpychając życie ludów jako zbyt przygniatające dla jednego człowieka.

Tu spało woskowe dziecko ocalone z gabinetu Ruyscha, a czarująca ta istota przypominała mu uciechy dziecięctwa. Drażniący widok dziewiczej przepaski jakiejś młodej mieszkanki Taiti rozpłomienił jego wyobraźnię, malując proste życie natury, niewinną nagość prawdziwej skromności, rozkoszne i tak wrodzone człowiekowi lenistwo, całą spokojną dolę nad brzegami chłodnego i kołyszącego do marzeń strumienia, pod drzewem bananu sypiącym bez uprawy smakowitą mannę. To znów stawał się korsarzem, stroił się w straszliwą poezję Lary, żywo obudzoną perłowymi tonami tysiąca muszel, podsyconą widokiem polipów pachnących morszczyzną, algami i huraganami Atlantyku. Zapominał o burzach morskich, podziwiając znowuż subtelne miniatury, lazurowe i złote arabeski zdobiące jakiś ręką pisany mszał. Miękko kołysany pokojowymi myślami, zanurzał się w nauce i wiedzy, pragnąc żyć sutym życiem mnichów, wolnym od zgryzot i rozkoszy; wyciągał się na tapczanie w swej celi, oglądając przez gotyckie okno łąki, lasy, winnice klasztorne. Przed jakimś Teniersem przywdziewał kaftan żołnierski lub siermięgę robotnika; pragnął nosić brudną i zadymioną czapkę Flamandów, zapijał się piwem, grał z nimi w karty i uśmiechał się do tęgiej wieśniaczki o soczystych kształtach. Trząsł się z zimna, widząc zadymkę śnieżną Mierisa, to znów bił się, patrząc na bitwę Salwatora Rosa. Pieścił dłonią tomahawk ilinojski i czuł, jak nóż Irokeza zdziera mu skórę z czaszki. Oczarowany widokiem lutni, powierzał ją dłoni kasztelanki, napawając się melodyjną romanzą i wyrażając jej swą miłość wieczorem, przy gotyckim kominku, w mroku, w którym gubiło się jej omdlałe spojrzenie. Czepiał się wszystkich radości, przeżywał wszystkie bóle, chwytał się wszystkich form istnienia, sypiąc tak hojnie swoje życie i swoje uczucia na majaki tej namacalnej i czczej zarazem natury, że łoskot własnych kroków rozbrzmiewał w jego duszy niby odległy dźwięk z innego świata, tak jak zgiełk Paryża dochodzi do wieżyc Nôtre-Dame.

Wstępując na wewnętrzne schody wiodące do sal na pierwszym piętrze, ujrzał tarcze, zbroje, rzeźbione cyboria, drewniane posągi wiszące na ścianie, stojące na każdym stopniu.

[4]*Senatus populusque romanus* (łac.) — senat i lud rzymski. [przypis edytorski]

Ścigany najdziwniejszymi kształtami, cudownymi tworami mieszczącymi się na pograniczu śmierci i życia, szedł niby we śnie. Wreszcie, zatraciwszy poczucie swego istnienia, stał się jak te osobliwości: ani zupełnie martwym, ani zupełnie żywym. Kiedy wszedł do dalszych magazynów, zaczynał zapadać zmierzch; ale światło zdawało się zbędne owym lśniącym od złota i srebra bogactwom, które były tam nagromadzone. Najkosztowniejsze kaprysy marnotrawców, którzy skończyli na poddaszu, strwoniwszy wiele milionów, znajdowały się w tym rozległym bazarze ludzkiego szaleństwa. Kałamarz zapłacony setką tysięcy, a odkupiony za pięć franków leżał obok sekretnego zamku, którego cena starczyłaby niegdyś na okup dla króla. Tu rodzaj ludzki ukazywał się we wszystkich przepychach nędzy, w całej chwale swoich olbrzymich małostek. Hebanowy stół, prawdziwe cacko artysty, wyrzeźbiony wedle rysunków Jana Goujon, owoc kilku lat pracy, nabyto może w cenie drzewa na opał. Szacowne puzdra, sprzęty wykonane ręką wróżek, leżały tam niedbale porzucone.

— Wy tu macie miliony! — wykrzyknął młody człowiek, dochodząc do pokoju, który kończył niezliczony szereg komnat złoconych i rzeźbionych przez artystów ubiegłego wieku.

— Powiedz pan miliardy — odparł pyzaty chłopiec. — Ale to jeszcze nic, niech pan pójdzie na trzecie piętro, a zobaczy pan!

Nieznajomy udał się za przewodnikiem i przybył do czwartej galerii, gdzie kolejno przesuwały się przed jego zmęczonymi oczyma obrazy Poussina, wspaniały posąg Michała Anioła, kilka uroczych krajobrazów Klaudiusza Lorrain, Gerard Dow przypominający jakąś stronicę ze Sterne'a, Rembrandty, Murille, Velasquezy ciemne i barwne jak poemat lorda Byrona; wreszcie starożytne płaskorzeźby, rżnięte agaty, cudowne onyksy!... Słowem, były tu prace zdolne zniechęcić do pracy, nagromadzenie arcydzieł zdolne zrodzić nienawiść do sztuki i zabić wszelki entuzjazm. Przybył przed Dziewicę Rafaela, ale miał już dosyć Rafaela. Postać Corregia, która dopraszała się spojrzenia, nie uzyskała go. Bezcenna waza ze starożytnego porfiru, której okrężne rzeźby przedstawiały najucieszniej wyuzdaną z rzymskich priapei — rozkosz jakiejś Korynny — zaledwie wzbudziła uśmiech. Dławił się pod szczątkami pięćdziesięciu zamarłych wieków, chory był od tych wszystkich myśli ludzkich, zamordowany zbytkiem i sztuką, przytłoczony tymi odradzającymi się kształtami, które podobne potworom płodzonym pod jego nogami przez jakiegoś złośliwego ducha toczyły z nim walki bez końca.

Podobna w swoich kaprysach do nowoczesnej chemii, która streszcza wszelką istność w gazie, czyż dusza nie tworzy straszliwych trucizn przez nagłe zagęszczenie swoich wzruszeń, swoich sił lub myśli? Czy wielu ludzi nie ginie od piorunującego działania jakiegoś kwasu moralnego nagle rozlanego w ich wewnętrznej istocie?

— Co zawiera ta skrzynka? — spytał, wchodząc do obszernego gabinetu, ostatniego cmentarzyska sławy, wysiłków ludzkich, oryginalności, bogactw i ukazując palcem sporą graniastą skrzynkę mahoniową, wiszącą na gwoździu na srebrnym łańcuszku.

— A, to pryncypał ma klucz — rzekł pyzaty chłopak z tajemniczą miną. — Jeżeli pan pragnie widzieć ten portret, chętnie odważę się uprzedzić pryncypała.

— Odważysz się? — rzekł młody człowiek. — Czy twój pryncypał jest księciem?

— Nie wiem, proszę pana — odparł chłopiec.

Spojrzeli na siebie przez chwilę, obaj jednako zdumieni. Wytłumaczywszy sobie twierdząco milczenie nieznajomego, chłopiec zostawił go w gabinecie.

Czy zanurzyliście się kiedy w bezmiar przestrzeni i czasu, czytając dzieła geologiczne Cuviera? Porwani jego geniuszem czy szybowaliście nad bezkresną otchłanią przeszłości, jak gdyby podtrzymywani ręką czarodzieja? Odkrywając warstwa po warstwie, pokład po pokładzie pod łomami Montmartru lub krzesanicami Uralu owe zwierzęta, których skamieniałe szczątki należą do przedpotopowych cywilizacji, dusza wzdryga się, dostrzegając miliardy lat, miliony narodów, których słaba pamięć ludzka, których niezniszczalna tradycja boska zapomniały i których popioły nagromadzone na powierzchni naszego globu tworzą owe dwie stopy ziemi dające nam chleb i kwiaty. Czy Cuvier nie jest największym poetą naszego wieku? Lord Byron oddał słowami parę duchowych wzruszeń; ale nasz nieśmiertelny przyrodnik odtworzył świat przy pomocy zbielałych kości, odbudował jak Kadmus miasta z zębów, zaludnił tysiące lasów wszystkimi tajemnicami zoologii z paru strzępów torfu, odnalazł pokolenia olbrzymów w stopie mamuta. Te po-

stacie wstają, rosną i zapełniają krajobrazy harmonizujące z ich kolosalnymi kształtami. Jest poetą w swoich cyfrach, jest wzniosły stawiając zero obok siódemki. Ożywia nicość bez wymawiania czarodziejskich zaklęć; bada okruszynę gipsu, dostrzega w niej odcisk i krzyczy wam: „Patrzcie!". Naraz marmury animalizują się, śmierć się ożywia, świat roztacza się przed nami! Po niezliczonych dynastiach gigantycznych postaci, po pokoleniach ryb i klanach mięczaków, przybywa wreszcie rodzaj ludzki, zwyrodniały produkt wspaniałego typu, zniszczonego może przez Stwórcę. Rozgrzani jego ogarniającym przeszłość spojrzeniem ci wątli ludzie zrodzeni ledwie wczoraj mogą przebyć chaos, wznieść hymn bez końca i wyobrazić sobie przeszłość świata w jakiejś wstecznej Apokalipsie. W obliczu tego przeraźliwego zmartwychwstania od głosu jednego człowieka, ta okruszyna użyczona nam w owym bezkresie bez nazwy, wspólnym wszystkim sferom, który nazywamy CZASEM, ta minuta życia budzi w nas politowanie. Przygnieceni ruinami tylu światów pytamy sami siebie, na co są nasze sławy, nasze nienawiści, nasze miłości; i czy warto przyjmować mozół życia po to, aby się stać w przyszłości niewymiernym punktem? Oderwani od teraźniejszości popadamy w martwotę aż do chwili, w której wejdzie nasz lokaj i oznajmi: „Pani hrabina powiedziała, że oczekuje pana".

Cuda, których widok ukazał młodemu człowiekowi wszystkie postacie istnienia, wprawiły duszę jego w przygnębienie, jakie rodzi się u filozofa z naukowego spojrzenia na nieznane twory. Żywiej niż kiedykolwiek zapragnął umrzeć; osunął się na krzesło kurulne, pozwalając spojrzeniom swoim błądzić przez fantasmagorie tej panoramy przeszłości. Obrazy rozświetliły się, głowy Dziewic uśmiechnęły się doń, posągi ubarwiły się złudnym życiem. Pod osłoną mroku, wprawione w taniec gorączką, która kipiała w jego obolałym mózgu, twory te ożywiły się i zaczęły pod nim wirować. Każdy magot wykrzywiał się w jego stronę; powieki osób na obrazach wpół opadły na oczy, aby im dać wypocząć. Każdy z tych kształtów zadrżał, zatrząsł się, ruszył się z miejsca, poważnie, lekko, z wdziękiem lub brutalnie, wedle swoich obyczajów, charakteru i budowy. Był to tajemniczy sabat, godny fantasmagorii oglądanych przez doktora Fausta w Brocken. Ale to zjawisko optyczne, zrodzone ze zmęczenia, z napięcia wzroku lub z igraszek zmierzchu, nie mogło przestraszyć nieznajomego. Strachy życia nie miały mocy nad duszą oswojoną ze strachami śmierci. Poddawał się nawet z jakimś drwiącym zadowoleniem kaprysom tego galwanizmu moralnego, którego czary kojarzyły się z ostatnimi myślami dającymi mu jeszcze poczucie istnienia. Cisza panowała dokoła niego tak głęboka, że niebawem zanurzył się w łagodną zadumę, której nastroje, coraz to czarniejsze, towarzyszyły, odcień po odcieniu i jak gdyby czarami, powolnemu ubytkowi światła. Znikający z nieba blask zamigotał ostatnią czerwoną smugą, walcząc przeciw nocy. Młodzieniec podniósł głowę i ujrzał zaledwie oświetlony szkielet, który pochylił gestem powątpiewania głowę z prawej strony ku lewej, jak gdyby chcąc powiedzieć: „Umarli nie chcą cię jeszcze!". Przesuwając rękę po czole, aby zeń spędzić sen, młody człowiek uczuł wyraźnie chłodny powiew, spowodowany jakby czymś kosmatym, co mu musnęło lica. Zadrżał. Równocześnie szyby odebrzmiały głuchym stukiem; pomyślał tedy, że ta chłodna pieszczota godna tajemnic grobu pochodzi od jakiegoś nietoperza. Przez chwilę jeszcze słabe poblaski zachodu pozwoliły mu niewyraźnie rozróżniać widma, które go otaczały; po czym cała ta umarła natura utonęła we wspólnym czarnym mroku. Noc, godzina śmierci przyszła nagle. Od tej chwili upłynął pewien przeciąg czasu, przez który nie miał żadnego jasnego wrażenia rzeczy ziemskich, czy to że pogrążył się w głębokim marzeniu, czy że uległ senności spowodowanej zmęczeniem oraz natłokiem myśli szarpiących mu serce. Naraz zdało mu się, że woła go jakiś straszliwy głos: zadrżał tak, jak wówczas, gdy wśród palącego i dławiącego snu runiemy nagle w głębiny otchłani. Zamknął oczy, promienie żywego światła oślepiły go: ujrzał błyszczący w ciemności czerwonawy krąg, w którym stał mały staruszek, kierując nań światło lampy. Nie słyszał ani jak wchodził, ani jak mówił, ani jak się ruszał. Zjawisko to miało coś magicznego. Najbardziej nieustraszony człowiek zaskoczony w ten sposób we śnie zadrżałby może w obliczu tej postaci, wstającej jak gdyby z sąsiedniego sarkofagu. Osobliwa młodość, ożywiająca nieruchome oczy tego niby-widma, nie pozwoliła nieznajomemu uwierzyć w nadprzyrodzony charakter zjawiska; bądź co bądź, przez krótką chwilę dzielącą jego życie somnambuliczne od realnego pozostał w stanie filozoficznego wątpienia zaleconego przez Kartezjusza i przez ten czas znalazł się mimo

woli pod władzą owych niewytłumaczonych halucynacji, których tajemnice odtrąca nasza pycha lub które nasza bezsilna wiedza na próżno sili się zbadać.

Wyobraźcie sobie małego, suchego i chudego staruszka ubranego w czarną, aksamitną szatę, przepasaną grubym jedwabnym sznurem. Na głowie miał aksamitną czapeczkę, również czarną; poniżej po obu stronach długie pasma siwych włosów układały się w ten sposób, iż tworzyły oprawę dla czoła. Suknia otulała ciało niby obszernym całunem, nie pozwalając dojrzeć żadnego ludzkiego kształtu, oprócz wąskiej i bladej twarzy. Gdyby nie wyschłe ramię podobne do kija nawieszonego materią, a które starzec trzymał wzniesione w górę, aby skierować na młodzieńca cały blask lampy, twarz ta wydawałaby się zawieszona w powietrzu. Siwa, kończysta broda dawała tej dziwnej postaci podobieństwo do owych żydowskich głów, które biorą za model artyści, kiedy chcą przedstawić Mojżesza. Wargi tego człowieka były tak bezkrwiste, tak wąskie, że trzeba było szczególnej baczności, aby dojrzeć linię znaczącą usta na tej bladej twarzy. Szerokie pomarszczone czoło, żółte i zapadłe policzki, nieubłagana surowość małych zielonych oczu bez rzęs i brwi, mogły zbudzić w nieznajomym wrażenie, że to ów *Ważący złoto* Gerarda Dow wyszedł ze swej ramy. Inkwizytorska przenikliwość wyrażająca się w zmarszczkach na czole i skroniach świadczyła o głębokiej wiedzy życia. Niepodobna było oszukać tego człowieka, który miał jakby dar podchwytywania myśli na dnie najbardziej tajemniczych serc. Obyczaje wszystkich narodów świata i ich mądrości streszczały się na jego zimnej twarzy, tak jak wytwory całego świata nagromadzone były w jego zapylonych składach. Wyczytalibyście w niej jasnowidzący spokój Boga, który widzi wszystko, lub pyszną siłę człowieka, który widział wszystko. Za pomocą dwóch różnych wyrazów i w dwóch pociągnięciach pędzla malarz zrobiłby z tej twarzy piękny obraz przedwiecznego Ojca lub też drwiącą maskę Mefistofelesa; była w niej bowiem najwyższa potęga na czole i posępne szyderstwo na ustach. Miażdżąc wszystkie ludzkie cierpienia bezgraniczną mocą, człowiek ten musiał zabić ziemskie radości. Skazaniec zadrżał, odgadując, że ten stary Duch zamieszkuje sferę leżącą poza światem i żyje w niej sam, bez radości, bo nie ma już złudzeń, bez cierpień, bo nie zna już przyjemności. Starzec stał prosto, nieruchomy, niewzruszony jak gwiazda w chmurze światła. Jego zielone oczy pełne jakiejś spokojnej złośliwości zdawały się oświecać świat moralny, tak jak jego lampa oświecała ów tajemniczy gabinet.

Oto dziwne zjawisko, które zaskoczyło młodego człowieka w chwili, gdy otworzył oczy, kołysany długo myślą o śmierci i fantastycznymi obrazami. Jeżeli zdrętwiał, jakby oszołomiony, jeżeli dał się na chwilę opanować wierze godnej dziecka słuchającego niańczynych bajek, trzeba przypisać ten błąd owej zasłonie, jaką zaduma rozsnuła na jego życiu i myślach, przedrażnieniu podnieconych nerwów, gwałtownemu dramatowi, którego sceny napoiły go okrutną rozkoszą zawartą w kawałku opium. Wizja ta zdarzyła się w Paryżu, na *Quai Voltaire*, w XIX wieku, czyli w czasie i miejscu, w których magia powinna by być niemożliwa. Nieznajomy — bliski sąsiad domu, gdzie wyzionął ducha bóg francuskiego niedowiarstwa, uczeń Gay-Lussaka i Araga, gardzący kuglarstwami ludzi dzierżących władzę — nieznajomy poddawał się bez wątpienia jedynie owemu poetyckiemu urzeczeniu, któremu dajemy się często zagarnąć, jak gdyby dla ucieczki przed ową rozpaczliwą prawdą, jak gdyby dla kuszenia potęgi Boga. Drżał tedy pod światłem starca, zgięty niewytłumaczonym poczuciem jakiejś dziwnej mocy; ale wzruszenie to było podobne owemu, jakiego doznawaliśmy wszyscy wobec Napoleona lub wobec jakiegoś wielkiego człowieka błyszczącego geniuszem i odzianego chwałą.

— Czy pan chce zobaczyć portret Chrystusa pędzla Rafaela? — rzekł uprzejmie starzec głosem, którego jasny i ostry dźwięk miał coś metalicznego.

I postawił lampę na słupie strzaskanej kolumny, tak iż cały blask padał na ciemną skrzynkę.

Słysząc te wielkie imiona, Chrystusa i Rafaela, młody człowiek uczynił mimo woli gest zaciekawienia, zapewne oczekiwany przez kupca, który pocisnął sprężynę. Natychmiast mahoniowe wieko opadło bez szelestu i odsłoniło płótno zachwyconym oczom nieznajomego. Na widok tego nieśmiertelnego dzieła zapomniał o swych majakach, o sennych urojeniach, stał się znów człowiekiem, poznał w starcu istotę z krwi i ciała, zupełnie żywą, zgoła nieurojoną; — odżył w rzeczywistym świecie. Tkliwa dobroć, słodka pogoda boskiej twarzy oddziałały nań natychmiast. Jakaś spływająca z niebios woń rozproszyła piekące tortury, które paliły mu szpik. Głowa Zbawiciela świata zdawała się wynurzać

z mroków czarnego tła; aureola promieni błyszczała żywym blaskiem dokoła włosów, od których biło to światło; pod czołem, pod oblekającym je ciałem czuć było wymowne przeświadczenie, które wydzielało się z każdego rysu lotnym i wnikliwym strumieniem. Czerwone wargi głosiły przed chwilą słowa życia, a widz szukał w powietrzu ich świętego podźwięku, żądał od ciszy uroczych przypowieści, słuchał ich w przyszłości, odnajdywał w naukach przeszłości. Ewangelia wyrażała się spokojną prostotą tych czarujących oczu, do których uciekały się znękane dusze. Słowem, czytało się tam całą religię katolicką w słodkim i wspaniałym uśmiechu, zdającym się wyrażać tę zasadę, w której się ona streszcza: *Miłujcie się wzajem*. Obraz ten rodził w duszy modlitwę, zalecał przebaczenie, tłumił egoizm, budził wszystkie uśpione cnoty. Posiadłszy przywilej czarów muzyki, dzieło Rafaela rzucało widza pod przemożny urok wspomnień i tryumf jego był zupełny, zapominało się malarza. Czar światła potęgował jeszcze ten cud: chwilami zdawało się, że głowa porusza się w oddali, na tle jakiejś chmury.

— Pokryłem to płótno sztukami złota — rzekł zimno kupiec.

— A więc trzeba będzie umrzeć! — wykrzyknął młody człowiek, budząc się z zadumy, której ostatnia myśl przywiodła go z powrotem do jego nieszczęsnej doli, odciągając go mocą niepochwytnych wniosków od ostatniej nadziei, której się czepił.

— A! Miałem tedy słuszność, żem ci nie ufał! — odparł starzec, chwytając obie ręce młodego człowieka i ściskając je za garście w jednej swojej dłoni jak w kleszczach.

Nieznajomy uśmiechnął się smutnie z tej omyłki i rzekł łagodnie:

— Och, panie, niech się pan niczego nie lęka; chodzi o moje życie, nie o pańskie... Czemu nie miałbym się przyznać do niewinnego podstępu? — dodał, objąwszy wzrokiem niespokojnego starca. — Czekając nocy, aby się móc utopić bez zbiegowiska, przyszedłem obejrzeć pańskie skarby. Któż by nie wybaczył tej ostatniej przyjemności uczonemu i poecie?

Słuchając tych słów, podejrzliwy kupiec zmierzył bystrym okiem posępną twarz rzekomego klienta. Uspokojony rychło akcentem tego bolesnego głosu lub też czytając może w tych wybladłych rysach złowrogie losy, które niedawno przyprawiły o dreszcz graczy, puścił mu ręce; ale przez resztkę podejrzliwości świadczącej o stuletnim niemal doświadczeniu, wyciągnął niedbale ramię w stronę stołu, jak gdyby chcąc się oprzeć, po czym, biorąc zeń sztylet, rzekł:

— Czy jesteś od trzech lat nadetatowym urzędniczkiem, daremnie czekającym gratyfikacji?

Nieznajomy, czyniąc gest przeczący, nie mógł się wstrzymać od uśmiechu.

— Czy ojciec twój zbyt żywo ci wyrzucał twoje przyjście na świat? Lub też czyś się zhańbił?

— Gdybym chciał się zhańbić, mógłbym żyć!

— Czy cię wygwizdano w *Funambules*? Lub też jesteś zniewolony klecić kuplety, aby opłacić pogrzeb kochanki? A może cierpisz na chorobę złota? Chcesz zabić nudę? Słowem, co za omyłka pcha cię do śmierci?

— Niech pan nie szuka przyczyn mojej śmierci w pospolitych racjach, które powodują większość samobójstw. Aby sobie oszczędzić odsłaniania cierpień niesłychanych i trudnych do wyrażenia w ludzkim języku, powiem panu, że znajduję się w najgłębszej, najplugawszej, najdokuczliwszej nędzy. I — dodał tonem, którego zuchwała duma przeczyła poprzednim słowom — nie chcę żebrać ani pomocy, ani pociechy.

— Ho, ho!

Te dwie zgłoski, które zrazu były jedyną odpowiedzią starca, przypominały skrzek grzechotki. Po czym dodał:

— Nie zmuszając cię, abyś mnie błagał, nie każąc ci się rumienić i nie dając ci ani francuskiego centyma, ani lewantyńskiego para, ani sycylijskiego tarena, ani niemieckiego halerza, ani rosyjskiej kopiejki, ani szkockiego fartinga, ani też ani jednej sestercji lub obola starego świata i piastra nowego, nie ofiarując ci nic a nic w złocie, srebrze, miedzi, papierze, obligu, chcę cię uczynić bogatszym, potężniejszym i bardziej szanowanym od konstytucyjnego króla.

Młody człowiek sądził, że starzec jest zdziecinniały; stał w odrętwieniu, nie śmiejąc odpowiedzieć.

— Odwróć się — rzekł kupiec, ujmując nagle lampę, aby skierować jej światło na ścianę naprzeciw portretu — i spójrz na ten JASZCZUR.

Młody człowiek powstał nagle i uczynił gest zdumienia, widząc nad krzesłem, na którym siedział, zawieszony na ścianie kawał *jaszczuru* o rozmiarach nie większych niż skóra lisa; ale jakąś mocą zrazu niewytłumaczoną skóra ta rzucała wśród ciemności panującej w sklepie promienie tak jasne, iż rzeklibyście mały kometa. Młody niedowiarek zbliżył się do owego rzekomego talizmanu, mającego go chronić od nieszczęścia; drwiąca myśl zaświtała w jego głowie. Mimo to, wiedziony zrozumiałą ciekawością, pochylił się, aby obejrzeć skórę ze wszystkich stron i odkrył niebawem naturalną przyczynę tego świetlnego fenomenu. Czarne ziarna jaszczuru były tak starannie wypolerowane i poczernione, kapryśne bruzdki były tak schludne i czyste, iż, podobne ściankom granatu, nierówności tej wschodniej skóry tworzyły tyleż małych ognisk żywo odbijających światło. Gość wykazał matematycznie mechanizm tego zjawiska starcowi, który za całą odpowiedź uśmiechnął się złośliwie. Ten uśmiech wyższości obudził w młodym uczonym podejrzenie, że jest w tej chwili ofiarą jakiegoś kuglarstwa. Nie chcąc unosić do grobu jednej zagadki więcej, odwrócił żywo skórę, niby dziecko pragnące poznać tajemnice swej nowej zabawki.

— Ho, ho! — wykrzyknął. — Oto odcisk pieczęci, którą mieszkańcy Wschodu nazywają pieczęcią Salomona.

— Znasz ją tedy? — spytał kupiec, wypuszczając przez nozdrza kłąb powietrza, wyrażający więcej myśli, niżby ich można było wyrazić najenergiczniejszymi słowy.

— Czy istnieje na świecie człowiek dość naiwny, aby wierzyć w te baśnie? — wykrzyknął młody człowiek podniecony tym niemym i pełnym dotkliwego szyderstwa śmiechem. — Czy pan nie wie — dodał — że zabobony Wschodu uświęciły mistyczną formę oraz kłamliwe znamiona tego godła przedstawiającego bajeczną władzę? Nie sądzę, abym w danej okoliczności bardziej zasługiwał na pośmiewisko, niż gdybym mówił o sfinksach lub gryfach, których istnienie jest poniekąd mitologicznie przyjęte.

— Skoro jesteś orientalistą — odparł starzec — może przeczytasz tę sentencję.

Zbliżył lampę do talizmanu, który młody człowiek trzymał lewą stroną, i ukazał mu głoski odciśnięte w tkance tej cudownej skóry, tak jak gdyby były wytworem zwierzęcia, do którego należała ona niegdyś.

— Wyznaję — wykrzyknął nieznajomy — że nie domyślam się sposobu, jakim się posłużono, aby wyryć tak głęboko te litery na skórze onagra.

I odwracając się żywo ku stołom zarzuconym osobliwościami, zdawał się szukać czegoś wzrokiem.

— Czego chcesz? — spytał starzec.

— Narzędzia, aby przeciąć ten jaszczur dla zbadania, czy litery są odciśnięte czy inkrustowane.

Starzec podał swój sztylet nieznajomemu, który go wziął i próbował naciąć skórę w miejscu, gdzie były wypisane słowa; ale kiedy zdjął lekką warstwę skóry, litery ukazały się tak wyraźnie i tak tożsame z tymi, które były na powierzchni, iż przez chwilę zdawało mu się, że nic nie tknął.

— Przemysł lewantyński ma swoje tajemnice, które w istocie przynależą tylko jemu — rzekł, patrząc na wschodnią sentencję z pewnym niepokojem.

— Tak — odparł starzec — lepiej to złożyć na ludzi niż na Boga!

Tajemnicze słowa były rozmieszczone w następujący sposób[5]:

Co znaczyło:

JEŚLI MNIE POSIĄDZIESZ, POSIĄDZIESZ WSZYSTKO,
ALE TWOJE ŻYCIE BĘDZIE NALEŻAŁO DO MNIE.
BÓG TAK CHCIAŁ, PRAGNIJ, A TWOJE
PRAGNIENIA BĘDĄ SPEŁNIONE, ALE
MIARKUJ SWE PRAGNIENIA WEDLE
SWEGO ŻYCIA, ONO JEST TU.
ZA KAŻDYM PRAGNIENIEM

[5] *Tajemnicze słowa (…)* — w źródle w tym miejscu umieszczono napis alfabetem arabskim. [przypis edytorski]

SKURCZĘ SIĘ JAK TWE
DNI. CHCESZ MNIE?
BIERZ. BÓG CIĘ
WYSŁUCHA,
NIECH SIĘ
STANIE!

— A! Ty czytasz biegle sanskryt — rzekł starzec. — Czyś może bywał w Persji albo w Bengalu?

— Nie, panie — odparł młodzieniec, macając z ciekawością tę symboliczną skórę, sztywną niby kawał blachy.

Stary kupiec postawił lampę z powrotem na kolumnie, rzucając młodemu człowiekowi nabrzmiałe zimną ironią spojrzenie, które zdawało się mówić: „Nie myśli już o śmierci".

— Czy to żart? Czy tajemnica? — spytał młody nieznajomy.

Starzec potrząsnął głową i rzekł poważnie:

— Nie umiem ci odpowiedzieć. Ofiarowałem straszliwą władzę, którą daje ten talizman, ludziom obdarzonym większą podobno energią niż twoja; ale, mimo iż drwiąc sobie z wątpliwego wpływu, jakie miał wywrzeć na ich przyszłe losy, żaden nie chciał się ważyć na zawarcie umowy tak złowrogo podsuwanej przez nieznaną potęgę. Ja myślę w tym jak oni, wątpiłem, wzdragałem się i...

— Nie spróbował pan nawet? — przerwał młody człowiek.

— Spróbować! — odparł starzec. — Czy gdybyś się znalazł na kolumnie na placu Vendôme, spróbowałbyś się rzucić w powietrze? Czy można zatrzymać bieg życia? Czy człowiek zdołał kiedy przepołowić śmierć? Zanim wszedłeś do tego gabinetu, postanowiłeś odebrać sobie życie; i ot, naraz zaprząta cię jakiś sekret i odrywa cię od śmierci. Dziecko! Czy każdy twój dzień nie nastręczy ci bardziej zajmujących zagadek? Posłuchaj mnie. Widziałem rozwiązły dwór regenta. Jak ty byłem wówczas w nędzy, żebrałem chleba; mimo to dożyłem stu dwu lat i zostałem milionerem; nieszczęście dało mi majątek, niewiedza oświeciła mnie. Odsłonię ci w kilku słowach wielką tajemnicę ludzkiego życia. Człowiek zużywa się przez dwa instynktownie spełniane akty, które wyczerpują źródła jego istnienia. Dwa słowa wyrażają wszelką formę, którą oblekają owe dwie przyczyny śmierci: CHCIEĆ i MÓC. Między tymi dwoma kresami ludzkiej czynności istnieje inna forma, którą obierają mędrcy, i jej to zawdzięczam moje szczęście i moją długowieczność. *Chcieć* spala nas, a *móc* niszczy; ale WIEDZIEĆ zostawia nasz wątły ustrój w stanie trwałego spokoju. Toteż pragnienie czyli chcenie umarło we mnie zabite przez myśl; ruch czyli moc rozpłynęła się w naturalnej czynności moich organów. Krótko mówiąc, pomieściłem moje życie nie w sercu, które się kruszy, nie w zmysłach, które się ścierają, ale w mózgu, który się nie zużywa i który przeżywa wszystko. Żadne nadmierne wzruszenie nie uraziło mej duszy ani mego ciała. A jednak widziałem cały świat. Stopy moje zdeptały najwyższe góry Azji i Ameryki, nauczyłem się wszystkich ludzkich języków i żyłem pod wszelakim rządem. Pożyczałem pieniędzy Chińczykowi, biorąc w zastaw ciało ojca; spałem pod namiotem Araba na wiarę jego słowa; podpisywałem kontrakty we wszystkich stolicach Europy i zostawiałem bez obawy moje złoto w wigwamie dzikiego; krótko mówiąc, osiągnąłem wszystko, ponieważ umiałem wszystkim gardzić. Moją jedyną ambicją było widzieć. Widzieć, czy nie znaczy wiedzieć?... Och! wiedzieć, młodzieńcze, czy nie znaczy używać mocą intuicji? Czyż nie znaczy odkryć samą istotę faktu i posiąść jej treść? Co zostaje z posiadania materialnego? Myśl. Osądź tedy, jak pięknym musi być życie człowieka, który mając moc wyciśnięcia w swej myśli wszystkich realności, przenosi w swoją duszę źródła szczęścia, dobywa z nich tysiąc idealnych rozkoszy oczyszczonych z ziemskiego kału. Myśl jest kluczem wszystkich skarbów, dostarcza rozkoszy skąpca, nie dając jego trosk. Toteż unosiłem się ponad światem, gdzie moje przyjemności były zawsze rozkoszami intelektu. Moją rozpustą było oglądanie mórz, ludów, lasów i gór! Wszystko widziałem, ale spokojnie, bez zmęczenia; nigdy niczego nie pragnąłem, wszystkiego oczekiwałem. Przechadzałem się we wszechświecie niby w parku, który do mnie należał. To, co ludzie nazywają troską, miłością, ambicją, klęską i smutkiem, to są dla mnie idee, które zmieniam w marzenia; zamiast je czuć, ja je wyrażam, tłumaczę; zamiast dać im po-

Wiedza

Pogarda

żreć moje życie, ja je dramatyzuję, rozwijam; bawię się nimi niby powieściami, które bym czytał mocą wewnętrznej wizji. Nie znużywszy nigdy moich narządów, cieszę się jeszcze krzepkim zdrowiem. Ponieważ dusza moja odziedziczyła całą siłę, której nie nadużywałem, ta głowa jest jeszcze lepiej umeblowana niż moje magazyny. Tu — rzekł, uderzając się w czoło — są prawdziwe miliony. Spędzam rozkoszne dni, obracając inteligentne spojrzenia w przeszłość; wskrzeszam całe kraje, krajobrazy, widoki oceanu, wspaniałe postacie historyczne! Mam urojony seraj, gdzie posiadam wszystkie kobiety, które do mnie nie należały. Oglądam często wasze wojny, wasze rewolucje i sądzę je. Och! jak można przekładać gorączkowe i przelotne zachwyty wzbudzone kawałkiem jasnej lub ciemnej skóry, widokiem mniej lub więcej krągłych kształtów; jak można przekładać wszystkie klęski twojej omamionej woli nad szczytną zdolność wywoływania w sobie wszechświata, nad olbrzymią rozkosz poruszania się bez skrępowania więzami czasu ani zaporami przestrzeni, nad rozkosz ogarniania w sobie wszystkiego, widzenia wszystkiego, nachylania się nad krańcami świata, aby zgłębiać inne sfery, aby słuchać Boga? Oto — rzekł grzmiącym głosem, ukazując jaszczur — zjednoczone *Móc* i *Chcieć*. Tu są wasze pojęcia społeczne; wasze nadmierne pragnienia, wasze wybryki, wasze rozkosze, które zabijają, wasze bóle, które dają nadto żyć; ból bowiem jest może tylko gwałtownym szczęściem. Kto mógłby oznaczyć punkt, w którym rozkosz staje się cierpieniem i ten, w którym cierpienie jest jeszcze rozkoszą? Czy najwyższe blaski idealnego świata nie pieszczą oczu, podczas gdy najbardziej lube mroki świata fizycznego rażą go zawsze? Czy słowo rozum pochodzi od rozumieć? I co jest szaleństwo, jeśli nie nadmiar chcenia lub możności?

— A więc dobrze, chcę żyć bez miary! — rzekł nieznajomy, chwytając jaszczur.

— Młodzieńcze, strzeż się! — wykrzyknął starzec z nieopisaną żywością.

— Rozwiązałem moje życie przez naukę i myśl, ale nie dały mi nawet chleba — odparł nieznajomy. — Nie chcę się dać omamić ani kazaniu godnemu Swedenborga, ani pańskiemu wschodniemu amuletowi, ani miłosiernym wysiłkom, jakich pan dokłada, aby mnie zatrzymać na świecie, gdzie moje istnienie jest już niemożliwe... Tak! — dodał, ściskając talizman konwulsyjną dłonią i patrząc na starca. — Chcę obiadu iście królewskiego, chcę jakiejś bachanalii godnej wieku, który podobno udoskonalił wszystko! Niech moi biesiadnicy będą młodzi, inteligentni i bez przesądów, weseli aż do szaleństwa! Niech wina idą po sobie wciąż tęższe, wciąż bardziej musujące i niechaj mają moc upicia nas na trzy dni! Niech ta noc będzie strojna kobietami z płomienia! Chcę, aby oszalała i dziko wyjąca rozpusta poniosła nas na swoim czterokonnym rydwanie poza krańce świata i wysypała nas na nieznanych wybrzeżach! Niechaj dusze wzbijają się do nieba lub topią się w błocie, nie wiem, czy wówczas wznoszą się czy zniżają, mniejsza! Zatem nakazuję tej złowrogiej władzy, aby mi stopiła wszystkie rozkosze w jednej! Tak, czuję potrzebę objęcia rozkoszy nieba i ziemi ostatnim uśmiechem, aby w nich skonać. Toteż pragnę i starożytnych priapei po piciu i śpiewów zdolnych obudzić umarłych, i potrójnych pocałunków, pocałunków bez końca, których dźwięk przeleci nad Paryżem niby trzask pożaru, obudzi małżonków i natchnie ich palącym żarem, dając młodość wszystkim, nawet siedemdziesięciolatkom!

Wybuch śmiechu, który wydarł się z ust staruszka, rozległ się w uszach młodego człowieka niby łoskot piekieł i podziałał nań tak despotycznie, że zamilkł.

— Czy sądzisz — rzekł kupiec — że ta podłoga otworzy się nagle i że wyrosną z niej wspaniale zastawione stoły oraz biesiadnicy z innego świata? Nie, nie, młody szaleńcze. Podpisałeś pakt, rzecz skończona. Teraz wszelkie życzenia twoje ziszczą się sumiennie, ale kosztem twego życia. Krąg twoich dni wyobrażony przez tę skórę będzie się ścieśniał zależnie od siły i liczby twych pragnień, od najlżejszego aż do najbardziej szalonego. Bramin, któremu zawdzięczam ten talizman, wytłumaczył mi, iż zachodzi tajemniczy związek między losami a pragnieniami posiadacza. Pierwsze twoje życzenie jest pospolite, mógłbym je urzeczywistnić; ale zostawię troskę o to kolejom twego nowego istnienia. Ostatecznie chciałeś umrzeć? Otóż, twoje samobójstwo opóźni się tylko.

Nieznajomy, zdziwiony i niemal podrażniony, iż wciąż jest przedmiotem żartów tego szczególnego starca, którego na wpół filantropijne intencje przebijały jasno w tym ostatnim szyderstwie, wykrzyknął:

— Przekonam się, mój panie, czy dola moja odmieni się, nim przejdę wszerz wybrzeże. Ale jeżeli sobie drwisz z nieszczęśliwego, pragnę, aby się zemścić za tę złą usługę,

abyś się zakochał w tancerce! Zrozumiesz wówczas szczęście rozpusty i może staniesz się rozrzutniejszym wszystkimi dobrami, któreś tak filozoficznie oszczędzał.

Wyszedł, nie słysząc głębokiego westchnienia starca, przebiegł sale i zeszedł po schodach w towarzystwie pyzatego chłopca, który na próżno chciał mu świecić; biegł z chyżością zbrodniarza złapanego na gorącym uczynku. Oślepiony jakimś szałem, nie zauważył nawet zadziwiającej podatności jaszczuru, który stawszy się miękki jak rękawiczka, zwinął się w jego drżących palcach, tak iż mógł go machinalnie wsunąć w kieszeń. Wypadając ze sklepu na ulicę, potrącił trzech młodych ludzi, którzy szli trzymając się pod ręce.

— Bydlę!

— Bałwan!

Oto uprzejme wykrzykniki, które wymieniono.

— Och! To Rafael!

— To ty! Szukamy cię właśnie.

— Jak to! To wy?

Te trzy przyjacielskie zdania nastąpiły po obelgach, skoro tylko światło kołysanej wiatrem latarni oświeciło twarze zdziwionej gromadki.

— Mój drogi chłopcze — rzekł do Rafaela młody człowiek, który go omal nie przewrócił — musisz iść z nami.

— Ale o co chodzi?

— Wal z nami, po drodze ci opowiem.

Po woli czy po niewoli, przyjaciele otoczyli Rafaela i uwięziwszy go w wesołym kole, pociągnęli go ku mostowi *des Arts*.

— Mój drogi — ciągnął mówca — gonimy za tobą blisko od tygodnia. W czcigodnym hotelu *Saint-Quentin* (którego niewzruszone godło błyszczy wciąż, nawiasem mówiąc, głoskami na przemian czarnymi i czerwonymi jak za czasów Jana Jakuba Rousseau) Leonarda twoja oznajmiła nam, żeś pojechał na wieś; mimo że z pewnością nie wyglądaliśmy na służalców pieniądza, komorników, wierzycieli, policję, woźnych etc. Mniejsza! Rastignac widział cię poprzedniego dnia w *Bouffes*, nabraliśmy tedy otuchy i pomieściliśmy punkt honoru w tym, aby odkryć, czy gnieździsz się na drzewie na Polach Elizejskich, czy nocujesz za dwa su w owych filantropijnych domach, gdzie żebracy śpią wsparci na rozpiętych sznurach; lub też czy szczęśliwym losem nie rozbiłeś biwaków w jakim buduarze. Nie znaleźliśmy cię nigdzie, ani w rejestrach św. Pelagii, ani w rejestrach *La Force*! Ministeria, Opera, zacisza klasztorne, kawiarnie, biblioteki, listy prefektury, biura dzienników, restauracje, teatry, krótko mówiąc, wszystkie mniej więcej zaszczytne przybytki Paryża, wszystko przetrząsnęliśmy gruntownie, biadając nad stratą człowieka dość bogato obdarzonego przez naturę, aby go można było szukać zarówno na Dworze jak w więzieniu. Chcieliśmy cię już kanonizować jako bohatera Dni Lipcowych i, na honor, żałowaliśmy cię.

W tej chwili Rafael przechodził z przyjaciółmi przez most *des Arts*; słuchając, patrzał na Sekwanę, której szumiące wody odbijały światła Paryża. Ponad tą rzeką, w którą chciał rzucić się niedawno, przepowiednie starca spełniły się, godzina śmierci już się nieodzownie oddaliła.

— I żałowaliśmy cię szczerze! — podjął przyjaciel, prowadząc dalej swój wywód. — Chodzi o kombinację, w której liczyliśmy na ciebie, mając cię za człowieka wyższego, to znaczy człowieka umiejącego wznieść się ponad wszystko. Eskamotaż kulki konstytucyjnej pod królewskim kubkiem odbywa się dziś, mój drogi, z większą pasją niż kiedykolwiek. Bezecna monarchia obalona przez heroizm ludu to była ladacznica, z którą można było pośmiać się i popić; ale ojczyzna to cnotliwa i kwaśna małżonka; trzebaż nam przyjąć, z wolą czy bez woli, jej stateczne karesy! Otóż władza przeniosła się, jak ci wiadomo, z Tuilerii do dzienników, tak samo jak budżet zmienił siedzibę, przechodząc z dzielnicy Saint-Germain na Chaussée d'Antin[6]. Ale oto czego może nie wiesz! Rząd, to znaczy arystokracja bankierów i adwokatów, którzy robią dziś ojczyznę, tak jak niegdyś księża robili monarchię, uczuł potrzebę zmistyfikowania poczciwego ludku francuskiego nowymi słowami a starymi myślami, na wzór filozofów wszystkich szkół i wszystkich

[6]*budżet zmienił siedzibę, przechodząc z dzielnicy Saint-Germain na Chaussée d'Antin* — Saint-Germain, dzielnica arystokratyczna; Chaussée d'Antin, mieszczańsko-plutokratyczna (Przyp. tłum.). [przypis tłumacza]

epok. Chodzi tedy o to, aby nam zaszczepić przekonania królewsko-narodowe, dowodząc, że jest się o wiele szczęśliwszym, płacąc tysiąc dwieście milionów trzydzieści trzy centymy ojczyźnie reprezentowanej przez pp. X, Y i Z, niż tysiąc sto milionów dziewięć centymów królowi, który mówił *ja* zamiast *my*. Słowem, założono dziennik zbrojny w dwieście lub trzysta tysięcy franiów w celu prowadzenia opozycji, która by zadowoliła niezadowolonych, nie szkodząc narodowemu rządowi króla obywatela. Otóż, my sobie drwimy z wolności równie dobrze jak z despotyzmu, z religii równie dobrze jak z niedowiarstwa. Ojczyzna dla nas to stolica, gdzie myśli wymienia się i sprzedaje po tyle a tyle od wiersza; gdzie każdy dzień przynosi smaczny obiadek i liczne widowiska; gdzie roi się od rozwiązłych kobiet, a miłość najmuje się na godziny jak dorożkę!... Tak, Paryż będzie zawsze ze wszystkich ojczyzn najbardziej uroczą! Ojczyzną radości, swobody, dowcipu, ładnych kobiet, miłych urwisów, dobrych win, gdzie kij władzy nigdy nie da się zanadto uczuć, ponieważ jest się blisko tych, którzy go dzierżą!... Zatem, my, prawdziwi wyznawcy boga Mefistofelesa, podjęliśmy się wybielić opinię publiczną, poprzebierać aktorów, obić nowymi deskami rządową budę, dać na przeczyszczenie teoretykom, przegotować starych republikanów, odlakierować bonapartystów i odżywić *centrum*, byle nam wolno było śmiać się *in petto* z królów i narodów, gwizdać wieczorem na naszą opinię poranną i pędzić wesołe życie Panurgowe, czyli *more orientali*, leżąc na miękkich poduszkach. Przeznaczaliśmy ci lejce tego makaronicznego i uciesznego królestwa; toteż zabieramy cię z miejsca na obiad, wydany przez założyciela rzeczonego dziennika, eks-bankiera, który nie wiedząc, co począć ze swym złotem, chce je rozmienić na inteligencję. Będziesz tam przyjęty jak brat, powitamy w tobie króla owych niepodległych duchów, których nic nie przeraża, których bystrość odkrywa intencje Austrii, Anglii lub Rosji, zanim Rosja, Anglia lub Austria powzięły jakie intencje! Tak, uczynimy cię władcą owych inteligentnych potęg, które dają światu takich Mirabeau, Talleyrandów, Pittów, Metternichów, słowem wszystkich przemyślnych Kryspinów grających między sobą o losy państw, tak jak pospolici ludzie grają o kieliszek kirszu w domino. Zapowiedzieliśmy cię jako najbardziej nieustraszonego kompana, jaki kiedykolwiek mocował się z rozpustą, owym wspaniałym potworem, z którym żądają walczyć wszyscy ludzie silni; okrzyknęliśmy nawet, że ten potwór jeszcze cię nie zmógł. Mam nadzieję, że nie zadasz kłamu naszym pochwałom. Taillefer, nasz amfitrion, przyrzekł nam zakasować mizerne saturnalia naszych nowoczesnych Lukullusików. Jest dość bogaty, aby dać wielkość drobiazgom, wykwint i wdzięk rozpuście... Słyszysz, Rafaelu? — rzekł mówca, zatrzymując się na chwilę.

— Tak — odparł młody człowiek mniej zdumiony ziszczeniem swych pragnień niż zdziwiony naturalnym sposobem, w jaki wiążą się z sobą wypadki.

Mimo iż niepodobna mu było uwierzyć w czarnoksięskie wpływy, zdjął go podziw dla przypadków doli ludzkiej.

— Ale ty mówisz „tak" takim tonem, jakbyś myślał o śmierci swego dziadka — rzekł jeden z młodych ludzi.

— Ach! — rzekł Rafael z akcentem naiwności, który rozśmieszył tych pisarzy, nadzieję młodej Francji — myślałem, moi przyjaciele, że oto bliscy jesteśmy zostania tęgimi łotrzykami! Dotąd gadaliśmy bezeceństwa przy kieliszku, ważyliśmy życie po pijanemu, szacowaliśmy ludzi i wypadki trawiąc obiadek. Niewinni w czynie, byliśmy zuchwali w słowie; ale obecnie, napiętnowani rozpalonym żelazem polityki, wejdziemy do tej wielkiej kaźni i stracimy tam nasze złudzenia. Kiedy się wierzy już tylko w diabła, wolno jest żałować raju młodości, czasu niewinności, kiedy otwieraliśmy pobożnie usta, aby przyjąć z rąk dobrego księdza święte ciało naszego Zbawiciela. Ach! moi drodzy przyjaciele, jeżeli pierwsze nasze grzechy dawały nam tyle przyjemności, to dlatego, że wyrzuty sumienia stroiły je wdziękiem, dodawały im soli i pieprzu; gdy teraz...

— Och, teraz — odpowiedział jeden z kompanów — zostaje nam...

— Co? — spytał drugi.

— Zbrodnia...

— Oto słowo, które ma całą wysokość szubienicy i całą głębię Sekwany — odpowiedział Rafael.

— Och, nie rozumiesz mnie... Mówię o zbrodniach politycznych. Od dziś dnia zazdroszczę tylko jednego życia: życia spiskowców. Jutro nie wiem, czy mój kaprys przetrwa jeszcze; ale dziś wieczór mdłe życie naszej cywilizacji, jednostajne jak szyny kolei żelaznej,

przyprawia mnie o nudności! Jestem rozkochany w niedolach odwrotu spod Moskwy, we wzruszeniach *Czerwonego Korsarza* i w życiu przemytników. Skoro nie ma już kartuzów we Francji, pragnąłbym co najmniej Botany-Bay, coś w rodzaju infirmerii przeznaczonej dla lordzików Byronów, którzy zmiąwszy życie niby serwetę po obiedzie, nie mają przed sobą nic, jak tylko podpalić własny kraj, strzelić sobie w łeb, spiskować przeciw republice lub domagać się wojny...

— Emilu — przerwał tamten — słowo honoru, gdyby nie rewolucja lipcowa, byłbym został księdzem, aby wegetować gdzieś na zapadłej wsi, i...

— I byłbyś codziennie czytywał brewiarz?

— Tak.

— Samochwał!

— Czytujemy przecież dzienniki!

— Wcale nieźle jak na dziennikarza! Ale siedź cicho, idziemy wśród tłumu abonentów. Dziennikarstwo, widzisz, to religia nowożytnych społeczeństw i jest postęp.

— Jaki?

— Kapłani nie są obowiązani wierzyć ani lud też nie.

Rozmawiając w ten sposób jak ludzie, którzy znają dzieło *De Viris illustribus* od wielu lat, przybyli do pałacyku przy ulicy Joubert.

Emil był to dziennikarz, który zawdzięczał więcej sławy swemu próżniactwu niż inni swoim tryumfom. Śmiały krytyk, pełen werwy i jadu, posiadał wszystkie zalety, na które pozwalały jego wady. Otwarty i wesoły, mówił w oczy tysiąc złośliwości przyjacielowi, którego poza oczy bronił odważnie i lojalnie. Drwił ze wszystkiego, nawet z własnej przyszłości. Wciąż w kłopotach pieniężnych, grzęznął jak wszyscy utalentowani ludzie w nieopisanym lenistwie, rzucając całą książkę w jednym słowie w nos ludziom, którzy nie umieli dać ani jednego słowa w swoich książkach. Szczodry w obietnice, których nie spełniał nigdy, uczynił sobie ze swej fortuny i sławy poduszkę do spania, narażając się na to, że może się obudzić na starość w szpitalu. Zresztą przyjaciel oddany w każdej potrzebie, fanfaron cynizmu i prosty, jak dziecko pracował jedynie z kaprysu lub z konieczności.

— Czeka nas, wedle wyrażenia mistrza Alkofrybasa[7] *barzo smakowny kęsczek* — rzekł do Rafaela, wskazując skrzynie z kwiatami napełniające schody zapachem i zielenią.

— Lubię sień dobrze ogrzaną i strojną bogatymi dywanami — odparł Rafael. — Zbytek od samego przedsionka rzadki jest we Francji. Tu czuję, że odżywam.

— A tam, na górze, popijemy i pośmiejemy się jeszcze raz, mój dobry Rafaelu. A, ba — dodał — mam nadzieję, że będziemy górą i że przespacerujemy się po tych wszystkich głowach.

To mówiąc, drwiącym gestem wskazał biesiadników. Weszli do lśniącego od złoceń i świateł salonu, gdzie pospieszyła na ich spotkanie najwybitniejsza młodzież paryska. Jeden, talent pełen świeżości, pierwszym swoim obrazem dorównał sławom malarskim Cesarstwa. Drugi rzucił wczoraj bujną książkę, nacechowaną jak gdyby wzgardą dla literatury i wskazującą młodej szkole nowe drogi. Dalej rzeźbiarz, którego surowa twarz zdradzała krzepki talent, rozmawiał z jednym z owych zimnych szyderców, którzy wedle okoliczności to nie chcą widzieć wyższości nigdzie, to uznają ją wszędzie. Tu najdowcipniejszy z naszych karykaturzystów, ze złośliwym okiem, kąśliwymi usty, chwytał koncepty, aby je zilustrować ołówkiem. Tam młody i śmiały pisarz, który jak nikt umiał destylować kwintesencję myśli politycznej lub też zagęszczać w żart swą płodną inteligencję, rozmawiał z owym poetą, którego utwory zmiażdżyłyby wszystkie dzieła naszej epoki, gdyby jego talent miał siłę jego nienawiści. Obaj silili się nie powiedzieć prawdy i nie skłamać, obsypując się wzajem słodkimi pochlebstwami. Sławny muzyk pocieszał w *h-mol*, drwiącym głosem młodego polityka, który spadł świeżo z trybuny, nie wyrządzając sobie szkody. Młody autor bez stylu znajdował się obok młodego autora bez myśli, pełni poezji prozaicy obok prozaicznych poetów. Widząc te niepełne istoty, biedny saintsimonista dość naiwny, aby wierzyć w swą doktrynę, skupiał je miłosiernie, pragnąc je bez wątpienia przerobić na zakonników swojej reguły. Wreszcie było tam paru owych uczonych zaproszonych po to, aby dodać azotu rozmowie, oraz kilku wodewilistów gotowych rzucić w nią owe ulotne blaski, które, podobne iskrom diamentu, nie dają światła

[7] *mistrz Alkofrybas* — Rabelais, *Gargantua i Pantagruel*. [przypis tłumacza]

ani ciepła. Kilku handlarzy paradoksów, śmiejących się w kułak z ludzi przejmujących się ich zapałem lub wzgardą, uprawiało już tę obosieczną politykę, która spiskuje pod każdym systemem rządu, nie oświadczając się za żadnym. *Znawca*, z tych co to nie dziwi się niczemu, co wyciera nos podczas kawatyny w Operze, krzyczy *brawo* przed wszystkimi, a sprzecza się z tymi, którzy wyprzedzili jego zdanie, był tam również i starał się przywłaszczyć sobie cudze koncepty. Wśród tych biesiadników pięciu miało przyszłość, jakiś dziesiątek miał uzyskać strzęp przelotnej sławy; co się tyczy innych, mogli jak wszystkie miernoty powtórzyć słynne kłamstwo Ludwika XVIII: *Jedność i zapomnienie*. Amfitrion objawiał ową skłopotaną wesołość człowieka, który wydaje dwa tysiące talarów. Od czasu do czasu oczy jego zwracały się z niecierpliwością ku drzwiom, jakby przyzywając gościa, który dał na siebie czekać. Niebawem ukazał się mały, pękaty człowieczek przyjęty pochlebnym szmerem: był to rejent, który tego rana doprowadził do skutku narodziny dziennika. Czarno ubrany lokaj otworzył drzwi do obszernej jadalni, gdzie każdy bez ceremonii poszukał sobie miejsca przy ogromnym stole. Zanim opuścił salony, Rafael spojrzał po nich jeszcze raz. Zaiste, pragnienie jego ziściło się zupełnie. Jedwab ze złotem wyścielał apartamenty. Bogate świeczniki dźwigające niezliczoną ilość świec dobywały blasku z najdrobniejszych szczegółów złoconych fryzów, subtelnych brązowych rzeźbień i wspaniałych barw apartamentu. Rzadkie kwiaty pomieszczone w artystycznych bambusowych żardinierach rozlewały słodkie zapachy. Wszystko aż do draperii oddychało niewymuszonym wykwintem; we wszystkim widniał jakiś poetycki wdzięk, którego czar musiał działać na wyobraźnię nędzarza.

— Sto tysięcy funtów renty, to śliczny komentarz do katechizmu, pomagający nam cudownie przejść od zasad do *akcji*! — rzekł z westchnieniem. — Och, tak! Moja cnota nie chodzi piechotą. Dla mnie występek to poddasze, to wytarte ubranie, szary kapelusz w zimie i długi u stróża... Och! Chciałbym żyć na łonie tego zbytu rok, pół roku, mniejsza! A potem umrzeć. Przynajmniej poznałbym, wyczerpałbym, pochłonąłbym tysiąc istnień!

— Och! — rzekł Emil, który go słuchał — bierzesz powozik agenta giełdowego za szczęście. Ba, rychło sprzykrzyłbyś sobie majątek, widząc, że ci odbiera szanse stania się *kimś*. Pomiędzy nędzami bogactwa a bogactwami nędzy czyż artysta waha się kiedy? Czy *nam* nie trzeba zawsze walki? Toteż przygotuj swój żołądek, patrz — rzekł, pokazując mu heroicznym gestem po trzykroć święty i uspokajający widok, jaki odsłaniała jadalnia błogosławionego kapitalisty. — Ten człowiek — ciągnął Emil — zadał sobie trud zgromadzenia swoich pieniędzy jedynie dla nas. Czy to nie jest rodzaj gąbki zapomnianej przez naturalistów w gatunku polipów, którą należy delikatnie wyciskać, nim się ją pozwoli wyssać spadkobiercom? Czy nie podziwiasz stylu w tych płaskorzeźbach, które zdobią ściany? A świeczniki, a obrazy, cóż za inteligentny zbytek! Jeżeli mamy wierzyć zawistnym oraz tym, którzy silą się badać sprężyny życia, człowiek ten zgładził w czasie Rewolucji pewnego Niemca i kilka innych osób; mianowicie, jak mówią, swego najlepszego przyjaciela i jego matkę. Czy mógłbyś przypuścić zbrodnię pod siwiejącymi włosami tego czcigodnego Taillefera? Wygląda na bardzo poczciwego człowieka. Spójrzże, jak te srebra błyszczą: i każdy z tych lśniących promieni miałby być dla niego pchnięciem sztyletu?... Baśnie! To już lepiej uwierzmy w Mahometa. Gdyby opinia miała rację, oto trzydziestu dzielnych i utalentowanych ludzi gotuje się jeść wnętrzności i pić krew owej rodziny... a my dwaj, młodzi ludzie pełni niewinności, zapału, bylibyśmy wspólnikami zbrodni! Mam ochotę zapytać naszego kapitalisty, czy jest uczciwym człowiekiem...

— Nie teraz! — wykrzyknął Rafael — ale kiedy będzie zupełnie pijany; zjemy do tego czasu obiad.

Dwaj przyjaciele zasiedli, śmiejąc się. Najpierw spojrzeniem szybszym od słowa każdy z biesiadników spłacił swój haracz podziwu wspaniałemu widokowi, jaki przedstawiał długi stół, biały jak warstwa świeżego śniegu, na którym wznosiły się symetrycznie nakrycia uwieńczone rumianymi bułeczkami. Kryształy mieniły się tęczowo w blasku świateł, promienie świec krzyżowały się w nieskończoność, potrawy pomieszczone pod srebrnymi kopułami zaostrzały apetyt i ciekawość. Słowa padały dość rzadko. Sąsiedzi przyglądali się sobie wzajem. Madera zaczęła krążyć. Następnie zjawiło się pierwsze danie w całej chwale: byłoby przyniosło zaszczyt nieboszczykowi Cambaceresowi, a Brillat-Savarin byłby je wsławił. Bordo i burgund, białe i czerwone lały się z królewską hojnością. Tę pierwszą część uczty można było porównać pod każdym względem do ekspozycji klasycznej tra-

gedii. Drugi akt stał się nieco gadatliwy. Każdy gość popił sumiennie, zmieniając wedle ochoty napoje, tak iż w chwili, gdy usunięto resztki tego wspaniałego dania, wszczęły się burzliwe dyskusje; to i owo blade czoło zarumieniło się, ten i ów oblókł się purpurą, twarze rozpłomieniły się, oczy rozbłysły. W czasie tego brzasku pijaństwa rozmowa nie wyszła jeszcze z granic uprzejmości; ale szyderstwa, koncepty padały stopniowo ze wszystkich ust; następnie potwarz podniosła łagodnie swoją wężową główkę, przemawiając słodkim głosikiem; tu i ówdzie, jakiś filut nadstawił ucha, mając nadzieję zachowania przytomności. Przy drugim daniu mózgi były już zupełnie rozpalone. Wszyscy jedli mówiąc, mówili jedząc, pili, nie zważając na nadmiar wchłanianych płynów, tak były klarowne i pachnące, tak przykład był zaraźliwy. Taillefer silił się zagrzewać gości, kazał podać zdradzieckie wina rodańskie, gorący tokaj, stare mocne Rusylony. Rozpędzeni jak konie pocztowe ruszające ze stacji biesiadnicy, smagani iskierkami wina szampańskiego, niecierpliwie oczekiwanego, ale lanego obficie, pozwolili myśli swojej galopować w próżnię owych wywodów, których nikt nie słucha, zaczęli opowiadać owe historie, które nie znajdują uszu, podejmowali po sto razy owe pytania, które zostają bez odpowiedzi. Jedna Orgia rozwinęła swój wielki głos, swój głos złożony ze stu zmieszanych hałasów, rosnących jak owe *crescenda* u Rossiniego. Potem przyszły obłudne toasty, przechwałki, wyzwania. Wszyscy wyrzekli się chwalby swojej pojemności intelektualnej, aby iść o lepsze z pojemnością beczki, kufy, kadzi. Rzekłbyś, iż każdy ma dwa głosy. Przyszła chwila, w której panowie mówili wszyscy naraz, a służący uśmiechali się. Ale ten zamęt słów, w którym dość mgliste paradoksy, pocieszne odziane prawdy zderzały się poprzez krzyki, poprzez nawiasem rzucane sądy, stanowcze wyroki oraz błazeństwa, jak wśród walki krzyżują się kule, granaty, pociski, byłby z pewnością zainteresował jakiegoś filozofa niezwykłością myśli lub zdumiałby polityka dziwactwem poglądów. Były to równocześnie książka i obraz. Filozofie, religie, pojęcia moralne, tak różne zależnie od szerokości geograficznej, rządy, słowem wszystkie wielkie dzieła ludzkiej inteligencji, padły pod kosą równie długą jak kosa Czasu i może z trudem przyszłoby wam rozstrzygnąć, czy włada nią pijana Mądrość czy też Pijaństwo, które się stało mądre i jasnowidzące. Jak gdyby ponoszone burzą mózgi te, niby morze rozdąsane na swoje brzegi, chciały, zdawałoby się, wstrząsnąć wszystkie prawa, między którymi unoszą się cywilizacje, spełniając w ten sposób bezwiednie wolę Boga, który zostawił w naturze dobro i zło, zachowując dla siebie samego tajemnicę ich nieustannej walki. Ta zajadła i ucieszna dyskusja była poniekąd sabatem inteligencji. Między smutnymi konceptami, jakie sypały te dzieci Rewolucji przy narodzinach dziennika, a pogwarkami wesołych pijaków przy narodzinach Gargantui była cała przepaść, jaka dzieli wiek dziewiętnasty od szesnastego. Tamten przygotowywał zniszczenie śmiejąc się, nasz śmiał się pośród ruin.

— Jak wy wołacie tego młodego człowieka, który tam siedzi? — spytał rejent, wskazując Rafaela. — Zdaje mi się, że go nazywają Valentin.

— Też się pan wybrał ze swoim *Valentin*! — wykrzyknął, śmiejąc się, Emil. — Rafael *de* Valentin, jeżeli łaska. Mamy w herbie *złotego orła w czarnym polu, ze srebrną koroną, dziób i pazury czerwone*, z tym pięknym godłem; NON CECIDIT ANIMUS! Nie jesteśmy żadnym znajdą, ale pochodzimy od cesarza Valensa, praszczura rodu Valentinois, założyciela miast Walencji w Hiszpanii i we Francji, prawego dziedzica cesarstwa Wschodu. Jeżeli pozwalamy królować Mahmudowi w Konstantynopolu, to wyłącznie z dobrej woli oraz dla braku pieniędzy i żołnierzy.

Emil nakreślił widelcem w powietrzu koronę nad głowę Rafaela. Rejent zastanowił się przez chwilę, po czym zaczął dalej pić. Czyniąc gest, którym wyrażał, iż niepodobna mu wcielić do swej klienteli miasta Walencji, Konstantynopola, Mahmuda, cesarza Walensa i rodu Valentinois.

— Zniszczenie owych mrowisk zwanych Babilonem, Tyrem, Kartaginą lub Wenecją, wciąż miażdżonych stopą przechodzącego olbrzyma, czyż nie jest ostrzeżeniem danym człowiekowi przez szyderczą potęgę? — rzekł Klaudiusz Vignon, coś w rodzaju niewolnika, zakupionego, iżby „odstawiał" Bossueta po pół franka od wiersza.

— Mojżesz, Sylla, Ludwik XIV, Richelieu, Robespierre i Napoleon to może jeden i ten sam człowiek, który wędruje przez cywilizację niby kometa po niebie! — odparł ballanszysta.

— Po co zgłębiać drogi Opatrzności? — rzekł Canalis, fabrykant ballad.

— Oho, jest już Opatrzność! — wykrzyknął sceptyk, przerywając. — Nie znam w świecie nic bardziej elastycznego.

— Ależ, drogi panie, Lulwik XIV wytracił więcej ludzi, aby założyć wodociągi w Maintenon, niż konwent, aby sprawiedliwie rozłożyć podatki, zaprowadzić jedność prawa, unarodowić Francję i ustanowić równy podział dziedzictwa — powiadał Massol, młody człowiek, który dla braku zgłoseczki *de* przed nazwiskiem został republikaninem.

— Panie — odparł Moreau (z departamentu Oise) godny właściciel ziemski — pan, który bierzesz krew za wino, czy tym razem zostawisz nam głowy na karku?

— Po co, drogi panie? Czy zasady porządku społecznego nie są warte jakichś ofiar?

— Bixiou! Słuchaj no! Imć republikanin twierdzi, że głowa tego szlagona byłaby ofiarą? — rzekł jakiś młody człowiek do sąsiada.

— Ludzie i wypadki są niczym — powiadał republikanin, wywodząc dalej swą teorię wśród czkawki — w polityce i filozofii istnieją jedynie zasady i idee.

— Cóż za okropność! Nie sprawiłoby panu żadnej przykrości zabijać swoich przyjaciół dla prostej hipotezy?

— Ba! Mój panie, człowiek, który ma wyrzuty, jest prawdziwym zbrodniarzem, bo ma jakieś pojęcie o cnocie; podczas gdy Piotr Wielki, książę Alba to były systemy, a korsarz Monbard był całą organizacją.

— Ale czy społeczeństwo nie mogłoby się obejść bez waszych systemów i organizacji? — spytał Canalis.

— Och! Zgoda — rzekł republikanin.

— Ech! Wasza idiotyczna republika przyprawia mnie o mdłości! Nie można spokojnie pokrajać kapłona, żeby się w nim nie natknąć na prawo agrarne.

— Twoje zasady są doskonałe, mój Brutusiku nadziany truflami. Ale przypominasz mi mego lokaja; hultaj ma taką manię czystości, że gdybym mu pozwolił szczotkować ubranie do skutku, chodziłbym nago.

— Jesteście głupcy! Chcecie oczyścić naród wykałaczką — odparł amator republiki. — Wedle was sprawiedliwość byłaby niebezpieczniejsza niż złodzieje.

— He, he — rzekł adwokat Desroches.

— Jacyż oni nudni z tą polityką! — rzekł rejent Cardot. — Zamknijcie drzwi. Nie ma wiedzy ani cnoty, które byłyby warte jednej kropli krwi. Gdybyśmy chcieli przeprowadzić likwidację prawdy, okazałaby się może bankrutem.

— Och! Z pewnością taniej by nam wypadło bawić się w złu, niż kłócić się o dobre. Toteż oddałbym wszystkie mowy wygłaszane na trybunie od czterdziestu lat za pstrąga, za powiastkę Perraulta lub szkic Charleta.

— Masz pan słuszność!... Podaj mi szparagi... Ostatecznie bowiem, wolność rodzi anarchię, anarchia wiedzie do despotyzmu, a despotyzm sprowadza do wolności. Miliony istot zginęły, nie mogąc zapewnić zwycięstwa żadnemu z tych systemów. Czyż to nie jest błędne koło, w którym świat będzie się zawsze kręcił? Kiedy człowiek myśli, że go ulepszył, po prostu tylko poprzestawiał rzeczy.

— Ha, ha! — wykrzyknął wodewilista Cursy — w takim razie, panowie, wznoszę zdrowie Karola X, ojca wolności!

— Czemu nie? — rzekł Emil. — Kiedy despotyzm tkwi w prawach, wolność żyje w obyczajach i na odwrót.

— Pijmy tedy za głupotę władzy, która daje nam tyle władzy nad głupcami! — rzekł bankier.

— Ech, panowie, Napoleon zostawił nam bodaj sławę! — krzyczał oficer, który nigdy nie wypłynął z Brest.

— Och! Sława, smutny towar. Drogo kosztuje, a nie trzyma się długo. Byłażby ona egoizmem wielkich ludzi, tak jak szczęście jest egoizmem głupców?

— Panie, pan jesteś bardzo szczęśliwy...

— Pierwszy, który wymyślił rowy, był z pewnością człowiekiem słabym, bo społeczeństwo przynosi korzyść jedynie mizerakom. Pomieszczeni na dwóch krańcach świata moralnego dziki i myśliciel mają jednaką odrazę do własności.

— Ślicznie! — wykrzyknął Cardot. — Gdyby nie było własności, jakże można by sporządzać akta?

— Ten groszek jest fantastycznie rozkoszny!

— A nazajutrz znaleziono księdza martwego w łóżku.....

— Kto mówi o śmierci?... Nie żartujcie, ja mam wuja.

— Pogodziłbyś się pewnie z jego stratą.

— Nie w tym rzecz.

— Słuchajcie, panowie! SPOSÓB ZGŁADZENIA WUJA. Cichooo! (*Słuchajcie! Słuchajcie!*) Mieć najpierw grubego tłuściutkiego wujaszka, to są najlepsi wujowie. (Poruszenie). Nakarmić go pod jakimkolwiek pozorem pasztetem z gęsich wątróbek.

— Ech, mój wuj jest wysoki, chudy, skąpy i umiarkowany w jadle.

— Och, tacy wujowie to potwory nadużywające życia.

— I — ciągnął pogromca wujów — oznajmić mu w chwili trawienia upadłość jego bankiera.

— A jeśli nie poskutkuje?

— Puśćcie nań ładną dziewczynę.

— A jeśli jest...? — rzekł inny, czyniąc gest negatywny.

— W takim razie to nie jest wuj... wuj jest z reguły figlarz.

— Wiecie, Malibran straciła dwie nuty.

— Nie, szanowny panie.

— Tak, szanowny panie.

— Och, och! Tak i nie, czyż to nie są dzieje wszystkich sporów religijnych, politycznych i literackich? Człowiek jest błaznem tańczącym nad przepaścią.

— Jeżeli pana dobrze rozumiem, to znaczy, że jestem głupcem?

— Przeciwnie, to dlatego że mnie pan nie rozumie.

— Oświata, ładna zabawka! Heinefettermach oblicza ilość drukowanych tomów przeszło na miliard, a życie człowieka nie pozwala przeczytać ani stu pięćdziesięciu tysięcy. Zatem wytłumaczcie mi, co znaczy słowo *oświata*? Dla jednych, oświata znaczy znać imiona konia Aleksandra, doga Berecilla, pana Accords, a nie znać imienia człowieka, któremu zawdzięczamy spław drzewa albo porcelanę. Dla drugich, być oświeconym, to umieć spalić testament i żyć jak uczciwy człowiek, kochany, szanowany, zamiast ukraść zegarek jako recydywista z pięcioma obciążającymi okolicznościami i dać głowę na placu *de la Grève* jak człowiek znienawidzony i zhańbiony.

— Czy Natan zostanie?

— Och, jego współpracownicy mają dużo talentu.

— A Canalis?

— To wielki człowiek, nie mówmy o nim.

— Jesteście pijani.

— Bezpośrednim następstwem konstytucji jest spłaszczenie inteligencji. Sztuki, nauki, pomniki, wszystko pożera przerażające uczucie egoizmu, trąd naszej epoki. Waszych trzystu mieszczuchów obsiadających ławki parlamentu będzie myślało jedynie o sadzeniu topoli. Despotyzm robi nielegalnie wielkie rzeczy, wolność nie zadaje sobie nawet trudu robienia legalnie bardzo małych.

— Wasze zbiorowe nauczanie wybija z ludzi pięciofrankówki — przerwał absolutysta. — W narodzie zniwelowanym przez oświatę zanikają indywidualności.

— Jednakże czy celem społeczeństwa nie jest dostarczyć każdemu dobrobytu? — spytał saintsimonista.

— Gdybyś pan miał pięćdziesiąt tysięcy franków renty, nie troszczyłbyś się o ludzi. Napadła pana szlachetna miłość ludzkości? Jedź pan na Madagaskar; znajdziesz tam miły narodek, jeszcze świeży, do zsaintsimonizowania, sklasowania i wsadzenia do słoja; ale tu każdy włazi zupełnie naturalnie w swoją przegródkę jak gąsienica w swoją dziurę. Odźwierni to są odźwierni, a głupcy są głupcy, nie trzeba im patentu z kolegium dobrych Ojców. Ha, ha!

— Pan jesteś karlistą?

— Czemu nie? Lubię despotyzm, znamionuje pewną pogardę dla rodzaju ludzkiego. Nie mam nienawiści do królów. Są tacy zabawni! Królować w swoim pokoju, o trzydzieści milionów mil od słońca, czy to nic?

— Streśćmy tedy ten szeroki pogląd na świat — rzekł uczony, który dla pouczenia roztargnionego rzeźbiarza zaczął rozprawę o narodzinach społeczeństw i o ludach pierwotnych. — Na początku narodów siła była poniekąd materialna, jedna, gruba; po czym ze wzrostem skupień rządy zaczęły mniej lub więcej zręcznie rozkładać pierwotną władzę. Tak w odległej starożytności siła była w teokracji; kapłani dzierżyli miecz i kadzielnicę. Później były dwa kapłaństwa: kapłan i król. Dziś nasze społeczeństwo, ostateczny kres cywilizacji, rozdzieliło władze wedle ilości kombinacji: doszliśmy do sił zwanych *przemysł, myśl, pieniądz, słowo*. Postradawszy w ten sposób jedność, władza dąży bez ustanku ku rozkładowi społecznemu, niemającemu już innej zapory prócz interesu. Toteż nie opierajmy się już ani na religii, ani na sile materialnej, ale na inteligencji. Czy książka zastąpi miecz? Czy dyskusja zastąpi czyn? Oto zagadnienie.

— Inteligencja zabiła wszystko! — wykrzyknął karlista. — Daj pan pokój! Absolutna wolność wiedzie narody do samobójstwa, nudzą się w tryumfie jak Anglik-milioner.

— Cóż wy nam powiecie nowego? Dziś ośmieszyliście wszelką władzę, a nawet stało się rzeczą pospolitą przeczyć istnieniu Boga! Nie ma już wiary! Toteż nasz wiek jest niby stary sułtan strawiony rozpustą! W końcu wasz lord Byron, jako ostatni etap poetyckiej rozpaczy, opiewał zbrodnicze namiętności!

— Czy wiesz — odparł Bianchon zupełnie pijany — że odrobina fosforu więcej albo mniej czyni geniusza lub zbrodniarza, inteligentnego człowieka lub idiotę, cnotliwego lub łajdaka?

— Jak można w ten sposób traktować cnotę — wykrzyknął Cursy — cnotę, temat wszystkich sztuk teatralnych, rozwiązanie wszystkich dramatów, podstawę wszystkich trybunałów...

— Ech, zamilcz, bydlę. Twoja cnota to Achilles bez pięty — rzekł Bixiou.

— Pić!

— Chcesz się założyć, że wypiję butelkę szampana duszkiem?

— Duszek!.. To miniatura ducha...

— Pijani jak... jak... — mamrotał młody człowiek, pojąc obficie swoją kamizelkę.

— Tak, panie, obecny rząd zasadza się na tym, aby dać królować opinii publicznej.

— Opinia? Ależ to najwyuzdańsza z prostytutek! Wedle was, panowie moraliści i politycy, trzeba by bez ustanku przekładać wasze prawa nad naturę, opinię nad sumienie. Ech, wszystko jest prawdą, wszystko jest fałszem! Jeżeli społeczeństwo dało nam pierze do poduszek, wyrównało to z pewnością dobrodziejstwem podagry, tak samo jak wydało procedurę, aby złagodzić sprawiedliwość, a katar w następstwie kaszmirowych szalów.

— Potworze! — rzekł Emil, przerywając mizantropowi — jak można złorzeczyć cywilizacji w obliczu tak rozkosznych win i potraw i leżąc brodą na stole? Kąsaj tę sarnę o złoconych rogach i kopytach, ale nie kąsaj swojej matki...

— Czy to moja wina, jeżeli katolicyzm pakuje w końcu milion bogów do worka z mąką, jeżeli republika kończy się zawsze jakimś Napoleonem, jeżeli królestwo mieści się między zamordowaniem Henryka IV a straceniem Ludwika XVI, jeżeli liberalizm staje się Lafayetem?

— Całowałeś go w lipcu?

— Nie.

— Zatem milcz, sceptyku.

— Sceptycy to są najsumienniejsi ludzie.

— Nie mają sumienia.

— Co ty gadasz! Mają co najmniej dwa.

— Sprzedawać niebo na pniu! Panowie, to genialna operacja handlowa. Starożytne religie były jedynie rozwinięciem rozkoszy fizycznej, ale my, myśmy rozwinęli duszę i nadzieję; jest postęp.

— Ech, moi dobrzy przyjaciele, czego wy możecie oczekiwać od epoki obżartej polityką? — rzekł Natan. — Jaki był los „Historii cygańskiego króla i jego siedmiu zamków", najbardziej uroczego pomysłu?...

— To! — krzyknął „znawca" od drugiego stołu — to frazesy wyciągane na los szczęścia z kapelusza, istna literatura dla wariatów.

— Jesteś głupiec!

— Jesteś błazen!

— Ho, ho!
— Ha, ha!
— Pobiją się.
— Nie.
— Do jutra, mój panie.
— Nie, zaraz — odparł Natan.
— Spokój! Spokój! Oba jesteście zuchy.
— A pan trzeci! — rzekł ten, który wszczął zwadę.
— Nie mogą się nawet utrzymać na nogach.
— Co! Może nie stoję prosto — odparł wojowniczy Natan, wstając chwiejnie.

Objął stół tępym spojrzeniem, po czym jak gdyby wycieńczony tym wysiłkiem opadł na krzesło, schylił głowę i siedział niemy.

— Czy to nie byłoby zabawne — rzekł znawca do sąsiada — gdybym się bił o utwór, którego nigdy nie widziałem ani nie czytałem?

— Emilu, uważaj no na swoje ubranie, twój sąsiad blednie — rzekł Bixiou.

— Kant, powiada pan? Jeszcze jeden balon puszczony dla zabawy głupców. Materializm i spirytualizm są to dwie ładniutkie rakiety, którymi szarlatani w biretach podbijają jednego i tego samego wolanta. Czy Bóg jest we wszystkim wedle Spinozy, czy też wszystko płynie z Boga wedle świętego Pawła... głupcy! Otworzyć czy zamknąć drzwi, czy to nie ten sam gest? Czy jaje bierze się z kury czy kura z jaja... Podaj mi kaczkę!... Oto cała wiedza.

— Głupcze — krzyknął uczony — kwestię, którą podnosisz, rozstrzygnął już fakt.

— Jaki?

— Katedry profesorskie nie zostały stworzone dla filozofii, ale filozofia dla katedr! Weź okulary, czytaj budżet.

— Złodzieje!
— Głupcy!
— Oszusty!
— Tumany!

— Gdzież poza Paryżem znajdziecie równie żywą, równie szybką wymianę myśli — wykrzyknął Bixiou przesadnym basem.

— Dalej, Bixiou, pokaż nam jaki kawał! Któryś z twoich klasycznych numerów.
— Chcecie, abym wam pokazał wiek dziewiętnasty?
— Słuchajcie!
— Cisza!
— Nałóżcie tłumiki na wasze ryje!
— Zmilczysz ty, chińczyku?
— Dajcie mu wina i niech stuli pysk to dziecię!
— Dalej, Bixiou!

Artysta zapiął czarny frak pod szyję, wdział żółte rękawiczki, puścił oko zezem i ułożył twarz w sposób mający wyobrażać *Revue des deux Mondes*; ale hałas pokrył jego głos, niepodobna było dosłyszeć ani słowa z jego konceptów. Jeżeli nie przedstawił *wieku*, przynajmniej przedstawił *Revue*, nie rozumiał bowiem sam siebie.

Deser zjawił się jakby czarami. Ustawiono na stole duży serwis ze złoconego brązu pochodzący z pracowni Thomira. Smukłe postacie wyposażone przez artystę kształtami, które przyjęto w Europie za wyraz idealnej piękności, podtrzymywały i dźwigały krzewy truskawek, ananasy, świeże daktyle, winogrona, brzoskwinie, pomarańcze przybyłe statkiem z Setubalu, granaty, chińskie owoce, słowem wszystkie niespodzianki zbytku, cuda sztuki cukierniczej, najsmakowitsze łakocie, najbardziej kuszące smakołyki. Kolory tych gastronomicznych obrazów podnosił blask porcelany, szlaki lśniące złotem, faliste linie wazonów. Wdzięczna niby płynne frędzle oceanu, zielona i lekka piana wieńczyła krajobrazy Poussina skopiowane w Sevres. Całe państwo niemieckiego książątka nie opłaciłoby tego bezczelnego zbytku. Profuzja srebra, perłowej masy, złota, kryształów, zjawiła się na nowo w innej formie; ale szkliste oczy i gadatliwa gorączka pijaństwa zaledwie pozwoliły biesiadnikom powziąć mgliste pojęcie o tej poezji godnej wschodniej bajki. Wina podane na deser przyniosły swój zapach i swój płomień; oszałamiające trunki, upajające opary, które pogrążają myśl w jakimś mirażu i których potężne więzy pętają nogi, obezwładniają

ręce. Cursy pochwycił róg i zaczął trąbić pobudkę. Był to niby sygnał dany przez diabła. Oszalałe zebranie zaczęło wyć, gwizdać, śpiewać, szemrać, krzyczeć, ryczeć. Pocieszne było widzieć, jak ludzie z natury weseli stali się posępni niby koniec tragedii Crebillona lub rozmarzeni jak marynarz w powozie. Inteligentni ludzie rozpowiadali swoje tajemnice ciekawym, którzy nie słuchali. Melancholicy uśmiechali się jak tancerki kończące swoje piruety. Klaudiusz Vignon kołysał się jak niedźwiedź w klatce. Serdeczni przyjaciele bili się. Podobieństwa do zwierząt wypisane na twarzach ludzkich, a tak ciekawie wykazane przez fizjologów, ujawniały się mglisto w gestach, w ruchach. Była tam gotowa książka dla jakiegoś Bichata, który by się tu znalazł trzeźwo i przytomnie. Gospodarz domu, czując się pijany, nie miał odwagi wstać, przychwalał jedynie szaleństwu swych gości martwym grymasem, starając się zachować przyzwoitą i gościnną minę. Szeroka jego twarz, w tej chwili czerwono-sina, prawie fioletowa, straszna, brała udział w powszechnym ruchu za pomocą wysiłków podobnych do kołysania się okrętu lub trzęsienia breku.

— Czy pan ich zamordował? — spytał Emil.

— Mówią, że kara śmierci ma być zniesiona na intencję rewolucji lipcowej — odparł Taillefer, podnosząc brwi z miną pełną wraz sprytu i głupoty.

— Ale czy pan ich nie widzi kiedy we śnie? — nalegał Rafael.

— Już jest przedawnienie! — rzekł morderca spęczniały złotem.

— I na jego grobie — wykrzyknął Emil sardonicznie — przedsiębiorca pogrzebowy wyryje: *Przechodniu, użycz łzy jego pamięci!*... Och! — dodał — dałbym chętnie pięć franków matematykowi, który by mi algebraicznie dowiódł istnienia piekła.

Rzucił pieniądz w powietrze, wołając:

— Bóg albo nic! Orzeł czy reszka!

— Nie zaglądaj — rzekł Rafael, chwytając pieniądz — kto wie? Przypadek jest tak figlarny!

— Niestety — podjął Emil z żałośnie błazeńską miną — nie widzę, gdzie postawić nogę pomiędzy geometrią niedowiarka a *Pater noster* papieża. Ba! Pijmy. *Pij!* taka jest, o ile mi się zdaje, wyrocznia boskiej flaszy i służy za konkluzję Pantagruelowi.

— *Pater noster* — rzekł Rafael — dało nam naszą sztukę, nasze pomniki, może naszą naukę i — większe jeszcze dobrodziejstwo! — naszą nowoczesną formę rządu, w której wielka i twórcza społeczność znajduje cudowne przedstawicielstwo w pięciuset inteligencjach, gdzie przeciwstawiające się sobie siły zobojętniają się wzajem, zostawiając całą władzę cywilizacji, gigantycznej królowej zastępującej króla, ową dawną i straszliwą postać, rodzaj sztucznego Losu stworzonego przez człowieka między niebem a nim. W obliczu tylu spełnionych dzieł ateizm robi wrażenie bezpłodnego szkieletu.

— Myślę o potokach krwi wylanych przez katolicyzm — rzekł chłodno Emil. — Wziął nasze żyły i nasze serca, aby zrobić parodię potopu. Ale mniejsza! Wszelki człowiek, który myśli, powinien kroczyć pod sztandarami Chrystusa. On jeden uświęcił tryumf ducha nad materią, on jeden objawił nam poetycko ów pośredni świat dzielący nas od Boga.

— Ty wierzysz? — podjął Rafael, spoglądając nań z nieokreślonym uśmiechem pijaństwa. — A więc, aby się nie złapać, wznieśmy toast: *Diis ignotis!*

I wypróżnili swoje kielichy wiedzy, kwasu węglowego, aromatu, poezji i niedowiarstwa.

— Jeżeli panowie zechcą przejść do salonu, kawa już jest podana — rzekł marszałek dworu.

W tej chwili prawie wszyscy biesiadnicy tonęli w owej rozkosznej otchłani, gdzie światła ducha gasną, gdzie ciało uwolnione od swego tyrana oddaje się oszalałym rozkoszom swobody. Jedni, doszedłszy szczytu pijaństwa, siedzieli posępni, starając się z wysiłkiem chwycić myśl, która by im potwierdziła ich własne istnienie; drudzy, pogrążeni w martwocie zrodzonej z ciężkiego trawienia, byli zaprzeczeniem wszelkiego ruchu. Najwytrwalsi gębacze bełkotali jeszcze mętne słowa, których sens umykał się im samym. Jakieś refreny rozlegały się niby dźwięk automatu zniewolonego wyładować swoje sztuczne i bezduszne życie. Cisza i hałas sparzyły się dziwacznie. Mimo to, słysząc dźwięczny głos lokaja, który w zastępstwie pana obwieszczał im nowe rozkosze, biesiadnicy wstali, porwani, podtrzymywani lub niesieni jedni przez drugich. Całe zebranie zatrzymało się przez chwilę nieruchome i oczarowane na progu. Wszystkie przepychy uczty zbladły

wobec drażniącego widoku, jaki amfitrion zgotował najrozkoszliwszemu z ich zmysłów. Pod jarzącymi świecami złotego żyrandola, dokoła stołu wykładanego emalią grupa kobiet ukazała się nagle oczom osłupiałych biesiadników, których oczy zapłonęły na kształt diamentów. Bogate były stroje, ale jeszcze bogatsze były te olśniewające piękności, wobec których znikały wszystkie cuda tego pałacu. Namiętne oczy tych dziewczyn uroczych jak czarodziejki były jeszcze żywsze niż potoki światła ślizgające się po atłasowych firankach, białych marmurach i delikatnych brązowych rzeźbach. Serce zaczynało płonąć na widok kontrastu ich falujących włosów oraz ich póz, tak różnych powabem i charakterem. Był to niby klomb kwiatów przeplatanych rubinami, szafirami i koralami; smuga czarnych przepasek na śnieżnych szyjach, lekkie szarfy bujające niby płomienie latarni, pyszne turbany, skromnie wyzywające tuniki. Seraj ten stręczył pokusę wszystkim oczom, rozkosz wszelkiemu zachceniu. Tu tancerka w czarującej pozie zdawała się naga pod płynnymi fałdami kaszmiru. Tam przejrzysta gaza, tu mieniący się jedwab, kryły lub odsłaniały tajemne powaby. Małe wąskie stópki mówiły o miłości, świeże i czerwone usta milczały. Wątłe i skromne młode dziewczyny, rzekome dziewice, których ładne uczesanie oddychało klasztorną niewinnością, ukazywały się niby zjawy, które może rozwiać lada podmuch. Następnie arystokratyczne piękności o dumnym spojrzeniu, ale omdlewające, wątłe, smukłe, pochylały głowy jak gdyby miały jeszcze na sprzedaż królewskie poparcie. Angielka, biała i czysta eteryczna postać, spłynęła z chmur Osjana, podobna do anioła melancholii, do wyrzutu uchodzącego przed zbrodnią. Paryżanka, której cała piękność leży w nieuchwytnym wdzięku, dumna ze swego stroju i dowcipu, zbrojna swą wszechpotężną słabością, giętka i twarda, syrena bez serca i zmysłów, ale umiejąca sztucznie stworzyć skarby namiętności i podrabiać akcenty serca, również znalazła się w tym niebezpiecznym zebraniu, gdzie lśniły jeszcze i Włoszki — spokojne na pozór i zachowujące czyste sumienie w swoim szczęściu — wspaniałe Normandki o pysznych kształtach, południowe kobiety o czarnych włosach, o ślicznie wyciętych oczach. Rzekłbyś, piękności Wersalu zwołane przez Lebela, od rana zastawiające wszystkie swoje sidła, przybywszy niby gromada wschodnich niewolnic zbudzonych głosem kupca, aby ruszyć o świcie. Stały zmieszane, zawstydzone, cisnąc się koło stołu niby pszczoły brzęczące w ulu. To lękliwe zakłopotanie, mające wraz coś z wyrzutu i zalotności, było albo jakąś wyrachowaną pokusą albo mimowolnym wstydem. Może jakieś uczucie, którego kobieta nie wyzbywa się nigdy w zupełności, nakazywało im otulić się w płaszcz cnoty, aby dać więcej wdzięku i smaku hojności występku. Toteż zamach uknuty przez starego Taillefera wydawał się chybiony. Tych ludzi bez skrupułów podbił w pierwszej chwili majestat potęgi, jaka stroi kobietę. Szmer podziwu rozległ się niby najsłodsza muzyka. Miłość nie dotrzymywała kroku w podróży pijaństwu; w miejsce huraganu namiętności biesiadnicy, zaskoczeni w słabej chwili, poddali się upojeniom rozkosznej ekstazy. Na głos poezji, która zawsze ma nad nimi władzę, artyści poczęli z zachwytem rozbierać delikatne odcienie tych wybranych piękności. Obudzony myślą zrodzoną może z oparów szampańskiego wina filozof zadrżał na myśl o nieszczęściach, jakie niosły te kobiety, godne może niegdyś najczystszych hołdów. Każda z nich miała z pewnością jakiś krwawy dramat do opowiedzenia. Prawie wszystkie przynosiły piekielne tortury, wlokły za sobą mężczyzn bez sumienia, zdradzone przysięgi, rozkosze okupione nędzą. Biesiadnicy zbliżyli się grzecznie; wnet nawiązały się rozmowy tak samo rozmaite jak charaktery. Utworzyły się grupy. Rzekłbyś, wykwintny salon, gdzie młode panie i panienki podają gościom po obiedzie kawę, likiery i cukry, mające im pomóc w mozołach pracowitego trawienia. Ale niebawem tu i ówdzie rozległ się śmiech, szmer wzmógł się, głosy zabrzmiały hałaśliwiej. Orgia, stłumiona przez jakiś czas, groziła rozpoczęciem się na nowo. Te kolejne fazy ciszy i zgiełku miały niejakie podobieństwo z symfonią Beethovena.

Siedząc na miękkiej otomanie, dwaj przyjaciele ujrzeli zbliżającą się ku nim wysoką i zgrabną dziewczynę o wspaniałej postawie, o fizjonomii dość nieregularnej, ale uderzającej i wyrazistej, przemawiającej do duszy silnymi kontrastami. Czarne jej włosy, splecione w lubieżny węzeł, jak gdyby świeżo przebyły batalię miłosną, spadały lekkimi puklami na szerokie barki, na których oko spoczywało z przyjemnością. Długie ciemne pasma na wpół otulały majestatyczną szyję, po której światło ślizgało się raz po raz, ujawniając delikatność jej ślicznych zarysów. Matowo blada skóra uwydatniała gorące tony jej żywych kolorów. Oko zbrojne długimi rzęsami rzucało śmiałe płomienie, iskry miłości. Czer-

wone, wilgotne i rozchylone usta wzywały pocałunków. Dziewczyna ta miała kibić dość tęgą, ale rozkosznie elastyczną; biust i ramiona były wspaniale rozwinięte jak u pięknych postaci Carrache'a; mimo to zdawała się gibka i zręczna. Siła jej pozwoliła zgadywać w niej zwinność pantery, tak samo jak krzepka wytworność jej kształtów przyrzekała palące rozkosze. Mimo że ta dziewczyna musiała umieć śmiać się i baraszkować, w oczach jej i uśmiechu było coś przerażającego. Podobna owym prorokiniom nawiedzonym przez demona, raczej budziła zdumienie niż zachwyt. Wszystkie wyrazy przesuwały się tłumnie, niby błyskawicami po jej ruchliwej twarzy. Oczarowałaby może zużytego rozpustnika, ale młody człowiek zląkłby się jej. Był to olbrzymi posąg, spadły gdzieś z wyżyn jakiejś greckiej świątyni; wspaniały na odległość, ale gruby z bliska. Bądź co bądź, piorunująca jej uroda musiała budzić niedołężnych, głos jej czarować głuchych, spojrzenie jej musiało ożywiać żądzą martwe szkielety; toteż Emil porównywał ją do jakiejś tragedii Szekspira, cudownego arabesku, gdzie radość życia wyje, gdzie miłość ma coś dzikiego, gdzie czarodziejstwo wdzięku i płomień szczęścia następują po krwawych wybuchach gniewu; potwór, który umie kąsać i pieścić, śmiać się jak szatan, płakać jak anioł, dawać w jednym uścisku wszystkie pokusy kobiece, wyjąwszy westchnienia melancholii i czarownych skromności dziewiczych; potem w jednej chwili wyć, rozdzierać sobie łono, łamać swoją namiętność, swego kochanka i wreszcie niszczyć samą siebie, jak czyni zbuntowany lud. Ubrana w czerwoną aksamitną suknię, deptała niedbale nogą parę kwiatów opadłych już z głowy jej towarzyszek i wzgardliwą ręką podała srebrną tacę. Dumna ze swej piękności, dumna może ze swego zepsucia, ukazywała białe ramię odcinające się żywo na aksamicie. Była tam niby królowa rozkoszy, niby obraz ludzkiej radości życia, radości, która trwoni skarby nagromadzone przez trzy pokolenia, która śmieje się na trupach, drwi sobie z przodków, połyka perły i trony, przemienia młodzieńców w starców, a często starców w młodzieńców; tej radości dozwolonej jedynie olbrzymom zmęczonym władzą, doświadczonym myślą lub tym, dla których wojna stała się niby zabawką.

— Jak się nazywasz? — spytał Rafael.

— Akwilina.

— Ho, ho! przybywasz z *Wenecji ocalonej*! — wykrzyknął Emil.

— Tak — odparła. — Tak samo jak papieże przybierali nowe imiona, wznosząc się ponad ludzi, tak i ja wzięłam nowe imię, wznosząc się ponad wszystkie kobiety.

— Czy masz jak twoja patronka szlachetnego i groźnego spiskowca, który by cię kochał i umiał umrzeć dla ciebie? — spytał żywo Emil obudzony tym cieniem poezji.

— Miałam — odparła. — Ale gilotyna była mą rywalką. Toteż mieszam zawsze jakichś parę czerwonych szmatek w mój strój, aby wesołość moja nie szła za daleko.

— Och! Jeżeli jej pozwolicie opowiadać historię czterech młodych ludzi z la Rochelle, nigdy nie skończy. Cicho siedź, Akwilino! Każda kobieta płacze po jakimś kochanku; ale nie każda ma jak ty to szczęście, że go straciła na rusztowaniu. Och! Wolałabym raczej wiedzieć, że mój leży w rowie w Clamart niż w łóżku rywalki!

Słowa te wyrzekła słodkim i melodyjnym głosem najniewinniejsza, najładniejsza i najmilsza istota, jaka pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki wykluła się kiedy z zaklętego jajka. Podeszła cichym krokiem, ukazując delikatną twarzyczkę, smukłą kibić, błękitne i czarujące skromnością oczy, świeże i czyste skronie. Młoda najada, gdy się wymknie ze źródła, nie bardziej jest lękliwa, biała i naiwna niż ta dziewczyna, która wyglądała na szesnaście lat, zdawała się nie znać, co zło, nie wiedzieć o miłości ani burzach życia i przybywać z kościoła, gdzie modliła się do aniołów, aby ją wcześniej zabrali do nieba. Jedynie w Paryżu spotyka się te istoty o niewinnej twarzy, kryjące najgłębsze skażenie, najwymyślniejsze zepsucie pod czołem tak słodkim, tak tkliwym jak kwiat stokroci. Zwiedzeni w pierwszej chwili obietnicami wypisanymi w lubych powabach tej młodej dziewczyny, Emil i Rafael przyjęli kawę, którą im nalała do filiżanek podanych przez Akwilinę i wdali się z nią w rozmowę. Jakaś złowroga aluzja, która padła z jej ust, do reszty przeobraziła w oczach dwóch poetów oblicze ludzkiego życia: surowej i namiętnej fizjonomii swej imponującej towarzyszki przeciwstawiła obraz owego zimnego zepsucia, okrutnego w rozkoszy, dość szalonego, aby popełnić zbrodnię, a dość silnego, aby się z niej śmiać, demona bez serca, który karze bogate i tkliwe dusze za to, że odczuwają wzruszenia jemu odjęte, który zawsze znajdzie jakiś grymas miłości do sprzedania, łzy na pogrzeb swej ofiary, a radość wieczorem przy czytaniu jej testamentu. Poeta zachwyciłby

się piękną Akwiliną; cały świat powinien by uciekać przed wzruszającą Eufrazją: jedna była duszą zepsucia, druga zepsuciem bez duszy.

— Chciałbym wiedzieć — rzekł Emil do tego ślicznego stworzonka — czy ty czasem myślisz o przyszłości?

Kobieta, Starość, Czas

— Przyszłość? — odparła, śmiejąc się. — Co pan nazywa przyszłością? Po co myśleć o tym, co jeszcze nie istnieje? Nie patrzę nigdy ani wstecz, ani przed siebie. Czy to już nie za wiele zaprzątać się całym dniem naraz? Zresztą przyszłość, znamy ją, to szpital.

— Jak możesz przewidywać szpital, a nie starać się go uniknąć? — wykrzyknął Rafel.

— Co jest w szpitalu tak strasznego? — spytała Akwilina. — Kiedy kobieta nie jest matką ani żoną, kiedy starość ustroi nas w czarne pończochy i zmarszczki na czole, zwarzy wszystko, co jest w nas kobiecego i zgasi radość w spojrzeniach naszych kochanków, czegóż mogłybyśmy potrzebować? Wówczas widzicie w nas z całego naszego stroju jedynie pierwotne błoto chodzące na dwóch nogach, zimne, suche, zgniłe i wydające przy każdym kroku szelest zeschłych liści. Najpiękniejsze materie stają się nam łachmanem; ambra, która wypełniała buduar rozkoszną wonią, nabiera zapachu śmierci i trąci szkieletem; wreszcie jeżeli znajdzie się serce w tym błocie, plujecie w nie wszyscy, nie pozwalacie nam nawet na wspomnienie. Toteż w tej epoce życia czy mieszkamy w bogatym pałacu, pielęgnując pieski, czy też w szpitalu, iskając łachmany, czyż egzystencja nasza nie jest zupełnie jednaka? Kryć swoje siwe włosy pod kraciastą chustką lub pod koronką, zamiatać ulicę miotłą lub stopnie Tuilerii atłasem, siedzieć przy złoconym kominku lub grzać się przy garnku z węglami, przyglądać się egzekucji na placu de la Grève lub iść do opery, czyż to taka różnica?

— *Aquilina mia*, nigdy tak mądrze nie mówiłaś w swojej desperacji — odparła Eufrazja. — Tak, kaszmiry, weliny, perły, złoto, jedwab, zbytek, wszystko co błyszczy, co się podoba do twarzy jest tylko młodości. Jedynie czas mógłby mieć rację przeciw naszym szaleństwom, ale szczęście nas rozgrzesza. Śmiejecie się z tego, co mówię — rzekła, rzucając dwóm przyjaciołom jadowite spojrzenie. — Czy nie mam racji? Wolę raczej umrzeć z rozkoszy niż z choroby. Nie mam ani manii wiecznego trwania, ani zbytniego szacunku dla rodzaju ludzkiego, wedle tego, co Bóg z nim wyprawia! Dajcie mi miliony, schrupię je; nie schowałabym ani centyma na przyszły rok. Żyć, aby się podobać i panować, oto wyrok, jaki głosi każde uderzenie mego serca. Społeczeństwo przyznaje mi słuszność; czyż nie zasila wciąż mego marnotrawstwa? Czemu dobry Bóg daje mi co rano rentę od tego, co wydam przez wieczór? Po co budujecie nam szpitale? Nie postawił nas chyba między dobrem a złem po to, abyśmy wybierali to, co nas rani lub nudzi; byłabym tedy bardzo głupia, gdybym się nie bawiła.

— A drudzy? — rzekł Emil.

— Drudzy? Ba! Niech sobie radzą. Wolę śmiać się z ich cierpień niż musieć płakać nad moimi. Wzywam mężczyzn, niech spróbują mi zrobić najmniejszą przykrość.

— Cóżeś ty wycierpiała, aby myśleć w ten sposób? — spytał Rafael.

— Ja? Porzucono mnie dla spadku! — rzekła, przybierając pozę uwydatniającą wszystkie jej uroki. — A wszakże trawiłam noce i dnie na pracy, aby wyżywić mego kochanka! Nie dam się już złapać na żaden uśmiech, na żadną obietnicę, chcę zrobić z mego życia jedynie długi karnawał.

— Ależ — wykrzyknął Rafael — czy szczęście nie płynie z duszy?

— Ba! — odparła Akwilina — czy to nic widzieć się podziwianą, otoczoną pochlebstwem, tryumfującą nad wszystkimi kobietami, nawet najcnotliwszymi, miażdżyć je naszą pięknością, naszym bogactwem? Zresztą żyjemy więcej w jednym dniu niż poczciwa kumoszka w dziesięć lat; to rozstrzyga wszystko.

— Czy kobieta wyzuta z cnoty nie jest wstrętna? — rzekł Emil do Rafaela.

Eufrazja obrzuciła go spojrzeniem żmii i odparła z akcentem niezrównanej ironii:

— Cnota! Zostawiamy ją brzydkim i ułomnym. Cóż by miały inaczej te biedactwa?

— Zamilcz — wykrzyknął Emil — nie mów o tym, czego nie znasz.

— A, nie znam! — odparła Eufrazja. — Oddawać się całe życie obmierzłemu człowiekowi, wychowywać dzieci, które nas opuszczą i mówić im „Dziękuję", kiedy nas godzą w serce: oto cnoty, jakie nakładacie kobiecie; i jeszcze aby ją nagrodzić za jej wyrzeczenie, narzucacie jej męczarnie, starając się ją uwieść; jeżeli się oprze, kompromitujecie ją.

Ładne życie! Lepiej już zostać wolną, kochać tych, którzy nam się podobają i umrzeć młodo.

— Nie obawiasz się zapłacić za to kiedyś?

— Więc cóż! — odparła. — Zamiast mieszać uciechy ze zgryzotami dzielę moje życie na dwie połowy: młodość niezaprzecznie wesoła no i jakaś tam niepewna starość, w czasie której wycierpię się do syta.

— Ona nie kochała — rzekła Akwilina głębokim tonem. — Nie zrobiła nigdy stu mil, aby pochłonąć z najwyższą rozkoszą jedno spojrzenie i jedną odmowę; nie wiązała życia do włoska, ani nie próbowała zakłuć sztyletem kilku ludzi po to, by ocalić swego pana, swego władcę, swego Boga... Dla niej miłość to był ładny oficerek.

— Ech, ty, *la Rochelle* — odparła Eufrazja — miłość jest jak wiatr, nie wiemy, skąd przychodzi. Zresztą gdyby cię dobrze kochało miłe bydlątko, nabrałabyś wstrętu do inteligentnych ludzi.

— Kodeks zabrania nam kochać się z bydlętami — rzekła Akwilina ironicznie.

— Myślałam, że jesteś pobłażliwsza dla wojskowych! — wykrzyknęła Eufrazja ze śmiechem.

— Jakie one szczęśliwe, że mogą tak wyzuć się z rozumu! — zawołał Rafael.

— Szczęśliwe? — rzekła Akwilina z uśmiechem litości, grozy, rzucając dwóm przyjaciołom straszliwe spojrzenie. — Och! Nie wiecie, co to znaczy być skazaną na wesołość ze śmiercią w duszy...

W tej chwili widok salonów przywodził na myśl owo Pandemonium Miltona. Błękitne płomienie ponczu barwiły piekielnym tonem twarze tych, którzy mogli jeszcze pić. Szalone tańce, podsycane dziką energią, budziły śmiechy i krzyki rozlegające się niby trzask fajerwerków. Salonik i buduar, zawalone trupami i umierającymi, wyglądały jak pole bitwy. Powietrze było gorące od wina, rozkoszy i słów. Pijaństwo, miłość, szał, zapomnienie o świecie były w sercach, na twarzach, wypisane na dywanach, wyrażone niełademi i powlekały wszystkie spojrzenia lekką zasłoną, przez którą widziało się w powietrzu odurzające opary. Wzniósł się jak w świetlnych smugach znaczonych promieniem słońca błyszczący pył, w którym igrały najbardziej kapryśne kształty, toczyły się najpocieszniejsze walki. Gdzieniegdzie grupy splecionych ciał mieszały się z białymi marmurami, szlachetnymi arcydziełami rzeźby zdobiącymi apartamenty. Mimo iż dwaj przyjaciele zachowali jeszcze jakąś zwodną trzeźwość myśli i członków, ostatni dreszcz, blady cień życia, niepodobna im było rozpoznać, co jest realnego w dziwacznych urojeniach, możliwego w nienaturalnych obrazach przesuwających się wciąż przed ich zmęczonymi oczyma. Niebo duszne od naszych marzeń, paląca błogość, jakiej nabierają twarze w naszych wizjach, zwłaszcza jakaś dziwna zwinność spętana łańcuchami, słowem najbardziej niezwykłe zjawiska snu obiegły ich tak żywo, że wzięli igraszki tej orgii za urojenia koszmaru, w którym ruch odbywa się bez hałasu, gdzie krzyki stracone są dla ucha. W tej chwili zaufanemu pokojowcowi udało się nie bez trudu ściągnąć pana do przedpokoju i szepnąć mu:

— Proszę pana, wszyscy sąsiedzi wyglądają z okien i skarżą się na hałas.

— Jeżeli boją się hałasu, czy nie mogą posypać słomy przed bramą? — wykrzyknął Taillefer.

Rafael parsknął nagle śmiechem tak niewczesnym i nieoczekiwanym, że przyjaciel spytał go o przyczynę tej brutalnej uciechy.

— Niełatwo byś mnie zrozumiał — odparł. — Przede wszystkim musiałbym ci wyznać, że zatrzymaliście mnie na *Quai Voltaire* w chwili, gdy miałem się rzucić do Sekwany, i chciałbyś zapewne poznać pobudki mojej śmierci. Ale gdybym dodał, że za pomocą bajecznego niemal przypadku najbardziej poetyczne szczątki materialnego świata streściły się w moich oczach w symbolicznym wykładzie mądrości ludzkiej; podczas gdy w tej chwili resztki wszystkich intelektualnych skarbów, któreśmy splądrowali przy stole, kończą się na tych dwóch kobietach, żywym i oryginalnym wyrazie szaleństwa, i że nasza głęboka obojętność dla ludzi i rzeczy posłużyła za przejście do mocno zabarwionych obrazów dwóch tak zupełnie przeciwnych sobie systemów egzystencji, czy dużo byś zmądrzał? Gdybyś nie był pijany, ujrzałbyś w tym może jedynie traktat filozoficzny.

— Gdybyś nie miał obu nóg na tej czarującej Akwilinie, której chrapanie ma coś z pomruku nadciągającej burzy — odparł Emil, sam bawiąc się splataniem i rozplataniem

włosów Eufrazji, nie bardzo świadom zresztą tej niewinnej zabawy — zawstydziłbyś się swego pijaństwa i swego gadulstwa. Twoje dwa systemy mogą zmieścić się w jednym zdaniu i sprowadzają się do jednej myśli. Proste i mechaniczne życie wiedzie do jakiejś niedorzecznej mądrości, dławiąc naszą inteligencję pracą; podczas gdy życie strawione w pustce abstrakcji lub w przepaściach świata moralnego wiedzie do jakiejś mądrości szalonej. Słowem, zabić uczucia, aby żyć długo, lub też umrzeć młodo, przyjmując męczeństwo namiętności, oto nasz wyrok. A i ta sentencja walczy z temperamentami, jakie nam dał ów tęgi kpiarz, któremu zawdzięczamy kształty wszystkich stworzeń.

— Głupcze — przerwał Rafael. — Streszczaj dalej samego siebie w ten sposób, a napiszesz tomy! Gdybym miał pretensję ująć ściśle te dwie myśli, powiedziałbym ci, że człowiek psuje się przez użytek rozumu, a oczyszcza się nieświadomością. To znaczy wytaczać proces społeczeństwu! Ale czy będziemy żyli z mądrymi, czy ginęli z szalonymi, czy wynik nie jest wcześniej lub później ten sam? Toteż wielki abstraktor kwintesencji streścił niegdyś te dwa systemy w dwóch słowach: KARYMARY, KARYMARA.

— Każesz mi zwątpić o wszechmocy Boga, jesteś bowiem bardziej głupi niż on potężny — odparł Emil. — Nasz kochany Rabelais rozwiązał tę filozofię słówkiem krótszym niż Karymary, Karymara; mianowicie owym: *Być może*, z którego Montaigne wziął swoje: *Cóż ja wiem*? A i tak te ostateczne wyrazy naszej wiedzy moralnej są wszakże jedynie owym wykrzyknikiem Pyrrona zawieszonego między złem a dobrem jak osioł Burydana między dwiema miarami owsa. Ale zostawmy tę wiekuistą dyskusję, która kończy się dziś na *tak* i *nie*. Cóż za doświadczenia chciałeś dokonać, rzucając się do Sekwany? Czy byłeś zazdrosny o machinę hydrauliczną z mostu Nôtre-Dame?

— Och! Gdybyś ty znał moje życie!

— Och! — wykrzyknął Emil. — Nie myślałem, że jesteś tak banalny; ten frazes jest mocno zużyty. Czy nie wiesz, że wszyscy mamy pretensję do tego, że cierpimy o wiele więcej od drugich?

— Ach! — westchnął Rafael.

— Ależ ty jesteś skończony błazen ze swoim: *Ach!* No, gadaj: czy jaka choroba duszy lub ciała zmusza cię co rano ściągać skurczem twoich mięśni konie, które wieczór mają cię rozszarpać, jak niegdyś Damiensa? Czy zjadłeś własnego psa na surowo, bez soli, na swoim poddaszu? Czy twoje dziecko mówiło ci kiedy: „Jestem głodne"? Czy sprzedałeś włosy kochanki, aby iść grać? Czy spieszyłeś kiedy do fałszywego mieszkania płacić fałszywy weksel wystawiony na nazwisko fałszywego wuja, z obawą, że przybędziesz za późno? Gadaj, słucham! Jeżeliś się chciał rzucić w wodę dla kobiety, dla protestowanego weksla lub z nudów, wyrzekam się ciebie. Wyspowiadaj się, nie kłam; nie żądam od ciebie pamiętników historycznych. Bądź zwłaszcza tak zwięzły, jak tylko pozwoli ci twoje pijaństwo; jestem wymagający jak czytelnik, a skłonny do senności jak kobieta na nieszporach.

— Biedny głupcze! — rzekł Rafael. — Od kiedyż to cierpienia nie mierzą się wedle wrażliwości? Kiedy osiągniemy ten stopień wiedzy, który nam pozwoli pisać historię naturalną serc, mianować je, dzielić na rodzaje, gatunki, rodziny, skorupiaki, skamieniałe, jaszczurki, wymoczki, na... czy ja wiem co? wówczas, mój zacny przyjacielu, stanie się rzeczą dowiedzioną, że istnieją serca czułe, delikatne jak kwiaty i łamiące się jak one od lekkiego trącenia, którego inne serca, mineralne, nawet nie odczują...

— Och! Przez litość, oszczędź mi przedmowy — rzekł Emil, z miną na wpół śmiejącą, na wpół miłosierną biorąc Rafaela za rękę.

II. Kobieta bez serca

Przetrwawszy chwilę w milczeniu, Rafael uczynił niedbały gest i rzekł:

— Nie wiem, doprawdy, czy nie trzeba przypisać oparom wina i ponczu tej jakiejś jasności wzroku, która pozwala mi objąć w tej chwili całe moje życie niby obraz, w którym wiernie są oddane postacie, barwy, cienie, światła, półtony... Ta poetycka gra mojej wyobraźni nie dziwiłaby mnie, gdyby jej nie towarzyszył jakiś odcień wzgardy dla moich minionych cierpień i radości. Widziane na odległość, życie moje jak gdyby kurczy się wskutek pewnego zjawiska psychicznego. Ową długą i powolną mękę, która trwała dzie-

sięć lat, da się dziś oddać w kilku zdaniach, w których cierpienie będzie już tylko myślą, a przyjemność filozoficzną refleksją. Rozumuję zamiast czuć...

— Jesteś nudny jak komentarz do paragrafu — wykrzyknął Emil.

— Być może — odparł Rafael spokojnie. — Toteż, aby nie nadużywać twoich uszu, oszczędzę ci pierwszych siedemnastu lat mego życia. Aż do tej pory, żyłem jak ty, jak tysiąc innych, owym życiem konwiktu, którego urojone niedole i rzeczywiste uciechy stanowią czar naszych wspomnień: piękne życie, na którego prace spoglądamy z lekceważeniem, a które wszakże nauczyło nas pracować...

— Przejdź do dramatu — rzekł Emil z miną pół-komiczną, a pół-żałosną.

— Kiedym opuścił kolegium — ciągnął Rafael, prosząc gestem o pozwolenie mówienia dalej — ojciec ujął mnie w karby surowej dyscypliny, pomieścił mnie w pokoju przylegającym do jego gabinetu; kładłem się spać o dziewiątej wieczór, a wstawałem o piątej rano. Ojciec życzył sobie, abym porządnie przeszedł prawo; chodziłem równocześnie na kursa i do adwokata; ale zajęcia moje były tak ściśle zamknięte w prawidłach czasu i przestrzeni i ojciec żądał przy obiedzie tak ścisłego rachunku z...

— Co mnie to może obchodzić? — przerwał Emil.

— Ech! Niechże cię diabli porwą! — odparł Rafael. — W jakiż sposób zdołasz pojąć moje uczucia, jeżeli ci nie opowiem nieuchwytnych faktów, które oddziałały na mą duszę, wycisnęły w niej piętno lęku i utrzymały mnie długo w młodzieńczej naiwności? Zatem aż do dwudziestego pierwszego roku uginałem się pod despotyzmem tak zimnym jak despotyzm reguły klasztornej. Aby ci objaśnić smutek mego życia, wystarczy może odmalować ci mego ojca: wysoki, szczupły i suchy mężczyzna, ostry profil, blada cera, zwięzły w słowach, dokuczliwy jak stara panna, drobiazgowy jak biurokrata. Ojcostwo jego bujało nad mymi płochymi i radosnymi myślami i zamykało je niby pod słomianą kopułą. Kiedy się chciałem doń zbliżyć z miękkim i tkliwym uczuciem, przyjmował mnie jak dzieciaka, który ma powiedzieć głupstwo; lękałem się go o wiele więcej niż niegdyś lękaliśmy się naszych nauczycieli, miałem dla niego zawsze osiem lat. Mam uczucie, że widzę go jeszcze przed sobą. W swoim brązowym surducie, w którym trzymał się prosto jak świeca, podobny był do wędzonego śledzia zawiniętego w brunatną okładkę pamfletu. Mimo to kochałem ojca: w gruncie był sprawiedliwy. Być może, surowość nie działa odpychająco, kiedy usprawiedliwia ją tęgi charakter, czystość obyczajów i kiedy kojarzy się zręcznie z dobrocią. Jeżeli ojciec nie zostawiał mnie nigdy samego, jeżeli aż do dwudziestego roku nie zostawił mi nigdy do rozporządzenia dziesięciu franków, dziesięciu głupich franków — olbrzymi skarb, którego daremnie upragnione posiadanie budziło we mnie marzenia o niewysłowionych rozkoszach — starał się bodaj dostarczyć mi jakichś rozrywek. Zapowiedziawszy mi taką przyjemność na kilka miesięcy z góry, prowadził mnie do teatru, na koncert, na bal, gdzie spodziewałem się spotkać kochankę. Kochanka! To znaczyło dla mnie niezależność. Ale, nieśmiały i wstydliwy, nie posiadając jeszcze języka salonów i nie znając tam nikogo, wracałem do domu z sercem wciąż równie dziewiczym i równie wezbranym od pragnień. Potem, nazajutrz, okulbaczony przez ojca niby koń żołnierski, znów szedłem od rana do adwokata, na wykłady, do sądu. Chcieć zboczyć z jednostajnej drogi, jaką wytyczył mi ojciec, znaczyło narazić się na jego gniew; groził mi, że za pierwszym wykroczeniem wsadzi mnie jako majtka na statek płynący na Antyle. Toteż odczuwałem straszliwy lęk, kiedym się przypadkiem dał wyciągnąć na parę godzin na jakąś rozrywkę. Wystaw sobie najbardziej nieokiełzaną wyobraźnię, serce wezbrane po brzegi miłością, duszę najtkliwszą, umysł najbardziej poetycki; wciąż w obliczu człowieka w najwyższym stopniu szorstkiego, żółciowego, oziębłego; słowem skojarz młodą dziewczynę ze szkieletem, a pojmiesz istnienie, którego ciekawe sceny mogę ci tylko opowiedzieć: plany ucieczki rozwiewające się na widok ojca, rozpacze ukojone snem; dławione pragnienia, posępne melancholie rozpraszające się w muzyce. Niedole moje parowały ze mnie w melodiach. Beethoven i Mozart byli często mymi dyskretnymi powiernikami. Dziś uśmiecham się, przypominając sobie wszystkie przesądy, które niepokoiły moje sumienie w owej epoce niewinności i cnoty. Gdybym przekroczył próg restauracji, myślałbym, że jestem zrujnowany. Kawiarnia przedstawiała się mej wyobraźni jako przybytek rozpusty, gdzie ludzie tracą honor i majątek. Co się tyczy ryzykowania pieniędzy w grze, trzeba by je mieć! Och! Gdybym cię nawet miał uśpić, muszę ci opowiedzieć jedną z najstraszliwszych radości mego życia, jedną z owych radości zbrojnych

szponami i zatapiających je nam w sercu, jak rozpalone żelazo wpija się w bark skazańca. Byłem na balu u księcia de Navarreins, krewniaka mego ojca. Ale, iżbyś mógł dobrze zrozumieć moje położenie, dowiedz się, że miałem wytarte ubranie, koślawe trzewiki, drelichowy krawat i znoszone rękawiczki. Zaszyłem się w kąt, aby móc swobodnie jeść lody i przyglądać się ładnym kobietom. Ojciec spostrzegł mnie. Wiedziony myślą, której nigdy nie odgadłem, tak bardzo oszołomił mnie ten akt zaufania, oddał pod moją pieczę swoją sakiewkę i klucze. O dziesięć kroków ode mnie kilku mężczyzn grało. Słyszałem brzęk złota. Miałem dwadzieścia lat; marzyłem, aby spędzić jeden cały dzień nurzając się w występkach mego wieku. Była to rozpusta ducha, której analogii nie znalazłoby się ani w kaprysach kurtyzany, ani w marzeniach młodej panny. Od roku marzyłem siebie samego w wykwintnym stroju, w powozie, z piękną kobietą przy boku, z pańską miną, na obiedzie u Very'ego, wieczorem w teatrze... Zdecydowany byłem nie wrócić do ojca aż nazajutrz, ale uzbrojony intrygą bardziej zawiłą niż samo *Wesele Figara* i w której niepodobna byłoby mu się rozeznać. Oszacowałem całą tę rozkosz na pięćdziesiąt talarów. Czyż nie byłem jeszcze pod naiwnym urokiem studenckich wybryków? Schroniłem się tedy do buduaru, gdzie sam, z płonącymi oczyma, z drżącymi rękami, policzyłem ojcowskie pieniądze: sto talarów! Jak gdyby wywołane tą sumą, rozkosze mojej eskapady zjawiły się przede mną tańcząc jak Makbetowe czarownice wkoło swego kotła, ale kuszące, drżące, urocze! Uczułem się zdecydowanym łajdakiem. Nie zważając ani na huczenie w uszach, ani na przyspieszone bicie mego serca, wziąłem dwie dwudziestofrankówki, które widzę jeszcze! Daty na nich były zatarte, a twarz Bonapartego krzywiła się szyderczo. Włożywszy sakiewkę z powrotem do kieszeni, podszedłem do stołu gry, trzymając dwie sztuki złota w wilgotnej dłoni, i krążyłem dokoła graczy jak jastrząb nad kurnikiem. Dręczony nieopisanym lękiem, powiodłem dokoła siebie szybkie i bystre spojrzenie. Pewien, że nikt znajomy mnie nie widzi, postawiłem za jakimś tłustym i jowialnym człowieczkiem, na którego głowie skupiłem więcej modłów i życzeń, niż się ich wznosi do nieba na morzu przez czas trzech nawałnic. Następnie ze zdumiewającym jak na mój wiek instynktem zbrodni czy machiawelizmu, stanąłem koło drzwi, patrząc w salony i nie widząc nic. Dusza moja i moje oczy bujały dokoła nieszczęsnego zielonego sukna. Od tego wieczora datuje się pierwsze fizjologiczne spostrzeżenie, któremu zawdzięczam ową przenikliwość pozwalającą mi podchwycić niektóre tajemnice naszej podwójnej natury. Stałem odwrócony plecami do stolika, gdzie się rozgrywało moje przyszłe szczęście, szczęście o tyle może głębsze, że było zbrodnicze; między dwoma graczami a mną znajdowało się kilka rzędów ludzi; szmer głosów nie pozwolił mi rozróżnić brzęku złota mieszającego się z tonami orkiestry. Mimo wszystkich tych przeszkód, siłą namiętności, która ma przywilej zniesienia czasu i przestrzeni, zrozumiałem wyraźnie słowa graczy, znałem ich punkty, widziałem, który z nich wyświęcił króla, tak jakbym patrzał w ich karty; słowem, o dziesięć kroków od gry bladłem od jej kaprysów. Naraz ojciec przeszedł koło mnie, zrozumiałem wówczas słowa Pisma: „Duch Boży przeszedł przed jego obliczem!". Wygrałem. Poprzez rój mężczyzn krążących dokoła graczy, podbiegłem do stołu, ślizgając się ze zwinnością węgorza, który się wymyka przez przerwane oczko siatki. Nerwy moje, dotąd boleśnie napięte, zadrgały radośnie. Byłem jak skazaniec, który idąc na śmierć, spotkał króla. Przypadkowo jakiś pan w orderach zażądał czterdziestu franków, których brakło. Niespokojne oczy spoczęły na mnie podejrzliwie, zbladłem, krople potu wystąpiły mi na czoło. Zbrodnia, iż okradłem ojca wydała mi się sowicie pomszczona! Wówczas poczciwy grubasek rzekł głosem zaiste anielskim: „Wszyscy ci panowie postawili" i wypłacił czterdzieści franków. Podniosłem głowę i spojrzałem tryumfująco po graczach. Włożywszy do sakiewki ojca z powrotem złoto, które z niej wziąłem, postawiłem znowuż mój zysk za tym godnym i zacnym panem, który dalej wygrywał. Z chwilą gdy się ujrzałem posiadaczem stu sześćdziesięciu franków, zawinąłem je w chusteczkę w ten sposób, aby nie mogły ruszać się ani dzwonić w czasie powrotu do domu, i przestałem grać.

— Co robiłeś przy grze? — spytał ojciec, gdyśmy siadali do dorożki.

— Przyglądałem się — odparłem drżący.

— Hm — odparł ojciec — nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdybyś był zmuszony przez ambicję postawić parę groszy. W oczach światowych ludzi jesteś już dość dorosły, aby mieć prawo popełniać głupstwa. Toteż nie miałbym ci za złe, Rafaelu, gdybyś był sięgnął do mojej sakiewki...

Nie odpowiedziałem. Skorośmy się znaleźli w domu, oddałem ojcu klucze i pieniądze. Wszedłszy do pokoju, wysypał złoto na kominek, policzył je, obrócił się do mnie dość łaskawie i rzekł, czyniąc po każdym zdaniu mniej lub więcej długą i znaczącą pauzę:

— Mój synu, kończysz niebawem dwadzieścia lat. Jestem z ciebie zadowolony. Trzeba ci wyznaczyć pensję, chociażby po to, aby cię nauczyć oszczędności, znajomości życia. Od dziś będę ci dawał sto franków miesięcznie. Będziesz rozporządzał tymi pieniędzmi, jak zechcesz. Oto twój pierwszy kwartał — dodał, głaszcząc palcami słupek złota jakby dla sprawdzenia kwoty.

Wyznaję, że już miałem rzucić się ojcu do nóg, oświadczyć mu, że jestem opryszkiem, łajdakiem, gorzej jeszcze: kłamcą! Wstyd mnie powstrzymał. Chciałem go uściskać, odsunął mnie lekko.

— Teraz jesteś mężczyzną, *moje dziecko* — rzekł. — To, co czynię, to prosta i słuszna rzecz, za którą nie powinieneś mi dziękować. Jeżeli mam prawo do twej wdzięczności, Rafaelu — ciągnął łagodnie, ale z godnością — to za to, że umiałem uchronić twą młodość od nieszczęść, które pożerają wszystkich młodych ludzi w Paryżu. Odtąd będziemy parą przyjaciół. Za rok zostaniesz doktorem prawa. Nabyłeś, nie bez pewnych przykrości i wyrzeczeń, gruntownych wiadomości oraz zamiłowania do pracy, tak niezbędnych dla ludzi powołanych do steru spraw. Trzeba, abyś mnie zrozumiał, Rafaelu. Ja nie chcę zrobić z ciebie adwokata ani rejenta, ale męża stanu, który mógłby się stać chlubą naszego biednego domu... Do jutra! — dodał, odprawiając mnie zagadkowym gestem.

Od tego dnia ojciec wtajemniczył mnie szczerze w swoje projekty. Byłem jedynakiem, matkę straciłem od dziesięciu lat. Niegdyś, nie zadowalając się przywilejem orania ziemi ze szpadą przy boku, ojciec mój, głowa historycznego rodu, niemal zapomnianego w Owernii, przybył do Paryża, aby tam szukać szczęścia. Obdarzony tym sprytem, który, o ile towarzyszy mu energia, daje taką przewagę Francuzom z południa, doszedł bez wielkich stosunków do tego, iż zajął silną pozycję w samym sercu władzy. Rewolucja podcięła jego karierę; ale zdołał zaślubić dziedziczkę wielkiego domu i za Cesarstwa bliski był przywrócenia naszemu rodowi dawnej świetności. Restauracja, która zwróciła znaczne dobra mojej matce, zrujnowała ojca. Nabywszy swego czasu rozległe ziemie nadane przez cesarza jego generałom i położone za granicą, szamotał się od dziesięciu lat z likwidatorami i dyplomatami, z bawarskimi i pruskimi trybunałami, aby się utrzymać w zagrożonym posiadaniu tych nieszczęsnych dotacji. Ojciec pchnął mnie w nieskończenie pogmatwany labirynt tego olbrzymiego procesu, od którego zależał nasz los. Mogliśmy być skazani na zwrot dochodów, zysku z wyrębów drzewa, dokonanych między rokiem 1814 a 1817; w takim razie majątek matki ledwie wystarczyłby na to, aby ocalić cześć naszego imienia. Toteż w dniu, w którym ojciec wyzwolił mnie poniekąd, popadłem pod najbardziej obmierzłe jarzmo. Musiałem walczyć jak na polu bitwy, pracować dzień i noc, obchodzić polityczne osobistości, przemawiać do ich uczuć religijnych, próbować zainteresować ich w naszej sprawie, zjednywać ich, ich żony, ich służących, ich psy i pokrywać to ohydne rzemiosło wykwintnymi pozorami, miłym żarcikiem. Zrozumiałem wszystkie zgryzoty, których piętno skaziło twarz mego ojca. Przez blisko rok wiodłem tedy na pozór życie światowca, ale ta światowość oraz gorliwość moja w nawiązywaniu stosunków z możnymi krewniakami lub też z ludźmi, którzy mogli nam być użyteczni, pokrywały olbrzymią pracę. Każda moja rozrywka była mową adwokacką, każda rozmowa memoriałem. Aż dotąd byłem cnotliwy przez niemożność dania upustu młodzieńczym namiętnościom; ale od tej chwili, lękając się przez jakieś zaniedbanie spowodować ruinę ojca lub własną, stałem się swoim własnym tyranem, nie śmiałem sobie pozwolić na żadną rozrywkę ani na wydatek. Za młodu, kiedy życie nie starło z nas jeszcze tego delikatnego kwiatu uczucia, tej świeżości myśli, tej szlachetnej czystości sumienia niepozwalającej nam nigdy paktować ze złem, czujemy żywo nasze obowiązki; honor przemawia głośno i umie nakazać posłuch; jesteśmy szczerzy bez zastrzeżeń: takim byłem wówczas. Chciałem usprawiedliwić zaufanie ojca; niegdyś byłbym mu z rozkoszą ściągnął drobną sumkę; ale dźwigając wspólnie z nim brzemię jego spraw, jego nazwiska, jego domu, byłbym mu oddał po kryjomu moje mienie, moje nadzieje, tak jak mu poświęcałem moje przyjemności, szczęśliwy wręcz z mego poświęcenia. Toteż kiedy pan de Villèle wygrzebał, jakby umyślnie dla nas, dekret cesarski o umorzeniach, który wtrącił nas w ruinę, podpisałem sprzedaż mego mienia, zostawiając sobie jedynie wyspę bez wartości, położoną na Loarze,

gdzie znajdował się grób mej matki. Dzisiaj może nie zbrakłoby argumentów, kruczków, względów filozoficznych, filantropijnych i politycznych, aby mnie zwolnić od tego, co mój adwokat nazywał *głupstwem*; ale mając dwadzieścia jeden lat, jest się, powtarzam, samą szlachetnością, ciepłem, miłością. Łzy, które ujrzałem w oczach ojca, były wówczas dla mnie najpiękniejszym majątkiem, a wspomnienie tych łez nieraz było mi pociechą w mej nędzy. W dziesięć miesięcy po spłaceniu wierzycieli, mój ojciec umarł ze zgryzoty; ubóstwiał mnie i przywiódł mnie do ruiny! Ta myśl zabiła go. W roku 1826, mając dwadzieścia dwa lata, późną jesienią szedłem zupełnie sam za pogrzebem mego pierwszego przyjaciela, mego ojca. Mało który młody człowiek znalazł się sam ze swymi myślami, za trumną, zgubiony w Paryżu, bez przyszłości, bez majątku. Sieroty przygarnięte przez miłosierdzie publiczne mają bodaj za przyszłość pole bitwy, za ojca rząd lub prokuratora, za schronienie przytulisko. Ja nie miałem nic! W trzy miesiące później komornik wręczył mi tysiąc sto dwadzieścia franków pozostałych na czysto ze spadku po ojcu. Wierzyciele zmusili mnie do sprzedaży ruchomości. Przyzwyczajony od dziecka wysoko szacować przedmioty zbytku, które mnie otaczały, nie mogłem się wstrzymać od zdziwienia na widok tej skromnej resztki.

— Och! — rzekł komornik — To wszystko było bardzo *rokoko*!

Okropne słowo, które warzyło wszystkie wiary mego dzieciństwa i odzierało mnie z moich pierwszych złudzeń, najdroższych ze wszystkich. Majątek mój streszczał się w wykazie sprzedaży, przyszłość moja spoczywała w płóciennym worku zawierającym tysiąc sto dwadzieścia franków, społeczeństwo jawiło mi się w osobie komornika, który mówił ze mną w kapeluszu na głowie... Służący, który mnie kochał i któremu matka zapisała niegdyś czterysta franków dożywotniej renty, Jonatas, rzekł, opuszczając dom, z którego tak często wyjeżdżałem radośnie powozem:

— Niech pan będzie oszczędny, panie Rafaelu.

Poczciwiec płakał.

— Oto, drogi Emilu, wydarzenia, które pokierowały moim losem, przekształciły moją duszę i postawiły mnie już za młodu w najfatalniejszej pozycji społecznej — rzekł Rafael po krótkiej pauzie. — Więzy rodzinne, słabe zresztą, łączyły mnie z kilkoma bogatymi domami, do których własna duma wzbroniłaby mi wstępu, gdyby wzgarda i obojętność nie były mi już zamknęły drzwi. Mimo iż spokrewniony z osobami bardzo wpływowymi i szczodrymi swą protekcją dla obcych, nie miałem ani krewnych, ani protektorów. Duma moja, wciąż dławiona w swoich wylewach, zamknęła się w samej sobie. Mimo iż z gruntu szczery i naturalny, musiałem się wydać zimnym obłudnikiem; despotyzm ojca odjął mi wszelkie zaufanie w siebie; byłem niezręczny i nieśmiały, nie wierzyłem, aby mój głos mógł mieć jakąś władzę, nie podobałem się sam sobie, zdawałem się sobie brzydki, wstydziłem się własnego spojrzenia. Mimo wewnętrznego głosu, który winien podtrzymywać ludzi z talentem w ich walkach i który mi krzyczał: „Odwagi! Naprzód!", mimo nagłych przejawów mej siły w samotności, mimo nadziei, jaka mnie ożywiała, kiedy porównywałem nowe i podziwiane przez publiczność utwory z tymi, które lęgły się w mej myśli, wątpiłem o sobie jak dziecko. Trawiła mnie bezgraniczna ambicja, sądziłem, że jestem przeznaczony do wielkich rzeczy, a czułem się pogrążony w nicości. Potrzebowałem ludzi, a nie miałem przyjaciół. Trzeba mi było torować sobie drogę w świecie, a byłem sam, nie tyle nieśmiały, ile wstydliwy. Jak wszystkie wielkie dzieci marzyłem potajemnie o szczytnej miłości. Znałem wśród moich rówieśników gromadkę fanfaronów, którzy szli z podniesioną głową, plotąc błahostki, przysiadając się śmiało do kobiet, które mnie się wydawały najbardziej imponujące, mówiąc impertynencje, żując gałkę od laski, mizdrząc się, częstując się wzajem najładniejszymi istotami, skłaniając (istotnie lub rzekomo) głowę na wszystkich poduszkach, którzy obnosili miny ludzi przesyconych rozkoszą, patrząc na najcnotliwsze, na najuczciwsze jako na łatwą zdobycz, dla której ujęcia wystarczy parę słów, lada śmielszy gest, lada zuchwałe spojrzenie! Klnę ci się na mą duszę i sumienie, zdobycie władzy lub sławy pisarskiej wydawało mi się tryumfem mniej trudnym do osiągnięcia niż powodzenie u kobiety wysokiego stanu, młodej, inteligentnej i pełnej wdzięku. Tak więc dreszcze mego serca, moje uczucia, moje uwielbienia zdawały mi się sprzeczne z zasadami społeczeństwa. Byłem śmiały, ale jedynie w duszy, nie na zewnątrz. Dowiedziałem się później, że kobiety nie chcą, aby je wyżebrywać; widziałem wiele takich, które ubóstwiałem z daleka, którym oddawałem serce na wszystkie pró-

by, duszę do darcia w strzępy, energię nielękającą się ani poświęceń, ani tortur: należały do głupców, których nie chciałbym za lokajów. Ileż razy niemy, bez ruchu podziwiałem kobietę moich marzeń wyłaniającą się wśród balu; wówczas poświęcałem w myśli moje istnienie wiekuistym pieszczotom, zamykałem wszystkie moje nadzieje w jednym spojrzeniu i ofiarowywałem jej w tej ekstazie młodzieńczą miłość biegnącą naprzeciw zdrad. Bywały chwile, że oddałbym życie za jedną noc. I ot, nie znalazłszy nigdzie uszu, w które bym wsączył moje namiętne słowa, spojrzeń, w których bym złożył moje spojrzenia, serca dla mego serca, żyłem we wszystkich męczarniach bezsilnej energii, która się trawiła sama w sobie, czy to z braku śmiałości lub sposobności, czy przez niedoświadczenie. Może straciłem nadzieję, aby mnie zrozumiano, lub też drżałem, iż rozumieją mnie zbyt dobrze. Mimo to nosiłem w sobie burzę gotową wybuchnąć za lada miłym spojrzeniem pod moim adresem. Mimo iż tak skwapliwy wziąć to spojrzenie lub jakie powierzchownie serdeczne słowo za dobrą monetę, nigdy nie ośmieliłem się ani przemówić, ani zmilczeć w porę. Z nadmiaru uczucia słowa moje były bezbarwne, a milczenie głupie. Byłem bez wątpienia zbyt naiwny dla sztucznego społeczeństwa żyjącego w blasku świec, wyrażającego wszystkie swoje uczucia w umówionych frazesach lub w słówkach narzuconych przez modę. Przy tym nie umiałem mówić milcząc, ani milczeć mówiąc. W rezultacie nosząc w sobie ognie, które mnie paliły, mając duszę podobną owym duszom, za którymi kobiety tęsknią, trawiony tą gorączką, której one tak są łakome, posiadając siłę, którą się chełpią głupcy, u wszystkich kobiet spotkałem się ze zdradzieckim okrucieństwem. Toteż podziwiałem naiwnie tych salonowych bohaterów, kiedy obnosili swoje tryumfy; nie podejrzewałem ich o kłamstwo. Popełniłem bez wątpienia ten błąd, iż pragnąłem miłości na słowo; w sercu kobiety lekkiej i płochej, spragnionej zbytku, pijanej próżnością, chciałem znaleźć wielką i silną miłość, ową potężną namiętność, ów ocean, który tłukł się w mym sercu. Och! Czuć się stworzonym do miłości, do tego, by uszczęśliwić kobietę, i nie znaleźć nikogo, nawet jakiejś odważnej i szlachetnej Marceliny ani starzejącej się markizy! Nosić skarby w sakwie żebraka i nie móc spotkać jakiegoś podlotka, jakiejś młodej dziewczyny, która by je podziwiała. Często chciałem się zabić z rozpaczy.

— Ale żeś ty tragiczny dziś wieczór! — wykrzyknął Emil.

— Ech! Pozwól mi się rozprawić z moim życiem — odparł Rafael. — Jeżeli przyjaźń twoja nie ma siły wysłuchać moich lamentacji, jeżeli nie możesz mi zakredytować pół godziny nudy, śpij! Ale nie żądaj w takim razie ode mnie rachunku z mego samobójstwa, samobójstwa, które szemrze, które pręży się, które mnie woła i które pozdrawiam. Aby sądzić człowieka, trzebaż bodaj być wtajemniczonym w jego myśli, nieszczęścia, wzruszenia; chcieć znać z jego życia jedynie materialne fakty, to znaczy uprawiać chronologię, ową historię dla głupców!

Gorycz, z jaką wypowiedziane były te słowa, uderzyła tak żywo Emila, że od tej chwili słuchał Rafaela z całą uwagą, patrząc weń tępym wzrokiem.

— Ale — ciągnął opowiadający — obecnie światło, które barwi te wypadki, użycza im nowej fizjonomii. Porządek rzeczy, który uważałem niegdyś za nieszczęście, wydał może owe piękne przymioty, którymi chlubiłem się później. Filozoficzna ciekawość, wytężona praca, zamiłowanie do lektury, które od siódmego roku aż do mego wejścia w świat stale wypełniały moje życie, czyż nie wyposażyły mnie ową łatwością i siłą, z jaką, jeżeli mam ci wierzyć, umiem oddać moje myśli i kroczyć naprzód w rozległem polu ludzkiego poznania? Samotność, na jaką byłem skazany, nawyk dławienia swoich uczuć i życia we własnym sercu, czyż mnie nie obdarzyły zdolnością porównywania, rozmyślania? Nie rozpraszając się w służbie światowych podrażnień, które zdrabniają najpiękniejszą duszę i czynią z niej łachman, wrażliwość moja czyż nie skupiła się, aby się stać udoskonalonym organem woli wyższej niż pożądanie namiętności? Zapoznany[8] przez kobiety, przypominam sobie, że je obserwowałem z bystrością wzgardzonej miłości. Obecnie pojmuję, że szczerość mego charakteru musiała je odstręczać. Może kobiety chcą trochę fałszu? Ja, który jestem kolejno w tej samej godzinie mężczyzną i dzieckiem, pustakiem i myślicielem, wolnym od przesądów, a pełnym zabobonów, który jestem często kobietą jak one, czyż w mojej naiwności nie musiałem się im wydać cynikiem? Czy samejże czystości moich myśli nie musiały brać za rozpustę? Wiedza była im nudą, kobieca miękkość sła-

[8] *zapoznany* (daw.) — zapomniany, nieznany, niepoznany. [przypis edytorski]

bością. Ta nadmierna żywość wyobraźni, nieszczęście poetów, czyniła mnie z pewnością w ich oczach istotą niezdolną do miłości, chwiejną, bez energii. Wydawałem się niezdarą, kiedy milczałem; płoszyłem je może, kiedy chciałem być miły: dość, że kobiety wydały na mnie wyrok. Przyjąłem ten sąd świata ze łzami bólu. Niedola ta wydała swój owoc. Pragnąłem zemścić się na społeczeństwie, pragnąłem posiadać duszę wszystkich kobiet, ujarzmiając inteligencję, widzieć wszystkie spojrzenia wlepione we mnie, skoro służący oznajmi w progu salonu moje nazwisko! Od dzieciństwa mianowałem się wielkim człowiekiem, uderzyłem się w czoło, powiadając sobie jak Andrzej Chenier[9]: „Jest tutaj coś". Czułem w sobie, tak mi się zdawało, jakąś myśl do wyrażenia, system do zbudowania, wiedzę do wyjaśnienia. O mój drogi Emilu, dziś, kiedy mam zaledwie dwadzieścia sześć lat, kiedy jestem pewny, że umrę nieznany, nigdy nie posiadłszy kobiety, o której posiadaniu marzyłem, pozwól mi opowiedzieć sobie moje szaleństwa! Czy nie braliśmy wszyscy, mniej albo więcej, naszych pragnień za rzeczywistość? Och! Nie chciałbym za przyjaciela młodego człowieka, który w marzeniach swoich nie splatał sobie wieńców, nie budował sobie jakiegoś piedestału lub nie roił tkliwych kochanek. Ja bywałem często generałem, cesarzem; byłem Byronem i znów niczym. To igrałem na szczycie spraw ludzkich, to znów spostrzegałem, że trzeba mi dopiero przebyć wszystkie góry, wszystkie trudności. Ta olbrzymia miłość własna kipiąca we mnie, ta wspaniała wiara w los, która może przeradza się w geniusz, o ile człowiek nie da sobie oskubać duszy przy zetknięciu z życiem tak łatwo, jak baran zostawia wełnę na cierniach, przez które się przedziera — wszystko to ocaliło mnie. Chciałem się okryć sławą i pracować w zaciszu dla kochanki, którą spodziewałem się mieć kiedyś. Wszystkie kobiety streszczały się w jednej; a tę kobietę zdawało mi się, że spotkam w pierwszej, która nastręczała się moim oczom; ale ponieważ widziałem królową w każdej z nich, każda powinna by, jak królowa zmuszona ośmielić swego kochanka, wyjść naprzeciw mnie, cierpiącego, biednego i nieśmiałego. Ach, dla tej, która by się mnie użaliła, miałem poza miłością w sercu tyle wdzięczności, że byłbym ją ubóstwiał całe życie. Później to, co widziałem, nauczyło mnie okrutnych prawd. Tak więc, drogi Emilu, groziło mi, że będę wiecznie sam. Kobiety — przez jakiś dziwny krój swego umysłu — zwykły widzieć w człowieku z talentem jedynie jego wady, a w głupcu jedynie przymioty; czują wielką sympatię dla przymiotów głupca, które nieustannie schlebiają ich własnym wadom, podczas gdy człowiek wyższy nie dostarcza im na tyle przyjemności, aby okupić swoje niedostatki. Talent jest jak febra: żadna kobieta nie ma ochoty dzielić jedynie napadów; każda chce znaleźć w kochanku środki do zadowolenia swej próżności. Nawet w nas kochają one siebie! Człowiek biedny, dumny, artysta, obdarzony mocą twórczą, czyż nie uraża ich swym egoizmem? Istnieje dokoła niego jakiś wir myśli, spowija weń wszystko, nawet swą kochankę, która musi dążyć za jego ruchem. Kobieta nawykła do pochlebstw czyż może uwierzyć w miłość takiego człowieka? Czy będzie go szukała? Taki kochanek nie ma czasu na to, aby odgrywać dokoła jej kozetki owe drobne komedyjki czułości, na które kobiety są tak łase i które stanowią tryumf mężczyzn fałszywych i zimnych. Brak mu czasu na swoje prace, jakżeby go trwonił na to, aby się rozdrabniać, aby się stroić szychem? Byłbym gotów oddać życie od jednego razu, nie byłbym go rozmieniał na drobne. Nadskakiwania agenta giełdowego załatwiającego zlecenia bladej i mizdrzącej się kobietki mają w sobie coś lichego, co mierzi artystę. Miłość oderwana wystarcza biednemu i wielkiemu człowiekowi; pragnie wszystkich jej poświęceń. Małe istotki, które trawią życie na przymierzaniu kaszmirów i czynią się manekinami mody, nie są zdolne do poświęcenia, wymagają go i widzą w miłości przyjemność rozkazywania, a nie posłuszeństwa. Prawdziwa małżonka sercem, ciałem, krwią, daje się ciągnąć tam, gdzie idzie ten, w którym mieszka jej życie, siła, chwała, szczęście. Ludziom wyższym trzeba kobiet wschodnich, których jedyną myślą byłaby troska o ich potrzeby; tych ludzi bowiem nieszczęście tkwi w rozdźwięku między własnymi pragnieniami a środkami. Ja, który uważałem się za geniusza, kochałem właśnie te modnisie! Mając pojęcia tak rozbieżne z utartymi poglądami, mając pretensję wspiąć się do nieba bez drabiny, posiadając skarby niemające obiegu, uzbrojony rozległymi wiadomościami, które przeciążały moją pamięć i których jeszcze nie uporządkowałem,

Kobieta, Mężczyzna, Miłość, Artysta

[9] *André Chenier* — wielki poeta, stracony młodo podczas Rewolucji; idąc na gilotynę, uderzył się w czoło i wyrzekł słowa: „A przecież było tu coś" (Przyp. tłum.). [przypis tłumacza]

nie strawiłem; znalazłszy się bez krewnych, bez przyjaciół, sam, wśród najokrutniejszej pustyni, pustyni wybrukowanej, pustyni zaludnionej, myślącej, żyjącej, gdzie wszystko jest ci więcej niż wrogie, jest ci obojętne! — powziąłem postanowienie naturalne, mimo iż szalone; miało ono w sobie coś niemożliwego, co mi dodało siły. Był to niby zakład uczyniony przeciw samemu sobie, zakład, w którym byłem wraz graczem i stawką. Oto mój plan. Moich tysiąc sto franków miało mi starczyć na życie przez trzy lata. Udzieliłem sobie tego czasu dla wydania na świat dzieła zdolnego ściągnąć na mnie uwagę, dać mi majątek lub nazwisko. Cieszyłem się myślą, że będę żył chlebem i mlekiem niby pustelnik w Tebaidzie, zanurzony w świecie książek i myśli, w sferze niedostępnej wśród tego tak zgiełkliwego Paryża, sferze pracy i ciszy, gdzie jak poczwarka motyla budowałem sobie grób, aby się odrodzić świetnym i wspaniałym. Miałem zaryzykować śmierć, aby zdobyć życie. Sprowadzając istnienie do jego prawdziwych potrzeb, do tego, co niezbędne, uważałem, że trzysta sześćdziesiąt pięć franków na rok powinno starczyć memu ubóstwu. W istocie, ta szczupła kwota wystarczała mi na życie, dopóki godziłem się poddać mojej własnej klasztornej regule.

— To niemożliwe! — wykrzyknął Emil.

— Żyłem tak blisko trzy lata — odparł Rafael z odcieniem dumy. — Policzmy! — dodał. — Trzy su chleb, dwa su mleko, trzy su wędlina, oto co broniło mi umrzeć z głodu i utrzymywało mój umysł w osobliwej jasności. Stwierdziłem, wiesz, cudowny wpływ diety na wyobraźnię. Mieszkanie kosztowało mnie trzy su dziennie, zużywałem co noc za trzy su oliwy, sam sprzątałem pokój, nosiłem flanelowe koszule, aby wydawać jedynie dwa su dziennie na pranie. Paliłem na kominku torfem, którego koszt rozłożony na cały rok nie wynosił więcej niż dwa su dziennie. Miałem zapas ubrania, bielizny, trzewików na trzy lata; postanowiłem ubierać się, jedynie idąc na niektóre wykłady i do biblioteki. Te wydatki czyniły łącznie dopiero osiemnaście su, pozostawało mi dwa su na nieprzewidziane okoliczności. Przypominam sobie, iż przez ten długi okres pracy nie przebywałem nigdy mostu *des Arts* ani nie kupiłem wody; chodziłem po nią co rano do studni na placu Saint-Michel na rogu ulicy des Grès. Och! Znosiłem hardo moje ubóstwo. Człowiek, który przeczuwa piękną przyszłość, kroczy przez swoje życie nędzy jak niewinny prowadzony na szafot, nie wstydzi się. Nie chciałem przewidywać choroby. Jak Akwilina myślałem o szpitalu bez lęku. Nie wątpiłem ani chwili o wytrzymałości mego zdrowia. Zresztą biedakowi nie wolno się kłaść aż po to, aby umrzeć. Ostrzygłem włosy aż do chwili, w której anioł miłości lub dobroci... Ale nie chcę uprzedzać wypadków, do których zmierzam. Dowiedz się jedynie, drogi przyjacielu, że w braku kochanki żyłem z wielką myślą, z marzeniem, z kłamstwem, w które wszyscy zaczynamy wierzyć mniej albo więcej. Dziś śmieję się z siebie, z owego *mnie*, może świętego i wzniosłego, który już nie istnieje. Społeczeństwo, świat, nasze zwyczaje, obyczaje, widziane z bliska, odsłoniły mi niebezpieczeństwo mojej niewinnej wiary oraz zbyteczność mojej żarliwej pracy. Te zapasy niepotrzebne są ludziom ambitnym. Lekki powinien być tobołek tego, kto biegnie za fortuną! Błędem ludzi wyższych jest, że trawią młode lata na tym, aby stać się godnymi jej łaski. Podczas gdy biedacy gromadzą i swoją siłę, i wiedzę, aby dźwigać bez wysiłku brzemię potęgi, która uchodzi przed nimi, intryganci, bogaci w słowa, a wyzuci z myśli, krzątają się, biorą na lep głupców, wciskają się w zaufanie dudków. Jedni uczą się, drudzy idą naprzód; jedni są skromni, drudzy są śmiali. Człowiek genialny tai swą dumę, człowiek sprytny wystawia na pokaz swoją: siłą rzeczy musi dojść do celu. Ludzie będący przy władzy tak bardzo potrzebują wierzyć w wartości już gotowe, w czelne talenty, że dzieciństwem jest, aby prawdziwy uczony spodziewał się ludzkich nagród. Nie chcę zaiste parafrazować komunałów cnoty, owej pieśni nad pieśniami wiecznie śpiewanej przez zapoznanych geniuszów: chcę wywieść logiczną przyczynę częstych sukcesów odnoszonych przez ludzi miernych. Niestety! Nauka jest tak macierzyńsko dobra, że może zbrodnią jest żądać od niej innej nagrody niż czyste i słodkie radości, jakimi karmi swoje dzieci. Przypominam sobie, jak czasem wesoło maczałem chleb w mleku, siedząc koło okna dla odetchnięcia powietrzem, pozwalając szybować oczom nad krajobrazem dachów brązowych, szarych, czerwonych, z łupku, z dachówki, porosłych żółtym lub zielonym mchem. Jeżeli w początkach widok ten zdawał mi się jednostajny, niebawem odkryłem w nim osobliwe piękności. Wieczorem jasne smugi strzelające z niedomkniętych okiennic łagodziły i ożywiały czarne głębie tej oryginalnej krainy. To znów blade światła rzucały

z dołu, poprzez mgłę żółte odblaski i znaczyły słabym zarysem giętą linię tych stłoczonych dachów, ocean nieruchomych fal. Niekiedy wreszcie rzadkie postacie ukazywały się w tej martwej pustyni; wśród kwiatów jakiegoś wiszącego ogrodu, dostrzegałem ostry i kościsty profil jakiejś staruszki podlewającej nasturcje lub w ramie zbutwiałej okiennicy jakąś młodą dziewczynę, która myśląc, że jest sama, rozbierała się do snu: widać było jedynie piękne czoło i długie włosy podniesione w górę ładnym, białym ramieniem. Podziwiałem na rynnach jakąś nikłą roślinność, biedne trawki rychło unoszone burzą. Studiowałem mchy, ich kolory ożywione deszczem, które pod działaniem słońca zmieniały się w suchy i brunatny aksamit o kapryśnych połyskach. Wreszcie poetyczne i ulotne zjawiska światła, melancholie mgieł, nagłe iskrzenie się słońca, czarodziejskie milczenia nocy, tajemnice brzasku, dymy z każdego komina, wszystkie przypadki tej osobliwej natury, skoro się z nimi zżyłem, bawiły mnie. Kochałem moje więzienie, było ono dobrowolne. Te prerie Paryża, utworzone przez dachy płaskie jak równina, ale pokrywające zaludnione otchłanie, przemawiały mi do duszy i harmonizowały z moimi myślami. Nużącym jest odnajdywać nagle świat, wówczas gdy zstępujemy z niebiańskich wyżyn, w które nas wzbiły naukowe medytacje; toteż zrozumiałem wówczas doskonale nagość klasztorów. Kiedy już zupełnie zdecydowałem się na mój nowy plan życia, zacząłem szukać mieszkania w najbardziej odludnych dzielnicach Paryża. Jednego wieczora, wracając z Estrapade, szedłem ulicą *des Cordiers* do domu. Na rogu ulicy *de Cluny* ujrzałem dziewczynkę lat około czternastu, która grała w wolanta z koleżanką, bawiąc sąsiadów śmiechem swoim i figlami. Było ładnie, wieczór był ciepły, było to we wrześniu. Przed każdą bramą siedziały kobiety i rozmawiały, jak gdzieś w świąteczny dzień na prowincji. Najpierw przyjrzałem się młodej dziewczynie, której fizjonomia miała cudowny wyraz, a poza prosiła się o pędzel malarza. Była to czarująca scena. Zastanawiałem się nad źródłem tej sielanki w środku Paryża: zauważyłem, że uliczka kończy się ślepo i że ruch musi tam być bardzo słaby. Przypominając sobie pobyt Jana Jakuba Rousseau w tej stronie, odszukałem hotel *Saint-Quentin*; opuszczenie, w jakim się znajdował, obudziło we mnie nadzieję, że znajdę tam niedrogie leże; zapuściłem się do środka. Wchodząc do sali na parterze, ujrzałem klasyczne lichtarze mosiężne opatrzone świecami, każdy nad swoim kluczem. Uderzyła mnie czystość tej sali, zazwyczaj w innych hotelach utrzymanej dość licho. Ta była wypieszczona niby rodzajowy obrazek: biało nakryte łóżko, sprzęty, meble. Gospodyni hoteliku, kobieta lat około czterdziestu, o rysach zdradzających długie nieszczęścia, z oczyma jakby przyćmionymi od płaczu, wstała, podeszła; wymieniłem nieśmiało moją cenę. Nie zdradzając zdziwienia, wyszukała klucz i zaprowadziła mnie na poddasze, gdzie mi pokazała pokój z widokiem na dachy, na dziedzińce sąsiednich domów, z których okien wystawały długie żerdzie obwieszone bielizną. Nic okropniejszego niż to poddasze o żółtych i brudnych ścianach, cuchnące nędzą, jakby stworzone na przytułek dla uczonego. Dach był skośny; przez nieszczelne dachówki widać było niebo. Było tam miejsce na łóżko, stół, kilka krzeseł, w kącie zaś utworzonym przez dach mogłem pomieścić mój klawikord. Nie mając na to, aby umeblować tę klatkę godną weneckich *Piombi*, biedna kobieta nie mogła jej wynająć. Ponieważ ocaliłem z licytacji sprzęty, które mi były poniekąd osobiste, ugodziłem się rychło z gospodynią i wprowadziłem się zaraz nazajutrz. Żyłem w tym napowietrznym grobowcu blisko trzy lata, pracując dzień i noc bez przerwy, z taką rozkoszą, że nauka zdawała mi się najpiękniejszym tematem, najszczęśliwszym rozwiązaniem ludzkiego życia. Spokój i cisza, jakich potrzebuje uczony, mają w sobie coś lubego, upajającego jak miłość. Praca myśli, łowienie idei, spokojna kontemplacja naukowa dostarczają nam niewymownych rozkoszy, niedających się opisać jak wszystko, co ma związek z inteligencją, której objawy umykają się naszym zmysłom. Toteż zawsze jesteśmy zmuszeni tłumaczyć tajemnice ducha za pomocą porównań materialnych. Rozkosz pływania w czystej wodzie jeziora, w otoczeniu skał, lasów i kwiatów, samemu, wśród pieszczoty ciepłego wietrzyku dałaby nieświadomym bardzo słaby obraz szczęścia, któregom doświadczał, kiedy dusza moja kąpała się w blaskach jakiegoś dziwnego światła, kiedy szukałem straszliwych i mętnych głosów natchnienia, kiedy z nieznanego źródła obrazy spływały w mój drgający mózg. Widzieć myśl, która wschodzi na polu ludzkich abstrakcji niby poranne słońce i wznosi się jak ono; która, aby rzec lepiej, rośnie jak dziecko, dojrzewa, mężnieje z wolna, jest to radość wyższa nad inne radości ziemskie lub raczej jest to boska rozkosz. Praca myśli obleka jakimś czarodziejstwem wszystko, co nas otacza. Liche biureczko, obite brązową

skórą, na którym pisałem, mój klawikord, łóżko, fotel, dziwaczny deseń obicia, sprzęty, wszystkie te rzeczy jak gdyby ożywiły się i stały się dla mnie pokornymi przyjaciółmi, milczącymi wspólnikami mojej przyszłości. Ileż razy, patrząc na nie, użyczałem im mojej duszy! Często pozwalając błądzić oczom po jakimś odkruszonym gzymsie, znajdywałem nowe kombinacje, wyraźne potwierdzenie mego systemu lub też szczęśliwe słowa dla oddania myśli prawie niepodobnych do wyrażenia. Siłą oglądania przedmiotów, które mnie otaczały, odnajdywałem w każdym z nich fizjonomię, charakter; często mówiły do mnie. Kiedy ponad dachy zachodzące słońce rzucało przez moje wąskie okienko jakiś ulotny blask, one barwiły się, bladły, lśniły się, zasmucały lub rozweselały, zdumiewając mnie wciąż nową postacią. Te drobne wydarzenia samotnego życia, niedostrzegalne dla ludzi pochłoniętych światem, są pociechą więźniów. Czyż nie byłem więźniem myśli, jeńcem systemu, ale krzepionym nadzieją chlubnej przyszłości! Za każdą pokonaną trudnością całowałem miękkie dłonie kobiety o pięknych oczach, wykwintnej i bogatej, która miała kiedyś pieścić moje włosy, mówiąc mi z rozczuleniem:

— Dużoś wycierpiał, drogi aniele!

Rozpocząłem dwa wielkie dzieła. Komedia miała mi w krótkim czasie dać sławę, majątek i wstęp do tego świata, gdzie chciałem wrócić władny królewskimi prawami genialnego człowieka. Widzieliście wszyscy w tym arcydziele pierwszą omyłkę młodego chłopca świeżo wypuszczonego z kolegium, ot proste dzieciństwo. Żarciki wasze podcięły skrzydła płodnym złudzeniom, które już się później nie obudziły. Ty jeden, drogi Emilu, ukoiłeś głęboką ranę, jaką inni zadali memu sercu! Ty jeden podziwiałeś moją *Teorię woli*, to obszerne dzieło, dla którego nauczyłem się wschodnich języków, anatomii, fizjologii i któremu poświęciłem prawie wszystek mój czas. Dzieło to, jeżeli się nie mylę, dopełni prac Mesmera, Lawatera, Galla, Bichata, otwierając nową drogę wiedzy ludzkiej. Tu kończy się moje piękne życie, owo poświęcenie wszystkich dni, ta praca jedwabnika nieznana światu i znajdująca nagrodę jedynie w samej pracy. Od wieku rozeznania aż do dnia, w którym ukończyłem moją *teorię*, obserwowałem, uczyłem się, pisałem, czytałem bez wytchnienia, życie moje było niby długie *pensum*. Ja, zniewieściały kochanek wschodniego lenistwa, rozkochany w moich marzeniach, zmysłowy, wciąż pracowałem, broniąc się pokusom paryskiego życia. Z natury smakosz, stałem się wstrzemięźliwy; lubiący i piesze wędrówki, i morskie podróże, pragnący zwiedzić mnogie kraje, znajdujący jeszcze jak dziecko przyjemność w puszczaniu kaczek na wodzie, trawiłem czas wciąż przy biurku, z piórem w ręku; ja, gaduła, słuchałem w milczeniu wykładów w Bibliotece i w Muzeum; spałem na moim samotnym tapczanie jak mnich zakonu św. Benedykta, podczas gdy kobieta była jedyną mą chimerą, chimerą, którą pieściłem i która wciąż uchodziła przede mną! Słowem, życie moje było okrutną sprzecznością, ustawnym kłamstwem. I sądźcie potem ludzi! Niekiedy wrodzone moje skłonności budziły się jak długo tlący się pożar. Mocą jakiegoś mirażu lub tropikalnego szaleństwa, ja, noszący żałobę po wszystkich kobietach, których pragnąłem, ogołocony ze wszystkiego, gnieżdżący się na poddaszu, widziałem dokoła siebie rój czarownych kochanek! Pędziłem przez ulice Paryża rozparty na miękkich poduszkach lśniącego pojazdu. Czułem się przepalony użyciem, zanurzony w rozpuście, chcący wszystkiego, pożądający wszystkiego; słowem pijany na czczo jak św. Antoni w czas swoich pokus. Szczęściem, sen gasił wreszcie owe palące wizje; nazajutrz praca wzywała mnie z uśmiechem i byłem jej wierny. Wyobrażam sobie że tzw. kobiety cnotliwe muszą być często pastwą owych wirów szaleństwa, pragnienia i namiętności, które wznoszą się w nas mimo naszej woli. Takie marzenia nie są bez uroku: czyż nie są podobne do owych wieczornych zimowych gawęd, w których wędruje się od swego kominka aż gdzieś do Chin? Ale co dzieje się z cnotą podczas tych rozkosznych podróży, w których myśl przebyła wszystkie zapory? Przez pierwszych dziesięć miesięcy mego zamknięcia wiodłem owo samotne i ubogie życie, które ci odmalowałem; chodziłem sam, rano i ukradkiem, po zakupy na cały dzień; sprzątałem pokój, byłem wraz panem i służącym, *diogenizowałem* z niewiarygodną dumą. Przez ten czas gospodyni i jej córka śledziły moje obyczaje i nawyki, przyglądały mi się i zrozumiały mą nędzę może dlatego, że one same były bardzo nieszczęśliwe. Zadzierzgnęły się pomiędzy nami nieuchronne więzy. Paulina, ta urocza istota, której naiwny i dyskretny wdzięk ściągnął mnie poniekąd w ten dom, oddała mi parę usług, których niepodobna mi było nie przyjąć. Wszystkie niedole są jak siostry, mają ten sam język, tę samą szlachetność, szlachet-

ność tych, którzy, nie posiadając nic, szczodrzy są uczuciem, płacą swoim czasem i swoją osobą. Nieznacznie Paulina zadomowiła się u mnie, obsługiwała mnie po trosze, matka zaś nie sprzeciwiała się temu. Zeszedłem i samą matkę, jak naprawiała mi bieliznę; zaczerwieniła się, żem ją ujrzał przy tym miłosiernym zatrudnieniu. Stałem się mimo woli ich pupilem, przyjmowałem ich usługi. Aby zrozumieć to osobliwe przywiązanie, trzeba znać furię pracy, tyranię myśli oraz ów instynktowny wstyd, jakiego człowiek żyjący duchem doznaje wobec drobiazgów materialnego życia. Czy mogłem się oprzeć delikatnej pieczołowitości, z jaką Paulina, wchodząc na palcach, przynosiła mój skromny posiłek, skoro zauważyła, że od kilku godzin nie jadłem nic? Z wdziękiem kobiety i naiwnością dziecka uśmiechała się do mnie, dając mi jak gdyby znak, żem nie powinien jej widzieć. Był to Ariel wślizgujący się jak sylf pod mój dach i uprzedzający moje potrzeby. Jednego wieczora Paulina opowiedziała mi ze wzruszającą naiwnością swoje dzieje. Ojciec jej był rotmistrzem w konnych grenadierach gwardii cesarskiej. Przy przeprawie przez Berezynę dostał się w ręce kozaków; później, kiedy Napoleon wymieniał jeńców, władze rosyjskie daremnie szukały go na Syberii; wedle zeznań towarzyszy, umknął z zamiarem dostania się do Indii. Od tego czasu pani Gaudin, moja gospodyni, nie mogła uzyskać żadnej wiadomości o swoim mężu. Przyszły klęski roku 1814 i 1815; zostawszy sama, bez pomocy i środków, wydzierżawiła hotelik, aby wyżywić córkę. Wciąż miała nadzieję ujrzeć męża. Najokrutniejszą jej zgryzotą było to, że nie mogła dać Paulinie wykształcenia: swojej Paulinie, chrześniaczce księżnej Borghese, która nie powinna była zadać kłamu świetnym losom przyrzeczonym przez jej cesarską opiekunkę! Kiedy pani Gaudin zwierzyła mi ten gorzki ból, który ją zabijał i rzekła rozdzierającym tonem: „Oddałabym chętnie ten świstek papieru, który mianuje męża baronem Cesarstwa oraz prawo, jakie mamy do dotacji w Witschnau, w zamian za to, by móc wychować Paulinę w Saint-Denis" — zadrżałem nagle i aby odpłacić starania, jakimi mnie otaczały te kobiety, wpadłem na myśl ofiarowania się Paulinie za nauczyciela. Prostota, z jaką przyjęły moją ofiarę, równa była szczerości, która mi ją podyktowała. W ten sposób zyskałem godziny wytchnienia. Dziewczyna miała wiele wrodzonych zdolności, uczyła się tak łatwo, że niebawem prześcignęła mnie w biegłości na fortepianie. Przyzwyczaiła się głośno myśleć przy mnie, roztaczała tysiąc uroków serca, które otwiera się do życia jak kielich kwiatu z wolna rozwijającego się na słońcu; słuchała mnie ze skupieniem i przyjemnością, kładąc na mnie swoje aksamitne czarne oczy, które zdawały się uśmiechać. Powtarzała lekcje słodkim i pieszczotliwym głosem, okazując dziecinną radość, kiedy byłem z niej zadowolony. Matka jej, co dzień bardziej niespokojna, że musi strzec od niebezpieczeństw młodą dziewczynę, która rosnąc, ziszczała wszystkie uroki swego dziecięctwa, patrzała z przyjemnością na to, jak córka pędzi całe dnie przy nauce. Ponieważ mój fortepian był jedynym, który miała do rozporządzenia, korzystała zeń, gdy mnie nie było w domu, aby się ćwiczyć. Za powrotem zastawałem Paulinę w moim pokoju w nader skromnym stroju; ale za najlżejszym ruchem gibka jej kibić oraz wdzięk jej osoby przebijały spod grubego płótna. Jak bohaterka bajki o *Kopciuszku* kryła maleńką nóżkę w niezgrabnych trzewikach. Ale te piękne skarby, te bogactwa młodej dziewczyny, cały ten przepych urody, były dla mnie jakby stracone. Nakazałem sam sobie widzieć w Paulinie jedynie siostrę; brzydziłbym się tym, aby nadużyć zaufania jej matki. Podziwiałem tę uroczą dziewczynę jak obraz, jak portret zmarłej kochanki; było to moje dziecko, mój posąg. Niby nowy Pigmalion chciałem z dziewczyny żywej i pełnej kolorów, czującej i mówiącej zrobić marmur. Byłem z nią bardzo surowy; ale im więcej dałem jej uczuć mój nauczycielski despotyzm, tym bardziej stawała się słodka i uległa. O ile w mojej powściągliwości i takcie umacniały mnie szlachetne uczucia, nie zbywało mi również i na prokuratorskich racjach. Nie rozumiem uczciwości pieniężnej bez uczciwości myśli. Oszukać kobietę lub splamić się bankructwem było zawsze dla mnie jedno i to samo. Kochać młodą dziewczynę lub pozwolić się jej kochać, stanowi prawdziwy kontrakt, którego warunki powinny być jasno postawione. Mamy prawo opuścić kobietę, która się sprzedaje, ale nie młodą dziewczynę, która się oddaje; nie zna bowiem doniosłości swej ofiary. Byłbym tedy zaślubił Paulinę i popełniłbym szaleństwo. Czyżby to nie znaczyło wydać słodką i niewinną duszę na straszne niedole? Ubóstwo moje przemawiało swoim samolubnym językiem i zawsze kładło swą żelazną rękę między tą dobrą istotą a mną. Przy tym, wyznaję ze wstydem, nie pojmuję miłości w nędzy. Może to jest we mnie skażenie wynikłe z owej choroby ludzkiej zwanej cywilizacją: ale kobieta, choć-

Miłość, Kobieta, Mężczyzna, Bogactwo

by była tak powabna jak piękna Helena, Galatea Homerowa, nie działa mi zupełnie na zmysły, jeżeli jest bodaj trochę zaniedbana. Ach! Niech się święci miłość w jedwabiach, kaszmirach, otoczona cudami zbytku, w których jej tak do twarzy, gdyż może i ona sama jest zbytkiem. Lubię miąć w brutalnym uścisku świetne tualety, łamać kwiaty, burzyć zuchwałą ręką wykwintny gmach pachnącej fryzury. Palące oczy zakryte koronkowym wachlarzem, przez który spojrzenie strzela tak jak płomień rozdziera dym armatni, kuszą mnie fantastycznym powabem. Miłość moja pragnie drabinek z jedwabnego sznura, po których bym się wspinał w ciszy zimowej nocy. Cóż za rozkosz przybywać okryty śniegiem do pokoju napełnionego wonią perfum, wyścielonego barwnymi jedwabiami i znaleźć tam kobietę, która również strząsa śnieg, jakież bowiem inne miano dać owym oponom z rozkosznego muślinu, przez które rysuje się mglisto niby anioł w chmurze i z których ma wyłonić się za chwilę? Potem trzeba mi jeszcze nieśmiałego szczęścia, zuchwałego bezpieczeństwa. Słowem, pragnę znów ujrzeć tę tajemniczą kobietę, ale pełną blasku, ale wśród świata, ale cnotliwą, otoczoną hołdami, strojną w koronki, lśniącą od diamentów, panującą stolicy, stojącą tak wysoko i tak imponującą, aby się nikt nie ośmielił podnieść na nią oczu. Otoczona swoim dworem, rzuca mi ukradkiem spojrzenie, spojrzenie, które kłamie tym pozorom, spojrzenie, które depce dla mnie świat i ludzi! Zaiste, po sto razy wydałem się śmieszny sam sobie, że kocham kilka łokci blondynu, aksamitu, cienkich batystów, arcydzieło fryzjera, świece, karoce, tytuły, herby malowane przez lakiernika lub sporządzone przez jubilera, słowem wszystko, co jest w kobiecie najbardziej sztuczne i co w niej jest najmniej kobietą; drwiłem sam z siebie, perswadowałem, wszystko na próżno. Arystokratyczna kobieta i jej delikatny uśmiech, wykwint obejścia i godność czarują mnie; kiedy stawia zaporę między sobą a światem, głaszcze we mnie wszystką próżność, która stanowi połowę miłości. Szczęście moje ma dla mnie więcej smaku, gdy wszystko mi go dokoła zazdrości. Nie czyniąc nic tak jak inne kobiety, nie chodząc, nie żyjąc jak one, zawijając się w płaszcz, którego one nie mogą mieć, używając osobnych perfum, kochanka moja wydaje mi się bardziej moją; im bardziej oddala się od ziemi nawet w tym, co miłość ma ziemskiego, tym staje się w mych oczach piękniejszą. Szczęściem dla mnie, nie mamy we Francji od dwudziestu lat królowej; byłbym zakochał się w królowej! Aby mieć wzięcie księżniczki, kobieta musi być bogata. W obliczu moich romantycznych fantazji czym była Paulina? Czy mogła mi sprzedawać noce, które płaci się życiem, miłość, która zabija i która napina wszystkie ludzkie zdolności? Nikt nie umiera dla biednej dziewczyny, która się oddaje! Nigdy nie zdołałem wytępić w sobie tych uczuć i tych marzeń poety. Byłem zrodzony do miłości niemożliwej, a przypadek obsłużył mnie ponad moje pragnienia! Ileż razy obuwałem atłasem maleńkie nóżki Pauliny; spowijałem jej kibić smukłą jak młoda topola w suknię z gazy, narzucałem na jej łono lekki szalik, aby po dywanach wyścielających jej pałac wieść ją do wykwintnej karocy! Ubóstwiałbym ją wtedy. Stroiłem ją w dumę, której nie miała, odzierałem ją ze wszystkich jej zalet, z jej uroczej naturalności, z niewinnego uśmiechu, aby ją zanurzyć w Styks naszego zepsucia, dać jej serce z kamienia, uszminkować ją naszymi zbrodniami, aby zrobić z niej kapryśną lalkę salonów, wątłą kobietę, która się kładzie rano, aby zmartwychwstać przy blasku świec wieczorem. Paulina była cała uczuciem, cała świeżością, ja pragnąłem ją mieć oschłą i zimną. W ostatnich dniach mego szaleństwa, wspomnienie ukazało mi Paulinę, tak jak maluje nam sceny z dzieciństwa. Niejeden raz ogarnęło mnie rozczulenie na myśl o owych rozkosznych chwilach: czy to że ujrzałem w myśli tę czarującą dziewczynę siedzącą przy moim stole, zajętą szyciem, spokojną, milczącą, skupioną, w słabym świetle, które spływając z okienka, ślizgało się lekkim srebrnym poblaskiem po jej pięknych czarnych włosach; czy że słyszałem jej młody śmiech lub też bujny głos śpiewający wdzięczne melodyjki, które składała bez trudu. Kiedy Paulina rozgrzała się muzyką, wówczas twarz jej zdumiewająco była podobna do szlachetnej głowy, w jakiej Carlo Dolci ucieleśnił Italię. Moja okrutna pamięć rzucała mi tę dziewczynę poprzez szaleństwa mego życia jak wyrzut, jak obraz cnoty! Ale zostawmy biedną istotę jej losom! Choćby była najbardziej nieszczęśliwa, ocaliłem ją bodaj od okropnej burzy, nie chcąc jej wlec w moje piekło.

Aż do ostatniej zimy pędziłem owo spokojne i pracowite życie, którego starałem się dać ci słaby obraz. W pierwszych dniach grudnia roku 1829 spotkałem Rastignaca, który mimo opłakanego stanu mej odzieży ujął mnie pod ramię i w sposób prawdziwie braterski spytał o moje losy. Wziąwszy się na lep jego serdeczności, opowiedziałem mu pokrótce

i moje życie, i moje nadzieje. Zaczął się śmiać; nazwał mnie wraz geniuszem i głupcem. Jego gaskońska wymowa, jego znajomość świata, dostatek, jaki zawdzięczał swej obrotności, podziałały na mnie w nieprzeparty sposób. Rastignac oznajmi mi, iż umrę w szpitalu zapoznany jak lada głupiec, malował mój kondukt, pogrzebał mnie we wspólnym dole nędzarzy. Rozwinął mi teorię szarlatanizmu. Z tą sympatyczną werwą, która daje mu tyle uroku, ukazał mi wszystkich genialnych ludzi jako szarlatanów. Oświadczył, że brak mi jednego zmysłu i że to stanie się przyczyną mej śmierci, o ile będę tkwił samotnie przy ulicy des Cordiers. Wedle niego, powinienem bywać w świecie, oswajać ludzi z dźwiękiem mego nazwiska i wyzuć się z owego potulnego nieboraka, w którego skorupie nie do twarzy jest wielkiemu człowiekowi za życia.

— Głupcy — wykrzyknął — nazywają ten sposób życia *karierowiczostwem*, moraliści potępiają go pod mianem *rozpusty*; nie troszczmy się o ludzi, patrzmy na wyniki. Ty pracujesz? Otóż nie zrobisz nigdy nic. Ja jestem zdolny zarazem do wszystkiego i do niczego, leniwy jak suseł: i ot, osiągnę wszystko. Wszędzie mnie pełno, rozpycham się, robią mi miejsce; chwalę się, wierzą mi; robię długi, płacą je! Rozpusta, mój drogi, to system polityczny. Życie człowieka przejadającego majątek bywa niekiedy wyborną spekulacją; lokuje swój kapitał w przyjaciołach, w przyjemnościach, w protektorach, w stosunkach. Przemysłowiec zyskuje milion? Przez dwadzieścia lat nie śpi, nie pije, nie bawi się; wysiaduje swój milion, obnosi go po całej Europie; nudzi się, oddaje się wszystkim diabłom, jakie człowiek wymyślił; po czym bankructwo, jak to widywałem, zostawia go często bez grosza, bez reputacji, bez przyjaciół. Marnotrawca to zgoła co innego! Ten bawi się życiem, puszcza konie na wyścigach. Jeżeli przypadkiem straci majątek, ma widoki zostać jakim generalnym poborcą, ożenić się dobrze, być sekretarzem ministra, ambasadora. Ma jeszcze przyjaciół, reputację i wciąż pieniądze. Znając sprężyny świata, manipuluje nimi na swoją korzyść. Czy ten system jest logiczny, czy też ja jestem wariat? Czyż to nie jest morał komedii, którą gra się co dzień w świecie? Twoje dzieło jest skończone — ciągnął po pauzie — talent masz olbrzymi! Otóż znalazłeś się tam, skąd ja wychodzę. Trzeba ci teraz samemu przygotować własny sukces, to pewniejsze. Musisz zawrzeć sojusz z koteriami, pozyskać sobie chwalców. Ja pragnę wejść do spółki z twoją sławą, będę jubilerem, który oprawi diamenty twej korony... Na początek bądź tu jutro wieczór. Wprowadzę cię do pewnego domu, gdzie bywa cały Paryż, nasz Paryż, Paryż ludzi pięknych, milionerów, sław, słowem ludzi, których słowa są złotem jak u Chryzostoma. Kiedy ci ludzie uznają jakąś książkę, książka staje się modną; jeżeli jest naprawdę dobra, dali patent na geniusz, ani wiedząc o tym. Jeżeli masz spryt, mój chłopcze, zapewnisz los swojej *Teorii*, zrozumiawszy lepiej teorię Losu. Jutro wieczór ujrzysz piękną hrabinę Fedorę, królową mody.

— Nigdy o niej nie słyszałem...

— Jesteś Kafrem — odparł Rastignac, śmiejąc się. — Nie znać Fedory! Osoba na wydaniu, która posiada blisko osiemdziesiąt tysięcy funtów renty i która nie chce nikogo lub której nikt nie chce! Chodząca zagadka kobieca, paryżanka na wpół Rosjanka, Rosjanka na wpół paryżanka! Kobieta, u której wychodzą wszystkie produkty romantyczne nieoglądające światła dziennego, najpiękniejsza kobieta w Paryżu, najbardziej urocza! Nie jesteś nawet Kafrem, jesteś tworem pośrednim pomiędzy Kafrem a zwierzęciem... Bądź zdrów, do jutra.

Okręcił się na pięcie i znikł, nie czekając odpowiedzi, nie dopuszczając myśli, aby rozsądny człowiek mógł nie chcieć być przedstawionym Fedorze. Jak wytłumaczyć to magiczne działanie imienia? FEDORA prześladowała mnie niby zła myśl, z którą człowiek stara się paktować. Głos jakiś mówił mi: „Pójdziesz do Fedory". Daremnie broniłem się temu głosowi, krzycząc, że kłamie; miażdżył wszystkie moje rozumowania tym imieniem: Fedora. Ale to imię, ta kobieta, czy nie były symbolem wszystkich moich pragnień, tematem mego życia. Imię to budziło sztuczną poezję wielkiego świata, migotało ucztami wykwintnego Paryża i świecidłami próżności. Kobieta jawiła mi się ze wszystkimi zagadnieniami namiętności, które mnie oblegały. To nie była może kobieta ani imię, ale wszystkie moje złe instynkty, które prężyły się w mej duszy, aby mnie kusić na nowo. Hrabina Fedora, bogata i nieposiadająca kochanka, opierająca się pokusom paryskim, czyż nie była wcieleniem moich nadziei, moich wizji? Tworzyłem sobie kobietę, rysowałem ją sobie w myśli, marzyłem o niej. W nocy nie spałem, byłem jej

kochankiem, zamknąłem w kilku godzinach całe życie, życie miłości, syciłem się jego płodnymi, palącymi rozkoszami. Nazajutrz, niezdolny wytrzymać męczarni, jaką było dla mnie oczekiwanie wieczoru, wypożyczyłem jakąś powieść i spędziłem dzień na czytaniu, uniemożliwiając sobie w ten sposób myślenie albo rachowanie czasu. W czasie czytania imię Fedory rozlegało się we mnie niby dźwięk słyszany w oddali, który nie wstrząsa, ale przykuwa uwagę. Posiadałem na szczęście jeszcze dosyć przyzwoity czarny frak i białą kamizelkę; co się tyczy pieniędzy, z całego majątku zostało mi jakieś trzydzieści franków, które posiałem gdzieś wśród moich rzeczy, po szufladach, aby pomiędzy pięciofrankówką a jakimś zachceniem wznieść ciernistą zaporę poszukiwań oraz wędrówek po pokoju. Ubierając się, szukałem mego skarbu w oceanach papieru. Skąpy stan mej sakiewki może ci dać pojęcie, czym była suma, którą pochłonęły rękawiczki i dorożka: schrupały chleb na cały miesiąc z góry. Tak już jest! Nigdy nam nie brak pieniędzy na nasze kaprysy, spieramy się o cenę jedynie rzeczy użytecznych lub potrzebnych. Rzucamy niedbale złoto tancerkom, a targujemy się z robotnikiem, którego zgłodniała rodzina czeka zapłacenia rachunku. Iluż ludzi ma na sobie ubranie za sto franków, gałkę u laski z diamentem, a je obiad za dwadzieścia pięć su! Zdaje się, że rozkosze próżności nie wypadają nam nigdy dość drogo. Rastignac stawił się punktualnie; uśmiechnął się z mej metamorfozy, żartując sobie ze mnie; po drodze do hrabiny udzielił mi paru miłosiernych rad co do sposobu zachowania; odmalował mi ją jako osobę skąpą, próżną i podejrzliwą; ale skąpą z przepychem, próżną z prostotą, a podejrzliwą z wdziękiem.

— Znasz moje zobowiązania — rzekł — i wiesz, ile bym stracił na zmianie bogdanki. Obserwowałem Fedorę bezinteresownie i chłodno, spostrzeżenia moje muszą być przeto trafne. Zamierzając cię jej przedstawić, myślałem o twoim losie; toteż uważaj z nią na każde słowo; ma piekielną pamięć, a spryt jej mógłby doprowadzić do rozpaczy dyplomatę: odgadłaby chwilę, w której mówi prawdę. Mówiąc między nami, zdaje się, że cesarz nie uznał jej małżeństwa, gdyż ambasador rosyjski zaczął się śmiać, kiedym mu o niej wspomniał. Nie przyjmuje jej i kłania się jej dość lekko, kiedy ją spotyka w Lasku. Bądź co bądź, należy do kółka pani de Sérizy, bywa u pań de Nucingen i de Restaud. We Francji reputacja jej jest nieskazitelna; księżna de Carigliano, marszałkowa najbardziej bacząca na pozory z całej koterii bonapartystów, często spędza lato u niej na wsi. Wielu młodych elegantów — jeden syn para Francji — ofiarowało jej nazwisko w zamian za majątek; odprawiła ich grzecznie z kwitkiem. Może wrażliwość jej zaczyna się dopiero od tytułu hrabiego? Czyż nie jesteś margrabią? Śmiało naprzód, jeżeli ci się Fedora spodoba. Oto co się nazywa udzielać instrukcji!

Żart ten nasunął mi myśl, że Rastignac pragnie się zabawić i pobudzić mą ciekawość; jakoż, moja improwizowana namiętność doszła do szczytu, kiedyśmy się znaleźli w sieni strojnej kwiatami. Szedłem po szerokich schodach wysłanych dywanem, widziałem dokoła siebie wszystkie wymysły angielskiego komfortu; serce mi biło; rumieniłem się, zaparłem się mego urodzenia, moich uczuć, dumy, byłem w tej chwili pociesznym mieszczuchem. Cóż! Przybywałem wprost z poddasza, po trzech latach ubóstwa. Nie umiałem jeszcze, oślepiony tymi drobnostkami życia, cenić ponad nie owych nabytych skarbów, owych olbrzymich kapitałów intelektualnych, które stanowią bogactwo człowieka w chwili, gdy władza wpadnie mu w ręce, nie miażdżą go zaś, ponieważ praca myśli przysposobiła go zawczasu do walki politycznej.

Ujrzałem kobietę lat około dwudziestu dwu, średniego wzrostu, biało ubraną, otoczoną kręgiem mężczyzn i trzymającą w ręku wachlarz z piór. Widząc wchodzącego Rastignaca, wstała, podeszła ku nam, uśmiechnęła się z wdziękiem, rzuciła mi melodyjnym głosem parę pochlebnych słów z pewnością przygotowanych. Przyjaciel nasz oznajmił mnie jako wschodzący talent, a zręczność jego, jego gaskońska swada, zjednały mi sympatyczne przyjęcie. Stałem się przedmiotem powszechnej uwagi, co mnie zawstydziło; szczęściem Rastignac wspomniał o mej skromności. Spotkałem tam uczonych, pisarzy, ex-ministrów, parów Francji. W chwilę po moim zjawieniu rozmowa potoczyła się swoim torem; czując, że trzeba mi podtrzymać moją reputację, skupiłem się; po czym, nie nadużywając głosu, skoro mi przypadł, starałem się w słowach mniej lub więcej ciętych, głębokich lub dowcipnych ująć dyskusję. Zrobiłem pewne wrażenie. Po raz tysiączny

w życiu Rastignac był prorokiem. Skoro salony napełniły się na tyle, aby każdy odzyskał swobodę ruchu, przewodnik mój ujął mnie pod ramię, aby mnie oprowadzić po salonach.

— Nie zdradzaj zbytniego zachwytu hrabiną — rzekł — odgadłaby powód odwiedzin.

Salony były urządzone z najwyszukańszym smakiem. Ujrzałem wyborne obrazy. Każdy pokój miał, jak u najzamożniejszych Anglików, swój odrębny charakter: jedwabne obicia, ornamenty, kształt mebli, najdrobniejszy szczegół, wszystko harmonizowało z zasadniczą intencją. W gotyckim buduarze, którego drzwi ginęły za ciężkimi oponami, obicia, zegar, wzory dywanów były gotyckie; sufit przecięty ciemnymi rzeźbionymi belkami ściągał oko płaszczyznami pełnymi wdzięku i oryginalności; boazerie artystycznie zdobione; nic tu nie psuło harmonii, nawet okna o barwnych i drogocennych witrażach. Zdumiałem się na widok nowoczesnego saloniku, w którym artysta rozwinął całą dzisiejszą sztukę dekoracyjną, tak lekką, miłą, powabną, dyskretną, oszczędną w złoceniach. Panowała tam czuła i mglista atmosfera niemieckiej ballady, mała świątynia miłości z roku 1827. Żardiniery pełne rzadkich kwiatów rozlewały woń. Dalej, za tym salonem, w amfiladzie ujrzałem złocony pokój w stylu Ludwika XIV; w zestawieniu z naszym współczesnym zdobnictwem, tworzył dziwny, ale miły kontrast.

— Mieszkanko miałbyś wcale niezłe — rzekł Rastignąc z uśmiechem, w którym przebijała lekka ironia. — Czy to nie jest pokusa? — dodał, siadając.

Naraz wstał, wziął mnie za rękę, zaprowadził do sypialni i pokazał pod baldachimem z białego muślinu i białej mory rozkoszne, łagodnie oświetlone łóżko, istne łóżko młodej wróżki zaręczonej z duchem.

— Czy to nie jest — wykrzyknął z cicha — nadmiar bezwstydu, zalotności i zuchwalstwa, aby nam pozwolić podziwiać ten tron miłości? Nie oddać się nikomu, a pozwolić każdemu złożyć tu swój bilet wizytowy! Gdybym był wolny, chciałbym widzieć tę kobietę złamaną, płaczącą pod mymi drzwiami...

— Jesteś więc tak pewny jej cnoty?

— Najśmielsi z naszych don Juanów, ba nawet najzręczniejsi, wyznają, że przegrali z nią sprawę, kochają się w niej jeszcze i są jej oddanymi przyjaciółmi. Czy ta kobieta nie jest zagadką?

Te słowa wtrąciły mnie w rodzaj pijaństwa, zazdrość moja już lękała się o przeszłość. Drżąc ze szczęścia, wróciłem spiesznie do salonu, gdzie zostawiłem hrabinę. Spotkałem ją w gotyckim buduarze. Zatrzymała mnie uśmiechem, posadziła przy sobie, zagadnęła o moje prace i zdawała się nimi żywo zainteresowana, zwłaszcza gdy jej zacząłem wykładać mój system żartobliwie, zamiast go uczenie rozwijać profesorskim językiem. Ubawiła ją wiadomość, że wola ludzka jest to materialna siła podobna do pary; że nic w świecie duchowym nie oprze się tej potędze, kiedy człowiek jakiś przyuczył się ją skupiać, rozrządzać jej sumą, kierować stale na dusze strumień tej płynnej masy; że człowiek ten może wedle chęci wszystko zmieniać odnośnie do ludzkości, nawet zasadnicze prawa natury. Zarzuty Fedory świadczyły o niejakiej inteligencji; na chwilę przyznałem jej słuszność, aby jej pochlebić, po czym zdruzgotałem jej kobiece rozumowania jednym słowem, zwracając uwagę na jakiś codzienny życiowy fakt, np. sen, fakt pospolity na pozór, ale w gruncie pełen zagadek niedocieczonych dla uczonego. Obudziłem jej ciekawość. Hrabina zadumała się chwilę, gdy rzekłem, że nasze myśli są to istoty uorganizowane, zupełne, które żyją w niewidzialnym świecie i wpływają na nasze losy. Na dowód przytoczyłem jej myśli Kartezjusza, Diderota, Napoleona, które prowadziły, które prowadzą jeszcze całą epokę. Miałem zaszczyt rozerwać tę damę; żegnając mnie, prosiła, abym ją odwiedził; mówiąc stylem dworskim, udzieliła mi wstępu na pokoje. Czy że wziąłem, wedle mego chwalebnego zwyczaju, formę grzeczności za głos serca, czy że Fedora ujrzała we mnie jakąś bliską sławę i chciała pomnożyć swoją galerię uczonych, zdawało mi się, żem zrobił dobre wrażenie.

Wezwawszy na pomoc wszystkie moje wiadomości fizjologiczne i dawne studia nad kobietą, rozważałem szczegółowo przez cały wieczór tę niezwykłą osobę i jej zachowanie; wpół ukryty we framudze, szpiegowałem jej myśli, szukając ich w jej zachowaniu, śledząc wszystkie manewry gospodyni domu, która chodzi, krąży, przysiada, rozmawia, przyzywa jakiegoś mężczyznę, zadaje mu pytanie i słucha wsparta o odrzwia... Chód jej miał coś tak miękkiego, omdlałego, falowanie sukni było tak wdzięczne, ona cała budziła tak potężne pragnienie, że zacząłem mocno powątpiewać o jej cnocie. Jeżeli Fedora

obca dziś była miłości, niegdyś musiała być bardzo namiętna. Wyrafinowanie rozkoszy malowało się wręcz w pozie, jaką przybierała, rozmawiając; opierała się zalotnie o drzwi, jak kobieta bliska upadku, ale zarazem gotowa do ucieczki, gdyby ją zatrwożyło żywsze spojrzenie. Z rękami miękko skrzyżowanymi, jak gdyby pijąc słowa, słuchając ich nawet spojrzeniem pełnym życzliwości, oddychała uczuciem, świeże i czerwone jej wargi odrzynały się od bardzo białej cery. Ciemne włosy jak gdyby podkreślały pomarańczowy kolor oczu cętkowanych żyłkami jak marmur florencki, których blask przydawał jeszcze wyrazu jej słowom. Wreszcie biust jej zdobny był w najpowabniejsze uroki. Rywalka zarzuciłaby może twardość gęstym brwiom zrośniętym na czole i zganiłaby niedostrzegalny puszek strojący owal twarzy. Wszędzie widziałem oddech namiętności. Miłość była wypisana na włoskich powiekach tej kobiety, na jej pięknych ramionach godnych milońskiej Wenery, w jej rysach, w jej dolnej wardze nieco wydatnej i lekko ocienionej. To była więcej niż kobieta, to był romans. Tak, ten przepych kobiecości, harmonijny całokształt linii, nadzieje, jakie te bujne kształty wróżyły namiętności, były złagodzone ciągłym panowaniem nad sobą, nadzwyczajną skromnością, które stanowiły sprzeczność z wyrazem całej osoby. Trzeba było obserwacji tak bystrej jak moja, aby w niej odkryć naturę stworzoną dla rozkoszy. Aby wyłożyć jaśniej moją myśl, były w Fedorze dwie kobiety, powyżej i poniżej pasa: jedna była zimna, jedynie głowa zdawała się zdolna do miłości; zanim zatrzymała oczy na mężczyźnie, przygotowywała spojrzenie, jak gdyby się działo coś tajemniczego w niej samej: rzekłbyś jakiś spazm tych tak błyszczących oczu. Słowem, albo moja wiedza była niedoskonała i miała jeszcze wiele tajemnic w świecie moralnym, albo też hrabina posiadała piękną duszę, a uczucia jej i ich promieniowanie dawały jej fizjognomii ten urok, który nas ujarzmia i czaruje, oddziaływanie na wskroś moralne i tym potężniejsze, iż spotyka się z sympatiami pragnienia. Wyszedłem zachwycony, porwany tą kobietą, upojony jej zbytkiem, drażniony we wszystkim, co moje serce miało szlachetnego, skażonego, dobrego, złego. Czując się tak wzruszonym, ożywionym, podnieconym, rozumiałem powab, który sprowadzał tam wszystkich tych artystów, dyplomatów, mężów stanu, tych finansistów o sercu wybitym blachą jak ich kasy: bez wątpienia szukali w niej owej wściekłej podniety, która napinała we mnie wszystkie siły mego jestestwa, smagała krew w najdrobniejszych żyłkach, drażniła najmniejszy nerw i tętniła w mózgu! Nie oddała się żadnemu, aby mieć wszystkich. Kobieta jest zalotna póty, póki nie kocha.

— Ba! — rzekłem do Rastignaca — może ją wydano albo sprzedano za mąż za jakiegoś starca i wspomnienie pierwszego małżeństwa zostawiło w niej wstręt do miłości.

Wróciłem pieszo z dzielnicy Saint-Honoré, gdzie mieszkała Fedora. Z jej pałacu na ulicę des Cordiers to prawie cały Paryż; droga wydała mi się krótka, mimo iż było zimno. Przystąpić do oblegania Fedory w zimie, ostrej zimie, gdy nie posiadałem ani trzydziestu franków, gdy oddalenie, które nas dzieliło było tak wielkie! Jedynie ubogi młodzieniec może wiedzieć, ile miłość pociąga wydatków na dorożki, rękawiczki, ubranie, bieliznę etc. Miłość, która jest nieco za długo platoniczną, staje się ruiną. Doprawdy, zdarza się w życiu studenckim materiał na Lauzuna, któremu niepodobna jest zbliżyć się do przedmiotu miłości mieszkającego na pierwszym piętrze! I jak mogłem ja, słaby, nikły, odziany skromnie, z bladą i wynędzniałą twarzą artysty świeżo po urodzeniu dzieła, walczyć z młodymi ludźmi pięknie uczesanymi, ładnymi, zręcznymi, w krawatach zdolnych przywieść do rozpaczy całą Kroację, bogatymi, zbrojnymi w powoziki i odzianymi w impertynencję.

— Ba! Fedora lub śmierć!... — wykrzyknąłem, mijając most. — Fedora to fortuna.

Piękny gotycki buduar i salon w stylu Ludwika XIV przewinęły mi się przed oczyma, ujrzałem hrabinę w białej sukni z obszernymi rękawami, jej wdzięczny chód i pokusy jej gorsu. Kiedym przybył na moje poddasze, gołe, zimne, zaniedbane jak peruka uczonego, otaczały mnie jeszcze obrazy zbytku Fedory. Kontrast ten był złym doradcą, zbrodnie muszą się rodzić w ten sposób. Przeklinałem wówczas, drżąc z wściekłości, moją skromną i uczciwą nędzę, moje płodne poddasze, gdzie wylęgło się tyle myśli. Zażądałem rachunku od Boga, od diabła, od społeczeństwa, od mego ojca, od całego świata za mój los, za moje nieszczęście; położyłem się zgłodniały, mamrocząc pocieszne przekleństwa, ale z mocnym postanowieniem zdobycia Fedory. To serce kobiece było ostatnim biletem na loterii mego losu.

Daruję ci pierwsze moje wizyty u Fedory, aby dojść do dramatu. Starając się trafić do duszy tej kobiety, próbowałem podbić jej umysł, znaleźć sprzymierzeńca w jej próżności.

Pragnąc, aby mnie pokochała, dostarczyłem jej tysiąc przyczyn podziwiania samej siebie. Nigdy nie zostawiałem jej w stanie obojętności; kobiety chcą wzruszeń za wszelką cenę, dawałem je jej; raczej byłbym ją rozzłościł, niż żeby miała być przy mnie obojętna. Jeżeli zrazu, ożywiony niezłomną wolą i pragnieniem zdobycia jej miłości, zyskałem nad nią wielką przewagę, niebawem namiętność moja wzrosła, straciłem panowanie nad sobą, wpadłem w szczerość, zgubiłem się i zakochałem się na śmierć. Nie bardzo wiem, co my w poezji lub w rozmowie nazywamy miłością; ale tego uczucia, które się rozwinęło nagle w mojej podwójnej naturze, nie znalazłem odmalowanego nigdzie, ani w retorycznych i wyszukanych frazesach Jana Jakuba Rousseau, którego może zajmowałem mieszkanie, ani w chłodnych koncepcjach dwu wieków naszej literatury, ani w obrazach włoskich mistrzów. Jedynie widok jeziora Brienne, parę motywów Rossiniego, *Madonna* Murilla będąca w posiadaniu marszałka Soult, listy Marii Lescorabat, parę słów rozsypanych w zbiorze anegdot, ale zwłaszcza modlitwy mistyków i parę ustępów z naszych klechd, zdołały mnie przenieść w boskie regiony mej pierwszej miłości. Żaden język ludzki, żadne tłumaczenie myśli dokonane za pomocą barw, marmurów, słów albo dźwięków, nie zdołałyby oddać nerwu, prawdy, skończoności, nagłości uczucia rodzącego się w duszy! Tak! Kto mówi *sztuka*, mówi kłamstwo. Miłość przechodzi nieskończone przeobrażenia, zanim się splecie trwale z naszym życiem i zabarwi je na zawsze kolorem płomienia. Tajemnica tego niedostrzegalnego przenikania umyka się rozbiorowi artysty. Prawdziwa namiętność wyraża się za pomocą krzyków, westchnień, nudnych dla obojętnego człowieka. Trzeba szczerze kochać, aby współdźwięczeć z wykrzykami Lowelasa, gdy się czyta *Klaryssę Harlowe*. Miłość jest to naturalne źródło, płynące zrazu łożyskiem z mchu, kwiatów i żwiru; później jako strumień, później jako rzeka, zmienia charakter swój i postać z każdą falą i wpada do niezmierzonego oceanu, w którym miałkie dusze widzą monotonię, a w którym wielkie dusze topią się w wiekuistej zadumie.

Jak ważyć się opisać te przejściowe odcienie uczucia, te drobnostki mające taką wartość, te słowa, których akcent wyczerpuje skarby mowy, te spojrzenia płodniejsze niż najbogatsze poematy? W każdej z mistycznych scen wówczas, gdy zakochujemy się nieznacznie w kobiecie, otwiera się otchłań zdolna pomieścić wszystkie ludzkie poezje. Och! I jakże moglibyśmy oddać w słowie żywe i tajemnicze drgnienia duszy, skoro nam brak wyrazów dla odmalowania widzialnych tajemnic piękności? Cóż za urzeczenie! Ileż godzin spędziłem zatopiony w niewysłowionej ekstazie, pochłonięty *widzeniem jej*! Czułem się szczęśliwy; czym? — nie wiem. W tych chwilach, jeżeli twarz jej była zalana światłem, spełniało się jakieś zjawisko, które dobywało z niej blask; niedostrzegalny puszek złocący cienką i delikatną skórę rysował miękko kontury, z wdziękiem, który podziwiamy w odległych liniach horyzontu, kiedy się gubi w słońcu. Zdawałoby się, że jasność dnia pieści ją, stapiając się z nią w jedno, lub też że z promiennej jej twarzy wydziela się światło żywsze niż samo światło; to znów cień, spływając po tej słodkiej twarzy, barwił ją zmieniając odcienie jej wyrazu. Często jak gdyby jakaś myśl malowała się na jej marmurowym czole; oko ciemniało, powieki drgały, rysy falowały poruszane uśmiechem; inteligentny koral jej warg ożywiał się, zwijał, rozwijał; odblask włosów rzucał ciemne tony na jej świeże skronie; a każda z tych zmian mówiła. Chciałem czytać uczucie, nadzieję we wszystkich tych fazach jej twarzy. Te nieme rozmowy przechodziły z duszy w duszę jak dźwięk w echo, dając mi ulotne radości, które zostawiały głębokie wrażenie. Głos jej wprawiał mnie w jakieś szaleństwo, które zaledwie mogłem zdławić. Za przykładem nie wiem już którego księcia Lotaryngii, mógłbym nie czuć gorejącego węgla w dłoni w czasie, gdy ona przesuwałaby swoje drażniące palce w moich włosach. To już nie był zachwyt, pragnienie, ale urok, fatalność. Często, wróciwszy na swoje poddasze, widziałem mglisto Fedorę, jej dom i uczestniczyłem poniekąd w jej życiu; jeżeli ona cierpiała, i ja cierpiałem, i mówiłem jej nazajutrz:

— Pani cierpiała!

Ileż razy przyszła w ciszy nocnej, wywołana potęgą mego zachwycenia! To szybka jak promień światła, wytrącała mi pióro, płoszyła naukę i pracę, które umykały zrozpaczone; kazała mi się podziwiać, przybierając kuszącą pozę, w której widziałem ją niedawno. To znów ja szedłem naprzeciw niej w świat zjaw i pozdrawiałem ją jak nadzieję, prosząc, aby mi dała słyszeć swój srebrny głos; po czym budziłem się, płacząc. Jednego dnia, przyrzekłszy pójść ze mną do teatru, nagle pod wpływem kaprysu zmieniła zamiar i prosiła,

abym zostawił ją samą. Zrozpaczony tym zawodem, który mnie kosztował dzień pracy i — mamż powiedzieć? — mego ostatniego talara, udałem się tam, gdzie ona miała być ze mną, chcąc ujrzeć sztukę, którą ona pragnęła widzieć. Ledwie zająłem miejsce, uczułem w sercu jakby wstrząśnienie elektryczne. Jakiś głos powiedział mi: „Ona tu jest!". Odwracam się, widzę hrabinę w parterowej loży, ukrytą w głębi, w cieniu. Spojrzenie moje nie zawahało się, oczy znalazły ją natychmiast z bajeczną jasnością widzenia, dusza moja poleciała ku jej życiu jak owad leci ku swemu kwiatowi. Skąd zmysły moje dowiedziały się o tym? Istnieją owe tajemnicze drgania, które mogą zdziwić ludzi powierzchownych, ale te oddziaływania naszej wewnętrznej natury są równie proste jak codzienne zjawiska naszego zewnętrznego wzroku; toteż nie uczułem zdziwienia, ale przykrość. Moje studia nad naszą siłą moralną, tak mało znaną, zdały się bodaj na to, aby mi pozwolić odnaleźć w mej namiętności żywe dowody mego systemu. To skojarzenie uczonego i kochanka, istnego bałwochwalstwa oraz miłości nauki, miało coś bardzo osobliwego. Nauka była często rada z tego, co doprowadzało kochanka do rozpaczy; kiedy zaś ów czuł się bliskim tryumfu, z radością odtrącał precz od siebie naukę. Fedora dostrzegła mnie i spoważniała; krępowałam ją. Po pierwszym akcie złożyłem jej wizytę; była sama, zostałem. Mimo że nie mówiliśmy nigdy dotąd o miłości, przeczułem wyjaśnienie. Nie odsłoniłem jej jeszcze mego sekretu, a mimo to istniało między nami jakby jakieś oczekiwanie: ona zwierzała mi swoje projekty zabaw i pytała mnie w wilię, z odcieniem przyjaznego niepokoju, czy przyjdę nazajutrz; radziła się mnie spojrzeniem, kiedy powiedziała coś dowcipnego, jak gdyby chciała się podobać wyłącznie mnie; kiedym ja się dąsał, stawała się przymilna; kiedy ona się gniewała, miałem prawo spytać o powód; jeżeli coś przewiniłem, kazała się długo błagać o przebaczenie. Sprzeczki te, w których zasmakowaliśmy oboje, oddychały miłością. Rozwijała w nich tyle wdzięku i zalotności, a ja znajdowałem w nich tyle szczęścia! W tej chwili zażyłość nasza przerwała się zupełnie, znaleźliśmy się naprzeciw siebie jak dwoje obcych. Hrabina była lodowata, ja przeczuwałem nieszczęście.

— Niech pan będzie tak dobry mnie odwieźć — rzekła po przedstawieniu.

Czas odmienił się nagle. Skorośmy wyszli z teatru, padał śnieg z deszczem. Powóz Fedory nie mógł dotrzeć do samej bramy. Widząc dobrze ubraną kobietę, zmuszoną przejść przez szerokość bulwaru, posługacz rozpiął nad nami parasol; skorośmy wsiedli, zażądał zapłaty za swoją usługę. Nie miałem nic, w tej chwili byłbym sprzedał dziesięć lat życia, aby mieć dwa su. Wszystko, co składa człowieka i jego tysiąc próżności skręciło się we mnie od piekielnego bólu. Rzekłem: „Nie mam drobnych, mój przyjacielu!", a słowa te zabrzmiały twardo, niecierpliwie; i wyrzekłem je ja, brat tego człowieka, ja, który znałem tak dobrze nieszczęście! Ja, który niegdyś oddałem tak łatwo siedemset tysięcy franków! Lokaj odepchnął biedaka i konie ruszyły z kopyta. Po drodze Fedora, roztargniona lub udająca zamyślenie, odpowiadała wzgardliwymi monosylabami na moje pytania. Zamilkłem. Była to straszna chwila. Znalazłszy się u niej, siedliśmy przy kominku. Skoro lokaj oddalił się, poprawiwszy ogień, hrabina zwróciła się do mnie z zagadkowym wyrazem twarzy i rzekła poważnie:

Kobieta demoniczna

— Od chwili mego powrotu do Francji majątek mój skusił niejednego młodego człowieka; słyszałam wyznania miłości, które mogły zadowolić mą dumę; spotkałam ludzi, których przywiązanie było tak szczere i głębokie, iż byliby mnie poślubili nawet jako biedną dziewczynę, jaką byłam niegdyś. Wreszcie, trzeba to panu wiedzieć, panie de Valentin, ofiarowano mi nowe bogactwa i nowe tytuły; ale trzeba panu także wiedzieć, że nigdy nie ujrzałam już na oczy tych, którzy byli na tyle nierozsądni, aby mi mówić o miłości. Gdyby mi pan był obojętny, nie udzieliłabym panu tej przestrogi, w której więcej mieści się przyjaźni niż dumy. Kobieta wystawia się na afront wówczas, gdy, przypuszczając, że jest kochana, broni się z góry przed tym zawsze pochlebnym uczuciem. Znam role Arsinoe, Araminty[10], toteż oswoiłam się z odpowiedzią, jaką mogę usłyszeć w podobnych okolicznościach; ale dziś mam nadzieję, iż człowiek taki jak pan nie osądzi mnie źle za to, że ukazałam mu szczerze swą duszę.

Mówiła to z zimną krwią adwokata lub rejenta wykładającego klientom szczegóły procesu lub punkty kontraktu. Jasny i luby dźwięk jej głosu nie zdradzał najmniejszego wzruszenia; jedynie fizjonomia jej i wzięcie, zawsze szlachetne i skromne, robiły wrażenie

[10]*Arsinoe, Araminta* — bohaterki utworów Moliera i Marivaux. [przypis tłumacza]

dyplomatycznej oschłości i chłodu. Z pewnością obmyśliła te słowa i ułożyła program tej sceny. Och! Drogi przyjacielu, są kobiety, które, kiedy znajdują przyjemność w tym, aby nam rozdzierać serce, kiedy z umysłu topią w nim sztylet i obracają go w ranie, wówczas są urocze, kochają lub chcą być kochane! Pewnego dnia nagrodzą nas za nasz ból, tak jak Bóg ma podobno nagrodzić nasze dobre uczynki; stokrotnie płacą nam rozkoszą cierpienie, którego siłę umieją ocenić: okrucieństwo ich czyż nie jest pełne uczucia? Ale znosić tortury z rąk kobiety, która zabija nas z całą obojętnością, czyż to nie jest okropna męczarnia? W tej chwili Fedora deptała, sama nie wiedząc o tym, wszystkie me nadzieje, łamała moje życie i niszczyła mą przyszłość z zimną obojętnością i niewinnym okrucieństwem dziecka, które przez ciekawość rozdziera skrzydła motyla.

— Z czasem — dodała Fedora — uzna pan, mam nadzieję, rzetelne przywiązanie, które ofiarowuję moim przyjaciołom. Dla nich zawsze mnie pan znajdzie dobrą i oddaną. Umiałabym im oddać życie, ale gardziłby pan mną, gdybym cierpiała ich miłość, nie dzieląc jej. Na tym kończę. Pan jest jedynym człowiekiem, który dotąd usłyszał ode mnie te ostatnie słowa.

Zrazu odjęło mi mowę, zaledwie zdołałem opanować huragan, który wzbierał we mnie; ale niebawem zdławiłem moje uczucia w głębinach duszy i uśmiechnąłem się:

— Jeżeli powiem, że panią kocham — odparłem — skaże mnie pani na wygnanie; jeżeli okażę obojętność, zemści się pani za to. Księża, sędziowie i kobiety nigdy nie zrzucają zupełnie swej sukni. Milczenie nie przesądza niczego; niech pani pozwoli, że zmilczę. Skoro mi pani udziela tak braterskiej przestrogi, znaczy to, że się mnie pani lęka stracić; ta myśl mogłaby wystarczyć mej dumie. Ale zostawmy sprawy osobiste. Jest pani może jedyną kobietą, z którą można filozoficznie roztrząsać postanowienie tak sprzeczne z prawami natury. W zestawieniu z innymi egzemplarzami pani gatunku jest pani fenomenem. Szukajmy tedy razem, z dobrą wiarą, przyczyn tej fizycznej anomalii. Czy istnieje w pani — jak w wielu kobietach dumnych z samych siebie, rozkochanych we własnej doskonałości — uczucie wyrafinowanego egoizmu, które każe pani wzdrygać się przed myślą, iż mogłabyś należeć do mężczyzny, wyrzec się swej woli i poddać się urojonej, a drażniącej panią wyższości? Zyskałaby pani w mych oczach tysiąc nowych uroków! Czyżby pierwszym razem miłość obeszła się z panią okrutnie? A może cena, jaką pani musi przywiązywać do swej wytwornej kibici, do swego rozkosznego biustu, każe się pani lękać trudów macierzyństwa: czy to nie jest może najważniejszy z owych tajemnych powodów, dla których bronisz się przed zbyt przekonywującą miłością? Czy ma pani jaką ułomność, która cię czyni cnotliwą mimo chęci?... Niech się pani nie gniewa, ja roztrząsam, badam, jestem o tysiąc mil od miłości. Natura, która stwarza ślepych od urodzenia, może wszak stworzyć kobiety głuche, nieme i ślepe w tym względzie. W istocie, jest pani cennym przedmiotem dla obserwacji lekarskiej! Nie zna pani całej swej wartości. Może pani mieć usprawiedliwiony wstręt do mężczyzn; uznaję to, wydają mi się wszyscy brzydcy i wstrętni. Ma pani słuszność — dodałem, czując, że serce mi się ściska — musisz nami gardzić; nie istnieje mężczyzna, który by był godny pani!

Nic powtórzę ci wszystkich sarkazmów, które wysypałem na nią, śmiejąc się. I ot, najbardziej zatrute słowo, najostrzejsza ironia, nie wyrwały jej najmniejszego odruchu ani gestu oburzenia. Słuchała, zachowując na wargach, w oczach, swój zwykły uśmiech, ten uśmiech, który wkładała jak suknię, zawsze ten sam dla przyjaciół, dla prostych znajomych, dla obcych.

— Czy nie jestem bardzo poczciwa, że pozwalam się sekcjonować w ten sposób? — rzekła, korzystając z chwili, gdy ja patrzyłem na nią w milczeniu. — Widzi pan — ciągnęła z uśmiechem — przyjaźń moja wolna jest od niemądrej drażliwości. Wiele kobiet skarałoby pana impertynencje zamykając panu drzwi swego domu.

— Może mnie pani wypędzić, nie podając przyczyn swej surowości.

To mówiąc, czułem się gotów zabić ją, gdyby mnie odprawiła.

— Szaleniec z pana — rzekła z uśmiechem.

— Czy pani kiedy pomyślała — ciągnąłem — o skutkach gwałtownej miłości? Człowiek w rozpaczy nieraz zamordował kobietę, którą kochał.

— Lepiej być martwą niż nieszczęśliwą — odparła zimno. — Człowiek tak namiętny z pewnością kiedyś opuści żonę i zostawi ją na bruku, strwoniwszy jej majątek.

Ta arytmetyka ogłuszyła mnie. Ujrzałem jasno przepaść między tą kobietą a mną. Nie było między nami możności porozumienia się.

— Żegnam panią — rzekłem zimno.

— Żegnam pana — odparła, skłaniając przyjacielsko głowę. — Do jutra.

Miłość, Strój, Pieniądz, Bogactwo, Bieda, Kobieta, Mężczyzna, Obyczaje

Patrzałem na nią chwilę, śląc jej całą ową miłość, której się wyparłem. Ona stała, rzucając mi swój banalny uśmiech, ów wstrętny uśmiech marmurowego posągu, wyrażający jak gdyby miłość, ale zimny. Czy zrozumiesz, mój drogi, wszystkie męczarnie, jakie mnie szarpały, gdy wracałem do domu w śnieg i w deszcz, idąc milę po gołoledzi, straciwszy wszystko? Och! Wiedzieć, że ona nawet nie pomyśli o mej nędzy i sądzi, że jestem jak ona bogaty, że kołyszę się miękko w powozie! Ileż ruin i zawodów! Nie chodziło już o pieniądze, ale o wszystkie skarby mej duszy. Szedłem na oślep, rozbierając w duchu słowa tej dziwnej rozmowy, gubiąc się w komentarzach tak, że w końcu wątpiłem o potocznej wartości słów i myśli! I wciąż kochałem, kochałem tę zimną kobietę, której serce trzeba było zdobywać ciągle i która, wciąż mażąc wczorajsze obietnice, jawiła się nazajutrz jak nowa kochanka. Kiedy skręcałem pod bramami Instytutu, chwyciła mnie gorączka. Przypomniałem sobie wówczas, że jestem na czczo. Nie miałem ani szeląga. Na domiar nieszczęścia deszcz wykoślawił mi kapelusz. Jak teraz zjawić się w domu wykwintej kobiety, jak się pokazać w salonie bez przyzwoitego kapelusza! Dzięki nadzwyczajnym wysiłkom, przeklinając głupią i niedorzeczną modę, która każe wystawiać na pokaz kapelusz, obnosząc go w ręku, zdołałem utrzymać dotąd moje nakrycie głowy bodaj w możliwym stanie. Nie był ani bezczelnie nowy, ani beznadziejnie stary; ani wytarty, ani zbyt lśniący; ot, mógł uchodzić za kapelusz dbającego o siebie człowieka; ale teraz jego sztuczne bytowanie doszło swego ostatecznego kresu, był chory, zniszczony, skończony, istny łachman, godny przedstawiciel swego pana. Dla braku półtora franka zniweczyłem moją pracowitą elegancję. Ach! Ileż nieznanych ofiar poniosłem dla Fedory od trzech miesięcy! Często pieniądze przeznaczone na całotygodniowy chleb poszły na to, aby ją zobaczyć przez chwilę. Zaniedbywać moje prace i głodzić się, to było jeszcze nic! Ale przebywać ulice Paryża, unikając ochlapania, biec, aby umknąć przed deszczem, zjawić się u niej ubrany równie dobrze jak lalusie, którzy ją otaczali — och! dla zakochanego i roztargnionego poety zadanie to przedstawiało nieprzeliczone trudności. Moje szczęście, moja miłość zależały od pryśnięcia błotem na moją jedyną białą kamizelkę! Wyrzec się jej widoku, gdybym się powalał, gdybym zmókł! Nie mieć pięciu su, aby dać sobie oczyścić najlżejszą plamkę na trzewikach! Miłość moja rosła od wszystkich tych drobnych nieznanych tortur, olbrzymich dla nerwowego artysty. Nieszczęśliwi kochankowie ponoszą ofiary, o których nie wolno wspominać kobietom żyjącym w sferze zbytku i elegancji; widzą one świat poprzez pryzmat barwiący złotem ludzi i rzeczy. Optymistki z egoizmu, okrutne przez dobry ton, kobiety wyrzekają się zastanowienia w imię swoich przyjemności; gorączka uciech rozgrzesza je z ich obojętności na nieszczęście. Dla nich szeląg nigdy nie jest milionem, to raczej milion wydaje się im szelągiem. Jeżeli miłość musi bronić swej sprawy wielkimi ofiarami, musi zarazem pokrywać je delikatną zasłoną, spowijać je milczeniem; ale rzucając na kartę majątek i życie, ludzie bogaci korzystają z przesądów światowych, które zawsze dają pewien blask ich miłosnym szaleństwom; dla nich milczenie mówi, a zasłona jest wdziękiem, podczas gdy moja okropna dola skazywała mnie na przerażające męczarnie, nie pozwalając mi rzec: „Kocham!" albo „Umieram!". Czyż nie wynagradzała mnie hojnie przyjemność, jaką mi sprawiało to, że poświęcam *jej* wszystko? Hrabina przydała wartości najpospolitszym wydarzeniom mego życia, związała z nimi niewymowne rozkosze. Niegdyś obojętny w kwestii stroju, obecnie szanowałem moje ubranie jak drugiego siebie. Mając do wyboru: otrzymać ranę albo rozedrzeć frak, nie byłbym się zawahał! Wejdź tedy w moje położenie i zrozum wszystkie szaleństwa myśli, rosnącą gorączkę, jaka miotała mną przez całą drogę, podsycana może jeszcze ruchem! Doznawałem jakiejś piekielnej przyjemności, czując się na szczycie niedoli. Chciałem widzieć jakąś wróżbę odmiany w tym ostatnim przesileniu, ale nieszczęście ma skarby bez dna. Drzwi hoteliku były uchylone. Przez otwór w okiennicy wycięty w kształt serca ujrzałem światło. Paulina, czekając na mnie, rozmawiała z matką. Usłyszawszy moje imię, przystanąłem.

— Rafael — mówiła Paulina — jest o wiele przystojniejszy niż student spod siódmego. Ma takie ładne włosy blond! Czy nie uważasz, że w głosie jego jest coś dziwnego,

co wnika do serca? A przy tym, mimo że wydaje się nieco dumny, jest tak dobry, tak wytworny w obejściu! Och, naprawdę, może się podobać! Jestem pewna, że wszystkie kobiety muszą szaleć za nim.

— Mówisz tak, jakbyś go kochała — zauważyła pani Gaudin.

— Och, kocham go jak brata — odparła śmiejąc się. — Byłabym bardzo niewdzięczna, gdybym nie płaciła mu sympatią! Czyż nie nauczył ranie muzyki, rysunków, gramatyki, słowem wszystkiego, co umiem? Ty niewiele zwracasz uwagi na moje postępy, mamusiu; ale ja się robię tak uczona, że niedługo sama będę dawać lekcje, a wówczas będziemy mogły trzymać służącą.

Cofnąłem się nieznacznie, po czym robiąc umyślnie nieco hałasu, wszedłem do sali, aby wziąć lampę. Paulina wstała, aby mi ją zaświecić. Biedne dziecko rozlało rozkoszny balsam na moje rany. Ta naiwna pochwała mej osoby dodała mi nieco otuchy. Potrzebowałem wierzyć w samego siebie i usłyszeć bezstronny sąd o mej istotnej wartości. Nadzieje moje, podsycone w ten sposób, rzuciły może odblask na to, co mnie otaczało. Może też i nigdy nie przyjrzałem się scenie, którą dość często nastręczały mym oczom dwie mieszkanki tej sali; ale w tej chwili podziwiałem w naturze najrozkoszniejszy obrazek rodzajowy, z taką prostotą odtwarzany przez malarzy flamandzkich. Matka, siedząc przy na wpół zagasłym kominku, robiła pończochę z poczciwym uśmiechem na ustach. Paulina malowała ekraniki; farby, pędzle rozłożone na stoliku bawiły oko żywymi kontrastami. Gdy wstała i podeszła, aby zapalić moją lampę, całe światło padło na jasną twarzyczkę; trzeba było być opętanym straszliwą namiętnością, aby nie podziwiać jej przeźroczystych i różowych rączek, jej idealnej głowy i dziewiczej kibici! Noc i cisza spowiły swoim urokiem to pracowite czuwanie, ten zakątek oddychający spokojem. Ta nieustanna, a tak wesoło dźwigana praca świadczyła o pobożnej i pełnej wzniosłych uczuć rezygnacji. Między sprzętami a ludźmi istniała tu jakaś nieokreślona harmonia. U Fedory zbytek był suchy, budził we mnie złe myśli; natomiast owa pokorna nędza i uczciwa prostota orzeźwiały moją duszę. Może czułem się upokorzony w obliczu zbytku; tu, z tymi dwiema kobietami, w tej ciemnej izbie, gdzie życie sprowadzone do prostych form kryło się niejako w zaciszach serca, odzyskiwałem pewność siebie, mogąc roztaczać tę opiekę, tę wyższość, którą mężczyzna tak bardzo lubi dawać uczuć. Kiedym się znalazł blisko Pauliny, objęła mnie spojrzeniem niemal macierzyńskim i drżącymi rękami stawiając lampę, wykrzyknęła:

— Boże! Jakiż pan blady! Och! Cały mokry! Mama osuszy pana... Panie Rafaelu — dodała po małej pauzie — pan lubi mleko, dostałam dziś wieczór śmietankę, czy zechce pan skosztować?

Poskoczyła jak młody kociak do porcelanowego garnuszka pełnego mleka i podała mi go tak żywo, podsunęła mi go pod nos tak milutkim gestem, żem się zawahał.

— Odmówi pan? — rzekła zmienionym głosem.

Nasze dwie dumy zrozumiały się: Paulina cierpiała w swoim ubóstwie i wyrzucała mi mą hardość. Wzruszyłem się. Ta śmietanka, to było może jej jutrzejsze śniadanie; mimo to przyjąłem. Biedna dziewczyna siliła się ukryć radość, która iskrzyła się w jej oczach.

— Potrzebowałem tego — rzekłem, siadając. (Wyraz troski przesunął się po jej czole.) — Czy pamiętasz, Paulino, ten ustęp, gdzie Bossuet maluje nam Boga nagradzającego szklankę wody hojniej niż wygraną bitwę?

— Tak — odparła.

I łono jej biło jak pierś młodej ptaszyny w dłoni dziecka.

— A więc, ponieważ rozstaniemy się niebawem — dodałem niepewnym głosem — pozwól mi wyrazić moją wdzięczność za dobroć, jakąście mi obie z matką okazywały.

— Och, nie rachujmy się — odparła ze śmiechem.

Śmiech jej krył wzruszenie, które mi sprawiło ból.

— Mój fortepian — ciągnąłem, jakby nie słysząc jej słów — to jeden z najlepszych instrumentów Erarda, przyjm go. Weź go bez skrupułów, nie mógłbym go doprawdy zabrać w podróż, w którą się wybieram.

Oświecone może akcentem melancholii, z jakim wymówiłem te słowa, Paulina i jej matka zrozumiały mnie widocznie; spoglądały na mnie z ciekawością i grozą. Przywiąza-

nie, którego szukałem w zimnych strefach wielkiego świata, było tedy tutaj, szczere, bez blasku, ale serdeczne, a może i trwałe.

— Nie trzeba tak się trapić — rzekła matka. — Niech pan zostanie z nami. Mąż mój jest w tej chwili w drodze — dodała. — Czytałam dziś wieczór Ewangelię Św. Jana, podczas gdy Paulina trzymała na nitce klucz przywiązany do Biblii: klucz obrócił się. Ta wróżba świadczy, że Gaudin jest zdrów i że mu się dobrze powodzi. Paulina powtórzyła tę wróżbę dla pana i dla młodego lokatora spod siódemki, ale klucz obrócił się tylko dla pana. Będziemy wszyscy bogaci. Mąż wróci milionerem; widziałam go we śnie na okręcie pełnym wężów; na szczęście woda była mętna, co oznacza złoto i zamorskie kamienie.

Te przyjazne i szczere słowa, podobne jakiejś piosnce, którą matka usypia smutki swego dziecka, wróciły mi nieco spokoju. Akcent i spojrzenie zacnej kobiety tchnęły ową poczciwą serdecznością, która nie usuwa zgryzoty, ale uśmierza ją, odurza i koi. Paulina, przenikliwsza od matki, badała mnie z niepokojem; inteligentne jej oczy zdawały się odgadywać moje życie i przyszłość. Podziękowałem obu kobietom skinieniem głowy; po czym uciekłem, obawiając się rozczulić. Kiedy się znalazłem sam na poddaszu, zanurzyłem się w mojej niedoli. Moja nieszczęsna wyobraźnia kreśliła mi tysiąc projektów nietrzymających się ziemi i podsunęła mi niemożliwe pomysły. Kiedy człowiek wlecze życie wśród szczątków swej fortuny, znajduje jeszcze to i owo; ale ja nie miałem nic. Ach! mój drogi, zbyt łatwo oskarżamy nędzę. Bądźmy pobłażliwi dla skutków społecznych tego najsilniejszego ze środków rozkładu. Tam, gdzie włada nędza, nie ma już ani wstydu, ani zbrodni, ani cnoty, ani inteligencji. Byłem wówczas bez myśli, bez siły, jak młoda dziewczyna padająca na kolana przed tygrysem. Człowiek z wolnym sercem, a bez pieniędzy pozostaje panem swojej osoby; ale nędzarz, który kocha, nie należy już do siebie i nie może się zabić. Miłość daje nam jakąś cześć dla nas samych, szanujemy w sobie drugie życie; staje się ona wówczas najokropniejszym z nieszczęść, nieszczęściem z nadzieją, nadzieją, która nam każe znosić tortury. Usnąłem z myślą opowiedzenia nazajutrz Rastignacowi osobliwego wyroku Fedory.

— Ha! ha! — rzekł Rastignac, gdym się zjawił u niego nazajutrz o dziewiątej rano — wiem, co cię sprowadza: Fedora musiała cię przepędzić. Jakieś poczciwe duszyczki, zazdrosne o twój wpływ na hrabinę, rozpuściły wiadomości o waszym małżeństwie. Bóg wie, o jakie szaleństwa pomówili cię rywale i jakich potwarzy stałeś się przedmiotem!

— Wszystko się tedy tłumaczy! — wykrzyknąłem.

Przypomniałem sobie moje zuchwalstwa i hrabina wydała mi się wzniosła. Uznałem, że jestem bezecnikiem, który jeszcze nie dość wycierpiał, w pobłażaniu jej widziałem już tylko dobroć tkliwego serca.

— Nie galopuj tak — rzekł roztropny Gaskończyk. — Fedora posiada wrodzoną przenikliwość kobiet głęboko samolubnych; przejrzała cię może w chwili, gdy widziałeś w niej jeszcze tylko majątek i wykwint; mimo twego sprytu, czytała może w twojej duszy. Jest dość fałszywa, aby żaden fałsz nie ostał się przed nią. Boję się — dodał — żem cię pchnął na złą drogę. Mimo całego poloru umysłu i form, wygląda mi ona na despotkę, jak wszystkie kobiety, które używają życia jedynie głową. Dla niej całe szczęście mieści się w dobrobycie, w przyjemnościach towarzyskich, uczucie jest dla niej rolą. Unieszczęśliwiłaby cię, zrobiłaby z ciebie swojego lokaja...

Rastignac rzucał groch o ścianę. Przerwałem mu, przedstawiając mu z pozornym humorem moje położenie finansowe.

— Wczoraj wieczór — odparł — karcięta zabrały mi wszystko, co miałem do rozporządzenia. Gdyby nie ta banalna katastrofa, chętnie bym z tobą podzielił moją sakiewkę. Ale chodźmy gdzie na śniadanie, ostrygi podszepną nam może jaką dobrą radę.

Ubrał się, kazał zaprząc swój kabriolecik; po czym podobni dwóm milionerom przybyliśmy do *Cafe de Paris*, z czelnością owych zuchwałych spekulantów, którzy żyją na koszt fikcyjnych kapitałów. Ten diabeł Gaskończyk przygniatał mnie swoją swobodą i niezmąconą pewnością siebie. W chwili, gdy piliśmy kawę, skończywszy bardzo wykwintne i umiejętnie zadysponowane śniadanko, Rastignac, który rozdawał skinienia głowy rozmaitym młodym ludziom zalecającym się zarówno miłą powierzchownością jak wykwintem stroju, rzekł na widok jednego z tych dandysów:

— Oto coś dla ciebie.

To mówiąc, dał znak głową gentlemanowi w pięknym krawacie, szukającemu widocznie miejsca, aby się doń zbliżył.

— Ten zuch — szepnął mi Rastignac do ucha — dostał krzyż za to, iż spłodził różne dzieła, których nie rozumie: jest chemikiem, historykiem, powieściopisarzem, publicystą; posiada czwartą, trzecią część, połowę praw do mnóstwa sztuk teatralnych, a jest ciemny jak oślica Balaama. To nie człowiek, to nazwisko, to etykieta znajoma publiczności. Toteż nie odważyłby się wejść do któregoś z owych gabinetów, gdzie widnieje nad drzwiami ten napis: *Tu można pisać samemu*. Jest sprytny tak, że wywiódłby w pole cały kongres dyplomatów. W dwóch słowach, jest to moralny metys, ani zupełnie uczciwy, ani zupełne ladaco. Ale sza! Pojedynkował się już, świat nie żąda więcej i powiada o nim: „To uczciwy człowiek".

— I cóż, drogi przyjacielu, szanowny przyjacielu, jak się miewa Wasza Inteligencja? — zagadnął Rastignac w chwili, gdy nieznajomy usiadł przy sąsiednim stole.

— Thi! Tak sobie. Jestem przeciążony pracą. Mam w ręku wszystkie materiały potrzebne do sporządzenia bardzo ciekawych pamiętników historycznych, a nie wiem, komu je przypisać. To mnie dręczy; trzeba się spieszyć, pamiętniki wyjdą z mody.

— Czy to współczesne pamiętniki, czy dawne, ze Dworu?... o czym?

— Sprawa Naszyjnika.

— Czyż to nie istny cud? — rzekł do mnie Rastignac, śmiejąc się.

Po czym, zwracając się do przedsiębiorcy:

— Pan de Valentin — dodał, wskazując na mnie — mój przyjaciel: przedstawiam go panu jako przyszłą sławę naszej literatury. Miał swego czasu ciotkę, bardzo dobrze postawioną na Dworze, margrabinę, i od dwóch lat pracuje nad rojalistyczną historią Rewolucji.

Po czym, nachylając się do ucha tego osobliwego handlarza, rzekł:

— To talent całą gębą, ale zarazem głuptasek, który gotów byłby sporządzić panu pańskie pamiętniki, imieniem swojej ciotki, po sto talarów za tom.

— Zgoda — odparł tamten, poprawiając krawatkę. — Garson, cóż moje ostrygi?

— Tak, ale da mi pan dwadzieścia pięć ludwików komisowego i zapłaci mu pan jeden tom z góry — dodał Rastignac.

— Ani mowy. Dam tylko pięćdziesiąt talarów, aby mieć pewność szybkiego otrzymania rękopisu.

Rastignac powtórzył mi z cicha tę handlową rozmowę. Po czym, nie pytając mnie o zdanie, odparł:

— Zgadzamy się. Kiedy będziemy mogli się z panem zobaczyć, aby dobić sprawy?

— Hm... Przyjdźcież tutaj na obiad jutro o siódmej.

Wstaliśmy. Rastignac rzucił napiwek garsonowi, włożył rachunek do kieszeni i wyszliśmy. Byłem zdumiony lekkością, beztroską, z jaką sprzedał moją czcigodną ciotkę, margrabinę de Montbauron.

— Wolę raczej jechać do Brazylii i uczyć tam Indian algebry, o której nie mam pojęcia, niż plamić nazwisko rodziny!

Rastignac przerwał mi, parskając śmiechem.

— Jakiś ty głuptas! Najpierw bierz pięćdziesiąt talarów i pisz pamiętniki. Kiedy je skończysz, nie zgodzisz się na wydanie ich pod nazwiskiem ciotki, fujaro! Pani de Montbauron, ofiara gilotyny, jej robrony, jej reputacja, uroda, szminki, jej pantofelki, warte są grubo więcej niż sześćset franków. Jeżeli tedy księgarz nie zechce zapłacić twojej ciotki wedle sprawiedliwej ceny, znajdzie jakiegoś starego kawalera świeżego powietrza albo jakąś niewyraźną hrabinę na firmę dla pamiętników.

— Och! — wykrzyknąłem — po cóż opuściłem moje cnotliwe poddasze? Świat oglądany od strony kulis jest bardzo plugawy!

— Dobryś — odparł Rastignac — mamy poezję, a chodzi o interes! Jesteś dzieckiem. Słuchaj: co się tyczy pamiętników, publiczność je osądzi; co się tyczy naszego literackiego rajfura, czyż nie stracił ośmiu lat życia i nie opłacił swoich stosunków księgarskich okrutnymi doświadczeniami? Jeżeli nierówno dzielicie pracę nad książką, czyż w zamian zysk twój nie jest większy? Dwadzieścia pięć ludwików to dla ciebie o wiele więcej niż

tysiąc franków dla niego. Et, możesz pisać pamiętniki — ostatecznie dzieło sztuki! — skoro Diderot mógł napisać sześć kazań za sto talarów.

— Ostatecznie — rzekłem wzruszony — to dla mnie kwestia bytu: toteż, mój poczciwy przyjacielu, winien ci jestem dzięki. Dwadzieścia pięć ludwików to dla mnie bogactwo...

— Większe niż mniemasz — odparł, śmiejąc się. — Jeżeli Finot daje mi porękawiczne za ten interes, czy nie domyślasz się, że ono będzie dla ciebie? Jedźmy do lasku bulońskiego — rzekł — ujrzymy tam twoją hrabinę, a ja ci pokażę przystojną wdówkę, którą mam zaślubić: urocza osoba, Alzatka, nieco przytłusta. Czytuje Kanta, Schillera, Jean Paula i mnóstwo książek *hydraulicznych*. Ma manię pytania mnie o zdanie; muszę udawać, że rozumiem wszystkie te sentymentalne niemczyzny, że znam mnóstwo ballad, wszystkie ziółka zabronione mi przez lekarzy. Nie mogłem jeszcze w niej wytępić entuzjazmów literackich, płacze jak bóbr, czytając Goethego i ja muszę także popłakiwać przez grzeczność, bo chodzi o pięćdziesiąt tysięcy franków renty, mój drogi, i najładniejszą nóżkę, najładniejszą rączkę pod słońcem!... Ach! gdyby tak nie mówiła *miłoździe i zerdze*, to byłby ideał kobiety!

Ujrzeliśmy hrabinę, świetną w świetnym ekwipażu. Kokietka odkłoniła się nam bardzo czule, rzucając mi uśmiech, który mi się wydał boski i pełen uczucia. Ach, byłem bardzo naiwny, wierzyłem, że jestem kochany, miałem pieniądze i skarby namiętności, koniec nędzy! Czułem się lekki, wesół, rad ze wszystkiego, kochanka mego przyjaciela wydała mi się urocza. Drzewa, powietrze, niebo, cała natura, powtarzały mi uśmiech Fedory. Wracając z Pól Elizejskich, wstąpiliśmy do kapelusznika i do krawca Rastignaca. Sprawa Naszyjnika pozwoliła mi porzucić mój nędzny rynsztunek wojenny. Odtąd mogłem bez obawy walczyć na wdzięk i elegancję z młodymi ludźmi kręcącymi się wokół Fedory. Wróciłem do domu, zamknąłem się, aby usiąść spokojnie na pozór przy okienku; ale w duchu żegnałem na wieki moje dachy, żyjąc przyszłością, dramatyzując moje życie, pijąc wyobraźnią miłość i jej rozkosze. Ach! Jakże burzliwe może być istnienie w czterech ścianach poddasza! Dusza ludzka to jest czarodziejka, zmienia słomę w diamenty; pod jej różdżką zaczarowane pałace wykwitają jak kwiaty pod gorącym tchnieniem słońca... Nazajutrz około południa Paulina zapukała do moich drzwi i przyniosła mi — zgadnij co? List od Fedory. Hrabina prosiła, abym wstąpił po nią do Luksemburgu: mieliśmy wspólnie zwiedzić muzeum i ogród botaniczny.

— Posłaniec czeka na odpowiedź — rzekła po chwili milczenia.

Nabazgrałem spiesznie list z podziękowaniem i oddałem go Paulinie. Zacząłem się ubierać. W chwili, gdy, dosyć rad z siebie, kończyłem tualetę, lodowaty dreszcz przebiegł mnie na tę myśl:

„Czy Fedora wybrała się powozem, czy pieszo? Czy będzie deszcz, czy pogoda?... Ale — mówiłem sobie — powozem czy pieszo, alboż można kiedy przewidzieć kaprys kobiety? Nie będzie miała pieniędzy, a zechce dać pięć franków jakiemu małemu Sabaudczykowi za to, że mu do twarzy w łachmanach".

Nie miałem złamanego szeląga, a pieniądze miałem podjąć aż wieczór. Och! Jak drogo w krytycznych chwilach młodości poeta opłaca intelektualną siłę, którą zawdzięcza wstrzemięźliwości i pracy! W tej jednej chwili uczułem tysiąc żywych i bolesnych myśli niby tysiąc grotów. Spoglądałem w niebo przez okienko, czas był mocno niepewny. W razie nieszczęścia, mogłem wprawdzie wziąć dorożkę na cały dzień; ale czyż wtedy nie miałbym zatrutej każdej minuty mego szczęścia obawą, że nie spotkam Finota wieczorem? Nie czułem się dość silnym, aby znieść tyle wzruszeń w pełni mego szczęścia. Mimo pewności, że nic nie znajdę, zacząłem przeszukiwać cały pokój, szukałem urojonych talarów nawet w sienniku, szperałem wszędzie, wytrząsłem nawet stare buty. Trawiony nerwową gorączką, wodziłem błędnym okiem po meblach, przewróciwszy je wszystkie. Czy zrozumiesz szał, jaki mnie ogarnął, kiedy otwierając po siódmy raz szufladę w biureczku, aby ją przepatrzyć z ową apatią, w jakiej pogrąża nas rozpacz, spostrzegłem niby przylepioną do poprzecznej deszczki, chytrze przyczajoną, ale schludną, lśniącą jasno jak wschodząca gwiazda, piękną i szlachetną pięciofrankówkę? Nie żądając od niej rachunku ani za jej milczenie, ani za okrucieństwo, jakiego się dopuściła, ukrywając się w ten sposób, ucałowałem ją jak przyjaciela wiernego w nieszczęściu i pozdrowiłem ją okrzykiem, który nie został bez echa. Obróciłem się nagłe i ujrzałem pobladłą Paulinę.

— Myślałam — rzekła wzruszonym głosem — że pan sobie zrobił co złego! Posłaniec... — Przerwała, jakby się dławiła. — Ale mama zapłaciła mu — dodała.

Po czym uciekła, dziecinna i lekka jak kaprys. Biedna mała! Życzyłem jej mego szczęścia. W tej chwili czułem, że mam w duszy całą rozkosz ziemi; byłbym chciał zwrócić nieszczęśliwym ich cząstkę, którą zdawało mi się, że kradnę. Nasze nieszczęśliwe przeczucia są prawie zawsze trafne: hrabina odesłała powóz. Przez jakiś kaprys, jeden z tych, które ładne kobiety nie zawsze umieją sobie wytłumaczyć, chciała iść do botanicznego ogrodu przez bulwary i pieszo.

— Będzie deszcz — mówiłem.

Zaczęła się ze mną spierać. Przypadkowo przez cały czas, który zabawiliśmy w Luksemburgu, było ładnie. Skorośmy wyszli z ogrodu, z wielkiej chmury, która mnie niepokoiła cały czas, spadło kilka kropel. Wsiedliśmy do dorożki. Ledwieśmy zajechali na bulwary, deszcz ustał, wypogodziło się zupełnie. Przybywszy do Muzeum, chciałem odprawić dorożkę, Fedora prosiła mnie, abym ją zatrzymał. Co za tortura! Ale rozmawiać z nią, dławiąc tajemny niepokój, który bez wątpienia znaczył się na mej twarzy jakimś głupim i martwym uśmiechem; błądzić po ogrodzie botanicznym, przebiegać cieniste aleje i czuć jej ramię wspierające się na moim, było w tym wszystkim coś fantastycznego: to był sen na jawie. Mimo to ruchy jej — czy to gdyśmy szli, czy gdyśmy przystanęli — nie miały nic słodkiego ani miłosnego, mimo rozkosznych pozorów. Kiedy się siliłem zespolić poniekąd z rytmem jej życia, czułem w niej jakąś ukrytą nerwowość, coś niespokojnego, ekscentrycznego. Kobiety bez duszy nie mają w swoich gestach nic miękkiego. Toteż nie było między nami żadnej jedności, ani w kierunku woli, ani nawet w chodzie. Nie ma słów dla oddania tej materialnej niezgodności dwojga istot, nie nawykliśmy bowiem jeszcze dostrzegać myśli w ruchu. To zjawisko natury można czuć instynktem, nie można go wyrazić.

Podczas tych gwałtownych paroksyzmów mojej namiętności (podjął Rafael po chwili milczenia i jak gdyby odpowiadając na zarzut, jaki czynił sam sobie) nie sekcjonowałem moich wrażeń, nie analizowałem mojej przyjemności ani nie rachowałem bicia mego serca, tak jak skąpiec ogląda i waży sztuki złota. Och, nie! Doświadczenie rzuca dziś smutne światło na minione wypadki, a wspomnienie przywodzi mi te obrazy, tak jak w piękną pogodę fale morskie wyrzucają na brzeg drzazgi rozbitego okrętu.

— Mógłby mi pan oddać dość ważną przysługę — rzekła hrabina, spoglądając na mnie jakby z pomieszaniem. — Zwierzywszy panu moją niechęć do miłości, czuję się swobodniejsza, żądając tego od pana w imię przyjaźni. Czyż nie miałby pan — dodała, śmiejąc się — większej zasługi, wyświadczając mi grzeczność właśnie dzisiaj?

Patrzyłem na nią z bólem. Nie czując nic w mojej obecności, była przymilna, a nie serdeczna; miałem wrażenie, że gra swoją rolę jak skończona aktorka. Potem nagle akcent jej, spojrzenie, słowo budziły na nowo moje nadzieje; ale jeżeli miłość moja rozbudzona malowała się w moich oczach, ona wytrzymywała ich promienie oczyma, których jasności nie mąciło nic zgoła: zdawały się, jak oczy tygrysa, wyścielone metalową blaszką. W tych momentach nienawidziłem jej.

— Poparcie księcia de Navarreins — ciągnęła głosem pełnym pieszczoty — byłoby mi bardzo użyteczne wobec pewnej osoby wszechpotężnej w Rosji, której znowuż interwencja jest mi potrzebna dla uzyskania sprawiedliwości w sprawie tyczącej zarówno mego majątku, jak pozycji w świecie. Chodzi o to, aby cesarz uznał moje małżeństwo. Wszak książę de Navarreins jest pana krewnym? List od niego załatwiłby wszystko.

— Wszystko dla pani — odparłem — proszę rozkazywać.

— Jest pan bardzo miły — rzekła, ściskając mi rękę. — Niech pan wstąpi do mnie na obiad, opowiem panu jak na spowiedzi.

Ta kobieta tak nieufna, tak ostrożna, o której interesach nikt od niej nic nie słyszał, miała się mnie radzić!

— Och! Jakże kocham teraz to milczenie, które mi pani nałożyła! — wykrzyknąłem. — Ale wolałbym jakąś jeszcze cięższą próbę.

W tej chwili poddawała się moim pijanym miłością spojrzeniom i nie broniła się przed mym podziwem, kochała mnie tedy! Znaleźliśmy się u niej. Osobliwym szczęściem zawartość mej sakiewki zdołała zaowolić dorożkarza. Spędziłem rozkoszny dzień, sam na sam z nią, u niej; pierwszy to raz widziałem ją w ten sposób. Aż do tego dnia

świat, jego mrożąca grzeczność i zimne formy rozdzielały nas, nawet w czasie wystawnych obiadów: ale tego dnia byłem u niej tak, jak gdybym mieszkał pod jej dachem, posiadałem ją niejako. Moja nieokiełzana wyobraźnia kruszyła zapory, układała wypadki wedle mej ochoty i zanurzała mnie w rozkoszach szczęśliwej miłości. Czując się jej mężem, podziwiałem ją w drobnych zajęciach domowych; rozkoszą było mi patrzeć, jak zdejmuje szal i kapelusz. Zostawiła mnie na chwilę samego i wróciła inaczej uczesana, czarująca. To wszystko było dla mnie! W czasie obiadu obsypywała mnie uprzejmościami i rozwijała nieskończony wdzięk w tysiącu rzeczy, które wydają się niczym, a które są połową życia. Skorośmy się znaleźli oboje przy dobrym ogniu, w wygodnych fotelach, otoczeni cudami wschodniego zbytku; kiedy ujrzałem tak blisko siebie tę kobietę, której słynna piękność przyprawiała o bicie tyle serc, tę kobietę tak trudną do zdobycia, mówiącą do mnie, rozwijającą dla mnie całą swą zalotność, rozkoszne moje upojenie stało się niemal męką. Na moje nieszczęście przypomniałem sobie ważną sprawę, którą miałem załatwić: trzeba mi było spieszyć na schadzkę umówioną wczoraj.

— Co, już? — rzekła, widząc, że biorę kapelusz.

Kocha mnie! Tak myślałem przynajmniej, słysząc, jak wymawia te słowa z przeciągłą pieszczotą w głosie. Aby przedłużyć mą ekstazę, byłbym zamienił chętnie dwa lata mego życia za każdą godzinę, której by zechciała mi użyczyć. Szczęście moje urosło o wszystkie pieniądze, którem tracił! Była północ, kiedy mnie pożegnała. Bądź co bądź, nazajutrz, heroizm mój kosztował mnie wiele wyrzutów, lękałem się, żem zaprzepaścił sprawę pamiętników, dziś tak dla mnie ważną; pobiegłem do Rastignaca i poszliśmy, aby zdybać przy wstawaniu odpowiedzialnego wydawcę moich przyszłych dzieł. Finot odczytał mi akcik, gdzie nie było mowy o ciotce, a po którego podpisaniu wyliczył mi pięćdziesiąt talarów. Zjedliśmy śniadanie we trójkę. Kiedy zapłaciłem mój nowy kapelusz, parę drobiazgów i długi, zostało mi tylko trzydzieści franków; ale wszystkie trudności życia wygładziły się na kilka dni. Gdybym chciał słuchać Rastignaca, mógłbym mieć skarby, przyjmując otwarcie *system angielski*. Chciał mi koniecznie wyrobić kredyt i zmusić mnie do zaciągnięcia pożyczki, twierdząc, że pożyczki podtrzymują kredyt. Wedle niego ze wszystkich kapitałów w świecie przyszłość jest największym i najpiękniejszym. Zabezpieczając w ten sposób moje długi na przyszłych zasobach, polecił mnie swemu krawcowi, artyście, który rozumiał *młodego człowieka* i który miał mi pozwolić oddychać aż do mego małżeństwa. Od tego dnia zerwałem z klasztornym i pracowitym życiem, które wiodłem przez trzy lata. Chodziłem bardzo pilnie do Fedory, gdzie starałem się zaćmić elegantów i lwów salonowych, których tam spotykałem. W przekonaniu, że już na zawsze wziąłem rozbrat z nędzą, odzyskałem swobodę umysłu, miażdżyłem rywali, uchodziłem za człowieka pełnego uroku, świetnego, niezwyciężonego. Mimo to doświadczeni ludzie mówili o mnie: „Chłopiec z taką głową nie zaprząta się kobietami!". Wychwalali miłosiernie moją inteligencję kosztem mego serca. „Jaki on szczęśliwy, że nie kocha!" — wykrzykiwali. „Gdyby kochał, czyż miałby tyle humoru, werwy?" Tymczasem ja byłem bardzo *miłośnie* głupi w obecności Fedory! Sam na sam z nią nie umiałem nic znaleźć do powiedzenia; lub też, jeżeli mówiłem, ironizowałem na temat miłości; byłem smutnym wesołkiem jak dworak, który chce ukryć ciężką zgryzotę. Wreszcie starałem się stać czymś nieodzownym dla jej życia, szczęścia, próżności; codziennie przy niej, byłem jej niewolnikiem, zabawką wciąż na jej rozkazy. Strwoniwszy w ten sposób dzień, wracałem do domu, aby pracować przez noc, sypiając ledwo parę godzin nad ranem. Ale nie będąc nawykły jak Rastignac do *systemu angielskiego*, zostałem niebawem bez grosza. Z tą chwilą, drogi przyjacielu, zdobywca bez kochanek, elegant bez pieniędzy, pokątny wzdychacz, popadłem z powrotem w to nędzne życie, w to zimne i głębokie nieszczęście, starannie ukryte pod zwodniczymi pozorami zbytku. Odczułem wówczas moje dawne cierpienia, ale mniej ostre: widocznie oswoiłem się z ich straszliwymi paroksyzmami. Często ciastka i herbata, tak oszczędnie podawane w salonach, były moim jedynym pożywieniem. Czasem wspaniały obiad u hrabiny musiał mi starczyć na dwa dni. Obracałem cały mój czas, siły i zdolność obserwacji na to, aby głębiej wniknąć w nieprzenikniony charakter Fedory. Aż dotąd nadzieja lub rozpacz powodowały moim sądem, widziałem w niej to najtkliwszą, to najbardziej nieczułą kobietę pod słońcem; ale te kolejne przypływy radości lub smutku stały mi się nie do zniesienia; chciałem zakończyć tę okropną walkę, zabijając moją miłość. Złowrogie blaski lśniły niekiedy w mej duszy i odsłaniały przepaść między nami. Hrabina uspra-

wiedliwiała wszystkie może obawy; nigdy nie podchwyciłem łez w jej oczach; w teatrze patrzyła na wzruszającą scenę chłodno i z żartem na ustach. Zachowywała całą subtelność dla siebie, nie odgadywała nigdy cudzego szczęścia lub nieszczęścia.

Krótko mówiąc, zadrwiła sobie ze mnie! Szczęśliwy, że mogę coś jej poświęcić, niemal spodliłem się dla niej, udając się do mego krewnego, księcia de Navarreins, egoisty, który rumienił się za mą nędzę i który zbyt szpetnie sobie ze mną postąpił, aby mnie nie miał nienawidzić; przyjął mnie tedy z ową chłodną grzecznością, której każdy gest i słowo trącą zniewagą. Jego niespokojne spojrzenie obudziło mą litość. Wstyd mi było jego małości wśród tylu przepychów, jego nędzy wśród tego zbytku. Książę bąknął o znacznych stratach, jakie poniósł na trzyprocentowej rencie; powiedziałem mu wówczas, co jest celem mojej wizyty. Zmiana jego obejścia, które z lodowatego stało się niemal serdeczne, przejęła mnie wstrętem. Otóż, mój drogi, książę złożył wizytę hrabinie i zmiażdżył mnie sobą. Fedora znalazła dla niego nieznane czary, uroki; zdobyła go, ułożyła poza mną tę tajemną sprawę, o której nie dowiedziałem się ani słówka: byłem dla niej jedynie środkiem!... Kiedy krewniak mój był u niej, nie widziała mnie po prostu: przyjmowała mnie może obojętniej niż w dniu, w którym mnie jej przedstawiono. Jednego dnia upokorzyła mnie wobec księcia gestem, spojrzeniem, jakich żadne słowo nie zdołałoby odmalować. Wyszedłem z płaczem, układając tysiączne plany zemsty, postanawiając ją zgwałcić... Często towarzyszyłem jej do *Bouffons*: tam, obok niej, cały pochłonięty mą miłością, patrzałem na nią, oddając się czarowi muzyki, sycąc duszę podwójną słodyczą kochania i odnajdywania drgnień mego serca w tonach melodii. Miłość moja była w powietrzu, na scenie, tryumfowała wszędzie, wyjąwszy w sercu mej kochanki. Ujmowałem wówczas rękę Fedory, studiowałem jej rysy, jej oczy, żebrząc w nich zlania naszych uczuć, owej nagłej harmonii, która zbudzona muzyką sprawia, że dusze współdźwięczą zgodnie. Ale ręka jej była niema, a oczy nie mówiły nic. Kiedy ogień mego serca wydzielający się ze wszystkich moich rysów bił ją zbyt silnie w twarz, rzucała mi ten sztuczny uśmiech, konwencjonalny frazes, który się powtarza w salonach na wargach wszystkich portretów. Nie słuchała muzyki. Boskie melodie Rossiniego, Cimarozy, Zingarellego nie przypominały jej żadnego uczucia, nie tłumaczyły żadnej poezji jej życia; dusza jej była oschła. Fedora wystawiała się tam na pokaz niby widowisko w widowisku. Lornetka jej wędrowała bez ustanku z loży do loży; ona sama, niespokojna mimo swego spokoju, była ofiarą mody; jej loża, jej fryzura, powóz były dla niej wszystkim. Często spotyka się ludzi olbrzymiej postawy, którzy w ciele z brązu mają serca delikatne i czułe; przeciwnie, ona kryła serce z brązu pod wątłą i wdzięczną powłoką. Nieszczęsne jasnowidzenie rozdzierało mi wiele zasłon. Jeżeli dobry ton polega na tym, aby zapomnieć o sobie dla drugich, aby wyrażać głosem, gestem, nieustanną słodycz, być miłą dla innych, sprawiać, aby byli radzi sami z siebie, wówczas, mimo swego sprytu, Fedora nie zatarła śladów niskiego pochodzenia. Jej zapomnienie o sobie samej było fałszem; jej wzięcie, zamiast być wrodzone, było pracowicie zdobyte; wreszcie uprzejmość jej trąciła służalstwem. Otóż jej cukrzone słówka były dla jej faworytów wyrazem dobroci, pretensjonalna przesada szlachetnym entuzjazmem. Ja jeden przeniknąłem jej komedianctwo, odarłem jej wewnętrzną istotę z cienkiej kory, która wystarcza światu i nie dałem się brać na jej minki; znałem do gruntu tę kocią duszę. Kiedy jakiś dudek prawił jej komplementy, wychwalał ją, wstydziłem się za nią. I kochałem ją wciąż! miałem nadzieję stopić jej lody pod skrzydłami miłości poety. Gdybym mógł raz otworzyć jej serce dla tkliwości kobiecej, gdybym mógł jej objawić wzniosłość poświęceń, wówczas byłaby dla mnie doskonałą, stałaby się aniołem. Kochałem ją jak mężczyzna, jak kochanek, jak artysta, podczas gdy trzeba było nie kochać jej, aby ją zdobyć; nadęty laluś, zimny gracz, może by ją byli pokonali. Sama próżna i sztuczna, byłaby z pewnością zrozumiała język próżności, dałaby się zamotać w sidła intrygi; człowiek suchy i zimny byłby nad nią zawładnął. Ostry ból wnikał do głębi w mą duszę, kiedy mi odsłaniała naiwnie swój egoizm. Widziałem ją z boleścią kiedyś samą w życiu, niemającą do kogo wyciągnąć ręki, niespotykającą przyjaznego spojrzenia, w którym mogłaby złożyć swoje. Jednego wieczora miałem odwagę odmalować jej w żywych kolorach jej samotną, czczą i smutną starość. Na widok tej straszliwej zemsty oszukanej przyrody wyrzekła okrutne słowa:

— Będę miała zawsze majątek — odparła. — Otóż mając złoto, zawsze można dokoła siebie stworzyć uczucia potrzebne do naszego szczęścia.

Wyszedłem spiorunowany logiką tego zbytku, tej kobiety, tego świata, wymyślając sobie za moje głupie bałwochwalstwo. Ja nie kochałem Pauliny biednej; czyż bogata Fedora nie miała prawa odtrącić Rafaela? Nasze sumienie — pókiśmy go jeszcze nie zamordowali — jest nieomylnym sędzią. „Fedora — krzyczał mi sofistyczny głos — nie kocha ani nie odtrąca nikogo; jest wolna, ale niegdyś oddała się za złoto. Ten rosyjski hrabia — kochanek czy mąż — posiadał ją. Przyjdzie przecież pokusa w jej życiu. Czekaj". Ani cnotliwa, ani występna, kobieta ta żyła z dala od ludzkości, we własnej sferze, w piekle lub raju. Ta zagadkowa samica okryta kaszmirami i haftami napinała w mym sercu wszystkie ludzkie uczucia, dumę, ambicję, miłość, ciekawość...

Kaprys mody lub owa tak powszechna chęć popisania się oryginalnością sprowadziła manię wychwalania jakiegoś teatrzyku na bulwarach. Hrabina zapragnęła oglądać umączoną twarz pewnego komedianta, którym rozkoszowała się elita inteligencji; dostąpiłem zaszczytu towarzyszenia jej na premierę jakiegoś błazeństwa. Loża kosztowała zaledwie pięć franków, ale ja nie posiadałem ani złamanego szeląga. Mając do napisania jeszcze pół tomu pamiętników, nie śmiałem iść żebrać pomocy u Finota, Rastignaca zaś, mojej opatrzności, nie było w Paryżu. Ten ustawiczny brak zatruwał całe moje życie. Raz, gdyśmy wychodzili z teatru w okropny deszcz, Fedora kazała zawołać dla mnie dorożkę i nie było sposobu wymigać się od tej parady; nie słuchała moich wymówek, ani że lubię deszcz, ani że mam ochotę iść grać. Nie odgadywała mego ubóstwa ani w mym zakłopotaniu, ani w moich smętnych żarcikach. Oczy moje czerwieniały, ale czyż ona rozumiała spojrzenie? Życie młodego człowieka zależne jest od osobliwych kaprysów! Przez drogę każdy obrót koła nasuwał mi myśli, które paliły mi serce; próbowałem wyjąć deskę w tyle wehikułu w nadziei wyśliźnięcia się na bruk; wreszcie widząc, że nie ma ratunku, zacząłem śmiać się konwulsyjnie i pogrążyłem się w tępym spokoju, obojętny jak człowiek pod pręgierzem. Kiedy przybyłem do domu, za pierwszym słowem, które wybąkałem, Paulina przerwała:

— Jeżeli pan nie ma drobnych...?

Ach! Muzyka Rossiniego niczym była przy tych słowach. Ale wróćmy do *Funambules*. Aby móc tam zaprowadzić hrabinę, myślałem zastawić złotą ramkę okalającą medalion matki. Mimo że lombard zawsze się rysował w mym pojęciu jak jedna z bram wiodących na galery, lepiej było zanieść tam własnymi rękami moje łóżko, niż żebrać jałmużny. Spojrzenie człowieka, którego się prosi o pieniądze, tak boli! Są pewne pożyczki, które płacimy honorem, tak jak pewne odmowy z przyjacielskich ust wydzierają nam ostatnie złudzenie. Paulina siedziała przy pracy, matka położyła się już. Spojrzawszy ukradkiem na łóżko, którego firanki były lekko rozchylone, miałem wrażenie, że pani Gaudin głęboko śpi: ujrzałem w cieniu jej spokojny i woskowy profil wtulony w poduszkę.

— Czy ma pan jaką zgryzotę? — spytała Paulina, odkładając pędzel.

— Moje drogie dziecko, możesz mi oddać wielką przysługę.

Spojrzała na mnie z wyrazem takiego szczęścia, że zadrżałem.

„Czyżby mnie kochała?" — pomyślałem.

— Paulino... ciągnąłem.

I siadłem obok, aby się jej dobrze przyjrzeć. Odgadła mnie, tak moje spojrzenie było badawcze; spuściła oczy. Miałem uczucie, że mogę czytać w jej sercu jak we własnym, tak fizjognomia jej była naiwna i czysta.

— Kochasz mnie? — spytałem.

— Kocha... lubi... szanuje! — wykrzyknęła.

Nie kochała mnie. Żartobliwy akcent oraz pełen wdzięku gest, który się jej wymknął, malowały jedynie dziecinną wdzięczność młodego stworzenia. Wyznałem jej tedy moją rozpacz, kłopot, w jakim się znajduję i prosiłem, aby mi dopomogła.

— Jak to, panie Rafaelu — rzekła — pan nie chce sam iść do lombardu, a posyła pan mnie!

Zaczerwieniłem się, zawstydzony logiką dziecka. Ujęła mnie za rękę, jakby chciała pieszczotą wynagrodzić szczerość swego wykrzyknika.

— Och — rzekła — poszłabym, ale to niepotrzebne. Dziś rano znalazłam za fortepianem dwie pięciofrankówki, które wsunęły się za listwę; położyłam je panu na stole.

— Niedługo dostanie pan pieniądze, panie Rafaelu — rzekła dobra matka, wychylając głowę zza firanek — mogę panu tymczasem pożyczyć parę talarów.

— Och, Paulino — wykrzyknąłem, ściskając ją za rękę — chciałbym być bogatym.

— Ba! Po co? — odparła z dąsem.

Ręka jej, drżąca w mojej, odpowiadała wszystkim biciom mego serca; cofnęła żywo palce i przyjrzała się moim.

— Zaślubi pan kobietę bogatą — rzekła — ale będzie pan miał przez nią wiele zmartwienia... Och, Boże! Ona pana zabije... Jestem tego pewna.

W krzyku jej przebijała jak gdyby wiara w szalone zabobony matki.

— Jakaś ty dziecinna, Paulino!

— Och, to pewne — rzekła, patrząc na mnie ze zgrozą — kobieta, którą pan pokocha, zabije pana!

Ujęła z powrotem pędzel, umoczyła go w farbie z oznakami żywego wzruszenia i nie spojrzała już na mnie. W tej chwili byłbym chciał wierzyć w chimery. Człowiek nie jest zupełnie nieszczęśliwy, jeśli jest zabobonny. Zabobon jest często nadzieją. Wróciwszy do pokoju, ujrzałem dwie piękne sztuki monety, których obecność wydała mi się podejrzana. Pogrążony w pół śnie, siliłem się sprawdzić moje rachunki, aby usprawiedliwić przed sobą tę niespodzianą gratkę, ale usnąłem, zgubiwszy się w bezużytecznych cyfrach. Nazajutrz Paulina zaszła do mnie w chwili, gdy kupowałem lożę.

— Może panu nie wystarczy tych dziesięć franków — rzekła, rumieniąc się dobra i luba dziewczyna — matka poleciła mi ofiarować panu te pieniądze. Niech pan bierze, niech pan bierze.

Położyła trzy talary na stole i chciała uciekać, ale ją zatrzymałem. Podziw osuszył łzy, które kręciły mi się w oczach.

— Paulino — rzekłem — jesteś aniołem! Ta pożyczka wzrusza mnie o wiele mniej niż delikatność, z jaką mi ją ofiarujesz. Pragnąłem kobiety bogatej, wykwintnej, utytułowanej; obecnie chciałbym mieć miliony i spotkać młodą dziewczynę biedną jak ty i jak ty bogatą sercem; wyrzekłbym się nieszczęsnej namiętności, która mnie zabije. Może masz słuszność.

— Dosyć — rzekła.

Uciekła i jej słowiczy głos, jej czyste trele rozległy się na schodach.

— Szczęśliwa jest, że nie kocha jeszcze! — rzekłem, myśląc o torturach, jakie cierpiałem od miesięcy.

Piętnaście franków Pauliny zdało mi się bardzo. Fedora przestraszona zaduchem sali, w której mieliśmy spędzić kilka godzin, wyraziła żal, że nie ma bukietu; poszedłem po kwiaty, przyniosłem jej moje życie i mienie. Doświadczałem równocześnie wyrzutów i przyjemności, ofiarując jej bukiet, którego cena dała mi próbkę kosztów zdawkowej światowej galanterii. Niebawem Fedora zaczęła się żalić na zbyt silny zapach hiszpańskiego jaśminu, uczuła nieznośny wstręt na widok sali, gdzie była zmuszona siedzieć na twardej ławce; wymawiała mi, żem ją tam przyprowadził. Mimo iż siedziała obok mnie, oświadczyła, że chce iść; wyszła. Skazywać się na bezsenne noce, strwonić dwa miesiące życia i nie zrobić jej przyjemności! Nigdy ten demon nie był bardziej uroczy i bardziej nieczuły. Przez drogę siedziałem obok niej w szczupłym powoziku, wdychałem jej oddech, dotykałem pachnącej rękawiczki, widziałem wyraźnie skarby jej piękności, czułem atmosferę słodką jak irys: cała kobieta i nic z kobiety. W tej chwili błysk światła pozwolił mi ogarnąć głębie tego tajemniczego życia. Przypomniała mi się książka świeżo wydana przez poetę, pomysł szczerego artysty wyrzeźbiony w posągu Poliklesa. Zdało mi się, że widzę tego potwora, który to jako oficer poskramia ognistego konia, to jako młoda dziewczyna stroi się przy gotowalni i przywodzi do rozpaczy kochanków; to jako kochanek wtrąca w rozpacz łagodną i skromną dziewicę. Nie mogąc sobie inaczej wytłumaczyć Fedory, opowiedziałem jej tę fantastyczną historię; ale nic nie zdradziło jej podobieństwa z tą poezją Chimery; ubawiła się nią szczerze, jak dziecko bajką z *Tysiąca i jednej nocy*.

„Aby się oprzeć miłości człowieka w moim wieku, zaraźliwej gorączce tej lubej choroby duszy, Fedora musi kryć jakąś tajemnicę! — rzekłem sobie, wracając do domu. — Może podobnie jak lady Delacour toczy ją rak? Życie jej... to z pewnością jedna wielka komedia".

Na tą myśl zimno mi się zrobiło. Następnie powziąłem zamiar równocześnie najbardziej szalony i najbardziej rozsądny, na jaki kochanek wpaść mógł kiedykolwiek. Aby zbadać tę kobietę cieleśnie, tak jak ją wystudiowałem duchowo, słowem, aby ją poznać

zupełnie, postanowiłem spędzić noc u niej, w jej pokoju, bez jej wiedzy. Oto jak wykonałem to przedsięwzięcie, które mi żarło duszę tak, jak żądza zemsty kąsa serce korsykańskiego mnicha. W dnie przyjęć salony Fedory gromadziły zbyt wiele osób, aby odźwierny mógł ściśle zapamiętać wchodzących i wychodzących. Pewien iż mogę pozostać w domu bez skandalu, oczekiwałem niecierpliwie najbliższego wieczoru u hrabiny. Ubierając się, wsunąłem do kieszeni mały angielski scyzoryk zamiast sztyletu. Ten literacki instrument, w razie gdyby go przy mnie znaleziono, nie miał nic podejrzanego; nie wiedząc zaś, dokąd mnie może zaprowadzić mój romantyczny pomysł, wolałem być uzbrojony.

Kiedy salony zaczęły się napełniać, udałem się do sypialni, aby zbadać sytuację. Szczęściem, znalazłem żaluzje i okiennice zamknięte; ponieważ pokojówka mogła wejść, aby zapuścić firanki, zrobiłem to sam. Było to wielkie ryzyko gospodarować tak w pokoju; ale pogodziłem się z niebezpieczeństwami mego położenia i obliczyłem je chłodno.

Około północy ukryłem się we framudze okna. Iżby mi nie było widać nóg, wspiąłem się na listewkę drewnianą, grzbietem przycisnąłem się do muru, kurczowo trzymając się zasuwki. Zyskawszy w ten sposób równowagę, zbadawszy punkty oparcia, zmierzywszy przestrzeń dzielącą mnie od firanek, zdołałem się oswoić z trudnościami mej pozycji w ten sposób, aby móc wytrwać niepostrzeżony, o ile kurcz, kaszel lub kichnięcie mi w tym nie przeszkodzą. Aby się nie męczyć na próżno, stałem swobodnie, czekając krytycznej chwili, w czasie której miałem się przyczaić niby pająk w swej siatce. Biała mora i muślin firanek tworzyły grube fałdy podobne do rur organów; wyciąłem w nich scyzorykiem dziury, aby widzieć wszystko niby przez strzelnice. Słyszałem odległy gwar salonów, śmiechy rozmawiających, ich głosy. Ten mętny hałas, ten głuchy zgiełk zmniejszał się stopniowo. Kilku mężczyzn weszło po swoje kapelusze złożone blisko mnie, na komodzie. Idąc, ocierali się o firanki: drżałem na myśl, aby któryś z nich w pośpiechu lub przez roztargnienie nie zapuścił się w poszukiwaniach o moją kryjówkę. Skoro niebezpieczeństwo minęło, nabrałem otuchy. Ostatni przyszedł po kapelusz jakiś stary wielbiciel Fedory, który myśląc, że jest sam, spojrzał na łóżko i wydał ciężkie westchnienie połączone z dość energicznym wykrzyknikiem. W buduarze sąsiadującym z sypialnią zostało już tylko kilku najbliższych; hrabina zatrzymała ich na szklankę herbaty. Potwarze, dla których dzisiejsze społeczeństwo zachowało tę odrobinę wiary jaka mu została, wmieszały się między koncepty, paradoksy, brzęk filiżanek i łyżeczek. Rastignac, bezlitosny dla moich rywali, budził szalony śmiech swymi złośliwościami.

— Pan de Rastignac to człowiek, z którym niedobrze jest się poróżnić — rzekła hrabina, śmiejąc się.

— I ja tak myślę — odparł z prostotą. — Nie mogę się skarżyć na moich wrogów... I na przyjaciół też nie — dodał. — Wrogowie moi pomagają mi może tyleż, co przyjaciele. Zbadałem dość dokładnie współczesną gwarę oraz niewinne sztuczki, którymi świat się posługuje, albo aby wszystko potępić, albo aby wszystko usprawiedliwić. Wymowa ministerialna to wielka zdobycz społeczna. Któryś z twoich przyjaciół jest tępy, mówisz o jego naiwności, szczerości. Dzieło drugiego jest ciężkie, przedstawiasz je jako sumienną pracę. Jeżeli książka jest źle napisana, chwalisz jej piękne myśli. Ktoś jest niepewny, nierzetelny, śliski jak piskorz: ba! jest uroczy, świetny, czarujący. Skoro chodzi o wrogów, rzucamy im na głowę żywych i umarłych; wywracamy na nice znaczenie wyrazów; jesteśmy równie biegli w odkrywaniu ich wad, jak byliśmy zręczni w uwydatnianiu zalet naszych przyjaciół. To przykładanie lornetki do oczu to jedną, to drugą stroną jest tajemnicą konwersacji i całą sztuką dworaka. Nie posługiwać się nią, znaczy chcieć walczyć bez broni z ludźmi okutymi w żelazo jak średniowieczni rycerze. Ja używam tej broni! Nadużywam jej nawet czasem. Toteż szanują mnie, mnie i moich przyjaciół, szpada moja bowiem nie ustępuje zresztą językowi.

Jeden z najżarliwszych wielbicieli Fedory, młody człowiek sławny ze swej impertynencji, z której uczynił sobie nawet środek kariery, podjął rękawicę tak wzgardliwie rzuconą przez Rastignaca. Zaczął mówić o mnie, wychwalając ponad miarę moje talenty i osobę. Rastignac zapomniał o tym rodzaju obmowy. Ta sardoniczna pochwała zmyliła hrabinę, która wzięła mnie na ząbki bez litości; aby zabawić swoich przyjaciół, zdradziła moje tajemnice, pretensje i nadzieje.

— Ma przyszłość — rzekł Rastignac. — Może zdoła kiedyś znaleźć krwawy odwet; talent jego wart jest co najmniej tyle co moja odwaga; toteż podziwiam śmiałków, którzy go dziś szarpią, bo on ma pamięć...

— Pisze nawet pamiętniki — dodała hrabina, jakby niemile tknięta milczeniem, które zapanowało.

— Pamiętniki fałszywej hrabiny, tak, pani — odparł Rastignac. — Aby je pisać, trzeba mieć znowuż inny rodzaj odwagi.

— Tak, wierzę, że ma dużo odwagi — odparła — jest mi wierny...

Odczułem żywą pokusę, aby się pokazać nagle żartownisiom jak Banko w *Makbecie*. Traciłem kochankę, ale miałem przyjaciela! Ale w tej samej chwili miłość podszepnęła mi nagle płaski i naciągnięty paradoks, z tych, którymi umie usypiać wszystkie nasze boleści.

„Jeżeli Fedora mnie kocha — pomyślałem — czyż nie musi kryć swego uczucia pod złośliwymi żarcikami? Ileż razy serce zadaje kłam temu, co mówią usta!"

Wreszcie rywal mój, zostawszy sam z hrabiną, wstał, aby się pożegnać.

— Co! już? — rzekła pieszczotliwym głosem, od którego wszystko zadygotało we mnie. — Nie użyczy mi pan jeszcze chwilki? Czy nie ma mi pan nic do powiedzenia i nie zechce mi pan poświęcić żadnej przyjemności?

Odszedł.

— Och! — wykrzyknęła, ziewając — jacyż oni wszyscy nudni!

Pociągnęła silnie za taśmę od dzwonka, którego dźwięk rozległ się w całym mieszkaniu. Hrabina weszła do sypialni, nucąc frazę z *Pria che spunti*. Nigdy nikt nie słyszał jej śpiewającej, a niemota ta dawała powód do dziwacznych komentarzy. Przyrzekła — powiadano — swemu pierwszemu kochankowi, oczarowanemu jej talentem i zazdrosnemu o nią aż poza grób, że nikomu nie da tego szczęścia, którego on chciał kosztować sam jeden. Napiąłem wszystkie siły duszy, aby chłonąć dźwięki. Z każdą nutą głos potężniał; Fedora jak gdyby ożywiała się, bogactwa jej krtani rozwijały się stopniowo, melodia nabierała czegoś boskiego. Hrabina miała głos niezwykle jasny, w czystym jej tonie była jakaś harmonia, wibracja, która przenikała, wzruszała i pieściła serce. Kobiety muzykalne są prawie zawsze artystkami w miłości. Osoba, która tak śpiewała, musiała umieć kochać. Piękno tego głosu było tedy jedną tajemnicą więcej w kobiecie już tak tajemniczej. Widziałem ją w owej chwili, tak jak ciebie widzę; zdawała się wsłuchiwać w siebie samą i odczuwać jakąś osobliwą rozkosz; tonęła jak gdyby w miłosnym upojeniu. Zbliżyła się do kominka, kończąc główny motyw tego *ronda*, ale kiedy zamilkła, fizjognomia jej zmieniła się, na twarzy odbiło się znużenie. W tej chwili zdjęła maskę; aktorka skończyła swą rolę. Mimo to owo przygaszenie jej piękności pod wpływem wysiłku artystki lub zmęczenia gośćmi nie było bez uroku.

„Oto jaką jest naprawdę!" — powiadałem sobie.

Oparła, jakby chcąc się ogrzać, nogę na brązowej sztabie popielnika, zdjęła rękawiczki, rozpięła bransoletki i ściągnęła przez głowę złoty łańcuszek, na którym wisiało puzderko strojne drogimi kamieniami.

Z niewymowną przyjemnością patrzałem na jej ruchy, posiadające wdzięk kotki, gdy muska się na słońcu. Przyjrzała się sobie w lustrze i rzekła niezadowolona:

— Nie byłam ładna dziś wieczór... cera mi więdnie z przerażającą szybkością... Powinna bym się może kłaść wcześniej, zaniechać tego wyczerpującego życia... Ale cóż ta Justysia! Czy ona drwi sobie ze mnie?

Zadzwoniła znowu, pokojówka nadbiegła. Gdzie mieszkała? Nie wiem. Przybyła ukrytymi schodkami. Ciekaw byłem się jej przyjrzeć. Moja poetycka wyobraźnia nieraz oczerniała tę niewinną służącą, rosłą i dobrze zbudowaną brunetkę.

— Pani dzwoniła?

— Dwa razy! — odparła Fedora. — Cóż to, ogłuchłaś?

— Przyrządzałam migdałowe mleko dla pani.

Justysia uklękła, rozwiązała tasiemki u trzewików, rozzuła swoją panią, która niedbale wyciągnięta na sprężynowym fotelu przy ogniu ziewała, drapiąc się w głowę. Ruchy jej były bardzo naturalne; nic nie zdradzało tajemnych cierpień ani namiętności, które podejrzewałem.

— Jerzy jest zakochany — rzekła — oddalę go. Znowu zapuścił firanki dziś wieczorem. O czym on myśli?

Na te słowa krew spłynęła mi do serca: ale nie było już mowy o firankach.

— Życie jest bardzo czcze — ciągnęła hrabina. — Noo! Znowu mnie podrapiesz tak jak wczoraj. O, patrz — rzekła, pokazując jej delikatne i gładkie kolanko — mam jeszcze ślady twoich pazurów.

Włożyła bose nogi w aksamitne pantofle wyścielone łabędzim puchem i rozpięła suknię, podczas gdy Justysia ujęła grzebień, aby ją uczesać na noc.

— Trzeba wyjść za mąż, proszę pani, mieć dzieci.

— Dzieci! Brakowałoby tylko tego, aby mnie dobić! — wykrzyknęła. — Mąż! Gdzież jest mężczyzna, któremu mogłabym się... Czy dobrze byłam uczesana dziś wieczór?

— Tak... nie bardzo.

— Głupia jesteś.

— Bardzo pani nie do twarzy z zanadto ukręconymi włosami — ciągnęła Justysia. — W dużych gładkich puklach o wiele lepiej.

— Naprawdę?

— Ależ tak, proszę pani, loczki to dobre dla blondynek.

— Wyjść za mąż? Nie, nie! Małżeństwo to handel, do którego nie jestem stworzona.

Cóż za okropna scena dla kochającego mężczyzny! Ta kobieta samotna, bez rodziny, bez przyjaciół, niewierząca w miłość, niewierząca w żadne uczucie! Chociażby potrzeba jakiegoś wylania, wrodzona wszelkiej ludzkiej istocie, była w niej bardzo słaba, musiała zaspakajać tę potrzebę gawędząc z panną służącą, rzucając jakieś oschłe albo obojętne frazesy!... Uczułem litość. Justysia rozsznurowała panią. Patrzałem na nią ciekawie w chwili, gdy spadła ostatnia zasłona. Miała dziewiczy gors, który mnie olśnił; przez koszulę, przy blasku świec białe i różowe jej ciało zajaśniało niby srebrny posąg błyszczący pod osłoną z gazy. Nic, żadna niedoskonałość nie kazała jej lękać się ukradkowych spojrzeń kochanka. Ach! Piękne ciało zawsze odniesie tryumf nad najbardziej bohaterskim postanowieniem. Pani siadła przed ogniem, niema i zamyślona, podczas gdy pokojówka zapalała świecę w alabastrowej lampie wiszącej nad łóżkiem. Justysia przyniosła wygrzewaczkę, posłała łóżko, pomogła jej się położyć; po czym, po dość długim czasie obróconym na drobne zabiegi świadczące o głębokim kulcie Fedory dla siebie samej, dziewczyna wyszła. Hrabina obróciła się kilka razy na łóżku; była niespokojna, wzdychała, wargi jej wydawały lekki szmer zdradzający zniecierpliwienie. Sięgnęła ręką do stolika, wzięła flakonik, nalała do szklanki mleka kilka kropel ciemnego płynu, wypiła, po czym, po paru ciężkich westchnieniach, wykrzyknęła:

— Mój Boże!

Wykrzyknik ten, a zwłaszcza akcent, jaki mu dała, ścisnęły mi serce. Nieznacznie pogrążyła się w bezwładzie. Zląkłem się; ale niebawem usłyszałem równy i silny oddech śpiącej; rozsunąłem szeleszczące jedwabie firanek, opuściłem moją pozycję i przystanąłem u stóp łóżka, patrząc na uśpioną z nieokreślonym uczuciem.

Była czarująca w tej pozie. Wsunęła głowę pod ramię jak dziecko; jej spokojna i ładna twarz spowita w koronki wyrażała błogość, która mnie rozpłomieniła. Przeceniając swoje siły, nie przewidziałem mej męki: być tak blisko i tak daleko niej! Trzeba mi było znieść wszystkie tortury, które sobie zgotowałem. *Mój Boże*! Ten strzęp nieznanej myśli, który miałem unieść z sobą jako jedyny błysk światła, zmienił nagle moje pojęcie o Fedorze. To słowo, obojętne albo głębokie, bez treści albo pełne znaczeń, można było zarówno tłumaczyć szczęściem jak cierpieniem, bólem fizycznym lub troską. Czy to była klątwa czy modlitwa, wspomnienie czy przeczucie, żal czy obawa? Było całe życie w tym słowie; życie w niedostatku lub w bogactwie; była może nawet i zbrodnia! Zagadka ukryta w tym pięknym kształcie kobiecym zjawiła się na nowo; Fedorę można było tłumaczyć na tyle sposobów, że stawała się nie do wytłumaczenia. Falowanie oddechu, który przechodził przez jej wargi to słaby, to mocniejszy, poważny lub lekki, tworzyło jak gdyby jakiś język, pod który podkładałem myśli i uczucia. Śniłem razem z nią, spodziewałem się posiąść jej tajemnice, wnikając w jej sen, bujałem wśród tysiąca sprzecznych myśli i sądów. Widząc tę piękną twarz, spokojną i czystą, niepodobna było odmówić serca tej kobiecie. Postanowiłem uczynić jeszcze jedną próbę. Opowiadając jej moje życie, moją miłość, moje ofiary, może zdołam obudzić w niej litość, wydrę łzę tej, która nie płakała nigdy. Złożyłem wszystkie moje nadzieje w tej ostatniej próbie, kiedy hałas uliczny

oznajmił mi ranek. Była chwila, w której wyobraziłem sobie Fedorę budzącą się w moich ramionach. Mogłem się położyć cicho obok niej, wśliznąć się i wziąć ją w objęcia. Ta myśl opanowała mnie tak okrutnie, że chcąc się jej oprzeć, uciekłem do salonu, nie czyniąc nic dla uniknięcia hałasu; szczęściem dotarłem do ukrytych drzwiczek wychodzących na schody. Tak jak przypuszczałem, klucz był w zamku; pociągnąłem drzwi z siłą, zeszedłem śmiało na dziedziniec i nie troszcząc się, czy mnie ktoś widzi, wydostałem się w trzech susach na ulicę.

W dwa dni później autor jakiś miał czytać u hrabiny komedię: poszedłem w zamiarze przeczekania gości, aby przedłożyć Fedorze osobliwą prośbę. Chciałem ją prosić, aby mi poświęciła wieczór nazajutrz i to aby mi go poświęciła cały, zamykając drzwi dla wszystkich. Kiedy się znalazłem z nią sam, serce mi omdlało. Każde uderzenie zegara przerażało mnie. Było trzy kwadranse na dwunastą.

— Jeżeli nie odważę się przemówić — rzekłem — roztrzaskam sobie chyba czaszkę o kominek.

Udzieliłem sobie trzech minut zwłoki; trzy minuty upłynęły, nie rozbiłem głowy o marmur, serce moje stało się ciężkie niby gąbka w wodzie.

— Jest pan bardzo miły — rzekła.

— Ach, pani — odparłem — gdybyż pani mogła mnie zrozumieć!

— Co panu? — spytała — pan blednie.

— Waham się, czy mam panią prosić o jedną łaskę.

Ośmieliła mnie gestem, zaczem poprosiłem ją o to sam na sam.

— Chętnie — rzekła. — Ale czemu pan nie chce powiedzieć teraz?

— Aby pani nie zwodzić, powinienem pani ukazać rozmiary jej zobowiązania; pragnę spędzić z panią ten wieczór tak, jak gdybyśmy byli bratem i siostrą. Niech pani będzie bez obawy; znam twoje uprzedzenia, mogła mnie pani poznać na tyle, aby być pewną, że nie chcę niczego co by ci mogło być niemiłe; zresztą brutal nie postępuje w ten sposób. Okazała mi pani przyjaźń, jest pani dobra, pełna pobłażania. Otóż, niech pani wie, że chcę się z panią jutro pożegnać... Niech się pani nie cofa! — wykrzyknąłem, widząc, że chce coś mówić.

I znikłem.

Ostatniego maja, około ósmej wieczór znalazłem się sam z Fedorą w jej gotyckim buduarze. Nie drżałem, byłem pewny, że dostąpię szczęścia. Ukochana moja będzie moją lub też schronię się w ramiona śmierci. Wydałem wyrok na mą nikczemną miłość. Człowiek staje się bardzo silny, kiedy sobie uświadomi własną słabość. Hrabina, ubrana w niebieską kaszmirową suknię, spoczywała na otomanie, z nogami na poduszkach. Wschodni beret, w jakim malarze przedstawiają dawnych Hebrajczyków, stroił ją urokiem egzotyzmu. Twarz jej, owiana nieuchwytnym wdziękiem, mówiła niejako, że jesteśmy co chwila istotami nowymi, jedynymi, bez żadnego podobieństwa z *nami* w przeszłości i z *nami* w przyszłości. Nigdy nie wydała mi się równie świetną.

— Czy pan wie — rzekła, śmiejąc się — że pan pobudził moją ciekawość?

— Nie zawiodę jej — odparłem zimno, siadając koło niej i ujmując rękę, której mi nie broniła. — Ma pani bardzo piękny głos!

— Nigdy go pan nie słyszał — wykrzyknęła, czyniąc gest zdziwienia.

— Dowiodę pani, że owszem, kiedy będzie potrzeba. Pani rozkoszny śpiew byłżeby tedy tajemnicą? Niech się pani uspokoi, nie chcę się w nią wdzierać.

Przegawędziliśmy swobodnie blisko godzinę. Jeżeli przybrałem ton, wzięcie i gesty człowieka, któremu Fedora nie może niczego odmówić, zachowałem również cały szacunek kochającego mężczyzny. Igrając z nią w ten sposób, uzyskałem łaskę ucałowania ręki; rozpięła rękawiczkę milutkim gestem; tonąłem w tej chwili tak rozkosznie w złudzeniu, w które próbowałem wierzyć, że dusza moja stopiła się i rozlała w tym pocałunku. Fedora pozwalała się głaskać, pieścić z niewiarygodną uległością. Ale nie uważaj mnie za niezdarę; gdybym się chciał posunąć o krok poza tę braterską pieszczotę, uczułbym jej kocie pazury. Przetrwaliśmy jakieś dziesięć minut w głębokim milczeniu. Podziwiałem ją, użyczając jej uroków, którym kłamała. W tej chwili była moją, jedynie moją... Posiadałem tę czarującą istotę, tak jak było wolno ją posiadać: myślą; spowijałem ją w moje pragnienia, trzymałem ją, tuliłem, wyobraźnia moja poślubiła ją. Zwyciężyłem wówczas hrabinę potęgą magnetycznego działania. Toteż wiecznie żałowałem, że nie zniewoliłem

całkowicie tej kobiety; ale w tej chwili nie chciałem jej ciała, pragnąłem duszy, życia, tego idealnego i pełnego szczęścia, pięknego marzenia, w które nie wierzymy długo...

— Pani — rzekłem wreszcie, czując, że ostatnia godzina mojego upojenia nadeszła — niech mnie pani wysłucha. Kocham panią, wiesz o tym, powtórzyłem ci to tysiąc razy, powinnaś mnie była odgadnąć. Nie chciałem zawdzięczać twej miłości ani wdziękom bawidamka, ani pochlebstwom i natręctwom dudka, toteż nie zrozumiałaś mnie. Ileż wycierpiałem dla ciebie mąk, którym zresztą ty nie jesteś winna! Ale za kilka chwil osądzisz mnie. Istnieją, pani, dwie nędze. Ta, która chodzi po ulicy w łachmanach, która bezwiednie idzie śladem Diogenesa, żywiąc się lada czym, sprowadzając życie do najprostszych potrzeb; szczęśliwsza może od bogactwa, wolna przynajmniej od trosk, bierze ze świata to, czego możni już nie chcą. Następnie nędza zbytku, nędza hiszpańska, kryjąca żebractwo pod tytułem; dumna, strojna w pióropusze, owa nędza w białej kamizelce, żółtych rękawiczkach: posiada karoce, a traci majątek dla braku jednego centyma. Jedna to nędza ludu; druga to nędza hultajów, królów i ludzi z talentem. Ja nie jestem ani ludem, ani królem, ani hultajem; może nie mam talentu; jestem wyjątkiem. Nazwisko moje nakazuje mi raczej umrzeć niż żebrać... Niech się pani uspokoi, jestem dziś bogaty, posiadam wszystko, czego mi trzeba na ziemi — rzekłem, widząc, że jej fizjognomia przybiera ów zimny wyraz, jaki przybieramy mimo woli, kiedy nas nagabnie kwestująca dama z towarzystwa. — Przypomina pani sobie dzień, kiedy pani pojechała do *Gymnase* sama, myśląc, że mnie tam nie będzie?

Skinęła twierdząco głową.

— Obróciłem ostatniego talara na to, aby panią tam ujrzeć... Przypomina pani sobie przechadzkę do botanicznego ogrodu? Pani dorożka kosztowała mnie cały majątek.

Opowiedziałem jej moje ofiary, odmalowałem jej moje życie, nie tak, jak je opowiadam tobie dziś, w oparach wina, ale w szlachetnym pijaństwie serca. Namiętność moja wylała się w płomiennych słowach, w tkliwych wyrazach, których później zapomniałem, a których sztuka ani wspomnienie nie zdołałyby odtworzyć. Nie były to chłodne skargi wzgardzonej miłości; miłość moja w całej sile i pięknie swych nadziei natchnęła mnie owymi słowami, które oświetlają całe życie powtarzając krzyk rozdartej duszy. Akcent mój był to akcent ostatniej modlitwy umierającego na polu bitwy. Płakała. Zatrzymałem się. Wielki Boże! Łzy jej były owocem tego sztucznego wzruszenia, jakie się kupuje za pięć franków u bramy teatru: zyskałem sukces dobrego aktora.

— Gdybym była wiedziała... — rzekła.

— Niech pani nie kończy — wykrzyknąłem. — Kocham panią w tej chwili jeszcze dosyć, aby cię zabić.

Chciała pociągnąć za dzwonek. Parsknąłem śmiechem.

— Niech pani nie woła — dodałem. — Pozwolę pani spokojnie dokończyć życia. Zabić panią, to nie byłaby żadna zemsta! Niech się pani nie lęka żadnego gwałtu: spędziłem całą noc u stóp pani łóżka, nie...

— Panie... — rzekła, rumieniąc się.

Ale po tym pierwszym odruchu wstydu, jaki musi tkwić w każdej kobiecie, nawet najmniej wstydliwej, obrzuciła mnie wzgardliwym spojrzeniem i rzekła:

— Musiało panu być bardzo zimno!

— Czy pani sądzi, że piękność pani ma dla mnie taką cenę? — odparłem, zgadując myśli, które ją przenikały. — Pani twarz jest dla mnie obietnicą duszy jeszcze piękniejszej, niż pani jest piękna. Ech, pani, ludzie, którzy widzą w kobiecie tylko kobietę mogą kupować co wieczór odaliski godne seraju i dostępować szczęścia nader tanio... Ale ja byłem ambitny, chciałem żyć z panią w komedii serc, z panią, która nie masz serca. Wiem o tym teraz. Gdybyś miała należeć do mężczyzny, zamordowałbym go. Ale nie, kochałabyś go i śmierć jego sprawiłaby ci może przykrość.... Jakże ja cierpię! — wykrzyknąłem.

— Jeśli to przyrzeczenie może pana pocieszyć — rzekła wesoło — mogę pana zapewnić, że nie będę należała do nikogo...

— A więc — przerwałem jej — znieważa pani samego Boga i będziesz ukarana! Pewnego dnia, leżąc na otomanie, nie mogąc znieść ani głosu, ani światła, skazana na to, aby żyć niby w grobie, będziesz cierpiała niesłychane męki. Kiedy będziesz szukała przyczyny tych powolnych i zasłużonych męczarni, przypomnij sobie wówczas nieszczęścia, które

tak hojnie sypałaś po drodze! Posiawszy wszędzie klątwy, wracając, zbierzesz nienawiści! Jesteśmy własnymi sędziami, katami sprawiedliwości, która panuje na ziemi i kroczy ponad sprawiedliwością ludzi, poniżej sprawiedliwości Boga.

— Ba! — rzekła, śmiejąc się — więc jestem taką zbrodniarką, że pana nie kocham? Czy to moja wina? Nie, nie kocham pana, jest pan mężczyzną, to wystarcza. Czuję się szczęśliwą sama; czemuż miałabym zamienić moje życie, samolubne, niech i tak będzie, na kaprysy władcy i pana? Małżeństwo jest to sakrament, mocą którego udzielamy sobie jedynie przykrości. Zresztą dzieci mnie nudzą. Czy nie uprzedziłam pana lojalnie co do mego charakteru? Czemu się pan nie zadowolił mą przyjaźnią? Chciałabym móc panu nagrodzić przykrości, jakie sprawiłam, nie domyślając się pańskich kłopotów pieniężnych; oceniam rozmiary pańskich ofiar; ale jedynie miłość mogłaby odpłacić pańskie oddanie, pańską delikatność, ja zaś jestem w tej chwili tak daleka od miłości, że ta scena działa na mnie przykro.

Małżeństwo

— Czuję, jak jestem śmieszny, niech mi pani wybaczy — rzekłem łagodnie, nie mogąc powstrzymać łez. — Dosyć panią kocham — ciągnąłem — aby słuchać z okrutną rozkoszą słów, które pani wymawia. Och! Chciałbym móc podpisać mą miłość całą moją krwią.

— Wszyscy mężczyźni raczą nas mniej lub więcej tymi klasycznymi zwrotami — odparła, śmiejąc się ciągle. — Ale zdaje się, że bardzo jest trudno umrzeć u naszych stóp, bo spotykam tych umarłych wszędzie... Jest północ, niech mi pan pozwoli iść spać.

— I za dwie godziny wykrzyknie pani: *Mój Boże*! — rzekłem.

— Przedwczoraj! Tak — rzekła — myślałam o moim bankierze, zapomniałam kazać mu zmienić moją rentę na trzyprocentową i w ciągu dnia trzyprocentowa spadła.

Patrzałem na nią okiem błyszczącym z wściekłości. Och! Niekiedy zbrodnia musi być całym poematem, zrozumiałem to. Oswojona z pewnością z najpłomienniejszymi oświadczynami, zapomniała już moich łez i moich słów.

— Czy wyszłaby pani za para Francji? — spytałem zimno.

— Może, gdyby w dodatku był księciem.

Wziąłem kapelusz, skłoniłem się jej.

— Niech mi pan pozwoli odprowadzić się do drzwi — rzekła, wkładając akcent dotkliwej ironii w swój gest, ruch głowy i ton.

— Pani...

— Panie?

— Nie ujrzę już pani.

— Mam nadzieję — odparła, kiwając impertynencko głową.

— Chcesz być księżną? — podjąłem smagany jakimś szaleństwem, które gest jej rozniecił w mym sercu. — Chwycił cię obłęd tytułów, zaszczytów? Więc pozwól mi tylko kochać cię, pozwól mojemu pióru mówić, memu głosowi rozbrzmiewać jedynie dla ciebie, bądź tajemną sprężyną mego życia, bądź moją gwiazdą! Potem przyjm mnie za męża jedynie jako ministra, para Francji, księcia... Stanę się dla ciebie wszystkim, czym zapragniesz!

— Dobrze — rzekła z uśmiechem — spożytkował pan swój czas u adwokata: świetny z pana obrońca.

— Ty masz przeszłość — wykrzyknąłem — a ja przyszłość! Ja tracę tylko kobietę, ty tracisz nazwisko, rodzinę. Czas brzemienny jest moją zemstą: przyniesie ci brzydotę i samotną śmierć; mnie sławę!

— Dziękuję za kazanie! — rzekła, powstrzymując ziewnięcie i zdradzając gestem chęć stracenia mnie z oczu.

To słowo nakazało mi milczenie. Zamknąłem moją nienawiść w jednym spojrzeniu i uciekłem. Trzeba mi było zapomnieć Fedory, wyleczyć się z mego szaleństwa, wrócić do mej pracowitej samotni lub umrzeć. Nałożyłem tedy sobie ogrom prac, zamierzyłem dokończyć zaczętego dzieła. Przez dwa tygodnie nie opuszczałem mego poddasza, trawiłem wszystkie noce na studiach. Mimo mej energii i smagającej mnie rozpaczy, pracowałem trudno i z przerwami. Muza pierzchła. Nie mogłem wypędzić świetnego i drwiącego widma Fedory. Każda moja myśl wylęgała inną chorobliwą myśl, jakieś żądze straszne jak wyrzut sumienia. Naśladowałem pustelników Tebaidy. Nie modląc się jak oni, jak

oni żyłem na pustyni, żłobiąc moją duszę zamiast żłobić skały. Byłbym sobie w potrzebie opasał biodra paskiem uzbrojonym kolcami, aby pokonać ból moralny bólem fizycznym.

Jednego dnia Paulina weszła do mego pokoju.

— Pan się zabija — rzekła błagalnym głosem — powinien by pan wyjść, odwiedzić przyjaciół...

— Ach, Paulino, twoje proroctwo sprawdziło się. Fedora mnie zabija, chcę umrzeć, życie jest mi nie do zniesienia.

— Czyż tylko jedna kobieta jest na świecie? — rzekła z uśmiechem. — Po co te nieskończone zgryzoty w życiu, które jest tak krótkie.

Spojrzałem na Paulinę ze zdziwieniem. Już jej nie było. Nie zauważyłem jej zniknięcia, usłyszałem głos, nie rozumiejąc znaczenia słów. Niebawem trzeba mi było zanieść rękopis memu pachciarzowi literackiemu. Pochłonięty namiętnością żyłem bez pieniędzy, sam nie wiem jak; wiedziałem tylko, że czterysta pięćdziesiąt franków, które mi się należały, starczą na zapłacenie długów; poszedłem tedy po moją zapłatę. Spotkałem Rastignaca, który zauważył, że jestem zmieniony, wychudły.

Kobieta demoniczna, Miłość niespełniona, Samobójstwo

— Z jakiego ty szpitala wychodzisz? — spytał.

— Ta kobieta mnie zabija — odparłem. — Nie mogę ani nią gardzić, ani zapomnieć o niej.

— Lepiej zabij ją, przestaniesz może o niej myśleć — wykrzyknął ze śmiechem.

— Myślałem o tym — odparłem. — Ale, o ile orzeźwiam niekiedy mą duszę myślą o zbrodni, gwałcie lub morderstwie i obu razem, czuję się niezdolny do tego w rzeczywistości. Hrabina jest to uroczy potwór, który błagałby zmiłowania, a nie każdemu dano jest być Otellem.

— Jest jak wszystkie kobiety, których nie możemy zdobyć — przerwał Rastignac.

— Szaleję — wykrzyknąłem. — Czuję, jak chwilami szaleństwo wyje w moim mózgu. Myśli moje są jak upiory, tańczą wkoło mnie, nie dając się pochwycić. Wolę śmierć niż to życie. Toteż szukałem świadomie najlepszego środka zakończenia tej walki. Nie chodzi już o Fedorę żywą, o Fedorę z dzielnicy Saint-Honoré, ale o moją Fedorę, o tę, która jest tu! — rzekłem, uderzając się w czoło. — Co myślisz o opium?

— Ba! okropne cierpienia — odparł Rastignac.

— Zaczadzenie?

— Chamstwo!

— Sekwana?

— Sieci ratownicze i morga są bardzo brudne.

— Pistolet?

— Jeżeli się chybisz, zostaniesz zeszpecony. Słuchaj — dodał — i ja, jak wszyscy młodzi ludzie, zastanawiałem się nad samobójstwem. Kto z nas do trzydziestego roku nie zabijał się raz albo dwa razy? Nie znalazłem nic lepszego niż zużyć istnienie rozkoszą. Rzuć się w szaloną rozpustę, a wówczas albo twoja miłość, albo ty, jedno z was zginie. Nadużycie, mój chłopcze, jest królową wszystkich śmierci. Czyż nie ma ono w swej służbie piorunującej apopleksji? Apopleksja to strzał z pistoletu, który nie chybia. Orgie dają nam wszystkie rozkosze fizyczne; czyż to nie jest opium w drobnej monecie? Zmuszając nas do picia nad miarę, rozpusta rzuca trunkowi śmiertelne wyzwanie. Czyż beczka małmazji księcia Clarence nie smaczniejsza niż muł Sekwany? Kiedy padamy szlachetnie pod stół, czyż to nie jest małe periodyczne zaczadzeńko? Kiedy patrol nas zgarnie, wówczas, leżąc na zimnym tapczanie na strażnicy, czyż nie kosztujemy przyjemności Morgi, tylko bez wzdętego, obrzękłego, sinego, zielonego brzucha, a z dodatkiem świadomości zdarzeń? Ach! — dodał — to powolne samobójstwo, to nie śmierć zbankrutowanego sklepikarza! Kupcy zhańbili rzekę, rzucają się w wodę, aby rozczulić wierzycieli. Na twoim miejscu starałbym się umrzeć wykwintnie. Jeżeli chcesz stworzyć nowy rodzaj śmierci, walcząc w ten sposób przeciw życiu, chcę być twoim sekundantem. Nudzę się, jestem rozczarowany. Alzatka, którą mi stręczono za żonę, ma sześć palców u lewej nogi; nie mogę żyć z kobietą, która ma sześć palców! To by się rozgłosiło, ośmieszyłbym się. Ma tylko osiemnaście tysięcy franków renty, majątek jej maleje, a palce się mnożą. Tam do czarta!... Prowadząc wściekłe życie, może znajdziemy przypadkiem szczęście!

Rastignac porwał mnie. Projekt ten lśnił zbyt wieloma urokami, rozpalał zbyt wiele nadziei, miał wreszcie zbyt poetycką barwę, aby się mógł nie spodobać poecie.

— A pieniądze?

— Czyż nie masz czterystu pięćdziesięciu franków?

— Tak, ale jestem winien krawcowi, gospodyni...

— Ty płacisz krawca? Nie będziesz nigdy niczym, nawet ministrem.

— Ale co możemy począć z dwudziestoma ludwikami?

— Iść grać.

Zadrżałem.

— A! — podjął, widząc mój skrupuł — chcesz się rzucić w to, co nazywam *systemem marnotrawnym*, a boisz się zielonego stolika!

— Słuchaj — odparłem — przyrzekłem ojcu nigdy nie przestąpić progów domu gry. Nie tylko przyrzeczenie to jest święte, ale zarazem doznaję nieprzezwyciężonej grozy, ilekroć przechodzę koło szulerni. Weź tych sto talarów i idź sam. Podczas gdy ty postawisz na kartę nasze mienie, ja pójdę załatwić moje sprawy i będę cię oczekiwał u ciebie w domu!

Oto, mój drogi, jak się zgubiłem. Wystarczy młodemu człowiekowi spotkać kobietę, która go nie kocha lub kobietę, która go zanadto kocha, aby całe jego życie spaczyło się. Szczęście pochłania nasze siły, tak jak nieszczęście gasi nasze cnoty. Wróciwszy do mego hoteliku, patrzyłem długo na poddasze, gdzie wiodłem czyste życie uczonego, życie, które byłoby może uczciwe, długie i którego nie powinienem był rzucać dla życia namiętności ciągnącego mnie w przepaść. Paulina zastała mnie pogrążonego w melancholii.

— Co panu? — spytała.

Wstałem zimno i odliczyłem pieniądze, które byłem winien jej matce, dodając komorne za pół roku. Patrzała na mnie przerażona.

— Opuszczam was, droga Paulino.

— Odgadłam! — wykrzyknęła.

— Słuchaj, moje dziecko, nie zarzekam się, że mogę tu wrócić. Zachowaj mi moją celę przez pół roku. Jeżeli nie będzie mnie tu do piętnastego listopada, odziedziczysz po mnie ten zapieczętowany rękopis — rzekłem, pokazując jej paczkę papierów — to kopia mego wielkiego dzieła o *Woli*; złożysz je w Bibliotece Królewskiej. Z resztą rzeczy, które tu zostawiam, zrobisz, co zechcesz.

Rzuciła mi spojrzenie, które mi zaciążyło na sercu. Paulina była mi w tej chwili niby żywym sumieniem.

— Nie będzie już lekcji? — rzekła, wskazując fortepian.

Nie odpowiedziałem.

— Czy będzie pan pisywał do mnie?

— Żegnaj, Paulino.

Przyciągnąłem ją lekko; na jej czole dziewiczym jak śnieg, który nie tknął ziemi, złożyłem pocałunek brata, pocałunek starca. Uciekła. Nie chciałem spotkać się z panią Gaudin. Złożyłem klucz na zwykłym miejscu i wyszedłem. Kiedym opuszczał ulicę de Cluny, usłyszałem za sobą lekkie kroki kobiece.

— Wyhaftowałam panu tę sakiewkę, czy i to pan odtrąci? — rzekła Paulina.

Zdawało mi się przy blasku latarni, że widzę łzę w jej oku; westchnąłem. Parci oboje może tą samą myślą, rozeszliśmy się z pośpiechem niby ludzie uchodzący przed zarazą.

Rozwiązłe życie, w które się miałem rzucić, zjawiło mi się dziwacznie wcielone w pokój, w którym z dostojną beztroską oczekiwałem powrotu Rastignaka. Na kominku wznosił się zegar; Wenus siedząca na żółwiu i trzymająca w rękach niedopałek z cygara. Wykwintne meble, dary miłości, stały w nieładzie. Znoszone skarpetki walały się na wabiącej do rozkoszy otomanie. Wygodny sprężynowy fotel, w którym siedziałem zatopiony, był cały w bliznach niby stary żołnierz; ramiona miał nadszarpane, a grzbiet inkrustowany pomadą i starożytną oliwą narosłą z głów przyjaciół. Zbytek i nędza parzyły się naiwnie na łóżku, na ścianach, wszędzie. Rzekłbyś, pałace w Neapolu otoczone lazaronami. Był to pokój gracza lub hulaki, którego zbytek jest na wskroś osobisty, który żyje chwilą i nie troszczy się o ten nieład. Obraz ten nie był zresztą pozbawiony poezji. Życie widniało tam ze swymi błyskotkami i łachmanami, ulotne, fragmentaryczne, jak jest w istocie, ale żywe, ale fantastyczne jak na postoju, gdzie maruder złupił wszystko, co go znęciło. Tom Byrona, któremu brakło kartek, posłużył do rozpalenia ognia młodemu człowiekowi, który stawia na kartę tysiąc franków, a nie ma drew, który rozbija się kabrioletem, nie mając zdrowej i całej koszuli. Nazajutrz jakaś hrabina, aktorka lub

écarté dadzą mu królewską wyprawę. Tutaj świeca tkwiła w zielonym tekturowym pudełku; tam leżał portrecik kobiecy odarty z cyzelowanej złotej ramki. W jaki sposób młody człowiek z natury chciwy wrażeń wyrzekłby się uroku życia tak bogatego w kontrasty i dającego mu rozkosze wojny w czasie pokoju? Spałem niemal, kiedy nagle Rastignac otworzył kopnięciem drzwi i wykrzyknął:

— Zwycięstwo! Możemy umierać do woli...

Pokazał mi kapelusz pełen złota, położył go na stole i zaczęliśmy tańczyć koło niego jak dwaj kanibale, wyjąc, drepcąc, podskakując, wymieniając kuksańce zdolne powalić nosorożca i wznosząc hymn na cześć wszystkich rozkoszy świata zawartych w tym kapeluszu.

— Dwadzieścia siedem tysięcy franków — powtarzał Rastignac, dodając nieco banknotów do kupy złota. — Innym pieniądze te starczyłyby, aby żyć, ale czy nam starczą, aby umrzeć? Och, tak! Oddamy ducha w kąpieli ze złota... Hurra!

I znów zaczęliśmy nasz dziki taniec. Podzieliliśmy się jak spadkobiercy, sztuka po sztuce, zaczynając od dubeltowych napoleonów, od wielkich sztuk do coraz mniejszych; przedłużaliśmy naszą radość licząc długo: „Twoje!... Moje!...".

— Nie będziemy spali — wykrzyknął Rastignac. — Józefie, ponczu!

Rzucił garść złota wiernemu słudze:

— Masz i ty swoją część — rzekł — pogrzeb się, jeżeli możesz.

Nazajutrz kupiłem meble u Lesage'a, wynająłem mieszkanie, w którym mnie poznałeś, przy ulicy Taitbout, i poleciłem najlepszemu tapicerowi przystrojenie go. Trzymałem konie. Rzuciłem się w odmęt przyjemności czczych, ale bardzo żywych. Grałem, wygrywałem i przegrywałem na przemian olbrzymie sumy, ale na balu, u przyjaciół; nigdy w domach gry, wobec których zachowałem mą dawną świętą grozę. Nieznacznie zyskałem przyjaciół: stosunki te zawdzięczałem zwadom lub też owemu łatwemu zaufaniu, z jakim zwierzamy sobie nasze sekrety, plugawiąc się społem. Być może, że prawdziwą spójnię między ludźmi stanowią tylko ich przywary. Wydrukowałem parę utworów, które dobrze przyjęto. Wielkości literackiego rynku, nie widząc we mnie niebezpiecznego rywala, chwaliły mnie, nie tyle zapewne dla mych zalet, ile aby dokuczyć kolegom. Stałem się *viveurem*, aby się posłużyć malowniczym wyrażeniem waszego świata hulaków. Pokładałem ambicję w tym, aby się zabić szybko, aby miażdżyć najweselszych kompanów moją werwą i tężyzną. Byłem zawsze wyświeżony, wykwintny. Uchodziłem za dowcipnego. Nic nie zdradzało we mnie straszliwego życia, które robi z człowieka beczkę, przyrząd do trawienia, zbytkownego konia. Niebawem rozpusta ukazała mi się w całym majestacie grozy: zrozumiałem ją! To pewna, iż ludzie roztropni, stateczni, którzy numerują butelki dla swoich spadkobierców, nie zdołają pojąć ani teorii tego życia, ani jego normalnego trybu; czy zdołacie wszczepić jego poezję prowincjałom, dla których opium i herbata, te dwa źródła rozkoszy, są jeszcze tylko lekarstwem? W Paryżu nawet, w tej stolicy myśli, czyż nie spotyka się sybarytów niekompletnych? Niezdolni znieść nadmiaru użycia, opuszczają orgię zmęczeni, jak te poczciwe mieszczuchy, które klną muzykę, wysłuchawszy nowej opery Rossiniego? Odrzekają się tego życia, jak człowiek nawykły do skromnego stołu nie chce jeść pasztetu z truflami, ponieważ pierwszy przyprawił go o niestrawność. Rozpusta jest niewątpliwie sztuką jak poezja i wymaga silnej duszy. Aby pochwycić jej tajemnice, aby smakować w jej pięknościach, człowiek winien poniekąd oddać się sumiennym studiom. Jak wszystkie nauki jest zrazu przykra, ciernista. Olbrzymie przeszkody otaczają wielkie przyjemności człowieka; nie jego poszczególne uciechy, ale kompleksy, które czynią nałóg z najrzadszych wzruszeń, skupiają je, użyźniają, stwarzając człowiekowi dramaty życia w jego życiu, żądając nadmiernego, szybkiego strwonienia jego sił. Wojna, władza, sztuka, są to formy zepsucia równie stojące poza zakresem przeciętnej zdolności ludzkiej i równie głębokie jak rozpusta, i do wszystkich zarówno dostęp jest trudny. Ale skoro raz człowiek wdarł się na wyłom tych wielkich tajemnic, czyż nie kroczy jak w nowym świecie? Generałowie, ministrowie, artyści, wszyscy są mniej lub więcej skłonni do rozpusty; czują potrzebę przeciwstawienia silnych rozrywek swej egzystencji, tak bardzo wykraczającej poza zwyczajne życie. Ostatecznie wojna jest rozpustą krwi, jak polityka rozpustą interesów. Wszystkie nadużycia są braćmi. Te potworności społeczne posiadają moc otchłani, pociągają nas jak wyspa św. Heleny wołała Napoleona: sprawiają zawrót głowy, urzekają; nie wiedząc czemu, chcemy ujrzeć ich dno. Może myśl nieskończoności

żyje w tych otchłaniach; może schlebiają one miłości własnej człowieka: czyż nie zapełnia wówczas wszystkiego sobą? Aby stworzyć kontrast z rajem swoich godzin pracy, z radością tworzenia, zmęczony artysta żąda, czy to jak Bóg niedzielnego odpoczynku, czy to jak diabeł rozkoszy piekieł, aby przeciwstawić pracę zmysłów pracy ducha. Wytchnieniem lorda Byrona nie mógł być gadatliwy boston, ulubiony mieszczuchom; on poeta, musiał grać o Grecję przeciw Mahmudowi. Czyż na wojnie człowiek nie staje się aniołem zniszczenia, katem, ale i olbrzymem? Czy nie trzeba bardzo niezwykłych uroków, aby nam kazać znosić owe okrutne cierpienia, tak dotkliwe dla naszej wątłej powłoki, które niby żywopłot z cierni otaczają każdą namiętność? Jeżeli palacz wije się w konwulsjach i popada jakby w agonię nadużywszy tytoniu, zaliż w zamian nie zasiadał, w jakichś nieznanych strefach, przy rozkosznej uczcie? Czyż Europa nie rozpoczynała wciąż wojen, nie zdążywszy nawet otrzeć nóg, które nurzają się po kostki we krwi? Czyż więc człowiek zbiorowy ma także swoje pijaństwo jak natura swoje napady miłości? Dla człowieka prywatnego, dla jakiegoś Mirabeau, który wegetuje pod spokojnym rządem i marzy o burzach, rozpusta obejmuje wszystko, jest nieustannym uściskiem całego życia, lub, lepiej jeszcze, pojedynkiem z nieznaną potęgą, z potworem: zrazu potwór przeraża, trzeba go chwycić za rogi; cóż za zmęczenie! Natura dała ci, ot, jakiś tam żołądek, ciasny, leniwy: ujarzmiasz go, rozprzestrzeniasz, uczysz go znosić trunki, oswajasz z pijaństwem, spędzasz bezsenne noce, wyrabiasz w końcu w sobie odporność pułkownika kirasjerów, stwarzasz samego siebie drugi raz, jakby na przekór Bogu! Kiedy człowiek tak się przeobraził, kiedy nowicjusz ostrzela się jak stary żołnierz z hukiem armat, kiedy się wdroży do marszów, wówczas przychodzi do walki między nim a potworem; nie wiadomo, kto będzie górą, tarzają się, kłębią, to jeden to drugi zwycięża, w sferze, gdzie wszystko jest cudowne, gdzie zasypiają bóle duszy, gdzie żyją jedynie cienie idei. Ta okrutna walka stała się już potrzebą. Wcielając te bajeczne postacie, które wedle legendy sprzedały duszę diabłu, aby uzyskać odeń moc czynienia złego, rozpustnik przetargował swą śmierć za wszystkie rozkosze życia, jakże obfite, płodne! Zamiast sączyć się leniwo wśród jednostajnych brzegów, w mroku jakiegoś kantoru lub biura, życie kipi i pomyka jak strumień. Tak, rozpusta jest niewątpliwie dla ciała tym, czym dla duszy rozkosze mistyczne. Pijaństwo zanurza w marzeniu, którego urojenia są równie ciekawe jak wizje ekstazy. Masz godziny urocze jak kaprys młodej dziewczyny, rozkoszne gawędy z przyjaciółmi, słowa, które malują całe życie, szczere i niewymuszone uciechy, podróże bez utrudzenia, poematy rozwijające się w kilku zdaniach. Po brutalnym zadowoleniu bydlęcia, w którym wiedza chciała szukać duszy, następuje czarowne odrętwienie, do którego wzdychają ludzie znużeni własną inteligencją. Czyż wszyscy oni nie czują potrzeby zupełnego spoczynku i czy rozpusta nie jest rodzajem haraczu, który geniusz płaci duchowi zła? Patrz na wszystkich wielkich ludzi: o ile nie są czcicielami rozkoszy, natura stwarza ich wątłych. Jakaś zazdrosna czy drwiąca potęga kazi duszę ich lub ciało, aby przeciwważyć wysiłek ich talentu.

W tych godzinach zamroczenia trunkiem wszystko jawi ci się odziane w twoją liberię. Ty, król stworzenia, odmieniasz ją wedle ochoty. W tym nieprzerwanym oszołomieniu gra leje ci do woli swój roztopiony ołów w żyły. Pewnego dnia stałeś się własnością potwora; przychodzi wówczas na ciebie, jak na mnie przyszło, wściekłe przebudzenie: niemoc siadła u twego wezgłowia. Jeśliś starym żołnierzem, zjadają cię suchoty; jeśliś dyplomatą, anewryzm zawiesza w twoim sercu śmierć na nitce; mnie może choroba płuc powie: „Chodźmy!", tak jak powiedziała niegdyś Rafaelowi z Urbino, skoszonemu nadużyciem miłości. Oto jak żyłem! Wszedłem w świat albo za późno, albo za wcześnie; bez wątpienia siła moja byłaby niebezpieczna, gdybym jej nie stępił w ten sposób: czyż pod koniec orgii puchar Herkulesowy nie wyleczył świata z Aleksandra? Wreszcie dla pewnych zawiedzionych istnień trzeba nieba lub piekła, rozpusty lub schroniska na górze św. Bernarda. Przed chwilą nie miałem siły, aby prawić morały tym dwom istotom, rzekłem wskazując Eufrazję i Akwilinę. Czyż one nie są moją wcieloną historią, obrazem mego życia? Nie miałem prawa ich oskarżać, wydały mi się niby moi sędziowie. Wśród tego żywego poematu, na łonie tej upajającej choroby, miałem wszakże dwa ataki przeszywającego bólu. W kilka dni potem, jak się rzuciłem niby Sardanapal na mój stos, spotkałem Fedorę w przedsionku teatru. Czekaliśmy każde na swój powóz.

„A, więc jeszcze pana oglądam przy życiu".

Słowa te wyczytałem w jej uśmiechu, w jakiejś złośliwości, którą szepnęła swemu towarzyszowi, opowiadając mu bez wątpienia moją historię i sądząc mą miłość wedle pospolitej miary. Dumna była ze swej zawodnej przenikliwości. Och! Umierać dla niej, ubóstwiać ją jeszcze, widzieć ją w moich orgiach, w moim pijaństwie, w łóżku kurtyzan i czuć się ofiarą jej żartu! Nie móc rozedrzeć piersi, wyrwać z niej mojej miłości, aby ją rzucić do jej stóp! W końcu wyczerpałem bez trudu mój skarb; ale te trzy lata dawniejszego trybu życia obdarzyły mnie tak potężnym zdrowiem, iż w dniu, w którym znalazłem się bez pieniędzy, miałem się znakomicie. Aby móc umierać dalej, podpisałem krótkoterminowe weksle, nadszedł dzień wypłaty. Okrutne przejścia! Ileż wzruszeń dla młodego serca! Nie byłem jeszcze dojrzały do tego, aby się zestarzeć; dusza moja była wciąż młoda, żywa i krzepka. Mój pierwszy dług wskrzesił wszystkie moje cnoty, które podeszły wolnym krokiem, jawiąc żałosne oblicze. Umiałem z nimi paktować niby ze starą ciotką, która zrazu łaje, a w końcu uroni i łzy, i pieniądze. Wyobraźnia moja, bardziej surowa, przedstawiała mi moje nazwisko wędrujące od miasta do miasta po rynkach Europy. *Nasze nazwisko to my sami*, powiedział Euzebiusz Salverte. Po tych błędnych wędrówkach miałem jak ów sobowtór niemiecki wrócić do mego mieszkania — którego nie opuszczałem — aby się zbudzić nagle. Ach, ci funkcjonariusze banku, te finansowe wyrzuty sumienia, odziani szaro, noszący srebrną tabliczkę, liberię swego pana!... Niegdyś patrzałem na nich obojętnie, kiedym ich spotkał gdzie na ulicy: dziś nienawidziłem ich z góry. Czyż pewnego rana jeden z nich nie miał się zjawić, aby zażądać ode mnie rachunku z jedenastu weksli, które nagryzmoliłem? Mój podpis wart był trzy tysiące franków, ja sam nie byłem ich wart! Komornik o twarzy obojętnej na wszystkie rozpacze, nawet na śmierć, jawił się przede mną niby kat, który mówi skazańcowi: „Oto wybiło wpół do czwartej". Pomocnicy jego mieli prawo mnie pochwycić, zapisać moje nazwisko, zbrukać je, wyszydzić. BYŁEM WINIEN! Być winnym czyż nie znaczy przestać należeć do siebie? Czyż inni nie mieli prawa żądać rachunku z mego życia? Czemu jadłem pudding z ananasem? Czemu piłem szampan z lodu? Czemu spałem, chodziłem, myślałem, bawiłem się, nie płacąc im? W momencie poezji, na łonie jakiejś myśli lub też przy śniadaniu, otoczony przyjaciółmi, wśród miłych żartów, wesela, mogłem ujrzeć wchodzącego pana w brązowym ubraniu, z wytartym kapeluszem w ręku. Ten pan to będzie mój dług, mój weksel, upiór, który zmrozi mą radość, zmusi mnie, bym wstał od stołu i rozmówił się z nim; zabierze mi moją wesołość, moją kochankę, wszystko, nawet łóżko. Wyrzut sumienia jest znośniejszy, nie ciska nas ani na bruk, ani do więzienia, nie pcha nas na tę okropną drogę występku; wiedzie nas jedynie na rusztowanie, kędy kat uszlachetnia: w chwili naszego stracenia wszyscy wierzą w naszą niewinność, podczas gdy społeczeństwo nie przyzna ani jednej cnoty rozpustnikowi bez pieniędzy. Następnie te długi na dwóch nogach, odziane w zielone sukno, o niebieskich okularach lub różnokolorowych parasolach; te długi uosobione, z którymi spotykamy się oko w oko na rogu ulicy, w chwili, gdy się uśmiechamy: ci ludzie posiedli okrutny przywilej powiedzenia mi w twarz: „Pan de Valentin jest mi winien, a nie płaci. Mam go. Och, niech się nie waży ani skrzywić na mnie". Trzeba się kłaniać swoim wierzycielom, kłaniać się z wdziękiem. „Kiedy pan zapłaci?" mówią. I jesteś zmuszony kłamać, płaszczyć się dla pieniędzy, giąć się przed głupcem siedzącym na swej kasie, cierpieć jego zimne spojrzenia, te spojrzenia pijawki wstrętniejsze niż policzek, znosić jego małomieszczańskie morały i jego tępą ciemnotę. Dług to płód wyobraźni, której oni nie rozumieją. Ten, kto się zapożycza działa często pod wpływem porywu duszy, natomiast nic wielkiego, szlachetnego nie powoduje tymi, którzy żyją w pieniądzu i znają tylko pieniądz. Ja miałem wstręt do pieniędzy. Wreszcie, weksel może się przeobrazić w starca obarczonego rodziną, zdobnego cnotami. Byłem może winien pieniądze żywemu obrazowi Greuza, paralitykowi otoczonemu dziećmi, wdowie po żołnierzu; i wszyscy wyciągali ku mnie błagalne ręce. Straszliwi wierzyciele, z którymi trzeba płakać: kiedy się ich spłaci, jeszcze trzeba by ich wspomóc! W wilię wypłaty położyłem się z owym fałszywym spokojem człowieka, który śpi przed straceniem, przed pojedynkiem: zawsze się daje kołysać kłamliwym nadziejom. Ale po przebudzeniu, kiedym ochłonął, kiedym poczuł moją duszę uwięzioną w portfelu bankiera, opisaną, zahipotekowaną, pokreśloną czerwonym atramentem, długi moje opadły mnie jak szarańcza; czaiły się w zegarze, na fotelach lub wciśnięte w sprzętach, które najbardziej lubiłem. Owi mili martwi niewolnicy, stawszy się pastwą harpii sądowych, mieli

być porwani ręką komornika i brutalnie rzuceni w halę licytacyjną. Ach! Te moje graty, wszakże to też byłem ja. Dzwonek u drzwi rozbrzmiewał w moim sercu, uderzał mnie tam, gdzie powinno się uderzać królów — w głowę. Było to męczeństwo bez nagrody w niebiesiech. Tak, dla człowieka uczciwego dług to piekło, ale piekło z komornikiem i lichwiarzami. Niezapłacony dług to podłość, to początek łajdactwa, gorzej jeszcze, to kłamstwo! Wskazuje drogę zbrodni, gromadzi belki na rusztowanie. Weksle moje zaprotestowano. W trzy dni potem zapłaciłem je; oto jak. Spekulant jakiś zaproponował mi, abym mu sprzedał wysepkę na Loarze, gdzie był grób mojej matki. Zgodziłem się. Podpisując kontrakt u rejenta, doznałem w tej ciemnej kancelarii uczucia piwnicznego chłodu. Zadrżałem, odnajdując to samo wrażenie chłodnej wilgoci, jaka mnie ogarnęła nad dołem, w który chowano mego ojca. Przypadek ten oddziałał na mnie niby złowroga przepowiednia. Zdawało mi się, że słyszę głos matki i widzę jej cień; jakaś nieznana siła powtarzała głucho moje imię wśród dźwięku dzwonów! Ze sprzedaży wyspy zostało mi po zapłaceniu wszystkich długów dwa tysiące franków. Zapewne mogłem był wrócić do spokojnego życia nauki, wrócić na moje poddasze, doświadczywszy życia, wrócić z głową pełną rozległych spostrzeżeń i zdobywszy już niejaki rozgłos. Ale Fedora nie wypuściła swojej ofiary. Nieraz spotykaliśmy się. Nazwisko moje często obijało się jej o uszy; powtarzali je jej wielbiciele, oszołomieni moim dowcipem, powodzeniem, mymi końmi, pojazdami. Pozostała zimna i nieczuła na wszystko, nawet na te okropne słowa: „Zabija się dla pani!" wymówione przez Rastignaca. Powierzyłem całemu światu swą zemstę, ale nie byłem szczęśliwy. Grzebiąc się w ten sposób w życiu aż do błota, coraz żywiej przeczuwałem rozkosz podzielanej miłości, ścigałem jej majak w kaprysach rozpusty, na łonie orgii. Na moje nieszczęście, zawiodłem się w mej szlachetnej wierze; dobrodziejstwa moje odpłacano niewdzięcznością; błędy moje znalazły nagrodę w tysiącznych rozkoszach. Smutna filozofia, ale prawdziwa dla rozpustnika! Wreszcie Fedora zaraziła mnie trądem swej próżności. Zgłębiając mą duszę, znalazłem ją zgangrenowaną, przegniłą. Duch zła wpił mi w czoło swoją ostrogę. Niepodobna mi już było obejść się bez ciągłych dreszczów życia wciąż stawianego na kartę oraz bez okropnych wyrafinowań bogactwa. Gdybym miał miliony, wciąż byłbym grał, jadł, gonił. Bałem się już zostać sam ze sobą. Potrzebowałem kurtyzan, fałszywych przyjaciół, wina, dobrej kuchni, aby się ogłuszyć. Więzy łączące człowieka z rodziną były we mnie stargane na zawsze. Stawszy się galernikiem użycia, miałem dobiec mego samobójczego wyścigu. Przez ostatnie dni mego dostatku, dopuszczałem się co wieczór niesłychanych wybryków; ale co rano śmierć odrzucała mnie w życie. Niby właściciel dożywocia, mogłem był śmiało przejść przez pożar. Wreszcie znalazłem się sam z jedną dwudziestofrankówką: przypomniałem sobie wówczas szczęście Rastignaca...

— Ha, ha!... — wykrzyknął Rafael, przypominając sobie nagle swój talizman i wyjmując go z kieszeni.

Czy to że zmęczony wzruszeniami tego długiego dnia nie był już zdolny powodować swą inteligencją w strugach wina i ponczu, czy że przywiedziony do rozpaczy obrazem swego życia upił się bezwiednie potokiem własnych słów, Rafael ożywił się, doszedł do stopnia podniecenia graniczącego z szaleństwem.

— Do diabła ze śmiercią! — wykrzyknął, potrząsając kawałkiem skóry. — Chcę teraz żyć! Jestem bogaty, posiadam wszystkie cnoty. Nic mi się nie oprze. Któż nie byłby dobry, kiedy może wszystko? Ha, ha! O, he! Pragnąłem dwustu tysięcy renty, będę je miał. Pokłońcie mi się, wieprze, które się barłożycie na tych dywanach jak na podściółce z gnoju! Jesteście moi: bajeczna sukcesja! Jestem bogaty, mogę was kupić wszystkich, nawet ot, tego posła, który tam chrapie. Dalej, wykwintna kanalio, błogosławcie mnie! Jestem papieżem.

Wykrzykniki Rafaela, aż dotąd ginące w *basso continuo* chrapania, doszły nagle do uszu gości. Ten i ów śpiący obudził się z krzykiem: ujrzeli mówcę słaniającego się na nogach i przyjęli jego hałaśliwe pijaństwo koncertem klątw.

— Milczeć! — krzyknął Rafael. — Psy, do budy! Emilu, mam skarby, dam ci hawańskich cygar, ile dusza zapragnie.

— Słyszę — odparł poeta — *Fedora lub śmierć*. Jedź śmiało. Ta przylepeczka Fedora zwiodła cię. Wszystkie kobiety są córkami Ewy. Twoja historia wcale nie jest dramatyczna.

— A, ty spałeś, filucie?

— Nie... Fedora lub śmierć! Słyszę, słyszę.

— Obudź się — krzyknął Rafael, uderzając Emila jaszczurem, jak gdyby chciał zeń dobyć prąd elektryczny.

— Krocset bomb! — rzekł Emil, wstając i chwytając Rafaela w pół. — Mój drogi, pamiętaj, że jesteś w towarzystwie nieprzyzwoitych kobiet.

— Jestem milionerem!

— Milionerem może, ale pijanym na pewno.

— Pijanym władzą. Mogę cię zabić!... Milczeć, ja jestem Nero! Jestem Nabuchodonozor!

— Ależ, Rafaelu, jesteśmy tu w bardzo mieszanym towarzystwie, zachowuj się cicho, miej godność.

— Moje życie było zbyt długą ciszą. Dziś chcę zemsty, zemsty nad całym światem. Nie będę się bawił trwonieniem marnych dukatów; chcę naśladować, chcę streścić epokę, strawiając życie ludzkie, inteligencje, dusze. Oto zbytek, który ma coś wielkiego, nieprawdaż? Przepych zarazy! Pójdę o lepsze z febrą żółtą, zieloną, niebieską, z armiami, z szafotami. Mogę mieć Fedorę... Ale nie, nie chcę Fedory, to moja choroba, umieram na Fedorę! Chcę zapomnieć Fedory.

— Jeżeli nie przestaniesz krzyczeć, wyniosę cię do jadalni.

— Widzisz tę skórę? To testament Salomona. Mam go, tego Salomona, króla spod ciemnej gwiazdy, jest mój! Mam Arabię i to skalistą, świat cały jest mój. Ty jesteś mój, jeśli zechcę. Och! jeżeli zechcę, strzeż się. Mogę kupić cały twój kramik z czcionkami, będziesz moim lokajem. Będziesz mi układał kuplety, liniował papier. Lokajem, tak...

Przy tych słowach Emil wyciągnął Rafaela do jadalni.

— Więc dobrze, tak, mój kochany — rzekł — jestem twoim lokajem. Ale ty masz być naczelnym redaktorem pisma, milczże! Bądź przyzwoity, zrób to dla mnie! Kochasz mnie?

— Czy ja cię kocham? Dzięki tej skórze będziesz miał zawsze hawańskie cygara. Wciąż skóra, mój przyjacielu, wszechmogąca skóra! Znakomite *cousticum*, mogę leczyć odciski. Masz odciski? Usunę ci je.

— Nigdy jeszcze nie plotłeś takich głupstw...

— Głupstw, kochanku? Nie. Ta skóra kurczy się za każdym moim pragnieniem... to coś przekręcone... Braman — siedzi w tym wszystkim jakiś braman! — ten braman to musiał być tęgi figlarz, bo pragnienia, widzisz, powinny by rozszerzać...

— Tak, tak.

— Powiadam ci...

— Tak, to zupełna prawda, jestem twojego zdania. Pragnienie rozszerza...

— Powiadam ci, skóra!

— Tak.

— Ty mi nie wierzysz. Znam cię, mój chłopcze, ty łżesz jak świeżo upieczony król.

— Jakże chcesz, abym wierzył w twoje pijackie brednie?

— Idę z tobą o zakład, mogę ci tego dowieść. Weźmy miarę.

— On nigdy nie uśnie — wykrzyknął Emil, widząc, że Rafael szpera po całej jadalni.

Dzięki owej jasności wzroku, której objawy kłócą niekiedy u pijanych z zamroczeniem pijaństwa, Valentin wynalazł z małpią zręcznością przybór do pisania i serwetkę, powtarzając wciąż:

— Weźmy miarę! Weźmy miarę.

— Dobrze więc, dobrze — odparł Emil — weźmy miarę.

Dwaj przyjaciele rozciągnęli serwetkę i przyłożyli do niej jaszczur. Emil, pewniejszy w rękach od Rafaela, obrysował atramentem kontur talizmanu, podczas gdy przyjaciel mówił:

— Pragnąłem dwustu tysięcy franków renty, nieprawdaż? Otóż kiedy je będę miał, ujrzysz, jak się cały ten mój jaszczur skurczy.

— Tak... A teraz śpij. Chcesz, abym cię ułożył tej kanapie? No, dobrze tak?

— Tak, moje niemowlę prasy. Będziesz mnie bawił, będziesz mi wypędzał muchy z nosa. Przyjaciel nieszczęśliwego ma prawo być przyjacielem potentata. Dam ci też... cy... gar... ha.. wań...

— No, no, traw swoje złoto, milionerze.

— A ty traw swoje artykuły. Dobranoc. Powiedzże dobranoc Nabuchodonozorowi!... Miłość! Pić! Francja... chwała i bogac... bogac...

Niebawem dwaj przyjaciele zjednoczyli swoje chrapanie z muzyką rozlegającą się w salonach. Zbyteczny koncert. Świece gasły kolejno wśród trzaskania kryształowych świeczników. Noc spowiła krepą tę długą orgię, w której opowiadanie Rafaela było niby orgią słów, zdań bez myśli oraz myśli, którym często zbrakło wyrazu.

Nazajutrz około południa piękna Akwilina wstała, ziewając, zmęczona, z policzkami pocętkowanymi odciskiem taboretu, na którym spoczywała jej głowa. Eufrazja, zbudzona ruchem swej towarzyszki, zerwała się nagle z chrapliwym krzykiem; ładna jej twarz, tak biała i świeża poprzedniego wieczora, była żółta i blada jak twarz dziewczyny idącej do szpitala. Stopniowo biesiadnicy zaczęli się ruszać, wydając żałosne pomruki, ręce i nogi mieli zdrętwiałe, wszystkie rodzaje zmęczenia czyhały na ich przebudzenie. Lokaj otworzył żaluzje i okna. Zebranie znalazło się na nogach, przywołane do życia gorącymi promieniami słońca, które zamigotało na głowach śpiących. W blasku dnia kobiety przedstawiały wstrętny widok. Niespokojny sen zniszczył wytworne gmachy fryzur i wymiął ich suknie; włosy zwisały bez wdzięku, fizjognomie zmieniły wyraz, lśniące oczy ścmiły się znużeniem. Cera brunetek, rzucająca tyle blasku przy świetle, wyglądała okropnie; limfatyczne twarze blondynek, tak białe i miękkie, kiedy są wypoczęte, stały się zielone; usta, wprzód rozkoszne i czerwone, teraz suche i blade, nosiły szpetne znamiona pijaństwa. Mężczyźni odrzekali się swoich kochanek z tej nocy, widząc je tak zwiędłe i trupie, niby kwiaty zdeptane na ulicy po przejściu procesji. Mężczyźni byli jeszcze okropniejsi. Zadrżelibyście, ujrzawszy te twarze ludzkie o zapadłych i podkrążonych oczach, które zdawały się nie widzieć, nabrzmiałe winem, otępiałe od niespokojnego snu, więcej dającego zmęczenia niż wypoczynku. Te chorobliwe twarze, w których malowały się w całej nagości pożądania fizyczne bez poezji, jaką stroi je dusza, miały coś okrutnego, coś zimno-bestialskiego. To przebudzenie się rozpusty bez strojów i barwiczki, ten szkielet zepsucia odarty z łachów, zimny, pusty, wyzuty z sofizmatów dowcipu lub uroków zbytku, przeraził owych nieustraszonych atletów, mimo iż tak zaprawionych do zapasów z rozpustą. Artyści i kurtyzany w milczeniu wodzili błędnym okiem po nieładzie mieszkania, gdzie wszystko było spustoszone, zniszczone ogniem namiętności. Szatański śmiech rozległ się nagle, kiedy Taillefer, słysząc głuche rzężenie gości, silił się powitać ich uprzejmą miną; twarz jego, spocona i nabiegła krwią, zamajaczyła nad sceną niby piekielny obraz zbrodni bez wyrzutów[11]. Obraz był zupełny. Było to błoto na łonie zbytku, okropna mieszanina przepychu i nędzy ludzkiej, przebudzenie rozpusty, kiedy swymi krzepkimi rękami wycisnęła wszystkie owoce życia, zostawiając dokoła siebie jedynie plugawe ogryzki lub kłamstwa, w które już nie wierzy. Rzekłbyś, śmierć uśmiechająca się wśród rodziny zadżumionych: pierzchły zapachy, olśniewające światła i wesołość, i pragnienia; został wstręt ze swą mdlącą wonią i swoją przenikliwą filozofią, słońce jaśniejące jak prawda, powietrze czyste jak cnota, kłócące się z tą atmosferą gorącą, przesyconą wyziewami, wyziewami orgii! Mimo nawyku do rozpusty, niejedna z tych młodych dziewcząt pomyślała o swoim przebudzeniu niegdyś, kiedy niewinne i czyste przez sielskie okienko strojne w powoje i róże oglądały ożywczy krajobraz ożywiony radosnym śpiewem skowronka, oświecony zamglonym blaskiem jutrzenki i strojny kaprysami rosy. To znów wyobrażały sobie śniadanie w kole rodzinnym, stół, dokoła którego dzieci śmiały się niewinnie z ojcem, gdzie wszystko oddychało niewysłowionym czarem, gdzie potrawy były proste jak serca. Artysta myślał o swej zacisznej pracowni, o czystym posągu, o wdzięcznym modelu, który go oczekiwał. Młody człowiek, wspomniawszy proces, od którego zależał los jakiejś rodziny, myślał o ważnej konferencji, która żądała jego obecności. Uczony żałował swego gabinetu, dokąd wołało go szlachetne dzieło. Prawie wszyscy boleli nad samymi sobą. W tej chwili Emil, świeży i różowy jak najładniejszy subiekt modnego magazynu, ukazał się ze śmiechem.

— Jesteście szpetni jak łapacze trybunalscy! — wykrzyknął. — Nie zrobicie już nic dzisiaj, dzień jest stracony; najmądrzej będzie pomyśleć o śniadaniu.

[11] *Taillefer (…) zbrodni bez wyrzutów* — Historia Taillefera znajduje się w noweli *L'Auberge rouge*. [przypis tłumacza]

Na te słowa Taillefer wyszedł, aby wydać rozkazy. Kobiety zaczęły leniwo poprawiać tualety przed lustrem. Każdy się otrząsnął. Najzawziętsi bibosze[12] zaczęli przemawiać do rozumu stateczniejszym. Kurtyzany jęły sobie dworować z tych, którzy jakoby nie czuli się na siłach, aby ciągnąć dalej tę wściekłą ucztę. W mgnieniu oka te upiory ożywiły się; goście potworzyli grupy, zaczęli rozmawiać, uśmiechać się. Zręczni i zwinni lokaje poustawiali szybko sprzęty tak, aby wszystko znalazło się na swoim miejscu. Podano wspaniałe śniadanie, biesiadnicy runęli do jadalni. Tam, jeżeli wszystko nosiło niezatarte ślady wczorajszej orgii, przynajmniej był tam ślad życia i myśli, jak w ostatnich konwulsjach umierającego. Niby w zapustnym pochodzie maski zmęczone tańcem, opiłe pijaństwem, grzebały saturnalie, siląc się wmówić wyczerpanie rozkoszy, aby nie przyznać się do własnego wyczerpania. W chwili, gdy ta mężna zgraja obsiadła stół kapitalisty, Cardot, który poprzedniego dnia znikł roztropnie po obiedzie, aby dokończyć orgii w łóżku małżeńskim, ukazał swą usłużną fizjognomię okraszoną słodkim uśmieszkiem. Rzekłbyś, iż odgaduje jakiś spadek, że go wyobraźnią smakuje, dzieli, opisuje, inwentaryzuje, spadek pełen spodziewanych aktów, brzemienny w honoraria, równie soczysty jak piękny zraz polędwicy, w który amfitrion zatapiał w tej chwili nóż.

— Ha ha! Będziemy jedli śniadanie rejentalnie — wykrzyknął de Cursy.

— Przybywa pan na czas, aby opisać i zaprotokółować wszystkie te kawałki — rzekł bankier, ukazując biesiadę.

— Nie ma tu materiału na testament, ale na konrakciki ślubne, może! — rzekł uczony, który pierwszy raz od roku wspaniale dopełnił aktu małżeństwa.

— Och, och!

— Ha, ha!

— Chwileczkę — odparł Cardot ogłuszony chórem tanich konceptów — przychodzę tu w poważnej sprawie. Przynoszę sześć milionów jednemu z panów. — (Głęboka cisza.) — Proszę pana — rzekł do Rafaela, który w tej chwili wycierał sobie bez ceremonii oczy serwetką, wszak pańska matka była z domu O'Flaharty?

— Tak — odparł Rafael wpół machinalnie — *Barbara-Maria*.

— Czy ma pan tutaj — ciągnął Cardot — metrykę swoją oraz pani de Valentin?

— Przypuszczam.

— A więc, proszę pana, jest pan jedynym i wyłącznym spadkobiercą majora O'Flaharty, zmarłego w sierpniu roku 1828 w Kalkucie.

— Śliczna *kalkutacja*! — wykrzyknął dowcipniś.

— Ponieważ major przeznaczył testamentem rozmaite sumy na rzecz instytucji publicznych, rząd francuski upomniał się o spadek u Kompanii Indyjskiej — ciągnął rejent. — W tej chwili sukcesja jest dojrzała do podjęcia. Od dwóch tygodni szukałem daremnie progenitury z panny Barbary Marii O'Flaharty, kiedy wczoraj przy stole...

W tej chwili Rafael nagle wstał, czyniąc gwałtowny gest człowieka, który otrzymał ranę. Rozległ się niby milczący krzyk; pierwszym uczuciem biesiadników była głucha zawiść, wszystkie oczy zwróciły się ku niemu jak płomienie. Potem szmer, podobny do szmeru wzburzonej sali w teatrze, hałas jak gdyby zamieszki ulicznej wzmógł się, urósł, każdy przywitał jakimś wykrzyknikiem tę olbrzymią fortunę przyniesioną przez rejenta. Otrzeźwiony zupełnie tym szybkim posłuszeństwem losu, Rafael rozłożył szybkim ruchem na stole serwetkę którą niedawno zmierzył skórę jaszczuru. Głuchy na wszystko, położył na niej swój talizman i zadrżał mimo woli, widząc małą przestrzeń pomiędzy zarysem wykreślonym na płótnie a brzegiem skóry.

— No i co, co jemu? — wykrzyknął Taillefer. — Tanio doszedł do fortuny.

— *Podtrzymaj go, kanclerzu!* — rzekł Bixiou do Emila — radość go zabije.

Straszliwa bladość oblekła wszystkie mięśnie zniszczonej twarzy spadkobiercy; rysy jego ściągnęły się, twarz stała się niby trupia maska, oczy zmartwiały. Widział ŚMIERĆ. Ten świetny bankier otoczony zwiędłymi kurtyzanami, twarzami pełnymi przesytu, ta agonia rozkoszy była żywym obrazem jego życia. Rafael spojrzał trzykrotnie na talizman mieszczący się swobodnie w nieubłaganych liniach wykreślonych na serwetce: próbował wątpić, ale jasne przeczucie podcinało jego niewiarę. Świat należał doń, mógł wszystko i nie chciał już niczego. Jak podróżny w pustyni miał nieco wody dla ugaszenia pragnienia

[12] *bibosz* (z łac.) — pijak. [przypis edytorski]

i mierzył życie na ilość łyków. Widział, ile dni miało go kosztować każde pragnienie. Wierzył już w jaszczur, słuchał swego oddechu, czuł się już chory, pytał siebie:

„Czy ja nie mam suchot? Czy matka moja nie umarła na płuca?"

— Ha, ha! Rafaelu! Ależ będziesz hulał! Co mi dasz? — mówiła Akwilina.

— Zdrowie nieboszczyka wuja, majora O'Flaharty! To mi człowiek!

— Zostanie parem Francji.

— Ba! Co to jest par Francji od *Lipca*! — rzekł sceptyk.

— Czy będziesz miał lożę w Operze?

— Mam nadzieję, że sprawisz nam tęgą bibę? — rzekł Bixiou.

— Taki człowiek jak Rafael zna swoje obowiązki — odparł Emil.

Okrzyki rozbawionego zgromadzenia rozlegały się w uszach Valentina, ale nie rozróżniał ani jednego słowa; myślał o mechanicznym i wyzutym z pragnień istnieniu bretońskiego chłopa, obarczonego dziećmi, orzącego rolę, żywiącego się gryką, zapijającego ją jabłecznikiem, wierzącego w Matkę Boską i w króla, przystępującego do komunii na Wielkanoc, tańczącego w niedzielę na murawie i nierozumiejącego kazań wikarego. Widok, jaki uderzył w tej chwili jego oczy, te złocone gzymsy, te kurtyzany, ta uczta, ten zbytek, ścisnęły go za gardło i pobudziły do kaszlu.

— Chcesz szparagów? — zawołał doń bankier.

— *Nie chcę niczego*! — odparł Rafael grzmiącym głosem.

— Brawo! — odparł Taillefer. — Rozumiesz majątek: to jest patent na impertynencję. Jesteś nasz! Panowie, pijmy na cześć potęgi złota. Pan de Valentin, stawszy się sześciokrotnym milionerem, przychodzi do władzy. Jest królem, może wszystko, jest ponad wszystkim, jak wszyscy bogacze. Odtąd dla niego zdanie: WSZYSCY FRANCUZI SĄ RÓWNI WOBEC PRAWA jest kłamstwem wypisanym na czele konstytucji. Nie on będzie słuchał praw, ale prawa będą słuchały jego. Nie ma rusztowania, nie ma katów dla milionerów!

— Tak — odparł Rafael — sami są swymi katami!

— Także przesąd! — wykrzyknął bankier.

— Pijmy! — rzekł Rafael, chowając talizman do kieszeni.

— Co ty tam robisz? — rzekł Emil, przytrzymując rękę. — Panowie — dodał, zwracając się do zebranych, dosyć zdziwionych zachowaniem Rafaela — dowiedzcie się, że nasz przyjaciel de Valentin — co mówię? — *pan margrabia de Valentin*, posiada tajemnicę robienia majątku. Jego pragnienia spełniają w tej samej chwili, w której je poweźmie. O ile nie zechce uchodzić za chama, za człowieka bez serca, zrobi nas wszystkich bogaczami.

— Och, mój złociutki Rafaelu, ja chcę sznur pereł — wykrzyknęła Eufrazja.

— Jeżeli umie być wdzięcznym, da mi dwa powozy z pięknymi i rączymi końmi! — rzekła Akwilina.

— Zażądaj stu tysięcy funtów renty dla mnie!

— Szal kaszmirowy!

— Zapłać moje długi!

— Ześlij apopleksję na mego wuja!

— Rafaelu, skwituję cię za dziesięć tysięcy franków renty!

— Sypią się donacje! — zauważył rejent.

— Mógłby mnie uleczyć z podagry!

— Spraw zniżkę na giełdzie! — wykrzyknął bankier.

Zdania te padły niby snop iskier kończący fajerwerk. Te wściekłe pragnienia raczej były wyrzeczone serio niż żartem.

— Mój drogi przyjacielu — rzekł Emil uroczyście — ja się zadowolę dwustoma tysiącami renty; nie daj się prosić, no!

— Emilu — rzekł Rafael — czyż nie wiesz za jaką cenę?

— Ładna wymówka! — wykrzyknął poeta. — Czyż nie godzi się poświęcić dla przyjaciół?

— Miałbym prawie ochotę życzyć wam wszystkim śmierci — odparł Valentin, obejmując biesiadników posępnym i głębokim spojrzeniem.

— Umierający są diabelnie okrutni — rzekł Emil, śmiejąc się. — Jesteś tedy bogaty — dodał poważnie — otóż zaręczam ci, że do dwóch miesięcy staniesz się brudnym

egoistą. Już jesteś głupi; nie rozumiesz żartu! Brakło ci jeszcze tego, abyś uwierzył w swój jaszczur...

Lękając się drwin towarzystwa, Rafael zamilkł; pił bez miary i upił się, aby zapomnieć na chwilę o swej złowrogiej potędze.

III. Agonia

W pierwszych dniach grudnia siedemdziesięcioletni starzec kroczył mimo deszczu ulicą de Varenne, podnosząc głowę przy każdym domu i szukając z naiwnością dziecka i roztargnieniem filozofa adresu margrabiego Rafaela de Valentin. Wyraz głębokiej troski mocującej się z despotycznym charakterem malował się na tej twarzy okolonej długimi, siwymi włosami w nieładzie, wysuszonej jak stary pergamin, gdy się zwija w ogniu. Gdyby jakiś malarz spotkał tę szczególną osobistość, czarno ubraną, chudą i kościstą, bez wątpienia wróciwszy do pracowni, uwieczniłby ją w albumie z takim podpisem: *Poeta klasyczny w poszukiwaniu rymu*. Sprawdziwszy numer, który mu wskazano, ta żywa palingeneza Rollinowska zapukała lekko do bramy wspaniałego pałacu.

— Czy pan Rafael w domu? — spytał starowina szwajcara w liberii.

— Pan margrabia nie przyjmuje nikogo — odparł służący, pochłaniając olbrzymi kawał bułki rozmoczony w kawie.

— Powóz stoi — odparł nieznajomy starzec, wskazując świetny ekwipaż stojący pod daszkiem osłaniającym stopnie ganku. — Pan margrabia wyjdzie tutaj, zaczekam na niego.

— Ech, ojczulku, mógłbyś tu czekać do jutra rana — odparł szwajcar. — Zawsze jest w pogotowiu powóz dla jaśnie pana. Ale wyjdź pan stąd, proszę; straciłbym sześćset franków dożywotniej renty, gdybym raz wpuścił bez rozkazu obcą osobę do pałacu.

W tej chwili wysoki starzec w stroju dość podobnym do kostiumu woźnego w ministerium wynurzył się z sieni i zeszedł spiesznie kilka schodów, przyglądając się oszołomionemu staremu petentowi.

— Zresztą jest pan Jonatas — rzekł szwajcar — niech pan z nim pomówi.

Dwaj starcy, pociągnięci ku sobie wzajemną sympatią lub ciekawością, spotkali się w obszernym dziedzińcu, gdzie wśród bruku rosło parę źdźbeł trawy. Przeraźliwa cisza panowała w tym pałacu. Widząc Jonatasa, chciałoby się przeniknąć rozpościerającą się na jego twarzy tajemnicę, o której mówił zarazem każdy szczegół tego zamarłego domu. Pierwszym staraniem Rafaela, skoro wszedł w posiadanie olbrzymiego spadku po wuju, było odszukać dawnego oddanego sługę, na którego przywiązanie mógł liczyć. Jonatas rozpłakał się z radości na widok młodego pana, którego pożegnał był — jak mniemał — na zawsze; ale szczęście jego doszło do zenitu, gdy margrabia powierzył mu wysokie funkcje intendenta. Stary Jonatas stał się potęgą pośredniczącą między Rafaelem a całym światem. Najwyższy rządca majątku swego pana, ślepy wykonawca nieznanej myśli, był niby szóstym zmysłem, przez który wzruszenia życia dochodziły do Rafaela.

— Panie, chciałbym mówić z panem Rafaelem — rzekł starzec do Jonatasa, wstępując na ganek, aby się schronić przed deszczem.

— Mówić z panem margrabią? — wykrzyknął intendent. — Zaledwie odzywa się do mnie, który go kołysałem na ręku, którego żona karmiła go swoim mlekiem.

— A ja! — wykrzyknął starzec. — Jeżeli pańska żona karmiła go swym mlekiem, ja, ja sam dawałem mu ssać z piersi Muz. Jest moim mlecznym synem, moim dzieckiem, *carus alumnus*! Ukształtowałem jego mózg, hodowałem jego inteligencję, rozwinąłem talent, i to, śmiem powiedzieć, na moją cześć i chwałę. Czyż nie jest jednym z najwybitniejszych ludzi naszej epoki? Miałem go pod sobą w szóstej, trzeciej i w retoryce. Jestem jego profesorem.

— A, pan Porriquet?

— Właśnie. Ale...

— Cyt! cyt! — zawołał Jonatas na dwóch kuchcików, których głosy mąciły klasztorną ciszę pałacu.

— Ależ, panie — podjął profesor — czyżby pan margrabia był chory?

— Drogi panie — odparł Jonatas — Bóg jeden wie, co jest memu panu. Widzi pan, nie ma w Paryżu ani dwóch domów podobnych do naszego. Słyszy pan? Dwóch

domów. Pan margrabia kupił ten pałac, który należał poprzednio do pewnego księcia. Wydał trzysta tysięcy franków na umeblowanie. Rozumie pan, to jest suma, trzysta tysięcy franków! Ale też każdy pokój w naszym domu to prawdziwy cud. „Brawo, powiedziałem sobie, widząc te wspaniałości, to jak u nieboszczyka jego dziadka: młody pan margrabia będzie prowadził otwarty dom". Gdzie tam! Ani chciał kogo widzieć na oczy. Mój pan prowadzi dziwne życie, panie Porriquet, rozumie pan? Życie *niewzruszone*. Wstaje co dzień o tej samej godzinie. Jedynie ja, ja sam, widzi pan, mogę wejść do jego pokoju. Wchodzę o siódmej, latem czy zimą. Tak już postanowiono. Wszedłszy, powiadam:

— Panie margrabio, trzeba wstać i ubierać się.

Wstaje i ubiera się. Mam obowiązek podać mu szlafrok, zawsze tak samo skrojony i z tej samej materii. Mam obowiązek postarać się o nowy, skoro ten jest zużyty, jedynie aby oszczędzić memu panu kłopotu życzenia. Także dziwactwo! Ano cóż, ma tysiąc franków do przepuszczenia co dzień, robi co chce, kochane dziecko! Zresztą, ja go tak kocham, że gdyby mnie uderzył w twarz z jednej strony, nadstawiłbym mu drugą! Gdyby zażądał ode mnie najcięższej rzeczy, zrobiłbym, rozumie pan? Zresztą ubrał mnie w tyle drobiazgów, że mam się czym zająć. Czyta dzienniki, nieprawdaż? Mam rozkaz układać je w tym samym miejscu, na tym samym stole. Mam też o jednej i tej samej godzinie ogolić go i ręka mi nie drży! Kucharz straciłby tysiąc talarów dożywocia, które go czekają po śmierci jaśnie pana, gdyby śniadanie nie znalazło się *niewzruszenie* na stole o dziesiątej rano, a obiad punkt o piątej. Porządek dań ułożony jest na cały rok, dzień po dniu. Pan margrabia nie potrzebuje niczego pragnąć. Ma truskawki, kiedy są truskawki; pierwsza nowalia, która się ukaże w Paryżu, jest dla niego. Program jest wydrukowany, umie rano swój obiad na pamięć. Następnie ubiera się o tej samej godzinie, w to samo ubranie, w tę samą bieliznę, położoną zawsze przeze mnie — rozumie pan? — na tym samym fotelu. Mam czuwać, aby materia była zawsze ta sama; w razie potrzeby, jeżeli np. surdut się zniszczy, mam go zastąpić nowym, nie mówiąc ani słowa. Jeżeli jest ładnie, wchodzę i mówię do pana:

„Czy pan zechce wyjść?"

Odpowiada tak albo nie. Jeżeli ma ochotę na przejażdżkę, nie czeka na konie, zawsze są zaprzężone: woźnica czeka *niewzruszenie*, z batem w ręku, jak go pan widzi. Wieczorem, po obiedzie, pan bywa jednego dnia w Operze, drugiego we *Włoskim*... to jest nie, nie był jeszcze we *Włoskim*, dopiero wczoraj wystarałem się o lożę. Potem wraca punkt o jedenastej położyć się... Przez godziny, w których jest niezajęty, czyta, czyta ciągle, widzi pan! Takie już dziwactwo. Mam obowiązek przeglądać przed nim *Dziennik księgarski* i zakupywać nowe książki, tak aby je znalazł w dzień ukazania się na kominku. Mam zlecenie zachodzić do niego co godzinę, aby czuwać nad ogniem, nad wszystkim, aby doglądać, czy mu czego nie brakuje. Dał mi, proszę pana, do nauczenia się na pamięć małą książeczkę, gdzie są spisane wszystkie moje obowiązki, prawdziwy katechizm! W lecie mam za pomocą całych gór lodu utrzymywać jednaką temperaturę i w każdej porze roku starać się o świeże kwiaty. Jest bogaty! Ma tysiąc franków do schrupania dziennie, może zadowalać swoje kaprysy. Dosyć długo musiał się obywać bez wielu rzeczy, biedne dziecko! Nie dokucza nikomu, dobry jest jak aniołek, nigdy nie mówi ani słowa, ale też za to musi być zupełna cisza w pałacu i w ogrodzie! Słowem, pan Rafael nie potrzebuje wyrażać ani najmniejszego życzenia, wszystko idzie jak na skinienie, jak po sznurku! I ma rację: kiedy nie trzymać służby w karbach, wszystko się rozłazi. Mówię mu wszystko, co ma robić, i słucha mnie. Nie uwierzyłby pan, jak daleko to sięga. Pokoje jego są w am... w am... jak to się mówi? Aha! W amfiladzie. Więc tak, skoro otworzy — niby na przykład — drzwi od swego pokoju albo gabinetu, trach! Wszystkie drzwi otwierają się same z siebie za pomocą maszynerii. Tak że może przejść cały dom, nie natykając się ani na jedne drzwi zamknięte. To miłe i wygodne, no i przyjemne dla nas, służby! Grubo nas to kosztowało, to inna rzecz!... Wreszcie, trzeba panu wiedzieć, powiedział mi:

„Jonatas, będziesz o mnie troszczył się jak o dziecko w powijakach".

W powijakach, tak, proszę pana, powiedział w powijakach!

„Będziesz myślał za mnie o moich potrzebach..."

Ja jestem panem, rozumie pan? A on jest niby sługą. Czemu tak? Ba, tego nikt nie wie, chyba on sam i dobry Bóg.

— Pisze poemat! — wykrzyknął stary profesor.

— Myśli pan, że on pisze poemat? To musi być wielka niewola. Ale widzi pan, ja w to nie wierzę. Powtarzał mi często, że on chce żyć *wagetacyjnie, wagetować*. Nie dalej niż wczoraj, panie Porriquet, patrzał na tulipan i mówił, ubierając się:

„Oto moje życie... Ja *wagetuję*, mój dobry Jonatasie".

Inni znowu twierdzą, że on jest *monoman*. Tak już musi być!

— Wszystko mi świadczy, Jonatasie — odparł profesor z bakalarską powagą, która natchnęła szacunkiem starego sługę — że wasz pan pochłonięty jest wielkim dziełem. Pogrążony jest w głębokich medytacjach i nie chce, aby go odrywała od nich płaska rzeczywistość. Zatopiony w świecie myśli, genialny człowiek zapomina wszystkiego. Pewnego dnia, sławny Newton...

— A Newton, dobrze... — rzekł Jonatas. — Nie znam.

— Newton, wielki geometra — ciągnął Porriquet — spędził dwadzieścia cztery godzin oparty łokciem o stół; kiedy się zbudził ze swej zadumy, myślał nazajutrz, że to jeszcze wczoraj, tak jak gdyby spał... Muszę odwiedzić tego kochanego chłopca, mogę mu się zdać na co.

— Minutę! — wykrzyknął Jonatas. — Gdyby pan nawet był królem Francji (dawnym, rozumie się!) i tak nie wszedłby pan, chyba żebyś wysadził drzwi i przeszedł po moim ciele. Ale, panie Porriquet, pobiegnę powiedzieć panu, że pan tu jest i spytać go tak: „Czy mam wpuścić?". Odpowie tak albo nie. Nigdy mu nie mówię: *Czy pan sobie życzy? Czy pan chce? Czy Pan pragnie?* Te słowa są wykreślone z konwersacji. Raz wymknęło mi się coś takiego: „Czy chcesz mnie zabić?" zawołał z gniewem.

Jonatas zostawił starego profesora w sieni, dając mu znak, aby się nie posuwał dalej. Wrócił szybko z pomyślną odpowiedzią i zaprowadził starego emeryta przez bogate pokoje, których drzwi wszystkie były otwarte. Porriquet spostrzegł z daleka swego wychowanka przy kominku. Otulony we wzorzysty szlafrok i zanurzony w miękkim fotelu Rafael czytał dziennik. Bezgraniczna melancholia, której widocznie był pastwą, wyrażała się w chorobliwej i zmęczonej pozie, malowała się na czole, na twarzy bladej niby zwiędły kwiat. Cechował go jakiś zniewieściały wdzięk oraz coś z dziwactwa właściwego chorym bogaczom. Ręce jego, podobne rękom ładnej kobiety, odznaczały się miękką i delikatną białością. Mocno przerzedzone włosy blond kręciły się na skroniach z wyszukaną zalotnością. Grecka czapeczka z gałką za ciężką dla lekkiego kaszmiru, z którego była sporządzona, zwisała nieco na bok. U nóg leżał porzucony malachitowy nóż oprawny w złoto, którym dopiero co przecinał kartki jakiejś książki. Na kolanach spoczywał bursztyn wspaniałej indyjskiej fajki, której emaliowane skręty leżały niby wąż na posadzce, on zaś zapominał wysysać jej orzeźwiający aromat. Mimo to ogólnej niemocy tego młodego ciała przeczyły błękitne oczy, w których zdawało się skupiać całe jego życie, gdzie błyszczało niezwykłe i przejmujące uczucie. Przykro było patrzeć na to spojrzenie, jedni wyczytaliby w nim rozpacz; inni odgadliby wewnętrzną walkę równie straszną jak wyrzut sumienia. Było to głębokie spojrzenie niemocy, która dławi swoje pragnienia na dnie serca, lub też skąpca kosztującego myślą wszystkich rozkoszy, jakie pieniądze jego mogłyby mu dać, i odmawiającego ich sobie, aby nie uszczuplić swego skarbu; lub też spojrzenie spętanego Prometeusza, zdetronizowanego Napoleona, gdy dowiaduje się w roku 1815 w Elizeum o strategicznym błędzie popełnionym przez nieprzyjaciół, żąda na dwadzieścia cztery godzin naczelnego dowództwa i nie dostaje go. Prawdziwe spojrzenie zdobywcy i potępieńca! Więcej jeszcze, spojrzenie, jakim wiele miesięcy wprzódy Rafael obejmował Sekwanę lub ostatnią sztukę złota rzuconą na stół gry. Wolę swoją, inteligencję, poddawał grubemu rozsądkowi starego chłopa zaledwie okrzesanego przez pięćdziesiąt lat służby. Niemal szczęśliwy, że stał się jakby automatem, wyrzekał się życia, aby żyć, i wyzuwał swą duszę z wszelkiej poezji pragnienia. Aby lepiej walczyć z okrutną potęgą, której przyjął wyzwanie, stał się czystym na sposób Orygenesa, kastrując swą wyobraźnię. Nazajutrz po dniu, w którym nagle zbogacony spadkiem ujrzał kurczenie się jaszczuru, znalazł się u rejenta. Tam dość wzięty lekarz opowiadał poważnie przy deserze sposób, w jaki wyleczył się pewien szwajcar dotknięty suchotami. Człowiek ten nie wymówił ani słowa przez dziesięć lat i skazał się na oddychanie jedynie sześć razy na minutę w ciężkim powietrzu obory, przy zachowaniu bardzo łagodnej diety. „Zrobię tak samo!" — powiedział sobie Rafael, który chciał żyć za wszelką cenę. Na łonie zbytku wiódł życie parowej machiny.

Kiedy stary profesor ujrzał tego młodego trupa, zadrżał; wszystko wydało mu się sztucznym w tym wątłym i bezsilnym ciele. Widząc margrabiego z płonącym okiem, z czołem brzemiennym myślą, nie mógł poznać swego wychowanka o świeżej i różowej cerze, o młodzieńczej postawie, którą zachował w pamięci. Gdyby poczciwy klasyk, roztropny krytyk i piastun dobrego smaku, znał Byrona, byłby ujrzał Manfreda tam, gdzie chciałby widzieć Childe-Harolda.

— Dzień dobry, mój dobry Porriquet — rzekł Rafael, ściskając zimne ręce starca w palących i wilgotnych dłoniach. — Jak się miewasz?

— Ja, dobrze — odparł starzec przerażony dotknięciem tej zgorączkowanej dłoni. — A ty?

— Och! Mam nadzieję utrzymać się w dobrym zdrowiu.

— Pracujesz zapewne nad jakimś pięknym dziełem?

— Nie — odparł Rafael. — *Exegi monumentum*, drogi Porriquet, dokończyłem wielkiej stronicy i pożegnałem się z nauką na zawsze. Zaledwie wiem, gdzie się znajduje mój rękopis.

— Mam nadzieję, że styl jest czysty? — spytał profesor. — Przypuszczam, że nie uznajesz barbarzyńskiego języka tej nowej szkoły, która wyobraża sobie, że zdziałała cuda, wynajdując na nowo Ronsarda!

— Moja praca jest to dzieło czysto fizjologiczne.

— Och, to co innego — odparł profesor. — W naukach ścisłych gramatyka musi się naginać do wymagań treści. Mimo to, moje dziecko, styl jasny, harmonijny, język Massillona, pana de Buffon, wielkiego Racine'a, słowem styl klasyczny... Ale, drogi chłopcze — przerwał profesor — zapomniałem celu mojej wizyty. Jest to wizyta interesowna.

Przypomniawszy sobie zbyt późno wykwintną swadę oraz wymowne peryfrazy, do jakich długie bakalarstwo przyzwyczaiło jego nauczyciela, Rafael omal pożałował, że go kazał wpuścić, ale w chwili, gdy miał pragnąć, aby sobie poszedł, zdławił szybko swoje tajemne życzenie, spoglądając ukradkiem na jaszczur wiszący naprzeciw niego, rozciągnięty na białym kawałku materii, gdzie jego fantastyczne kontury były starannie wykreślone obejmującą go dokładnie czerwoną linią. Od czasu nieszczęsnej orgii Rafael tłumił swoje najlżejsze zachcenia i żył tak, aby nie wywołać najmniejszego drgnienia w straszliwym talizmanie. Jaszczur był niby tygrys, z którym trzeba mu było żyć tak, aby nie obudzić jego instynktów. Słuchał tedy cierpliwie gadulstwa starego profesora. Stary Porriquet godzinę całą opowiadał mu prześladowania, których stał się przedmiotem od czasu rewolucji lipcowej. Poczciwina, pragnąc silnego rządu, wyraził patriotyczne życzenie, aby zostawić sklepikarzy za ladą, mężów stanu u steru spraw publicznych, adwokatów w trybunale, parów Francji w Luksemburgu; ale jeden z popularnych ministrów króla-obywatela usunął go z posady, oskarżając go o karlizm. Starzec znalazł się bez posady, bez zaopatrzenia i bez chleba. Będąc jedyną opatrznością ubogiego bratanka, za którego opłacał miejsce w seminarium w Saint-Sulpice, przybył, nie tyle dla siebie ile dla swego przybranego syna, prosić dawnego wychowanka, aby uzyskał dlań u nowego ministra nie powrót na katedrę, ale miejsce suplenta w jakim kolegium na prowincji. Rafaela ogarnęła już nieprzezwyciężona senność, kiedy wreszcie jednostajny głos nieboraka przestał mu brzmieć w uszach. Przez grzeczność musiał patrzeć w białe i prawie nieruchome oczy starego gaduły; w końcu jakaś niewytłumaczona siła bezwładu odurzyła go, zamagnetyzowała.

— Wierzaj mi, mój poczciwy Porriquet — odparł, sam dobrze nie wiedząc, na jakie pytanie odpowiada — nic na to nie poradzę, nic a nic. *Serdecznie pragnę*, aby się panu powiodło...

W tej samej chwili, nie spostrzegając wrażenia, jakim odbiły się na żółtym i pomarszczonym czole starca te banalne słowa pełne egoizmu i obojętności, Rafael zerwał się jak spłoszona sarna. Ujrzał nieznaczną białą linię między brzegiem czarnej skóry a czerwonym konturem; wydał tak straszny krzyk, że biedny profesor się przeląkł.

— Ech, ty, stary ciemięgo! — wykrzyknął — zostaniesz suplentem! Czy nie mogłeś mnie prosić o tysiąc talarów dożywotniej renty raczej niż o to mordercze życzenie? Twoje odwiedziny nie byłyby mnie nic kosztowały. Jest sto tysięcy posad we Francji, a ja mam tylko jedno życie! Życie ludzkie warte jest więcej niż wszystkie posady na świecie... Jonatas!

Zjawił się Jonatas.

— Oto twoja sprawka, stary głupcze! Po coś mi poddał, abym przyjął tego pana? — rzekł, wskazując mu skamieniałego starca. — Czy po to oddałem ci w ręce moją duszę, abyś ją targał w strzępy? Wydzierasz mi w tej chwili dziesięć lat istnienia! Jeszcze jeden taki błąd, a zawiedziesz mnie tam, gdzie ja odprowadziłem mego ojca. Czyżbym nie wolał raczej posiąść piękną Fedorę, niż obdarować tego starego kościotrupa, ten łachman ludzki? Dla niego mam złoto... Zresztą, gdyby wszystkie Porriquety w świecie konały z głodu, cóż mnie to może obchodzić?

Twarz Rafaela zbladła z gniewu; lekka piana wystąpiła na drżące wargi, oczy nabrały krwawego wyrazu. Na ten widok dwóch starców ogarnęło konwulsyjne drżenie, niby dwoje dzieci w obliczu węża. Młody człowiek upadł na fotel; w duszy jego nastąpiła jak gdyby reakcja, łzy popłynęły obficie z płomiennych oczu.

— Och! Moje życie! Moje piękne życie!... — rzekł — Ani litościwej myśli!... ani miłości! Nic!

Obrócił się do profesora.

— Zło się stało, mój stary przyjacielu — podjął łagodnym głosem. — Wynagrodziłem ci sowicie twoje starania; przynajmniej moje nieszczęście wyszło na dobre zacnemu i godnemu człowiekowi.

Było tyle duszy w akcencie tych słów prawie niezrozumiałych, że dwaj starcy zapłakali, tak jak się płacze, słysząc wzruszającą melodię śpiewaną w cudzoziemskim języku.

— On cierpi na epilepsję! — rzekł Porriquet z cicha.

— Rozumiem twoją dobroć, mój przyjacielu — podjął łagodnie Rafael — chcesz mnie usprawiedliwić. Choroba jest przypadkiem, nieludzkość byłaby występkiem. Zostaw mnie teraz. Jutro albo pojutrze, może dziś wieczór, otrzymasz swoją nominację, *opór* bowiem odniósł tryumf nad *ruchem*... Bądź zdrów.

Starzec odszedł przejęty zgrozą i wielce zaniepokojony o stan umysłowy Rafaela. Scena ta miała dlań coś nadnaturalnego. Wątpił o samym sobie, tak jak gdyby się obudził z ciężkiego snu.

— Słuchaj, Jonatas — rzekł młody człowiek, zwracając się do starego sługi. — Staraj się zrozumieć misję, jaką ci powierzyłem!

— Tak, panie margrabio.

— Jestem człowiekiem stojącym poza powszechnym prawem.

— Tak, panie margrabio.

— Wszystkie rozkosze życia igrają koło mego śmiertelnego łoża i tańczą przede mną niby piękne kobiety; jeżeli je zawołam, umrę. Wciąż śmierć! Powinieneś być zaporą między światem a mną.

— Tak, panie margrabio — rzekł stary sługa, ocierając krople potu perlące jego pomarszczone czoło. — Ale, jeżeli pan nie chce widzieć ładnych kobiet, co pan z sobą pocznie na operze?... Angielska rodzina wracająca do Londynu ustąpiła mi resztę swego abonamentu, będzie pan miał dobrą lożę... och! Wspaniałą lożę na pierwszym piętrze.

Pogrążony w głębokiej zadumie Rafael nie słuchał.

Czy widzicie ten bogaty pojazd, tę karetę prostą na pozór, ciemnego koloru, ale na której drzwiczkach błyszczy herb starożytnego i szlachetnego rodu? Kiedy ten powóz przebiega szybko, gryzetki podziwiają go, zazdroszczą żółtego atłasu, dywanu, pasmanterii świeżej jak słoma ryżowa, miękkich poduszek, zwierciadlanych szyb. Dwaj lokaje w liberii siedzą za tym arystokratycznym pojazdem; ale w głębi na atłasowej poduszce spoczywa płonąca głowa o podkrążonych oczach, smutna i zamyślona, głowa Rafaela. Żałosny obraz bogactwa! Pędzi przez Paryż niby raca, zajeżdża przed teatr Favart, stopień karety się odchyla, dwaj lokaje podtrzymują go, zazdrosna ciżba patrzy nań.

— Co on zrobił, ten, aby być tak bogaty? — rzekł biedny student praw, który dla braku jednego talara nie mógł słyszeć czarownych akordów Rossiniego.

Rafael szedł wolno przez korytarze; nie spodziewał się żadnej przyjemności po owych uciechach, których tak niegdyś zazdrościł. Oczekując drugiego aktu *Semiramidy*, przechadzał się po foyer, błądził po krużgankach, nie troszcząc się o swą lożę, do której jeszcze nie zaszedł. Poczucie własności nie istniało już w jego sercu. Podobnie jak wszyscy chorzy, myślał jedynie o swojej chorobie. Wsparty o marmurowy kominek, dokoła którego krążyli w foyer młodzi i starzy eleganci, dawni i nowi ministrowie, parowie bez parostwa i parostwa bez parów — owoce rewolucji lipcowej — wreszcie cały świat spekulan-

tów i dziennikarzy, Rafael ujrzał o kilka kroków, wśród wszystkich tych twarzy, dziwną i osobliwą fizjonomię. Zbliżył się, mrużąc bardzo impertynencko oczy, do tej niezwykłej istoty, aby się jej przyjrzeć z bliska. „Co za cudowne malowidło!" powiadał sobie. Brwi, włosy, bródka *à la* Mazarin, którymi paradował nieznajomy, były pomalowane czarno; ale w zetknięciu z włosem, z pewnością zbyt siwym, kosmetyk dał jakiś fioletowy i sztuczny odcień, którego tony zmieniały się wedle mniej lub więcej żywej gry świateł. Wąska i płaska twarz, na której zmarszczki były wypełnione grubą warstwą blanszu i różu, wyrażała zarazem chytrość i niepokój. W kilku miejscach brakło tego malowidła i tam ujawniała się tym bardziej sina i zniszczona cera; toteż niepodobna było nie śmiać się, widząc tę głowę o szpiczastej brodzie, o wystającym czole, dość podobną do owych pociesznych drewnianych figur, jakie w Niemczech rzeźbią pasterze w chwilach wypoczynku. Przyglądając się kolejno temu staremu Adonisowi i Rafaelowi, obserwator byłby rozpoznał u margrabiego oczy młodzieńca pod maską starca, u nieznajomego zaś zgasłe oczy starca pod maską młodzieńca. Valentin silił się przypomnieć sobie, w jakich okolicznościach widział tego starowinę, który w wykwintnym krawacie, w butach podzwaniał ostrogami i zakładał ramiona z miną człowieka mającego do rozporządzenia wszystkie siły bujnej młodości. W chodzie jego nie było nic sztucznego ani sztywnego. Wytworny i starannie zapięty fraczek oblekał krzepką mimo wieku postać starego eleganta, idącego jeszcze z prądem mody. Ta marionetka pełna życia miała dla Rafaela urok zjawy; przyglądał się jej niby staremu sczerniałemu Rembrandtowi, świeżo odrestaurowanemu, powerniksowanemu, wstawionemu w nową ramę. Porównanie to pozwoliło mu odnaleźć ślad prawdy w swoich mglistych wspomnieniach: poznał handlarza starożytności, człowieka, któremu zawdzięczał swoje nieszczęście. W tej samej chwili niemy śmiech wymknął się tej fantastycznej osobistości i zarysował się na jej zimnych wargach napiętych sztuczną szczęką. Pod wpływem tego śmiechu żywa wyobraźnia Rafaela odkryła w tym człowieku uderzające podobieństwo z głową, jaką malarze dają Mefistofelesowi Goethego. Tysiączne zabobony owładnęły duszą Rafaela, uwierzył w tej chwili w potęgę czarta, we wszystkie czarnoksięstwa zawarte w legendach średniowiecznych i wskrzeszone przez poetów. Wzdrygając się ze zgrozą przed losem Fausta, wezwał nagle niebo ku pomocy, mając jak ludzie umierający żarliwą wiarę w Boga i w Najświętszą Pannę. Promienne i lube światło dało mu ujrzeć niebo Michała Anioła i Sanzja z Urbino: chmury, starca z białą brodą, uskrzydlone główki, piękną kobietę siedzącą w aureoli. Obecnie rozumiał, pojmował te cudne twory, których uroki niemal żywe tłumaczyły mu jego przygodę i pozwalały jeszcze mieć nadzieję. Ale kiedy oczy jego wróciły do *foyer* teatru, wówczas zamiast Najświętszej Dziewicy ujrzał cudną dziewczynę, ohydną Eufrazję, ową tancerkę o gibkim i zwinnym ciele, która ubrana w lśniącą suknię, okryta wschodnimi perłami podbiegła żywo do spragnionego starca i ukazała się, bezczelna, z zuchwałym czołem, z błyszczącymi oczyma, temu zawistnemu światu, aby świadczyć o bezgranicznym bogactwie kupca, którego trwoniła skarby. Rafael przypomniał sobie drwiące życzenie, jakim przyjął nieszczęsny podarek starca i zakosztował wszystkich rozkoszy zemsty, patrząc na głębokie upokorzenie tej wzniosłej mądrości, której upadek zdawał się niegdyś niemożliwy. Posępny uśmiech stuletniego patriarchy zwrócił się do Eufrazji, która odpowiedziała nań miłosnym słówkiem: starzec podał jej wyschłe ramię, obszedł parę razy *foyer*, zgarnął z rozkoszą namiętne spojrzenia i komplementy rzucane garściami jego kochance, nie widząc wzgardliwych śmiechów, nie słysząc gryzących szyderstw, których był przedmiotem.

— Na jakim cmentarzu ten młody gul wygrzebał tego trupa? — wykrzyknął najwykwintniejszy z naszych romantyków.

Eufrazja uśmiechnęła się. Kpiarz był to młody blondyn o błękitnych oczach, smukły, z wąsikami, w kusym modnym fraczku, w kapeluszu na bakier, cięty w języku, słowem, w pełnym rynsztunku.

„Iluż starców — pomyślał Rafael — kończy szaleństwem życie całe uczciwości, pracy, cnoty! Ten ma już zimne nogi a goni za miłością..."

— I cóż, panie — wykrzyknął Valentin, zatrzymując kupca i rzucając wymowne spojrzenie Eufrazji — nie przypomina pan już sobie surowych zasad swojej filozofii?

— Ba! — odparł kupiec bezdźwięcznym już głosem — jestem obecnie szczęśliwy jak młodzieniec. Wziąłem istnienie na opak. Całe życie mieści się w godzinie miłości.

W tej chwili rozległ się dzwonek i publiczność pobiegła zająć miejsca. Starzec i Rafael rozstali się. Wchodząc do loży, margrabia ujrzał Fedorę siedzącą po przeciwnej stronie sali, na wprost niego. Hrabina przybyła zapewne niedawno; odrzucała szal, odsłaniała szyję, wykonywała mnóstwo nieznacznych gestów pozującej się kokietki: wszystkie spojrzenia skupiały się na niej. Towarzyszył jej młody par Francji: poprosiła go o lornetkę, którą mu powierzyła. Po jej geście, po sposobie, w jaki spojrzała na tę nową ofiarę, Rafael odgadł tyranię, jaką cierpiał jego następca. Oczarowany bez wątpienia tak jak on sam niegdyś, mamiony jak on, walczący całą potęgą prawdziwej miłości przeciw zimnym rachubom tej kobiety, ów młody człowiek musiał cierpieć wszystkie męki, których Rafael szczęśliwie się wyrzekł. Niewysłowiona radość ożywiła fizjonomię Fedory, kiedy wymierzywszy lornetkę na wszystkie loże i pospiesznie przejrzawszy tualety, mogła sobie rzec, że zmiażdżyła strojem i urodą najładniejsze, najwykwintniejsze kobiety w Paryżu; zaśmiała się, aby pokazać białe zęby, potrząsnęła głową strojną w kwiaty, aby ściągnąć zachwycone spojrzenia. Oczy jej biegły od loży do loży, drwiąc sobie z niezręcznie umocowanego beretu na głowie jakiejś rosyjskiej księżnej lub z nieudanego kapelusza, który fatalnie był nie do twarzy córce bankiera. Naraz zbladła, widząc nieruchomy wzrok Rafaela; odepchnięty kochanek spiorunował ją spojrzeniem niewymownej wzgardy. Podczas gdy żaden z wygnanych zalotników nie urągał jej potędze, jedyny Valentin bezpieczny był od jej pokus. Władza, której ktoś bezkarnie urąga, bliska jest upadku. Maksyma ta wyryta jest głębiej w sercu kobiet niż w głowie królów. Toteż Fedora widziała w Rafaelu śmierć swoich powabów i swej zalotności. Słówko rzucone przezeń w wilię w Operze już stało się sławne w salonach paryskich. Ostrze tego straszliwego pocisku zadało hrabinie nieuleczalny cios. We Francji umiemy kauteryzować rany, ale nie znamy jeszcze lekarstwa na skutki złośliwego słówka. W chwili gdy wszystkie kobiety spoglądały kolejno na margrabiego i na hrabinę, Fedora byłaby chciała wtrącić go w czeluść jakiej Bastylii, mimo bowiem talentu udawania, rywalki odgadły jej cierpienia. Wreszcie wymknęła się jej ostatnia pociecha. Te rozkoszne słowa: „Jestem najładniejsza!", to wiekuiste zdanie, które koiło wszystkie zgryzoty jej próżności, stało się kłamstwem. Z początkiem drugiego aktu jakaś kobieta zajęła miejsce obok Rafaela, w loży, która dotąd była pusta. Cała sala wydała szmer podziwu. To morze twarzy ludzkich poruszyło się inteligentną falą i wszystkie oczy zwróciły się na nieznajomą. Młodzi i starzy uczynili tak przeciągły zgiełk, że w chwili podniesienia kurtyny muzykanci w orkiestrze obrócili się zrazu, aby żądać milczenia; ale i oni przyłączyli się do oklasków i powszechnego szmeru. Ożywione rozmowy zawiązały się we wszystkich lożach. Wszystkie kobiety uzbroiły się w lornetki; starzy, odmłodzeni, przecierali rękawiczką szkła. Stopniowo zachwyt uśmierzył się, rozległ się na scenie śpiew, wszystko wróciło do porządku. Wielki świat, zawstydzony, iż uległ naturalnemu odruchowi, odzyskał arystokratyczny chłód swoich dwornych manier. Bogacze chcą się nie dziwić niczemu; powinni od pierwszego rzutu oka spostrzec w pięknym dziele wadę, która ich zwolni od podziwu: uczucie dobre dla pospólstwa! Mimo to ten i ów z mężczyzn, nie słuchając muzyki, pogrążony w naiwnym zachwycie wpatrywał się bez ruchu w sąsiadkę Rafaela. Valentin ujrzał w parterowej lóżce obok Akwiliny plugawą i krwistą twarz Taillefera, który przesyłał mu pochwalne znaki. Później ujrzał Emila, który stojąc w fotelach, zdawał się mówić: „Ależ patrzże na to piękne stworzenie, które masz koło siebie". Wreszcie Rastignac, siedząc koło pani de Nucingfen i jej córki, szarpał rękawiczkę jak człowiek w rozpaczy, że jest przykuty tutaj, nie mogąc pospieszyć do pięknej nieznajomej. Życie Rafaela zależało od nienaruszonego dotąd paktu, jaki zawarł sam ze sobą: przyrzekł sobie nigdy nie spojrzeć bacznie na żadną kobietę i aby być wolnym od pokusy, nosił lornetkę, w której kunsztownie pomieszczone mikroskopijne szkiełko niweczyło harmonię najpiękniejszych rysów, zniekształcając je. Jeszcze pod wrażeniem grozy, która go ogarnęła rano, kiedy pod wpływem prostego uprzejmego życzenia talizman skurczył się tak szybko, Rafael postanowił niezłomnie nie obrócić się do sąsiadki. Rozparty jak jaka księżna, obrócony plecami, zasłaniał niegrzecznie nieznajomej pół sceny, wyraźnie lekceważąc ją, nie chcąc nawet wiedzieć, że piękna kobieta znajduje się tuż za nim. Sąsiadka wiernie naśladowała pozycję Rafaela: oparła łokieć na krawędzi loży i patrząc na śpiewaków trzymała głowę nieco w bok, jak gdyby pozowała do portretu. Oboje wyglądali na parę sprzeczających się kochanków, którzy się dąsają na siebie, obracają się do siebie plecami, a padną sobie w objęcia za pierwszym czulszym słowem. Chwilami lekki stroik z piór lub

włosy nieznajomej muskały głowę Rafaela i sprawiały mu rozkosz, przeciw której bronił się mężnie; niebawem uczuł lube dotknięcie blondynowych falbanek okalających suknię; sama suknia wydawała miękki szelest pełen czarodziejskiej pokusy; wreszcie nieznaczne drżenie, w jakie oddech wprawiał piersi, plecy, suknie tej ładnej kobiety, całe jej lube życie udzieliło się nagle Rafaelowi jak iskra elektryczna; tiule i koronki, łaskocąc jego ramię, przeniosły na nie wiernie rozkoszne ciepło tych białych i nagich pleców. Jakby przez kaprys natury dwie te istoty, rozgrodzone przez „dobry ton", rozdzielone otchłanią śmierci, oddychały razem i myślały może wzajem o sobie. Przejmujący zapach aloesu do reszty upoił Rafaela. Wyobraźnia jego, podrażniona jeszcze przeszkodami i zaporami, narysowała mu nagle płomiennymi rysami obraz kobiety. Obrócił się szybko. Nieznajoma, zapewne zniecierpliwiona tak bliskim sąsiedztwem z obcym mężczyzną, uczyniła podobny ruch; twarze ich, ożywione tą samą myślą, znalazły się na wprost siebie.

— Paulina!

— Pan Rafael!

Skamienieli oboje, spoglądali na siebie chwilę w milczeniu. Rafael ujrzał Paulinę w tualecie prostej i pełnej smaku. Przez gazę, która skromnie przysłaniała jej gors, wprawne oczy mogły spostrzec białość lilii i odgadnąć kształty, które obudziłyby podziw nawet w kobiecie. Zachowała przy tym dawną dziewiczą skromność, niebiańską prostotę, wdzięk. Rękawkom sukienki udzielało się drżenie, którym pulsowało jej ciało w rytm przyspieszonego bicia serca.

— Och! Niech pan przyjdzie jutro — rzekła — niech pan przyjdzie do hoteliku *Saint-Quentin* zabrać swoje papiery. Będę tam o południu. Niech pan przyjdzie punktualnie.

Wstała spiesznie i wyszła. Rafael chciał iść za Pauliną, ale lękał się ją narazić. Został, spojrzał na Fedorę, wydała mu się brzydka; niezdolny słuchać muzyki, dławiąc się w tej sali, z wezbranym sercem wyszedł i wrócił do domu.

— Jonatas — rzekł do starego sługi, znalazłszy się w łóżku — daj mi pół kropli laudanum na kawałku cukru, a jutro obudź mnie dopiero dwadzieścia minut przed dwunastą... Chcę, aby Paulina mnie kochała! — wykrzyknął, spoglądając na talizman z niewysłowionym lękiem.

Skóra nie drgnęła, zdawałoby się, że straciła swą kurczliwość: bez wątpienia nie mogła spełnić chęci, która się już ziściła.

— Ha! — wykrzyknął Rafael, jak gdyby uwolniony z ołowianego płaszcza, który nosił od dnia, kiedy otrzymał talizman — kłamiesz, nie słuchasz mnie, pakt zerwany! Jestem wolny, będę żył! Więc to był lichy żart?...

Mówiąc tak, nie śmiał wierzyć własnym myślom. Ubrał się skromnie, tak jak chodził niegdyś, i postanowił iść pieszo do dawnego mieszkania, gdzie się oddawał bez lęku furii swoich pragnień, gdzie nie wzniósł się jeszcze ponad wszystkie ludzkie rozkosze. Idąc, widział już nie Paulinę z hoteliku *Saint-Quentin*, ale Paulinę wczorajszą, ową idealną kochankę, tak często marzoną, młodą dziewczynę inteligentną, rozkochaną, artystkę, rozumiejącą poetów, rozumiejącą poezję i żyjącą wśród zbytku; słowem Fedorę o pięknej duszy lub też Paulinę posiadającą koronę hrabiowską i dwa miliony jak Fedora. Kiedy się znalazł na wydeptanym progu, na pękniętej płycie kamiennej pod tymi drzwiami, gdzie tyle razy oblegały go rozpaczliwe myśli, jakaś starsza kobieta wyszła, mówiąc:

— Czy to pan Rafael de Valentin?

— Tak, dobra pani — odparł.

— Zna pan swoje dawne mieszkanie — rzekła — czekają tam na pana.

— Czy to zawsze pani Gaudin prowadzi hotelik?

— Och, nie, proszę pana. Pani Gaudin jest teraz baronową. Mieszka w pięknym własnym domu po tamtej stronie wody. Mąż jej wrócił. Ho, ho, ho! Przywiózł miliony... Powiadają, że gdyby chciała, mogłaby kupić całą naszą dzielnicę. Oddała mi *gratis* swoją dzierżawę i resztę czynszów. O, to zacności kobieta! Ani odrobiny nie zhardziała przy swoim majątku.

Rafael wbiegł na poddasze; kiedy przebywał ostatnie stopnie, usłyszał fortepian. Paulina siedziała skromnie ubrana, w perkalikowej sukni; ale krój sukni, rękawiczki, kapelusz, szal niedbale rzucone na łóżko, zdradzały zbytek.

— Och! Przyszedł pan! — wykrzyknęła, obracając głowę i podnosząc się naiwnym i rozradowanym ruchem.

Rafael usiadł koło niej, zaczerwieniony, zawstydzony, szczęśliwy; patrzał na nią, nie mówiąc nic.

— Czemu pan nas opuścił? — szeptała, spuszczając oczy i oblewając się rumieńcem. — Co się z panem stało?

— Och, Paulino, byłem, jestem jeszcze bardzo nieszczęśliwy!

— Tak! — wykrzyknęła roztkliwiona. — Odgadłam pański los wczoraj, widząc pana wykwintnym, bogatym na pozór... ale naprawdę, co, panie Rafaelu, to zawsze tak jak niegdyś?

Valentin nie mógł powstrzymać łez, które mu się zakręciły w oczach; zawołał:

— Paulino!... ja...

Nie dokończył, oczy jego zabłysły miłością, serce przelało się w spojrzenie.

— Och! Kocha mnie! Kocha mnie! — wykrzyknęła Paulina.

Rafael skinął głową, niezdolny był wymówić słowa. Na ten gest młoda dziewczyna ujęła go za rękę, ścisnęła ją i rzekła, to śmiejąc się, to szlochając:

— Bogaci, bogaci, szczęśliwi, bogaci! Twoja Paulina jest bogata... Ale, och, ja powinna bym dziś być bardzo biedna. Tysiąc razy mówiłam sobie, że to słowo: *Kocha mnie*! opłaciłabym skarbami ziemi. O mój Rafaelu! Masz miliony. Kochasz zbytek, będziesz szczęśliwy; ale powinieneś kochać i moje serce, jest w tym sercu tyle miłości dla ciebie! Nie wiesz? Ojciec mój wrócił. Jestem bogatą dziedziczką. Matka i on zostawiają mnie całkowicie panią mego losu; jestem wolna, rozumiesz?

Owładnięty jakąś gorączką Rafael trzymał ręce Pauliny i całował je tak gorąco, tak chciwie, że pocałunki jego były jak gdyby spazmem konwulsji. Paulina oswobodziła ręce, zarzuciła je na ramiona Rafaela i pochwyciła go; objęli się, ściskali i tulili z owym świętym i rozkosznym żarem, wolnym od wszelkiej ubocznej myśli, jakim przesycony jest jeden pocałunek, ów pierwszy pocałunek, którym dwie dusze obejmują się w posiadanie.

— Ach! — wykrzyknęła Paulina, opadając na krzesło — nie opuszczę cię już... Nie wiem, skąd mi się bierze tyle odwagi! — dodała, rumieniąc się.

— Odwagi, Paulino? Och! Nie obawiaj się, to miłość, miłość prawdziwa, głęboka, wieczna jak moja, nieprawdaż?

— Och, mów, mów, mów! — rzekła. — Usta twoje były tak długo dla mnie nieme...

— Kochałaś mnie tedy?

— Och, Boże, czy cię kochałam! Ileż razy płakałam tu, o, sprzątając twój pokój, bolejąc nad twoją i moją nędzą. Byłabym się zaprzedała diabłu, aby ci oszczędzić jednego zmartwienia! Dziś, *mój* Rafaelu — bo wszak ty jesteś mój — moja ta piękna głowa, moje to serce! Och, tak! Zwłaszcza twoje serce, wiekuiste bogactwo!... O czym ja mówiłam? — podjęła po pauzie. — Aha, już wiem: mamy trzy, cztery, pięć milionów, zdaje mi się. Gdybym była biedna, zależałoby mi może na tym, aby nosić twoje nazwisko, aby się zwać twoją żoną; ale w tej chwili chciałabym ci poświęcić cały świat, chciałabym być jeszcze i zawsze twoją sługą. Och, Rafaelu, ofiarując ci moje serce, osobę, majątek, nie dam ci dziś nic więcej niż w dniu, w którym raz tutaj — rzekła, pokazując szufladę — podsunęłam pięciofrankówkę. Och, jakże wówczas radość twoja była mi bolesną!

— Czemu jesteś bogata? — wykrzyknął Rafael — Czemu nie masz ambicji? Nie mogę nic uczynić dla ciebie!

Łamał ręce ze szczęścia, z rozpaczy, z miłości.

— Kiedy będziesz margrabiną de Valentin, znam cię, anielska duszo, ten tytuł i mój majątek nie będą ci warte...

— Jednego twojego włosa! — wykrzyknęła.

— Ja także mam miliony, ale czym są teraz dla nas bogactwa? Ach, mam moje życie, mogę ci je ofiarować, bierz je.

— Och, miłość twoja, Rafaelu, miłość twoja to cały świat. Jak to! Twoja myśl jest moją? Ależ jestem najszczęśliwszą ze szczęśliwych.

— Usłyszy nas kto — rzekł Rafael.

— Ech, nie ma nikogo — odparła z miluchnym dąsem.

— Więc chodź! — wykrzyknął Rafael, wyciągając ku niej ramiona.

Skoczyła mu na kolana i oplotła rękami jego szyję.

— Uściskaj mnie — rzekła — za wszystkie zgryzoty, które mi sprawiłeś, aby wymazać przykrość, którą mi czyniły twoje radości, za wszystkie noce, które spędziłam, malując moje ekraniki...

— Ekraniki?

— Skoro jesteśmy bogaci, mój skarbie, mogę ci powiedzieć wszystko. Biedne dziecko! Jak łatwo jest oszukać mądrego człowieka! Czyż ty mogłeś mieć białe kamizelki i czyste koszule dwa razy na tydzień, płacąc trzy franki za pranie na miesiąc? Ależ ty piłeś dwa razy więcej mleka niż ci wypadało za twoje pieniądze! Oszukiwałam cię na wszystkim: ogień, oliwa, no, a pieniądze! O mój Rafaelu, nie żeń się ze mną — rzekła, śmiejąc się — jestem osobą zbyt przebiegłą.

— Ale jakżeś ty robiła?

— Pracowałam do drugiej rano i oddawałam matce połowę zarobku z moich ekraników, a tobie drugą połowę.

Patrzyli na siebie chwilę, oboje ogłupiali radością i miłością.

— Och! — wykrzyknął Rafael — spłacimy z pewnością kiedyś to szczęście jakąś okrutną zgryzotą.

— Byłżebyś żonaty? — wykrzyknęła Paulina. — Och! Nie ustąpię cię żadnej kobiecie.

— Jestem wolny, kochanie moje.

— Wolny! — powtórzyła. — Wolny i mój!

Osunęła się na kolana, złożyła ręce i patrzała na Rafaela z nabożnym żarem.

— Boję się, abym nie oszalała. Jakiś ty milusi! — ciągnęła, wodząc ręką po blond włosach ukochanego. — Jakaż ona głupia, ta twoja Fedora! Jak mi było przyjemnie wczoraj, kiedy wszyscy ci mężczyźni skłaniali przede mną głowę! Jej nigdy nie bili brawa! Słuchaj, drogi, kiedy moje plecy dotknęły twego ramienia, usłyszałam w sali jakiś głos, który zawołał: „On tu jest!". Odwróciłam się i zobaczyłam ciebie. Och! Uciekłam, miałam ochotę rzucić ci się na szyję przy wszystkich.

— Szczęśliwa jesteś, że możesz mówić! — wykrzyknął Rafael. — Ja mam serce ściśnięte. Chciałbym płakać, nie mogę. Nie cofaj mi ręki. Zdaje mi się, że mógłbym całe życie patrzeć tak na ciebie, czując się szczęśliwym, zadowolonym.

— Och, powtórz mi to, ukochany!

— Ach, czymże są słowa? — odparł Valentin, roniąc gorącą łzę na ręce Pauliny. — Później spróbuję ci wyrazić moją miłość; w tej chwili mogę tylko czuć...

— Och! — wykrzyknęła — ta piękna dusza, ten piękny talent, to serce, które znam tak dobrze, wszystko to jest moje, tak jak ja jestem twoja?

— Na zawsze, moja słodka istoto — rzekł Rafael wzruszonym głosem. — Będziesz moją żoną, moim dobrym duchem. Twoja obecność zawsze rozpraszała moje zgryzoty i orzeźwiała mi duszę; w tej chwili twój anielski uśmiech oczyścił mnie niejako. Mam uczucie, że zaczynam nowe życie. Okrutna przeszłość, moje smutne szaleństwa zdają mi się już tylko złym snem. Jestem czysty, blisko ciebie. Czuję wiew szczęścia. Och! Bądź tutaj zawsze — dodał, tuląc ją ze wzruszeniem do bijącego serca.

— Niech przyjdzie śmierć, kiedy zechce — wykrzyknęła Paulina w ekstazie — żyłam!

Szczęśliwy kto odgadnie ich słodycze, poznał je!

— O mój Rafaelu — rzekła Paulina po dwóch godzinach milczenia — chciałabym, aby na przyszłość nikt nie wchodził na to drogie poddasze.

— Trzeba zamurować drzwi, wstawić kratę w okienko i kupić ten dom.

— Tak, właśnie — rzekła.

Następnie, po chwili:

— Zapomnieliśmy troszkę szukać twoich rękopisów!

Zaczęli się śmiać ze słodką beztroską.

— Ba! drwię sobie ze wszystkich nauk! — wykrzyknął Rafael.

— O, mój panie, a sława?

— Ty jesteś moją jedyną sławą.

— Byłeś bardzo nieszczęśliwy, zapełniając maczkiem te stronice — rzekła, przeglądając papiery.

— Moja Paulino...

— Och, tak, jestem twoją Pauliną... A co?

— Gdzie ty mieszkasz?

— Ulica Saint-Lazare. A ty?

— Ulica de Varenne.

— Jak my będziemy daleko od siebie, aż do...

Urwała, spoglądając na kochanka z chytrą i zalotną minką.

— Ależ — odparł Rafael — mamy co najwyżej dwa tygodnie rozłąki przed sobą.

— Naprawdę! Za dwa tygodnie będziemy po ślubie!

Zaczęła skakać jak dziecko

— Och! Jestem wyrodna córka — podjęła — nie myślę już o ojcu, o matce, o niczym w świecie. Ty nie wiesz, ukochany mój, ojciec jest bardzo chory. Wrócił z Indii bardzo cierpiący. O mało nie umarł w Hawrze, gdzieśmy po niego pojechały. Och, Boże! — wykrzyknęła, spoglądając na zegarek — już trzecia! Muszę być w domu, kiedy się obudzi, o czwartej. Jestem panią domu; matka robi wszystko, co ja zechcę, ojciec mnie ubóstwia, ale nie chcę nadużywać ich dobroci, to by było niełądnie! Biedne ojczysko, to on posłał mnie do teatru wczoraj... Przyjdziesz go odwiedzić jutro, nieprawdaż?

— Czy margrabina de Valentin uczyni mi ten zaszczyt, aby przyjąć moje ramię?

— Och, zabiorę klucz od tego pokoju — odparła. — Czy to nie jest nasz pałac, nasz skarb?

— Paulino, jeszcze jeden pocałunek...

— Tysiąc! Mój Boże — rzekła, patrząc na Rafaela — to zawsze będzie tak? Zdaje mi się, że śnię.

Zeszli powoli po schodach; potem jedno przy drugim, idąc zgodnym krokiem, drżąc razem pod ciężarem tego samego szczęścia, tuląc się jak dwa gołąbki, przybyli na plac Sorbony, gdzie czekał powóz Pauliny.

— Chcę jechać do ciebie — wykrzyknęła. — Chcę zobaczyć twój pokój, twój gabinet, usiąść przy stoliku, przy którym pracujesz. To będzie tak jak dawniej — dodała, rumieniąc się. — Józefie — rzekła do służącego — jadę jeszcze na ulicę de Varenne. Jest kwadrans na czwartą[13], a o czwartej muszę być w domu. Niech Grzegorz popędza konie.

I kochankowie znaleźli się niebawem w pałacu Rafaela.

— Och, jaka jestem rada, żem obejrzała to wszystko — wykrzyknęła Paulina, mnąc w palcach jedwabne firanki ocieniające łóżko. — Kiedy będę usypiać, znajdę się tu w myśli. Wyobrażę sobie twoją drogą głowę na tej poduszce. Powiedz mi, Rafaelu, nie radziłeś się nikogo, urządzając swój pałac?

— Nikogo.

— Naprawdę? To nie kobieta...?

— Paulino!

— Och! Czuję się bardzo zazdrosna! Masz dobry gust. Chcę mieć jutro łóżko takie samo jak ty.

Rafael pijany szczęściem wziął Paulinę w ramiona.

— Och! Mój ojciec... mój ojciec!... — rzekła.

— W takim razie odwiozę cię, chcę jak najmniej rozstawać się z tobą — wykrzyknął Valentin.

— Jakiś ty dobry! Nie śmiałam cię prosić...

— Czyż nie jesteś moim życiem?

Byłoby nużącym wiernie notować tutaj te urocze szczebioty miłości, którym jedynie akcent, spojrzenie, niepodobny do przetłumaczenia gest, dają cenę. Valentin odwiózł Paulinę do samego domu i wrócił, mając w sercu tyle szczęścia, ile człowiek może odczuć i udźwignąć tu na ziemi. Kiedy usiadł w swoim fotelu przy kominku, myśląc o nagłym i zupełnym ziszczeniu wszystkich swoich nadziei, zimna myśl przeszyła mu duszę, tak jak ostrze sztyletu przeszywa pierś. Spojrzał na jaszczur: skurczył się lekko. Zaklął potężnie, pochylił głowę na fotel i trwał bez ruchu, patrząc przed siebie, a nie widząc.

— Wielki Boże! — wykrzyknął — Jak to! Wszystkie moje pragnienia, wszystkie! Biedna Paulina!...

Wziął cyrkiel, zmierzył, ile ten ranek kosztował go istnienia.

— Nie mam przed sobą ani dwóch miesięcy! — rzekł.

[13] *kwadrans na czwartą* (daw.) — kwadrans po trzeciej. [przypis edytorski]

Oblał go zimny pot; naraz ogarnęło go uczucie niewymownej wściekłości; chwycił jaszczur wołając:

— Jestem głupiec!

Wybiegł pędem, przebył ogród i rzucił talizman do studni.

— Niech się dzieje co chce!... — rzekł. — Do czarta wszystkie te głupstwa!

Rafael poddał się szczęściu kochania i żył z oczyma w oczach Pauliny. Ślub ich, opóźniony przez trudności, które zbytecznym byłoby opowiadać, miał się odbyć w pierwszych dniach marca. Wypróbowali się, nie wątpili o sobie samych; szczęście objawiło im całą siłę ich uczucia. Nigdy dwie dusze, dwa charaktery nie zespoliły się tak doskonale jak oni mocą namiętności. Poznając się, pokochali się tym bardziej: z obu stron ta sama delikatność, wstydliwość, rozkosz, najsłodsza ze wszystkich rozkoszy, rozkosz aniołów; żadnej chmurki na ich niebie; kolejno pragnienia jednego stawały się prawem drugiego. Bogaci oboje, nie znali kaprysów, których by nie mogli zaspokoić, tym samym nie mieli kaprysów. Wytworny smak, poczucie piękna, prawdziwa poezja ożywiała duszę Pauliny; gardziła kobiecymi błyskotkami, uśmiech ukochanego zdawał się jej piękniejszy niż wszystkie perły wschodu, muślin lub kwiaty tworzyły jej najbogatsze ozdoby. Zresztą Paulina i Rafael uciekali przed światem, samotność była im tak piękna, tak szczodra! Co wieczór to urocze stadło ukazywało się w Operze lub we *Włoskim*. Jeżeli zrazu salony ostrzyły sobie na nich po trosze języki, niebawem wir wypadków, które przeszły przez Paryż pogrążył w niepamięci tych niewadzących nikomu kochanków. Wreszcie — co mogło być usprawiedliwieniem w oczach świętoszek — ślub był zapowiedziany, a przypadkowo służba była dyskretna; żadna zatem szczególna złośliwość nie zmąciła ich szczęścia.

Pod koniec lutego, w porze, gdy ładne dni dawały jak gdyby przedsmak wiosny, jednego rana Paulina i Rafael jedli razem śniadanie w małej cieplarni, rodzaju saloniku pełnego kwiatów, wychodzącego wprost na ogród. Łagodne i blade słońce zimowe, którego promienie sączyły się poprzez rzadkie rośliny, ogrzewało temperaturę. Żywe kontrasty rozmaitych liści, kolory kwitnących pęków, wreszcie kapryśna gra świateł i cieni, wszystko to radowało oczy. Kiedy cały Paryż grzał się jeszcze przy smętnych kominkach, młoda para gawędziła i śmiała się pod baldachimem kamelii, bzów, paproci. Radosne ich głowy wychylały się ponad narcyzy, konwalie i róże bengalskie. W tej bogatej i rozkosznej cieplarni nogi stąpały po afrykańskiej macie barwnej jak dywan. Ściany obite zielonym drelichem nie zdradzały najmniejszego śladu wilgoci. Sprzęty były z drzewa na pozór grubego, ale wypolerowana ich kora błyszczała od schludności. Młody kot, przycupnąwszy na stole, dokąd go zwabił zapach mleka, pozwolił się Paulinie mazać kawą; bawiła się z nim, broniła śmietanki, której mu dawała zaledwie powąchać, aby wypróbować jego cierpliwość i podtrzymać walkę; parskała śmiechem przy każdym jego grymasie i plotła tysiąc głupstw, aby nie dać Rafaelowi czytać dziennika, który już dziesięć razy wypadł mu z rąk. Było w tej rannej scenie niewymowne szczęście, jak wszystko, co jest naturalne i prawdziwe. Rafael wciąż udawał, że czyta gazetę i przyglądał się ukradkiem Paulinie drażniącej się z kotem, swojej Paulinie otulonej w długi peniuar, który nie zasłaniał mu jej całkowicie, swojej Paulinie z włosami w nieładzie i pokazującej małą stopkę z błękitnymi żyłkami w pantofelkach z czarnego aksamitu. Urocza w tym rannym stroju, rozkoszna jak fantastyczne postacie Westhalla, zdawała się równocześnie młodą dziewczyną i kobietą; może bardziej młodą dziewczyną kobietą; kosztowała szczęścia bez przymieszki i znała z miłości jedynie pierwsze upojenia. W chwili gdy zupełnie pochłonięty słodkim marzeniem Rafael zapomniał o dzienniku, Paulina chwyciła go, zmięła, uczyniła zeń kulę, rzuciła w ogród, a kot pobiegł za polityką, która, jak zawsze, robiła koziołki. Kiedy Rafael ubawiony tą dziecinną sceną chciał dalej czytać i sięgnął ręką po gazetę, której już nie było, rozległ się śmiech szczery, radosny, przeciągły niby śpiew ptaka.

— Jestem zazdrosna o gazetę — rzekła, wycierając łzy, które wycisnął jej ten dziecinny śmiech. — Czy to nie jest zdrada — ciągnęła, stając się nagle kobietą — aby czytać w mojej obecności proklamacje rosyjskie i woleć mowę cesarza Mikołaja od słów i spojrzeń miłości?

— Nie czytałem, aniele ukochany, patrzyłem na ciebie.

W tej chwili ciężkie kroki ogrodnika, pod którego okutymi butami zaskrzypiał piasek w alei, rozległy się koło cieplarni.

— Niech pan wybaczy, panie margrabio, jeżeli przeszkadzam, i jaśnie pani także, ale przynoszę państwu osobliwość, jakiej jeszcze nigdy nie widzieli. Przed chwilą, kiedy, za pozwoleniem państwa, wyciągnąłem ze studni wiadro wody, wydostałem ten osobliwy wodorost! O, jest! Musi to być bardzo nawykłe do wody, bo ani nie zwilgło ani nie przemokło. Suche to jak drewno i wcale nietłuste. Ponieważ pan margrabia jest z pewnością uczeńszy ode mnie, pomyślałem że trzeba mu to przynieść i że go to zajmie.

I ogrodnik pokazał Rafaelowi nieubłagany jaszczur, którego powierzchnia nie miała ani sześciu kwadratowych cali.

— Dziękuję, Vanière — rzekł Rafael. — To bardzo ciekawe.

— Co tobie, aniele? Ty bledniesz! — wykrzyknęła Paulina.

— Zostaw nas, Vanière.

— Głos twój przeraża mnie — ciągnęła młoda dziewczyna — dziwnie jest zmieniony... Co tobie? Co się tobie dzieje? Gdzie cię boli? Tobie niedobrze! Lekarza! — krzyknęła. — Jonatas, na pomoc!

— Cicho, Paulino, cicho — odparł Rafael, odzyskując panowanie nad sobą. — Chodźmy stąd. Jest tu może jakiś kwiat, którego zapach mnie mdli. Może to ta werwena?

Paulina skoczyła ku niewinnej roślinie, chwytając za łodygę i rzucając w ogród.

— O mój aniele! — wykrzyknęła, obejmując Rafaela uściskiem silnym jak ich miłość i podając mu z tkliwą zalotnością wiśniowe wargi do pocałunku — widząc, jak bledniesz, zrozumiałam, że ja bym cię nie przeżyła: twoje życie jest moim życiem. Rafaelu, dotknij ręką moich pleców. Czuję w nich jeszcze mróz. Wargi twoje są palące. A twoja ręka?... Jest jak lód — dodała.

— Szalona! — wykrzyknął Rafael.

— Czemu ta łza? Daj mi ją wypić.

— O Paulino, Paulino, zanadto mnie kochasz!

— W tobie się dzieje coś niezwykłego, Rafaelu?... Bądź szczery, ja wnet odgadnę twoją tajemnicę. Daj mi to — rzekła, biorąc jaszczur.

— Jesteś moim katem! — wykrzyknął młody człowiek, spoglądając ze zgrozą na talizman.

— Jaki zmieniony głos! — rzekła Paulina, upuszczając ów złowrogi symbol losu.

— Kochasz mnie? — spytał.

— Czy cię kocham, cóż za pytanie?

— Więc zostaw mnie, idź.

Biedne dziecko wyszło.

— Jak to! — wykrzyknął Rafael, znalazłszy się sam — dziś, w wieku nauki, kiedyśmy odkryli, że diamenty są krystalicznym węglem, w epoce, gdy wszystko umiemy wytłumaczyć, kiedy policja stawiłaby nowego Mesjasza przed sąd i przedłożyłaby jego cuda Akademii, w czasie, w którym wierzymy tylko w to, co stwierdzone notarialnie, ja miałbym wierzyć, ja, w jakieś *Mane, Tekel, Fares?*... Nie, na Boga, nie uwierzę, aby najwyższa istota mogła znaleźć przyjemność w dręczeniu niewinnego człowieka... Idźmy poradzić się uczonych.

Przybył niebawem, pomiędzy Halą win, olbrzymim zbiornikiem beczek, a *Salpêtrière*, olbrzymim seminarium pijaństwa, nad małe bajorko, gdzie pluskają się kaczki, wyróżniające się rzadkością gatunków, a mieniące ich kolory, podobne katedralnym witrażom, błyszczą w promieniach słońca. Wszystkie kaczki świata były tutaj, krzycząc, chlapiąc się, żerując i tworząc coś w rodzaju kaczego parlamentu, ale na szczęście bez konstytucji i zasad politycznych. Żyły, nie lękając się myśliwych, pod okiem przyrodników, którzy zaglądali na nie od czasu do czasu.

— Oto pan Lavrille — rzekł odźwierny do Rafaela, który poprosił o audiencję u tego arcykapłana zoologii.

Margrabia ujrzał małego człowieczka głęboko zatopionego w mądrych dumaniach nad obrazem dwóch kaczek. Uczony ten, człowiek w sile wieku, miał fizjognomię łagodną, osłodzoną jeszcze uprzejmym wyrazem; ale w całej jego osobie wyrażała się namiętność nauki. Peruka jego, ustawicznie drapana i fantastycznie przekrzywiona, odsłaniała rąbek siwych włosów i świadczyła o żądzy odkryć, która podobnie jak wszystkie namiętności odrywa nas tak potężnie od rzeczy tego świata, iż tracimy świadomość własnego *ja*.

Rafael, człowiek nauki i wiedzy, patrzył z podziwem na tego przyrodnika, którego dni poświęcone były rozszerzeniu wiedzy ludzkiej i którego błędy nawet pomnażały chwałę Francji; ale elegantka uśmiechnęłaby się z pewnością na widok odstępu znajdującego się pomiędzy spodniami profesora a kraciastą kamizelką, która to przestrzeń była zresztą suto wypełniona koszulą, pomarszczoną obficie wskutek ciągłego schylania się i prostowania w miarę zoologicznych spostrzeżeń.

Po paru wstępnych uprzejmościach Rafael uważał za stosowne wypalić panu Lavrille banalny komplement na temat jego kaczek.

— Och, na punkcie kaczek jesteśmy bogaczami — odparł przyrodnik. — Rodzaj ten jest zresztą, jak panu z pewnością wiadomo, najobfitszym z gatunku płetwonogów. Zaczyna się od *łabędzia*, a kończy się na kaczce *zinzin*, obejmując sto trzydzieści siedem odmian indywiduów bardzo odrębnych, mających swoje nazwy, obyczaje, swoją ojczyznę, swoją fizjognomię, i które tak samo są do siebie niepodobne jak biały i Murzyn. To pewna, proszę pana, iż kiedy jemy kaczkę, nie zdajemy sobie przeważnie sprawy z obszaru...

Przerwał na widok ładnej kaczki, która wyszła brzeg bajora.

— Widzi pan tu kaczkę z krawatem, biedne dziecię Kanady, przybyłą z daleka, aby nam pokazać swoje brunatno-szare upierzenie, swój mały czarny krawat! O, drapie się... Oto słynna gęś edredonowa czyli kaczka *eider*, pod której puchem śpią nasze elegantki; Jaka ona śliczna! Któż by nie podziwiał tego biało-różowego brzuszka, tego zielonego dzioba. Właśnie, proszę pana, byłem świadkiem sparzenia, o którym już zwątpiłem. Małżeństwo odbyło się dość szczęśliwie i będę niecierpliwie czekał wyników. Pochlebiam sobie, że uzyskam sto trzydziesty ósmy rodzaj, który może otrzyma moje nazwisko! Oto młodzi oblubieńcy — rzekł, pokazując dwie kaczki. — Jedna to gęś śmieszka (*anas albifrons*), druga to wielka kaczka gwiżdżąca (*anas ruffina*) Buffona. Długo wahałem się między kaczką gwiżdżącą, kaczką białobrewą i *anas clypeata*: o, widzi ją pan, to wielkie ciemnobrunatne ladaco o zielonej szyi mieniącej się tak delikatnie. Ale, drogi panie, kaczka gwiżdżąca miała czubek, rozumie pan tedy, że się nie wahałem. Brak nam tu jedynie kaczki z czarną mycką. Panowie koledzy utrzymują, że ta kaczka jest tożsama z cyranką o zakrzywionym dziobie; co do mnie...

Uczynił cudowny gest malujący zarazem skromność i dumę uczonego, dumę pełną uporu, skromność pełną zarozumiałości.

— ...Nie sądzę — dodał. — Widzi pan, drogi panie, że my tu nie tracimy czasu. Zajmuję się w tej chwili monografią gatunku *kaczka*... Ale jestem na pańskie rozkazy.

Towarzysząc mu w stronę ładnego domku przy ulicy Buffona, Rafael przedłożył jaszczur badaniom pana Lavrille.

— Znam ten produkt — rzekł wreszcie uczony, obejrzawszy talizman przez lupę — musiał służyć na obicie jakiegoś pudełka. Jaszczur jest bardzo stary. Dziś rymarze wolą się posługiwać galiszatem. Galiszat jest to, jak panu z pewnością wiadomo, skóra z *raja sephen*, ryby w Morzu Czerwonym.

— Ale to, proszę pana, skoro pan jest tak uprzejmy...?

— To — odparł uczony, przerywając swój wywód — To jest co innego: między galiszatem a jaszczurem istnieje różnica taka jak między oceanem a ziemią, rybą a czworonogiem. Bądź co bądź, skóra ryby twardsza jest niż skóra ziemnego stworzenia. To — rzekł, wskazując talizman — jest, jak panu zapewne wiadomo, jeden z najciekawszych produktów zoologicznych.

— A, tak? — wykrzyknął Rafael.

— Proszę pana — odparł uczony, zanurzając się w fotelu — to jest skóra osła.

— Wiem o tym — odparł młody człowiek.

— Istnieje w Persji — ciągnął przyrodnik — osioł nadzwyczaj rzadki, zwany dziki osioł, *onager*, u starożytnych *equus asinus*, u Tatarów *kulati*; Pallas zbadał go na miejscu i przywrócił go wiedzy. W istocie, zwierzę to długo uchodziło za fantastyczne. Jest, jak panu wiadomo, sławne w Piśmie świętym; Mojżesz zabronił parzyć go z jego pobratymcami. Ale dziki osioł jest jeszcze sławniejszy przez wyuzdania, których był przedmiotem, a o których często mówią biblijni prorocy. Pallas, jak panu z pewnością wiadomo, oświadcza w swoich *Act. Petrop.*, tom II, że te dziwaczne wybryki są jeszcze uświęcone przez religię u Persów i Nogajów jako skuteczne lekarstwo przeciw bólom nerek i scyjatyce. Nie mamy o tym pojęcia, my, biedni paryżanie. Muzeum przyrodnicze nie posiada

dzikiego osła. Cóż za wspaniale zwierzę! — ciągnął uczony. — Jest pełne tajemnic; oko jego uzbrojone jest rodzajem reflektora, któremu mieszkańcy Wschodu przypisują działanie uroczne; szata jego jest bardziej wykwintna i lśniąca niż u naszych najpiękniejszych koni; cętkowana jest w płowe pasy i bardzo przypomina skórę zebry. Sierść jego ma coś miękkiego, falistego, tłustego w dotknięciu; wzrok jego równy jest co do bystrości i dokładności wzrokowi człowieka. Większy nieco niż nasze osły domowe, obdarzony jest nadzwyczajną odwagą. Jeżeli przypadkowo go zaskoczyć, broni się z nadzwyczajną zręcznością najdzikszym zwierzętom. Co się tyczy szybkości w biegu, można go porównać jedynie z lotem ptaków; w wyścigu z dzikim osłem padłyby, drogi panie, najlepsze konie arabskie lub perskie. Wedle ojca sumiennego doktora Niebuhra, którego, jak panu wiadomo, opłakujemy świeżą stratę, przeciętna zwyczajnego biegu tych cudownych stworzeń wynosi siedem tysięcy geometrycznych kroków na godzinę. Nasze zwyczajne osły nie mogą dać żadnego pojęcia o tym ośle pełnym niepodległości i dumy. Postać ma lekką, żywą, minę inteligentną, sprytną, fizjognomię pełną wdzięku, ruchy zalotne! Jest to zoologiczny król Wschodu. Tureckie i perskie zabobony przypisują mu nawet tajemnicze pochodzenie, a imię Salomona wplata się w opowiadania tybetańskich i tatarskich bajarzy o zdatności przypisywanej tym szlachetnym zwierzętom. Wreszcie dziki osioł oswojony wart jest olbrzymie sumy; prawie niepodobna ująć go w górach, gdzie skacze jak kozica i zdaje się latać jak ptak. Bajka o skrzydlatych koniach, o naszym Pegazie, z pewnością wzięła początek w tych krajach, gdzie pasterze mogli często widywać dzikie osły skaczące z jednej skały na drugą. Osły wierzchowe, uzyskane w Persji ze skrzyżowania oślicy z oswojonym onagrem, są w myśl odwiecznej tradycji malowane na czerwono. Zwyczaj ten dał może początek francuskiemu przysłowiu: „Zły jak czerwony osioł". W epoce, kiedy historia naturalna była we Francji bardzo zaniedbana, jakiś podróżnik musiał, jak sądzę, przywieźć któreś z tych interesujących zwierząt, bardzo źle znoszących niewolnictwo. Stąd przysłowie! Skóra, którą mi pan przedłożył, ciągnął uczony, to skóra dzikiego osła. Różnimy się w zdaniach co do pochodzenia nazwy. Jedni twierdzą, że *Chagri*[14] jest to słowo tureckie, inni utrzymują, że *Chagri* to miasto, gdzie ten zoologiczny wytwór poddany jest preparacji chemicznej dość ściśle opisanej przez Pallasa, a dającej mu ową osobliwą ziarnistość, którą w nim podziwiamy; Martellens donosi mi, że *Châagri* jest to rzeka...

— Panie profesorze, dziękuję panu za objaśnienia, które dostarczyłyby wspaniałej noty jakiemu dom Calmetowi, gdyby benedyktyni jeszcze istnieli; ale mam zaszczyt zwrócić pańską uwagę, że ten skrawek miał pierwotnie rozmiary... tej mapy — rzekł Rafael, pokazując uczonemu otwarty atlas — otóż od trzech miesięcy skurczył się bardzo znacznie...

— Dobrze — odparł Lavrille — rozumiem. Tak, proszę pana, wszystkie szczątki istot żyjących podległe są łatwemu do pojęcia naturalnemu niszczeniu, którego bieg zależny jest od wpływów atmosferycznych. Nawet metale rozszerzają się albo kurczą w wybitny sposób, inżynierowie bowiem zauważyli dość znaczne rozstępy między wielkimi głazami pierwotnie spojonymi za pomocą sztab żelaznych. Wiedza jest rozległa, życie ludzkie bardzo krótkie. Toteż nie mamy pretensji znać wszystkich praw natury.

— Panie — rzekł Rafael niemal zawstydzony — niech pan daruje pytanie, które panu zadam. Czy pan jest zupełnie pewny, że ta skóra podlega zwyczajnym prawom zoologii, że można ją rozciągnąć?

— Och, z pewnością!... Tam do kata!... — rzekł p. Lavrille, próbując ciągnąć talizman. — Ale, proszę pana — dodał — jeżeli pan zechce odwiedzić mego kolegę Planchette'a, słynnego profesora mechaniki, on znajdzie z pewnością sposób, aby oddziałać na tę skórę, zmiękczyć ją, rozciągnąć.

— Och, panie, wraca mi pan życie!

Rafael pożegnał uczonego przyrodnika i pobiegł do Planchette'a, zostawiając poczciwego Lavrille w gabinecie pełnym słojów i suchych roślin. Wynosił z tej wizyty, sam nie wiedząc o tym, całą ludzką wiedzę: nomenklaturę! Poczciwy Lavrille podobny był do Sanczo Pansy, gdy opowiada don Kichotowi historię kóz: zabawiał się liczeniem zwierząt i numerowaniem! Znalazłszy się nad grobem, zaledwie znał maleńką cząstkę niezmierzo-

[14] *Chagri* — jaszczur, po francusku *chagrin*. [przypis tłumacza]

nych liczb wielkiego stada, rzuconego przez Boga w ocean świata w niewiadomym celu. Rafael był zadowolony.

— Będę trzymał mego osiołka na uwięzi! — wykrzyknął.

Sterne powiedział przed nim: „Oszczędzajmy naszego osiołka, jeżeli chcemy dożyć późnych lat". Ale to zwierzę jest tak samowolne!

Planchette był to wysoki chudy człowiek, prawdziwy poeta pogrążony w nieustannej kontemplacji, wciąż pochłonięty patrzeniem w otchłań bez dna, RUCH. Pospólstwo pomawia o szaleństwo te wzniosłe umysły, ludzi niezrozumianych, którzy żyją w cudownej beztrosce o zbytek i o świat, paląc przez całe dni zgasłe cygaro lub wchodząc do salonu bez troski o to, czy guziki przy ubraniu są dobrze pożenione z przeznaczonymi im dziurkami.

Pewnego dnia, po długim mierzeniu próżni lub gromadzeniu X-ów pod Aa–Gg, zanalizowali jakieś prawo przyrody i rozłożyli najprostszą zasadę; naraz tłum podziwia jakąś nową machinę, jakąś nową dźwignię, której łatwa struktura zdumiewa nas i oszałamia! Skromny uczony uśmiecha się, powiadając swoim admiratorom: „Cóż ja stworzyłem? Nic. Człowiek nie wynajduje siły, kieruje nią tylko, a wiedza polega na naśladowaniu natury".

Rafael zastał mechanika wrosłego w ziemię niby wisielec, który spadł prosto z szubienicy. Planchette badał kulkę agatową, którą puszczał na kompas, czekając, aż się zatrzyma. Biedny człowiek nie miał ani krzyża, ani pensji, nie umiał bowiem dobrze sprzedać swoich cyfr. Szczęśliwy, że żyje pogonią za odkryciem, nie myślał ani o sławie, ani o świecie, ani o sobie samym; żył w nauce dla nauki.

— To nie do określenia! — wykrzyknął. — A, drogi panie — dodał, spostrzegając Rafaela — sługa pański. Jak się ma szanowna mamusia?... Niech pan raczy zajść do mojej żony.

„I ja mogłem żyć w ten sposób!" — pomyślał Rafael; wyrwał uczonego z zadumy, pytając go o sposób oddziałania na talizman, który mu przedłożył.

— Choćby się pan miał śmiać z mojej łatwowierności — rzekł w końcu margrabia — nie będę panu nic ukrywał. Ta skóra posiada jakąś tajemną siłę oporu, której nic nie może przemóc.

— Panie — rzekł Planchette — ludzie światowi odnoszą się zawsze do wiedzy dość bezceremonialnie; po trosze tak jak pewien elegant, który oświadczył wielkiemu Lalanne, spóźniwszy się z damami na zaćmienie słońca: „Może pan będzie tak dobry rozpocząć na nowo". O jakie działanie panu chodzi? Celem mechaniki jest stosować prawa ruchu lub też neutralizować je. Co do ruchu samego w sobie, wyznaję panu z pokorą, nie umiemy go określić. To przyjąwszy, zauważyliśmy parę niezmiennych objawów, które rządzą działaniem ciał stałych i płynnych. Odtwarzając bezpośrednie przyczyny tych zjawisk, możemy przenosić ciała, udzielać im siły lokomocyjnej w stosunkach określonej chyżości, rzucać je, dzielić na części lub w nieskończoność, bądź to tłukąc je, bądź proszkując; następnie skręcać je, dawać im ruch wirujący, przekształcać, ugniatać, rozszerzać, rozciągać. Ta wiedza, drogi panie, opiera się na jednym fakcie. Widzi pan tę kulę — ciągnął. — Jest tu, na tym kamieniu. Teraz jest tam. Jakim mianem nazwiemy ten akt fizycznie tak naturalny, a moralnie tak niezwykły? Ruch, lokomocja, zmiana miejsca? Cóż za bezmierna czczość ukryta pod słowami! Słowo, czyż to jest rozwiązanie? Oto wszak cała wiedza. Nasze machiny zużywają lub rozkładają ten akt, ten fakt. To błahe zjawisko przeniesione na masy wysadzi Paryż w powietrze. Możemy zwiększać chyżość kosztem siły i siłę kosztem chyżości. Co to jest siła i chyżość? Nasza wiedza niezdolna jest tego powiedzieć, tak jak niezdolna jest stworzyć ruch. Ruch, jakikolwiek by był, jest to olbrzymia siła, a człowiek nie wynajduje sił. Siła jest jedna jak ruch, sama istota siły. Wszystko jest ruchem. Myśl jest ruchem. Natura opiera się na ruchu. Śmierć jest ruchem, którego kierunek jest nam nieznany. Jeżeli Bóg jest wieczny, wierzaj mi, że jest w ciągłym ruchu. Bóg jest może ruchem. Oto czemu ruch jest niewytłumaczony jak on; jak on głęboki, bez granic, niepojęty, niedotykalny. Kto kiedy dotknął, zrozumiał, zmierzył ruch? Czujemy skutki, nie widząc ich. Możemy nawet im zaprzeczyć, jak przeczymy Bogu. Gdzie jest, gdzie go nie ma? Skąd wychodzi? Gdzie jest jego zasada? Gdzie jest jego kres? Otacza nas, przyciska i umyka się nam. Jest oczywisty jak fakt, ciemny jak abstrakcja, jest równocześnie skutkiem i przyczyną. Trzeba mu, jak nam, przestrzeni, a co to jest przestrzeń? Jedynie ruch

objawia ją nam; bez ruchu jest tylko słowem bez treści. Problem nie do rozwiązania, podobnie jak próżnia, jak stworzenie, jak nieskończoność! Ruch wprawia w zamęt ludzką myśl; jedyne, co wolno człowiekowi pojąć, to to że go nie pojmie nigdy. Między każdym z punktów, jakie kolejno zajmuje ta kula w przestrzeni — ciągnął uczony — znajduje się przepaść dla ludzkiego rozumu, przepaść, w którą runął Pascal. Aby oddziałać na nieznaną substancję, którą chcesz poddać nieznanej sile, musimy najpierw zbadać tę substancję; zależnie od swojej natury albo się strzaska od uderzenia, albo mu się oprze; jeżeli się rozdrobni, a jeżeli pańskim zamiarem nie jest dzielić jej, nie osiągniemy zamierzonego celu. Jeżeli chcesz ją zgnieść, trzeba udzielić jednakiego ruchu wszystkim cząstkom substancji w ten sposób, aby jednostajnie zmniejszyć przestrzeń, która je dzieli. Jeżeli chcesz ją rozciągnąć, musimy starać się nadać każdej drobinie jednaką siłę odśrodkową; albowiem nie przestrzegając ściśle tego prawa, wywołalibyśmy przerwy spójności. Istnieją, proszę pana, w ruchu nieskończone odmiany, kombinacje bez granic. Na jakie działanie się pan decyduje?

— Proszę pana — odparł Rafael zniecierpliwiony — chodzi mi o jakiekolwiek ciśnienie dość silne, aby rozciągnąć w nieskończoność tę skórę.

— Ponieważ substancja jest skończona — odparł matematyk — nie może rozciągnąć się w nieskończoność; ciśnienie powiększy nieodzownie rozmiary powierzchni kosztem grubości; ścienieje tak, aż jej zabraknie materii...

— Niech pan osiągnie ten wynik — wykrzyknął Rafael — a zarobi pan miliony.

— To byłyby ukradzione pieniądze — odparł profesor z flegmą godną Holendra. — Wykażę panu w dwóch słowach istnienie machiny, która nawet samego Boga zmiażdżyłaby jak muchę. Sprowadziłaby człowieka do stanu bibułki, człowieka w butach, z ostrogami, krawatem, kapeluszem, złotem, klejnotami, wszystkim...

— Cóż za straszliwa machina!

— Zamiast rzucać dzieci do wody, Chińczycy powinni by je zużytkowywać w ten sposób — dodał uczony, nie troszcząc się o szacunek człowieka dla swego potomstwa..

Cały pochłonięty swą myślą, Planchette wziął próżną doniczkę na kwiaty z przedziurawionym dnem i postawił ją na płycie kompasu; następnie poszedł do ogrodu po nieco gliny. Rafael stał oszołomiony jak dziecko, któremu niańka opowiada cudowne bajki. Złożywszy glinę na kamiennej płycie, Planchette wydobył z kieszeni nożyk, uciął dwie gałązki bzu i wydmuchał je, gwiżdżąc, tak jakby Rafaela nie było.

— Oto składniki machiny — rzekł.

Przymocował za pomocą glinianej nasady jedną z tych drewnianych rurek do dna doniczki w ten sposób, iż dziurka bzu przypadła na otwór naczynia. Rzekłbyś, olbrzymia fajka. Rozciągnął na płycie warstwę gliny, dając jej kształt łopatki, umieścił doniczkę na szerszej części, gałąź zaś bzu umocował w części przedstawiającej rękojeść. Wreszcie umocował kawał gliny przy końcu rurki bzowej, umieścił tam drugą wydrążoną gałązkę całkiem prosto, sporządziwszy drugą nasadę, aby ją połączyć z ramieniem poziomym, tak iż powietrze lub jakaś ciecz mogłaby krążyć w tej improwizowanej machinie i biec od otworu rurki prostopadłej, przez pośredni kanał aż do pustej donicy.

— Tak, panie, ten przyrząd — rzekł do Rafaela z powagą akademika wygłaszającego mowę powitalną — jest jednym z najpiękniejszych tytułów, jakie wielki Pascal ma do naszego podziwu.

— Nie rozumiem...

Uczony uśmiechnął się. Zdjął z owocowego drzewa małą flaszeczkę, w której aptekarz przysłał mu lep na mrówki; wybił dno, sporządził sobie lejek, umocował go starannie w otworze pustej gałązki zasadzonej pionowo w glinie, naprzeciwko wielkiego zbiornika, który wyobrażała donica; następnie za pomocą polewaczki, wlał w nią ilość wody wystarczającą, aby wypełnić po brzegi zarówno wielki zbiornik, jak i gałązkę bzu... Rafael myślał o swoim jaszczurze.

— Panie — rzekł mechanik — woda uchodzi dziś jeszcze za ciało nieściśliwe, niech pan nie zapomina tej fundamentalnej zasady; bądź co bądź, da się ścisnąć, ale tak mało, że jej kurczliwość możemy uważać za równą zeru. Widzi pan powierzchnię, jaką przedstawia woda, która doszła do wierzchu doniczki?

— Widzę.

— Otóż, niech pan przyjmie, że ta powierzchnia jest tysiąc razy większa niż ujście pręcika bzowego którym nalałem tę ciecz. O, teraz wyjmę lejek...

— Widzę.

— Otóż, drogi panie, jeżeli jakimkolwiek sposobem powiększę objętość tej masy wprowadzając jeszcze wodę ujściem małej rurki, płyn, zmuszony zejść niżej w rurkę, podniesie się w zbiorniku wyobrażonym przez doniczkę, póki płyn nie dojdzie do jednego poziomu i tu, i tam...

— To oczywiste! — wykrzyknął Rafael.

— Ale jest ta różnica — ciągnął uczony — że jeżeli szczupły słupek wody dodanej w małej prostopadłej rurce przedstawia siłę równą ciężarowi np. funta, to ponieważ działanie jego udzieli się ściśle płynnej masie i działa na wszystkie punkty jej powierzchni w doniczce, znajdzie się tam tysiąc słupków wody, które dążąc wszystkie do podniesienia się, jak gdyby je popychała siła równa tej, która spycha wodę w prostopadłej gałązce, wydadzą tam nieodzownie — rzekł Planchette, wskazując otwór doniczki — siłę tysiąc razy znaczniejszą niż siła wprowadzona tutaj.

To mówiąc, uczony pokazał margrabiemu palcem drewnianą rurkę zatkniętą prostopadle w glinie.

— To zupełnie proste — rzekł Rafael.

Planchette uśmiechnął się.

— Innymi słowy — ciągnął z tą upartą logiką właściwą matematykom — aby odepchnąć napór wody, trzeba by rozwinąć na każdym punkcie wielkiej powierzchni siłę równą sile działającej w pionowym przewodzie; ale z tą różnicą, że jeżeli płynny słup jest tam wysoki na stopę, tysiąc małych słupków wielkiej powierzchni będzie miało jedynie bardzo małą wysokość... Teraz — rzekł Planchette, dając prztyczka swoim gałązkom — zastąpmy ten pocieszny aparacik rurami metalowymi o przyzwoitej sile i wymiarach. Jeżeli pokryjesz płynną powierzchnię wielkiego rezerwuaru silną ruchomą płytą, a tej płycie przeciwstawisz drugą o wypróbowanym oporze i trwałości; jeżeli, co więcej, użyczysz mi władzy dodawania bez ustanku wody do płynnej masy (a to drogą małej prostopadłej rurki), wówczas przedmiot wzięty między te dwie silne płaszczyzny, musi z konieczności ustąpić olbrzymiemu ciśnieniu, które go zgniata nieograniczenie. Sposób stałego doprowadzania wody rurką jest zabawką dla mechaniki, zarówno jak sposób przeniesienia siły z płynnej masy na płytę. Dwa tłoki i parę klap wystarczą. Przyzna mi pan wówczas, drogi panie — rzekł, biorąc Rafaela pod ramię — że nie istnieje substancja, która by umieszczona między te dwa nieograniczone opory nie musiała się rozciągnąć?

— Jak to! Autor *Prowincjałek* to wynalazł?... — wykrzyknął Rafael.

— On sam, młody panie. Mechanika nie zna nic prostszego ani piękniejszego. Przeciwna zasada, rozprężliwość wody, stworzyła machinę parową. Ale woda jest rozprężliwa tylko do pewnego stopnia, podczas gdy jej nieściśliwość, będąc siłą poniekąd negatywną, jest tym samym nieograniczona.

— Jeżeli ta skóra się rozciągnie — rzekł Rafael — przyrzekam wznieść olbrzymi pomnik Błażejowi Pascalowi, ufundować nagrodę stu tysięcy franków za najpiękniejszy problem mechaniki rozwiązany w każdym dziesięcioleciu, wyposażyć pańskie bratanice, siostrzenice, stryjeczne wnuczki, wreszcie zbudować przytulisko dla matematyków, którzy zwariują lub zejdą na dziady.

— To byłoby bardzo pożyteczne — odparł Planchette. — Jutro — dodał ze spokojem człowieka żyjącego wyłącznie w sferze intelektualnej — pójdziemy do Spieghaltera. Ten niepospolity mechanik sporządził właśnie według moich planów udoskonaloną machinę, dzięki której dziecko mogłoby zmieścić dziesięć tysięcy wiązek siana w kapeluszu.

— Do jutra, drogi panie.

— Do jutra.

— Niech żyje mechanika — wykrzyknął Rafael. — Czyż to nie najpiękniejsza ze wszystkich nauk? Tamten ze swymi onagrami, klasyfikacjami, kaczkami, gatunkami i słojami pełnymi potworów dobry jest co najwyżej do znaczenia punktów przy bilardzie w kawiarni.

Nazajutrz Rafael uszczęśliwiony wstąpił po Planchette'a i udali się razem na ulicę *Zdrową*; dobrze wróżąca nazwa! U Spieghaltera młody człowiek znaazł się w olbrzymiej sali, gdzie oczy jego ujrzały mnóstwo czerwonych i huczących pieców. Był to deszcz ognia,

potop gwoździ, ocean tłoków, śrub, dźwigni, szyn, pił, muter, morze płynnego metalu, drzewa, klap, sztab. Opiłki drapały w gardle. W rozpalonym powietrzu było żelazo, ludzie byli okryci żelazem, wszystko cuchnęło żelazem, żelazo miało życie, stawało się żywym ustrojem, cieczą, chodziło, myślało, przybierając wszystkie formy, poddając się wszystkim kaprysom. Poprzez wycia miechów, *crescendo* młotów, świst wież, w których warczało żelazo, Rafael dostał się do wielkiej hali, czystej i dobrze wietrzonej, gdzie mógł się do woli napatrzeć olbrzymiej prasie, o której mówił Planchette. Podziwiał olbrzymie tarcice z żelaza oraz duże żelazne odnogi złączone potężnym trzonem.

— Gdybyś pan obrócił szybko siedem razy tę korbę — rzekł Spieghalter, pokazując mu rączkę z polerowanej stali — rozkruszyłbyś stalową płytę na milion pocisków, które wbiłyby ci się w nogi jak igły.

— Bagatela! — wykrzyknął Rafael.

Planchette własnoręcznie wsunął jaszczur między dwie płyty wszechpotężnej prasy i z całym spokojem, jaki daje przeświadczenie naukowe, zakręcił żywo korbą.

— Kładźcie się wszyscy na ziemi, zginęliśmy! — krzyknął Spieghalter grzmiącym głosem, padając sam na ziemię.

Okropny świst rozległ się w warsztatach. Woda zawarta w machinie skruszyła metal, trysnęła strumieniem o niewiarygodnej sile, szczęściem kierując się na stary piec, który obaliła, zburzyła, skręciła, tak jak huragan chwyta dom i unosi z sobą.

— Och — rzekł spokojnie Planchette — jaszczur jest zdrów jak moje oko! Mistrzu Spieghalter, musiała być jakaś skaza w stali albo jakaś szczelina w wielkiej rurze...

— Nie, nie, ja znam moją stal. Ten pan może zabrać swój przedmiot, diabeł siedzi w tej skórze.

Niemiec chwycił młot kowalski, rzucił skórę na kowadło i z całą siłą, jaką daje gniew, wymierzył w talizman najstraszliwszy cios, jaki kiedykolwiek jęknął w pracowni.

— Ani śladu nie ma — wykrzyknął Planchette, głaszcząc oporny jaszczur.

Zbiegli się robotnicy. Werkmajster wziął skórę i zanurzył ją w piecu pełnym gorejącego węgla. Wszyscy, stojąc półkolem koło ognia, oczekiwali z niecierpliwością działania olbrzymiego miecha. Rafael, Spieghalter, profesor Planchette, zajmowali środek tej czarnej i bacznej ciżby. Widząc wszystkie te białe oczy, te głowy przyprószone żelazem, tę czarną i lśniącą odzież, te kosmate piersi, Rafael miał wrażenie, że znajduje się w nocnym i fantastycznym świecie niemieckich ballad. Werkmistrz chwycił skórę szczypcami, zostawiwszy ją wprzód w ogniu przez dziesięć minut.

— Proszę mi ją oddać — rzekł Rafael.

Werkmistrz podał ją żartem Rafaelowi. Margrabia zwinął z łatwością skórę, chłodną i miękką pod jego palcami. Rozległ się krzyk zgrozy, robotnicy uciekli. Valentin został sam z profesorem Planchette w opustoszałej sali.

— Jest stanowczo coś diabelskiego w tym wszystkim! — wykrzyknął Rafael w rozpaczy. — Więc żadna siła ludzka nie zdoła mi przyczynić ani jednego dnia?

— Panie, zbłądziłem — odparł matematyk ze strapioną miną — powinniśmy byli poddać tę osobliwą skórę działaniu machiny do ciągnienia blachy. Gdzież ja miałem głowę, aby panu proponować ciśnienie!

— To ja prosiłem o to — odparł Rafael.

Uczony odetchnął jak winny uwolniony dwunastoma głosami przysięgłych. Jednakże zaciekawiony osobliwym problemem, jaki nastręczała ta skóra, zastanowił się chwilę i rzekł:

— Trzeba zażyć tę nieznaną substancję odczynnikami. Chodźmy do Jafeta, chemia będzie może szczęśliwsza od mechaniki.

Valentin popędził konia w nadziei zastania słynnego chemika Jafeta w jego laboratorium.

— I cóż, stary przyjacielu — rzekł Planchette, widząc Jafeta siedzącego w fotelu i oglądającego jakiś strąt — jakże się miewa chemia?

— Drzemie. Nic nowego. Prawda, Akademia uznała istnienie salicyny, ale salicyna, asparagina, woklina, digitalina, to nie są odkrycia...

— Nie mogąc wynajdywać rzeczy — rzekł Rafael — zdaje się, że jesteście skazani na wynajdywanie nazw.

— Dalibóg, masz słuszność, młodzieńcze!

— Słuchaj — rzekł Planchette do chemika — spróbuj nam rozłożyć tę substancję: jeżeli wydobędziesz z niej jakikolwiek pierwiastek, nazywam go z góry *diaboliną*, próbując bowiem zgnieść ten skrawek, rozwaliliśmy dopiero co prasę hydrauliczną.

— Pokażcie, pokażcie! — wykrzyknął radośnie chemik — może to będzie jaki nowy pierwiastek.

— Panie — rzekł Rafael — to jest po prostu kawał oślej skóry.

— Mój panie... — zaczął poważnie wielki chemik.

— Ja nie żartuję — odparł margrabia, podając mu jaszczur.

Baron Jafet przyłożył do skóry unerwione brodawki swego języka, tak sprawne w rozpoznawaniu soli, kwasów, zasad, gazów i rzekł po kilku próbach:

— Żadnego smaku! No, spróbujmy się jej dać napić trochę fluoru.

Poddana działaniu tego odczynnika, tak energicznie rozkładającego tkanki zwierzęce, skóra nie doznała żadnej zmiany.

— To nie jest jaszczur! — wykrzyknął chemik. — Potraktujemy tego tajemniczego jegomościa jak minerał i damy mu po nosie, pakując go do tygielka, gdzie mam właśnie czerwony potas.

Jafet wyszedł i wrócił niebawem.

— Proszę — rzekł do Rafaela — niech mi pan pozwoli kawałek tej osobliwej substancji; jest tak niezwykła...

— Kawałek? — wykrzyknął Rafael — Ani nawet wielkości włosa. Zresztą, próbuj pan! — dodał z uśmiechem smutnym i żartobliwym zarazem.

Uczony złamał brzytwę, chcąc naciąć skórę, spróbował skruszyć za pomocą silnego wybuchu elektryczności, potem poddał ją działaniu stosu Wolty, słowem, wszystkie pioruny wiedzy rozbiły się o ten straszliwy talizman. Była siódma wieczorem, Planchette, Jafet i Rafael, zapominając o mijaniu czasu, czekali wyniku ostatniego doświadczenia. Jaszczur wyszedł zwycięsko ze straszliwego wstrząsu, jakiemu go poddano przy pomocy pokaźnej dawki chlorku azotu.

— Jestem zgubiony! — wykrzyknął Rafael. — W tym jest ręka Boga. Trzeba umrzeć...

Zostawił uczonych pogrążonych w zdumieniu.

— Nie opowiadajmy o tej przygodzie w Akademii, koledzy wyśmialiby się — rzekł Planchette do chemika po długiej pauzie, w czasie której spoglądali po sobie, nie śmiejąc sobie udzielić wzajem swoich myśli.

Dwaj uczeni byli niby chrześcijanie, którzy opuścili swoje groby i nie znaleźli Boga w niebie. Wiedza? Bezsilna! Kwasy? Czysta woda! Czerwony potas? Zhańbiony! Stos Wolty, iskra elektryczna? Zabawki dziecinne!

— Prasa hydrauliczna rozwalona jak domek z kart! — dodał Planchette.

— Wierzę w diabła — rzekł baron Jafet po chwili milczenia.

— A ja w Boga — odparł Planchette.

Obaj byli w swojej roli. Dla mechanika wszechświat jest machiną, która wymaga robotnika; dla chemii, tego dzieła czarta, które rozkłada wszystko, świat jest to gaz obdarzony ruchem.

— Nie możemy zaprzeczyć faktowi — dodał chemik.

— Ba! Na naszą pociechę, panowie doktrynaliści stworzyli ten mglisty aksjomat: głupi jak fakt.

— Twój aksjomat — odparł chemik — musi być tedy *faktem*, gdyż jest solennie głupi.

Zaczęli się śmiać i poszli na obiad w nastroju ludzi, którzy widzą w cudzie już tylko objaw przyrody.

Wracając do domu, Valentin był pastwą zimnej wściekłości; nie wierzył już w nic, myśli mąciły mu się w mózgu, kłębiły się i wirowały jak myśli wszelkiego człowieka w obliczu niemożliwego faktu. Chętnie uwierzył w jakąś tajemną wadę w machinie Spieghaltera, niemoc wiedzy i ognia nie dziwiły go; ale gibkość skóry, kiedy on ją miął w palcach, a sztywność jej, kiedy ją poddano wszystkim środkom zniszczenia, jakie człowiek posiada, przerażały go. Ten niezaprzeczony fakt przyprawiał go o zawrót głowy.

„Jestem szalony — powiadał sobie. — Mimo że od rana jestem na czczo, nie chce mi się jeść ani pić, czuję w piersiach ogień który pali..."

Włożył z powrotem jaszczur w ramkę, w której znajdował się niegdyś, po czym, obrysowawszy czerwoną linią obecny kontur talizmanu, usiadł w fotelu

— Już ósma! — wykrzyknął. — Ten dzień minął jak sen.

Oparł się o poręcz, złożył głowę na lewej ręce, utonął w posępnej zadumie, w owych pożerających myślach, których tajemnicę unoszą z sobą skazani na śmierć.

— Ach! Paulina — wykrzyknął — Biedne dziecko! Są przepaści, których miłość nie zdoła przebyć mimo siły swych skrzydeł!

W tej samej chwili usłyszał bardzo wyraźnie stłumione westchnienie i poznał, mocą najbardziej wzruszającego przywileju miłości, oddech Pauliny.

„Och! — pomyślał — oto mój wyrok. Gdyby ona była tutaj, chciałbym umrzeć w jej ramionach".

Wybuch bardzo szczerego i radosnego śmiechu sprawił, iż Rafael obrócił głowę w stronę łóżka: za przeźroczystą firanką ujrzał twarz Pauliny, uśmiechniętej jak dziecko szczęśliwe z udanej psoty; piękne włosy rozsypały się tysiącem pukli na ramiona; była podobna do bengalskiej róży na pęku róż białych.

— Uprosiłam Jonatasa — rzekła. — Czyż to łóżko nie należy do mnie? Do mnie, twojej żony? Nie łaj mnie, drogi, chciałam tylko spać koło ciebie, zrobić ci niespodziankę. Daruj mi to szaleństwo.

Wyskoczyła z łóżka ruchem kotki, ukazała się promienna w swoich muślinach i siadła na kolanach Rafaela.

— O jakiej przepaści mówiłeś, ukochany? — rzekła z wyrazem troski na czole.

— O śmierci.

— Przykrość mi sprawiasz — odparła. — Są myśli, których my, biedne kobiety, nie możemy udźwignąć, które nas zabijają. Czy to siła miłości czy brak odwagi? Nie wiem. Śmierć nie przeraża mnie — dodała, śmiejąc się. — Umrzeć z tobą, jutro rano, zaraz, w ostatnim pocałunku, to byłoby szczęście. Zdaje mi się, że żyłabym jeszcze więcej niż sto lat. Co znaczy ilość dni, jeżeli w jedną noc, w jedną godzinę, wyczerpaliśmy całe życie spokoju i miłości?

— Masz słuszność, niebo mówi przez twoje piękne usta. Daj mi je, niech je ucałuję i umierajmy — rzekł Rafael.

— Umierajmy tedy — odparła, śmiejąc się.

Około dziewiątej rano światło zaglądało przez szczeliny w żaluzjach; przygaszone muślinem firanek, pozwalało mimo to rozeznać bogate barwy dywanów i puszyste meble pokoju, gdzie spoczywała para kochanków. Tu i ówdzie błyszczały złocenia. Promień słońca zamierał w miękkim edredonie, który w igraszkach miłości spadł na ziemię. Zawieszona na wielkim lustrze suknia Pauliny rysowała się jak mgliste zjawisko. Maleńkie trzewiczki leżały z dala od łóżka. Słowik przysiadł na gzymsie za oknem; jego przeciągłe trele, szmer skrzydeł, które nagle rozwinął, ulatując, obudziły Rafaela.

— Aby umrzeć — rzekł, kończąc myśl rozpoczętą śnie — trzeba, aby mój organizm, ta machina z ciała i kości, ożywiona moją wolą i czyniąca ze mnie indywiduum ludzkie, przedstawiała jakieś namacalne uszkodzenie. Lekarze muszą znać objawy podcięcia żywotności, powiedzą mi, czy jestem zdrów czy chory.

Popatrzył na śpiącą żonę, która obejmowała jego głowę, wyrażając tym we śnie tkliwą pieczołowitość serca. Wdzięcznie wyciągnięta jak dziecko, z twarzą zwróconą ku niemu, Paulina zdawała się patrzeć nań jeszcze, podając mu ładne usta rozchylone czystym, równym oddechem. Porcelanowe ząbki uwydatniały kolor jej świeżych warg, na których błądził uśmiech; cera była w tej chwili żywsza i bielsza niż w najbardziej miłosnych godzinach dnia. Jej wdzięczne i ufne oddanie łączyło powaby kobiety z urokiem uśpionego dziecka. Kobiety, nawet najbardziej naturalne, podlegają jeszcze w dzień pewnym konwencjom społecznym, które krępują naiwne wylewy ich duszy; ale sen przywraca im poniekąd ową bezpośredniość życia będącą czarem dziecięctwa. Paulina nie wstydziła się niczego, jak owe drogie i niebiańskie istoty, u których rozsądek nie tchnął jeszcze ani myśli w gesty, ani tajemnic w spojrzenie. Profil jej odcinał się żywo na cienkim batyście poduszek, gruba piana koronek zmieszana z włosami w nieładzie dawała jej wyraz nieco kapryśny, ale usnęła w rozkoszy, długie jej rzęsy kładły się na policzkach jak gdyby po to, aby zasłonić wzrok przed zbyt mocnym światłem lub też dopomóc owemu skupieniu, jakim dusza sili

się przytrzymać doskonałą, ale ulotną rozkosz. Maleńkie białe i różane uszko, oprawne w pęk włosów i odcinające się od śniegu koronek, byłoby rozkochało na zabój artystę, malarza, starca, byłoby może wróciło rozum jakiemu szaleńcowi. Widzieć kochankę uśpioną, uśmiechniętą w spokojnym marzeniu pod twoją opieką, kochającą cię nawet we śnie, w chwili gdy świadome życie przestaje istnieć, podającą ci jeszcze nieme usta, które we śnie mówią ci o ostatnim pocałunku! Widzieć kobietę ufną, pół nagą, ale spowitą w swoją miłość niby w płaszcz i czystą w pełni szału; podziwiać jej rozrzucone suknie, jej jedwabne pończoszki szybko ściągnięte wczoraj na twoje żądanie, zdjętą sznurówkę świadczącą o wierze bez granic, czyż to nie jest niewysłowiona rozkosz? Ta sznurówka to cały poemat; kobieta, którą chroniła, nie istnieje już, należy do ciebie, stała się *tobą*; odtąd zdradzić ją znaczyłoby zdradzić samego siebie. Rafael patrzał z rozczuleniem na ten pokój przesycony miłością, pełen wspomnień, gdzie świat barwił się odcieniem rozkoszy; wrócił do tej kobiety o kształtach czystych, młodych, jeszcze kochającej; istoty, której uczucia zwłaszcza należały doń bez podziału. Pragnął żyć wiecznie. Kiedy spojrzenie jego padło na Paulinę, otwarła natychmiast oczy, niby tknięta promieniem słońca.

— Dzień dobry, jedyny — rzekła z uśmiechem. — Jakiś ty ładny, ty niegodziwy!

Te dwie głowy strojne wdziękiem czerpanym w uczuciu, w młodości, półmroku i ciszy, tworzyły jedną z owych boskich scen, których ulotny czar właściwy jest jedynie pierwszym dniom miłości, tak jak naiwność, czystość, są przywilejami dziecięctwa. Niestety! Te wiośniane rozkosze miłości, tak samo jak igraszki naszych młodych lat, mają ulecieć i żyć jeno w naszym wspomnieniu, aby nas grążyć w rozpaczy lub też rzucać nam jakiś kojący zapach, zależnie od kaprysu naszych tajemnych dumań.

— Czemuś się obudziła? — rzekł Rafael. — Tak mi było słodko widzieć cię uśpioną... płakałem patrząc na ciebie...

— I ja także — odparła — płakałam dziś w nocy, patrząc na ciebie, jak śpisz; ale to nie było z radości. Słuchaj, mój Rafaelu, słuchaj mnie. Kiedy śpisz, twój oddech nie jest swobodny, coś ci gra w piersi: to mnie przeraża. Pokaszlujesz przez sen, zupełnie podobnie jak mój ojciec, który umiera na suchoty. W tym graniu twoich piersi rozpoznałam niektóre objawy tej dziwnej choroby. Przy tym masz gorączkę, jestem pewna, ręka twoja była wilgotna i paląca... Kochanie! Jesteś młody — dodała, wstrząsając się — mógłbyś się jeszcze wyleczyć, gdyby, nieszczęściem... Ale nie — wykrzyknęła radośnie — nie ma nieszczęścia, ta choroba udziela się, powiadają lekarze.

Objęła ramionami Rafaela i wypiła jego oddech w pocałunku, w którym oddaje się całą duszę:

— Nie chcę dożyć starości — rzekła. — Umrzyjmy młodo oboje i idźmy do nieba z rękami pełnymi kwiatów.

— Takie projekty zawsze się robi wówczas, gdy się jest zdrowym — odparł Rafael, zanurzając palce we włosach Pauliny.

Ale równocześnie pochwycił go straszliwy kaszel, ów kaszel ciężki i dźwięczny, jakby wychodził z trumny, kaszel, od którego blednie czoło chorego; który pozostawia go drżącym, całym w pocie, wstrząsa wszystkie nerwy, rozpiera żebra, wysysa szpik pacierzowy i wlewa w żyły jakąś dziwną ociężałość. Rafael, wyczerpany, blady, położył się wolno, ścięty z nóg jak człowiek, który wszystkie siły wydał w ostatnim wysiłku. Paulina patrzała nań martwo z oczyma rozszerzonymi przez strach, nieruchoma, blada, milcząca.

— Nie róbmy już szaleństw, mój aniele — rzekła, chcąc ukryć przed Rafaelem okropne przeczucia, które nią miotały.

Zasłoniła sobie twarz rękami, ujrzała bowiem ohydny szkielet ŚMIERCI. Głowa Rafaela stała się blada i upiorna, niby czaszka dobyta z głębin cmentarza, iżby służyła dla studiów jakiegoś uczonego. Paulina przypomniała sobie wykrzyknik, jaki poprzedniego dnia wydarł się Rafaelowi, i rzekła:

— Tak, są przepaści, których miłość nie może przebyć, ale wówczas powinna się w nich zagrzebać.

W kilka dni po tej rozpaczliwej scenie, w marcowy poranek Rafael znalazł się w fotelu w otoczeniu czterech lekarzy, którzy posadzili go na wprost światła przy oknie i kolejno badali puls, obmacywali, wypytywali go z pozorem zainteresowania. Chory śledził ich myśli, tłumacząc sobie ich gesty i najdrobniejsze fałdy tworzące się na ich czołach. Ta na-

rada była jego ostatnią nadzieją. Ci najwyżsi sędziowie mieli nań wydać wyrok życia lub śmierci. Jakoż, aby wydrzeć wiedzy ludzkiej jej ostatnie słowo, Valentin zwołał wyrocznie nowoczesnej medycyny. Dzięki jego majątkowi i nazwisku trzy systemy, między którymi buja wiedza ludzka, znalazły się tu, na wprost niego. Ci trzej lekarze przynieśli z sobą całą filozofię medycyny, reprezentując walkę, jaką sobie wydają spirytualizm, analiza oraz jakiś pół drwiący eklektyzm. Czwartym lekarzem był Horacy Bianchon, człowiek wielkiej przyszłości i nauki, najwybitniejszy może z młodego pokolenia lekarzy, roztropny i skromny przedstawiciel pracowitej młodzieży, która gotuje się podjąć dziedzictwo skarbów nagromadzonych od pięćdziesięciu lat przez Szkołę Paryską i która wzniesie może pomnik z tylu różnorodnych materiałów skupionych przez poprzednie wieki. Będąc przyjacielem margrabiego i Rastignaca, miał pod swoją opieką Rafaela od kilku dni i pomagał mu odpowiadać na pytania trzech profesorów; zarazem podkreślał od czasu do czasu i z pewnym naciskiem objawy, w których dopatrywał się suchot płucnych.

— Pewno się pan nie szanował, hulał pan? Oddawał się pan wytężonej pracy umysłowej? — spytał Rafaela jeden z trzech sławnych lekarzy, ten, którego kwadratowa czaszka, szeroka, oddychająca energią twarz zwiastowały indywidualność wybitniejszą niż u dwóch jego przeciwników.

— Chciałem się zabić rozpustą, strawiwszy trzy lata nad wielkim dziełem, którym będziecie się może panowie zajmowali kiedyś — odparł Rafael.

Wielki lekarz potrząsnął głową na znak zadowolenia, jak gdyby powiadając sobie w duchu: „Byłem tego pewny!". Ten doktor był to znakomity Brisset, głowa *organistów*, spadkobierca Cabanisów i Bichatów, typ pozytywisty i materialisty, z tych, którzy widzą w człowieku istotę skończoną, podlegającą jedynie prawom własnego ustroju i której stan normalny lub anomalie dadzą się wytłumaczyć oczywistymi przyczynami.

Na tę odpowiedź Brisset popatrzył w milczeniu na człowieka średniego wzrostu, którego przekrwiona twarz i gorejące oko zdawały się należeć do jakiegoś starożytnego satyra i który grzbietem wsparty o framugę przyglądał się bacznie Rafaelowi, nie mówiąc ani słowa. Doktor Cameristus, głowa *witalistów*, człowiek zapalony i przeświadczony o tym, w co wierzył, poetyczny obrońca abstrakcyjnych nauk van Helmonta, widział w życiu ludzkim zasadę wzniosłą, tajemniczą, niewytłumaczone zjawisko, które sobie drwi z lancetów, igra z chirurgią, umyka się lekarstwom farmakopei, x-om algebry, demonstracjom anatomii i śmieje się z naszych wysiłków; rodzaj nieuchwytnego, niewidzialnego płomienia, podległego jakiemuś boskiemu prawu, który trwa często w ciele skazanym przez nasze wyroki, tak samo jak uchodzi z najbardziej żywotnych organizacji.

Sardoniczny uśmiech błądził po ustach trzeciego lekarza, doktora Maugredie, człowieka wybitnej inteligencji, ale sceptyka i ironisty, który wierzył jedynie w skalpel, godził się z Brissetem na śmierć człowieka mającego się jak najlepiej i uznawał z Cameristusem, że człowiek może jeszcze żyć po śmierci. Uznając coś prawdy w każdej z tych teorii, nie przyjmował w całości żadnej, twierdził, że w medycynie najlepszym systemem to nie mieć żadnego systemu i ograniczać się po prostu do faktów. Ten Panurg medycyny, król obserwacji, wielki badacz, wielki szyderca, zwolennik najbardziej rozpaczliwych prób, oglądał właśnie jaszczur.

— Rad bym być świadkiem związku, jaki istnieje między pańskimi pragnieniami a kurczeniem się skóry — rzekł do margrabiego.

— Po co? — wykrzyknął Brisset.

— Po co? — powtórzył Cameristus.

— A! Zgodziliście się — odparł Maugredie.

— To kurczenie się, to rzecz zupełnie prosta — dodał Brisset.

— Nadprzyrodzona — rzekł Cameristus.

— W istocie — odparł Maugredie, przybierając poważną minę i oddając Rafaelowi jaszczur — rogowacenie skóry jest faktem niewytłumaczonym, a jednak naturalnym, który od początku świata doprowadza do rozpaczy medycynę i ładne kobiety.

Przyglądając się trzem doktorom, Valentin nie dojrzał w nich żadnej sympatii dla swoich cierpień. Wszyscy trzej, zapadając w milczenie za każdą odpowiedzią, mierzyli go obojętnym wzrokiem i wypytywali bez współczucia. Poprzez ich grzeczność przebijała obojętność. Czy to wskutek pewności, czy z powodu namysłu, słowa ich były tak rzadkie,

tak leniwe, że chwilami Rafael sądził, że myślą o czym innym. Od czasu do czasu jedynie Brisset odpowiadał: „Dobrze, doskonale!" na wszystkie rozpaczliwe objawy, których obecność wykazywał Bianchon. Cameristus tonął w głębokiej zadumie; Maugredie robił wrażenie komediopisarza studiującego dwóch oryginałów, aby ich żywcem przenieść na scenę. Twarz Horacego zdradzała głęboką troskę, rozczulenie pełne smutku. Był lekarzem zbyt od niedawna, aby być nieczułym wobec bólu i niewzruszonym przy łożu żałoby; nie umiał zgasić w oczach łez przyjaźni, które nie pozwalają człowiekowi widzieć jasno oraz chwytać, na kształt generała armii, chwili sposobnej do zwycięstwa, nie słuchając krzyku konających. Spędzili jakieś pół godziny na tym, aby brać poniekąd miarę z chorego i choroby, tak jak krawiec bierze miarę młodemu człowiekowi zamawiającemu suknie weselne; powiedzieli parę komunałów, natrącili nawet coś o polityce, po czym wyrazili chęć przejścia do gabinetu Rafaela, aby wymienić poglądy i sformułować wyrok.

— Panowie — spytał Valentin — czy nie mogę być obecny przy naradzie?

Na te słowa Brisset i Maugredie okrzyknęli się żywo i mimo nalegań chorego nie zgodzili się naradzać w jego obecności. Rafael poddał się zwyczajowi w tej myśli, iż zdoła się wślizgnąć w korytarz, skąd z łatwością będzie mógł słyszeć dyskusję trzech lekarzy.

— Panowie — rzekł na wstępie Brisset — pozwólcie, że wam szybko wyrażę moje zdanie. Nie chcę ani go narzucać, ani poddawać dyskusji: po pierwsze, jest jasne, ścisłe i oparte na zupełnym podobieństwie między jednym z moich chorych a naszym pacjentem; następnie, czekają mnie w szpitalu. Ważny wypadek, który tam domaga się mojej obecności, niechaj usprawiedliwi to, że zabiorę głos pierwszy. Pacjent nasz tak samo wyczerpany jest pracą umysłową... Co on takiego napisał, Horacy? — rzekł zwracając się do młodego lekarza.

— *Teorię woli*.

— Bagatela! Ależ to rozległy przedmiot. Jest wyczerpany, powiadam, nadmiarem myśli, nieprawidłowym trybem życia, nadużywaniem środków pobudzających. Nadmierna czynność ciała i mózgu spaczyły tedy funkcjonowanie całego ustroju. Łatwo jest, moi panowie, poznać w symptomach twarzy i ciała nadmierne podrażnienie żołądka, newrozę wielkiego zwoju sympatycznego, przeczulenie jamy brzusznej oraz skurcz hypochondrów. Zauważyliście wielkość i wypukłość wątroby. Wreszcie pan Bianchon dłuższy czas obserwował trawienie pacjenta i powiada, że jest oporne, leniwe. Ściśle mówiąc, nie ma już żołądka; człowiek przestał istnieć. Intelekt zanikł, ponieważ człowiek nie trawi. Stopniowe schorzenie jamy brzusznej, centrum życia, spaczyło cały ustrój. Stąd rozchodzi się nieustające i widoczne promieniowanie, zaburzenia udzieliły się mózgowi za pomocą zwojów nerwowych, a rezultatem przedrażnienie tego organu. Stąd monomania: chory żyje pod uciskiem *idee fixe*. Dla niego ten jaszczur kurczy się istotnie. Może był zawsze taki, jak go widzimy; ale czy się kurczy, czy nie, jaszczur ten jest dlań ową muchą, którą pewien wielki wezyr miał na nosie.

Zatem: postawić pijawki na brzuchu, uspokoić podrażnienie tego narządu, gdzie mieszka cały człowiek, wziąć chorego na dietę, a monomania ustanie. Nie potrzebuję mówić doktorowi Bianchonowi nic więcej; musi ująć całość i szczegóły leczenia. Może zachodzi jakaś komplikacja; może drogi oddechowe są również podrażnione; ale sądzę, że leczenie przewodu pokarmowego jest o wiele ważniejsze, potrzebniejsze, pilniejsze niż leczenie płuc. Uporczywe zgłębianie oderwanych materii oraz gwałtowne namiętności spowodowały poważne zaburzenia w tym ustroju; mimo to sądzę, że jeszcze jest czas, aby nastawić sprężyny, nic nie jest jeszcze gruntownie zepsute. Może pan tedy z łatwością ocalić swego przyjaciela — rzekł do Bianchona.

— Nasz uczony kolega bierze skutek za przyczynę — odparł Cameristus. — Owszem, zmiany tak trafnie przezeń dostrzeżone istnieją u chorego; ale to promieniowanie do mózgu i do ustroju nie wyszło z żołądka stopniowo, coś jak promienie rozchodzące się od pęknięcia w szybie. Trzeba było uderzenia, aby przedziurawić szkło; kto je zadał? Czy my wiemy? Czyśmy dostatecznie obserwowali chorego? Czy znamy wszystkie okoliczności jego życia? Panowie, sama zasada życia, owa *archea* Van Helmonta jest w nim naruszona; żywotność podcięta jest w swojej istocie, iskra boża, centralna inteligencja, która służy za węzeł machinie i która wytwarza wolę, wiedzę życia, przestała regulować codzienne przejawy ustroju oraz czynność każdego organu: stąd zaburzenia tak dobrze

ocenione przez mego światłego kolegę. Ruch nie przeniósł się z brzucha do mózgu, ale z mózgu do brzucha. Nie — rzekł, z siłą bijąc się w piersi — ja nie jestem żołądkiem, który się stał człowiekiem! Nie, wszystko nie mieści się tutaj. Nie odważyłbym się powiedzieć, że jeżeli brzuch mój jest w dobrym stanie, wszystko inne jest w porządku... Nie możemy — dodał łagodniej — poddać tej samej przyczynie fizycznej oraz temu samemu leczeniu ciężkich zaburzeń, które zachodzą u rozmaitych osobników mniej lub bardziej poważnie dotkniętych. Żaden człowiek nie jest podobny do drugiego. Wszyscy posiadamy odrębne organy, o rozmaitej wrażliwości, rozmaicie odżywiane, przygotowane do spełniania rozmaitych funkcji i do rozwijania tematów potrzebnych do spełnienia porządku rzeczy, który nam jest nieznany. Cząstka wielkiej całości, która z najwyższej woli sprawuje i podtrzymuje w nas zjawisko życia, kształtuje się w odmienny sposób w każdym człowieku, czyniąc zeń istotę na pozór skończoną, ale która jednym punktem współistnieje z nieskończoną przyczyną. Toteż musimy studiować każde indywiduum oddzielnie, przeniknąć je, zbadać, na czym zasadza się jego życie, jaka jest jego siła. Oto człowiek. Między gąbczastymi tkankami cherlaków a żelazną siłą mięśni u niektórych ludzi przeznaczonych do długowieczności na ileż omyłek skazany jest system jedyny, nieubłagany, mianowicie leczenie przez osłabienie, przez podcięcie sił ludzkich, które pan uważa stale za przedrażnione! Ja bym żądał w tym wypadku leczenia czysto moralnego, gruntownego wniknięcia w wewnętrzną istotę. Szukajmy przyczyn choroby we wnętrznościach duszy, a nie we wnętrznościach ciała! Lekarz jest to istota natchniona, obdarzona szczególnym talentem, której Bóg użycza władzy czytania w źródłach życia, tak jak prorokom daje oczy, aby widzieli przyszłość, poecie zdolność ożywiania natury, muzykowi władzę składania dźwięków w harmonijnym porządku, którego wzór znajduje się może tam w górze!...

— Wciąż ta medycyna absolutystyczna, monarchiczna i religijna! — mruknął Brisset.

— Panowie — przerwał Maugredie, pokrywając spiesznie wykrzyknik Brisseta — nie traćmy z oczu chorego...

— Oto więc, czym jest wiedza! — szepnął smutno Rafael. — Moje uleczenie buja pomiędzy różańcem a półtuzinem pijawek, między nożem Dupuytriena a modlitwą księcia Hohenlohe! Na linii, która dzieli fakt od słowa, materię od ducha, znajduje się Maugredie ze swoim sceptycyzmem. Ludzkie *tak* i *nie* prześladuje mnie wszędzie. Wciąż *Karymary, Karymara* Rabelais'ego; jestem chory duchowo, Karymary! Albo chory fizycznie, Karymara! Czy będę żył? Nie wiedzą. Planchette przynajmniej był szczery, mówiąc: „Nie wiem".

W tej chwili Valentin usłyszał głos doktora Maugredie:

— Chory jest monomanem, więc dobrze, zgoda — wykrzyknął — ale ma dwieście tysięcy funtów renty; tacy monomani są bardzo rzadcy i winniśmy im dać co najmniej jakąś radę. Co się tyczy tego, czy brzuch oddziałał na mózg czy odwrotnie, będziemy to może mogli sprawdzić, kiedy pacjent umrze. Streśćmy się tedy. Jest chory, to fakt niezbity. Trzeba mu jakiegoś leczenia. Zostawmy teorie. Przystawmy mu pijawki, aby uśmierzyć podrażnienie kiszek oraz nerwicę, co do istnienia której się godzimy, a następnie poślijmy go do wód: postąpimy równocześnie wedle dwóch systemów. Jeżeli ma suchoty, nie uratujemy go chyba; tak więc...

Rafael opuścił szybko korytarz i usiadł z powrotem w fotelu. Horacy przemówił w imieniu wszystkich i tak rzekł:

— Szanowni koledzy uznali jednomyślnie potrzebę postawienia pijawek w okolicy żołądka oraz konieczność leczenia równocześnie fizycznego i moralnego. Najpierw ścisła dieta, aby uspokoić podrażnienie organizmu...

Tu Brisset skinął z uznaniem głową.

— Następnie higieniczny tryb życia, aby opanować stronę moralną. Radzimy tedy jednomyślnie udać się do wód w Aix w Sabaudii albo do Mont Dore w Owernii, jeżeli pan woli. Powietrze i położenie Sabaudii milsze są niż okolice Cantal, ale uczyni pan, jak zechce.

Tu doktor Cameristus uczynił gest zgody.

— Szanowni panowie — ciągnął Bianchon — stwierdziwszy lekkie zmiany w narządzie oddechowym, uznali pożyteczność moich uprzednich przepisów. Sądzę, że uleczenie pańskie jest rzeczą łatwą i będzie zależało od roztropnego stosowania tych kolejnych środków. I...

— I oto czemu pańska córka jest niema[15]! — rzekł Rafael z uśmiechem, pociągając Horacego do gabinetu, aby mu wręczyć honorarium za tę bezużyteczną konsultację.

— Są logiczni — odpowiedział młody lekarz. — Cameristus czuje, Brisset bada, Maugredie wątpi. Czyż człowiek nie ma ciała, duszy i rozumu? Jedna z tych trzech zasadniczych przyczyn działa w nas mniej lub więcej silnie; zawsze będzie *człowiek* we wszelkiej wiedzy ludzkiej! Wierz mi, Rafaelu, my nie leczymy, my pomagamy wyzdrowieć. Pomiędzy medycyną Brisseta a Cameristusa istnieje jeszcze medycyna wyczekująca; ale aby ją uprawiać z powodzeniem, trzeba znać chorego od dziesięciu lat. Na dnie medycyny tkwi, jak we wszystkich naukach, negacja. Staraj się tedy żyć rozsądnie, spróbuj podróży do Sabaudii; najlepiej jest i będzie zawsze zawierzyć się naturze.

W miesiąc później, po powrocie z przechadzki w ładny letni wieczór, garstka osób przybyłych do wód w Aix zebrała się w salonach kasyna. Siedząc przy oknie, odwrócony plecami do obecnych Rafael pozostał długo sam, zatopiony w owej machinalnej zadumie, w czasie której myśli rodzą się, zaczepiają o siebie, rozwiewają się, nie oblekając kształtów i przepływają przez nas niby lekkie zaledwie ubarwione chmurki. Smutek staje się wówczas łagodny, radość mglista, dusza jest niemal uśpiona. Poddając się temu roślinnemu życiu, Valentin kąpał się w ciepłym oddechu wieczoru, wchłaniając czyste i balsamiczne powietrze gór, szczęśliwy, że nie doznaje żadnego bólu i że wreszcie zmusił do milczenia swój groźny jaszczur. W chwili gdy czerwone poblaski zachodu rozciągnęły się na wierzchołkach, temperatura ochłodziła się: wstał i zamknął okno.

— Proszę pana — rzekła starsza dama — czy pan byłby tak łaskaw nie zamykać okna? Dusimy się tutaj.

Odezwanie to rozdarło uszy Rafaela szczególnie ostrym dysonansem; było ono niby słowo niebacznie rzucone przez człowieka, w którego przyjaźń chcieliśmy wierzyć, a który niweczy słodkie złudzenie, zdradzając otchłań egoizmu. Margrabia objął starszą damę obojętnym spojrzeniem chłodnego dyplomaty, zawołał służącego i rzekł sucho:

— Proszę otworzyć okno!

Na te słowa żywe zdumienie odbiło się na wszystkich twarzach. Zebrani zaczęli szeptać, przyglądając się choremu mniej albo więcej wymownie, jak gdyby się dopuścił jakiejś ciężkiej niegrzeczności. Rafael, który nie wyzbył się zupełnie dawnej młodzieńczej nieśmiałości, zawstydził się na chwilę; ale otrząsnął się rychło, skupił energię i starał się zdać sobie sprawę z tej szczególnej sceny. Nagły błysk przeszył jego mózg, przeszłość ukazała mu się niby w jasnowidzeniu. Przyczyny uczucia, jakie budził, wystąpiły na wierzch niby żyły u trupa, u którego za pomocą kunsztownego nastrzykania przyrodnicy barwią najdrobniejszą ich odnogę. Poznał samego siebie w tym ulotnym obrazie; śledził w nim swoje istnienie, dzień po dniu, myśl po myśli; ujrzał się, nie bez zdziwienia, chmurnym i roztargnionym wśród tego wesołego zebrania; wciąż myślącym o swoim losie, zajętym swoją chorobą, gardzącym widocznie najbłahszą rozmową, unikającym owych przelotnych zażyłości, które tak łatwo zadzierzga się w podróży zapewne dlatego, że ludzie nie spodziewają się spotkać później; ujrzał się obojętnym dla drugich, słowem, podobnym do owych skał nieczułych zarówno pieszczoty, jak na dąsy fali. Następnie mocą rzadkiego przywileju intuicji zajrzał w te wszystkie dusze. Widząc przy blasku świec żółtą czaszkę i sardoniczny profil starca, przypomniał sobie, że wygrał odeń jakieś pieniądze i nie zaproponował mu rewanżu. Dalej spostrzegł młodą kobietę, na której kokieterię pozostał nieczuły. Każda twarz wyrzucała mu jakiś błąd, nieuchwytny na pozór, ale którego zbrodnia tkwi zawsze w niewidzialnej ranie czyjejś miłości własnej. Mimo woli urażał wszystkie drobne próżności kręcące się dokoła niego. Tych, których ugaszczał albo którym ofiarował swoje konie, podrażnił jego zbytek; zdziwiony tą niewdzięcznością, oszczędził im tego rodzaju upokorzeń; odtąd sądzili, że ich lekceważy i mienili go arystokratą. Zgłębiając tak serca, czytał w nich najbardziej tajemne myśli; uczuł wstręt do społeczeństwa, do jego uprzejmości, do jego poloru. Ponieważ górował nad nimi majątkiem i umysłem, zazdrościli mu, nienawidzili go; milczenie jego drażniło ciekawość, skromność jego zdawała się pychą tym małym i powierzchownym ludziom. Odgadł zbrodnię ustawiczną, nie do darowania, której winien był w stosunku do nich: umykał się sądowi ich mierności. Oporny wobec ich inkwizytorskiego despotyzmu, umiał się bez nich obchodzić; msz-

[15] *oto czemu pańska córka jest niema* — Słynny cytat z Moliera. [przypis tłumacza]

cząc się za tę utajoną królewskość, wszyscy sprzymierzyli się instynktownie, aby mu dać uczuć swą władzę, ścigać go swoim ostracyzmem i pokazać, że i oni również mogą się obejść bez niego. Zrazu zdjęty litością na widok tego świata, zadrżał niebawem na myśl o przemożnej sile, odsłaniającej mu w ten sposób cielesną zasłonę, pod którą utajona jest natura moralna, i zamknął oczy jak gdyby nie chcąc już widzieć nic. W jednej chwili czarna opona zasunęła się na tę posępną zjawę prawdy; ale on sam znalazł się w owym straszliwym osamotnieniu, jakie jest udziałem potęgi i władzy. W tej chwili pochwycił go gwałtowny napad kaszlu. Nie tylko nie obdarzono go żadnym z owych obojętnych i banalnych słówek, które bodaj udają coś w rodzaju uprzejmego współczucia u osób dobrze wychowanych, ale przeciwnie, usłyszał wrogie wykrzykniki oraz półgłośne utyskiwania. Społeczeństwo nie raczyło się już nawet maskować dla niego, może dlatego że je odgadywał.

— To zaraźliwa choroba...

— Zarząd kasyna powinien by mu wzbronić wstępu do salonu.

— W porządnym uzdrowisku nie można kaszlać w ten sposób!

— Kiedy ktoś jest tak chory, nie powinien przyjeżdżać do wód...

— On mnie stąd wypędzi!

Rafael wstał, aby nie słyszeć powszechnych złorzeczeń i przeszedł się po salonach. Chciał znaleźć jakiś punkt oparcia; podszedł do samotnej, młodej kobiety, chcąc się do niej zwrócić z jakimś komplementem; ale za jego zbliżeniem odwróciła się, udając, że się przygląda tańczącym. Rafael zląkł się, że już w ciągu tego wieczora użył swego talizmanu; nie czuł ani chęci, ani sił do nawiązania rozmowy, opuścił salon i schronił się do sali bilardowej. Tam nikt doń nie zagadał, nikt go nie pozdrowił, nie zwrócił nań ani jednego życzliwego spojrzenia. Umysł jego, z natury skłonny do refleksji, odsłonił mu drogą intuicji powszechną i naturalną przyczynę wstrętu, który budził. Ten mały światek posłuszny był, nieświadomie może, wielkiemu prawu władającemu w wyższych sferach towarzyskich, których nieubłagany porządek moralny objawił się nagle oczom Rafaela. Spojrzenie jego obróciło się wstecz, ujrzał najdoskonalszy typ tego świata w Fedorze. Tak samo nie znajdzie w świecie współczucia dla swej choroby, jak nie znalazł współczucia dla cierpień swego serca. Wielki świat wypędza spośród siebie nieszczęśliwych, jak człowiek zdrów i silny wyrzuca z ciała zarazek choroby. Świat brzydzi się cierpieniem i nieszczęściem, lęka się ich jak zarazy, nie waha się nigdy pomiędzy nimi a występkiem; występek to zbytek! Choćby nieszczęście było najbardziej majestatyczne, świat umie je pomniejszyć, ośmieszyć konceptami; kreśli karykatury, aby upadłym królom rzucić na głowę poniżenia, których rzekomo od nich doznał; podobny młodym Rzymiankom w Cyrku, nie ułaskawia nigdy padającego gladiatora; żyje złotem i szyderstwem... *Śmierć słabym!* oto wyrok tego jak gdyby rycerskiego Zakonu istniejącego we wszystkich narodach świata, wszędzie bowiem wyrastają nad poziom bogaci, a ta zasada wypisana jest w głębi serc urobionych przez zbytek lub wykarmionych przez arystokrację. Zbierzcie dzieci w szkole! Ten pomniejszony obraz społeczeństwa, obraz tym prawdziwszy, że jest naiwny i szczery, ukaże wam zawsze biednych helotów, istoty skazane na cierpienie i ból, wciąż żyjące między wzgardą a litością: Ewangelia przyrzeka im niebo. Chcecie zejść niżej na drabinie uorganizowanych istot? Jeżeli ptak skaleczy się na podwórzu, inne ścigają go dziobami, wydzierają mu pierze i zabijają go. Wierny temu prawu egoizmu świat ściga twardym wzrokiem nędzę dość zuchwałą, aby zakłócać jego uczty, mącić jego przyjemności. Ktokolwiek cierpi ciałem albo duchem, komu zbywa pieniędzy albo siły, jest pariasem. Niech zostanie na pustyni! Jeżeli przebędzie jej granice, wszędzie napotka zimę: chłód spojrzeń, chłód obejścia, słów, serca; szczęśliwy, jeśli nie zbierze zniewagi tam, gdzie powinna dlań wykwitnąć pociecha! — Umierający, zostańcie w swoich opuszczonych łóżkach. Starcy, siedźcie sami przy swoich zimnych ogniskach. Biedne dziewczęta bez posagu, marznijcie i trawcie się ogniem na samotnych poddaszach. Jeżeli świat znosi nieszczęście, to czyż nie po to, aby je urobić na swój użytek, wycisnąć zeń zysk, osiodłać je, założyć mu wędzidło, czaprak, dosiąść go, zrobić zeń sobie przyjemność? Zgryźliwe damy do towarzystwa, przybierzcie wesołą minę; znoście wapory swojej rzekomej dobrodziejki; noście jej pieski; rywalizując z angielskim pinczem, bawcie ją, zgadujcie jej myśli, a potem milczcie! A ty, królu lokajów bez liberii, bezwstydny pasożycie, zostaw swoje gusty w domu; traw, tak

jak trawi twój gospodarz, śmiej się jego śmiechem, bierz za dobrą monetę jego przycinki, a jeżeli chcesz o nim źle mówić, czekaj jego upadku. W ten sposób świat czci nieszczęście: zabija je albo wypędza, plugawi lub okalecza.

Te refleksje lęgły się w sercu Rafaela z chyżością poetyckiego natchnienia; spojrzał dokoła siebie i uczuł ten zimny chłód, jakim społeczeństwo przyjmuje niedole, a który przenika duszę jeszcze dotkliwiej niż grudniowy wiatr mrozi ciało. Skrzyżował ręce, oparł się plecami o ścianę i zapadł w głęboką melancholię. Myślał o tym, jak mało szczęścia daje światu ten okropny ustrój. Cóż to jest? Zabawy bez przyjemności, wesołość bez radości, uczty bez smaku, szał bez rozkoszy, słowem drzewo lub popiół w ognisku, ale bez iskry płomienia. Skoro podniósł głowę, ujrzał, że jest sam; gracze uciekli.

„Wystarczyłoby mi objawić im moją potęgę, a zaczęliby ubóstwiać mój kaszel!" — powiedział sobie.

Wraz z tą myślą rzucił wzgardę niby płaszcz między sobą a światem.

Nazajutrz lekarz kąpielowy odwiedził go; wydawał się bardzo serdeczny i zatroskany jego zdrowiem. Słysząc te przyjazne słowa, Rafael doznał uczucia radości. Fizjonomia doktora miała znamię słodyczy i dobroci, loki jego blond peruki oddychały filantropią; staroświecki krój fraka, fałdy spodni, trzewiki szerokie jak u kwakra, wszystko aż do pudru sypiącego się z harcapu na lekko przygarbiony grzbiet, zdradzało charakter apostolski, wyrażało chrześcijańskie miłosierdzie i poświęcenie człowieka, który przez dbałość o chorych nauczył się grać w wista i tryktraka na tyle, aby ich ogrywać.

— Panie margrabio — rzekł po długiej gawędce — mam nadzieję, że rozproszę pański smutek. Obecnie znam już na tyle pański organizm, aby twierdzić, że lekarze paryscy (mimo że cenię ich niepospolite talenty!) omylili się co do natury choroby. Poza jakimś wypadkiem, może pan dożyć lat Matuzalema. Płuca ma pan silne jak miechy kowalskie, a żołądek zawstydziłby strusia; ale, jeżeli pan pozostanie w górskim klimacie, naraża się pan na to, że mogą pana łatwo i rychło pochować. Pan margrabia zrozumie mnie w dwóch słowach. Chemia wykazała, że oddychanie polega u człowieka na istotnym *spalaniu*, którego większe lub mniejsze nasilenie zależy od przypływu lub rozcieńczenia elementów flogistycznych nagromadzonych przez ustrój właściwy każdemu osobnikowi. U pana elementy te są w nadmiarze; jest pan, jeżeli wolno mi się tak wyrazić, *przetleniony* wskutek gorącej kompleksji człowieka stworzonego do wielkiej namiętności. Oddychając żywym i czystym powietrzem, które pobudza czynność ustroju u ludzi limfatycznych, podsyca pan jeszcze spalanie, i tak nazbyt szybkie. Jednym z warunków pańskiego istnienia jest tedy gęsta atmosfera obory, powietrze dolin. Tak, dla człowieka trawionego myślą, ożywcze powietrze to tłuste łąki niemieckie, Baden-Baden, Cieplice. Jeżeli pan nie ma wstrętu do Anglii, mgły jej przygasiłyby nadmiar pańskiego płomienia; natomiast nasze wody, położone na tysiąc stóp ponad Morzem Śródziemnym, zgubne są dla pana. Taka jest moja rada — rzekł z gestem pełnym skromności — daję ją panu wbrew własnym interesom, gdyż o ile pan jej posłucha, będziemy mieli nieszczęście stracić pana.

Gdyby nie te ostatnie słowa, Rafael dałby się zmamić fałszywej dobroduszności obleśnego lekarza; ale był zbyt głębokim obserwatorem, aby z akcentu, gestu i spojrzenia, jakie towarzyszyły temu łagodnie drwiącemu frazesowi, nie odgadnąć misji, jaką tego człeczynę obdarzyło zapewne grono wesołych kuracjuszy. Ci próżniacy o kwitnącej cerze, te nudzące się starsze panie, ci koczujący Anglicy, te damulki oswobodzone od mężów i spotykające się u wód z kochankami, postanowili tedy wypędzić biednego skazańca, wątłego, wyniszczonego, najoczywiściej niezdolnego oprzeć się codziennemu prześladowaniu! Rafael przyjął walkę, widząc rozrywkę w tej intrydze.

— Skoro pan doktor tak by bolał nad moim wyjazdem — odparł — spróbuję spożytkować pańską radę, zostając wszakże tutaj. Zaraz jutro każę zbudować dom, w którym zmienimy powietrze wedle pańskiej recepty.

Zrozumiawszy gorzki i drwiący uśmiech błądzący na ustach Rafaela, lekarz skłonił się tylko, nie znajdując odpowiedzi.

Jezioro Bourget jest to niby duży wyszczerbiony puchar, w którym na siedemset lub osiemset stóp powyżej Morza Śródziemnego, błyszczy kropla wody tak niebieskiej jak żadna woda na świecie. Widziane z wysokości Dent-du-Chat jezioro to jest niby porzucony turkus. Ta ładna kropla wody ma dziesięć mil obwodu i w niektórych miejscach

blisko pięćset stóp głębokości. Znaleźć się tam w łódce wśród tej tafli wodnej, pod czystym niebem, słyszeć jedynie szmer wioseł, widzieć na horyzoncie jedynie mgliste góry, podziwiać błyszczące śniegi francuskiej Maurienne; przechodzić kolejno od złomu granitów odzianych aksamitem paproci albo karłowatymi krzewami, do śmiejących się dolin! Z jednej strony pustkowie, z drugiej bujna przyroda; biedak przyglądający się uczcie bogacza; te harmonie i te dysonanse tworzą widowisko, gdzie wszystko jest wielkie, gdzie wszystko jest małe. Horyzont gór zmienia warunki optyki i perspektywy: stustopowy świerk wydaje się trzciną, szerokie doliny zdają się wąskie jak ścieżki. To jezioro jest jedynym miejscem, gdzie można mówić poufnie z serca do serca. Myśli się tu i kocha. Nigdzie nie spotkacie piękniejszej harmonii między wodą, niebem, górami i ziemią. Znajdują się tam balsamy na wszystkie rany życia. To miejsce chowa tajemnicę cierpień, pociesza je, zmniejsza, i daje miłości coś poważnego, skupionego, co czyni uczucie głębszym i czystszym. Pocałunek staje się tam czymś wielkim. Ale zwłaszcza jest to jezioro wspomnień; wspomaga je, użyczając im odcienia swoich fal, zwierciadła, gdzie wszystko się odbija. Rafael znosił swoje brzemię jedynie w tym pięknym krajobrazie, mógł tu trwać w leniwej zadumie, bez pragnień. Po wizycie doktora wybrał się na przejażdżkę: kazał się wysadzić na samotnym cyplu ładnego wzgórza, na którym leży wioska Saint-Innocent. Z tego małego przylądka oko ogarnia góry Bugey, u stóp których płynie Rodan, oraz głąb jeziora; ale Rafael lubił zwłaszcza oglądać stamtąd na przeciwległym brzegu melancholijne opactwo Haute-Combe, grobowiec królów Sardynii spoczywających w obliczu tych gór niby pielgrzymi przybyli do kresu podróży. Równy i miarowy dreszcz wioseł mącił ciszę tego krajobrazu i użyczał mu monotonnego głosu, podobnego psalmodiom mnichów. Zdziwiony, iż spotyka turystów w tej stronie jeziora, zazwyczaj opuszczonej, margrabia przyglądał się, nie budząc się z zadumy, osobom siedzącym w łodzi; poznał siedzącą blisko steru ową starszą damę, która go tak ostro zagadnęła wczoraj. Kiedy statek mijał Rafaela, odkłoniła mu się jedynie panna do towarzystwa owej damy, jakaś podupadła szlachcianka, którą — tak mu się zdawało — widział pierwszy raz. Już od paru chwil zapomniał o turystach którzy znikli za cyplem, kiedy usłyszał tuż obok siebie szelest sukni i szmer lekkich kroków. Odwrócił się i ujrzał ową pannę do towarzystwa; z zakłopotanej miny domyślił się, że chce z nim mówić i podszedł ku niej. Miała może trzydzieści sześć lat, była wysoka i szczupła, sucha i chłodna; miała jak wszystkie stare panny niepewne spojrzenie, jak gdyby kłócące się z niezdecydowanym, skrępowanym, sztywnym chodem. Równocześnie i stara, i młoda, nadrabiała pewną godnością, starając się nią wyrazić wysoką cenę, jaką przywiązywała do swoich skarbów i doskonałości. Miała poza tym dyskretny i jak gdyby klasztorny gest osoby nawykłej pieścić się z sobą, zapewne aby się nie sprzeniewierzyć swemu przeznaczeniu kobiety.

— Proszę pana, życie pańskie jest w niebezpieczeństwie, niech pan nie przychodzi do kasyna! — rzekła, cofając się o kilka kroków, jak gdyby cnota jej już była narażona na szwank.

— Ależ pani — rzekł Valentin z uśmiechem — jeżeli łaska, niech pani wytłumaczy się jaśniej, skoro już pani raczyła przyjść tutaj...

— Och! — rzekła — gdyby nie ważna pobudka, która mnie sprowadza, nie odważyłabym się narazić na gniew pani hrabiny; gdyby się kiedy dowiedziała, że ja pana uprzedziłam...

— Ależ któż by jej miał powiedzieć — wykrzyknął Rafael.

— Prawda — odparła stara panna, zwracając nań drżące spojrzenie sowy dobytej na słońce. — Ale niech pan myśli o sobie — dodała — kilku młodych ludzi, którzy chcą pana wypędzić z tych wód, przyrzekło sobie wyzwać pana, zmusić go do pojedynku.

Głos starej damy rozległ się w oddali.

— Pani — rzekł margrabia — wdzięczność moja...

Opiekunka jego już umknęła, słysząc głos swej pani, którego syk rozległ się wśród skał.

„Biedna dziewczyna! Niedole rozumieją się i wspomagają zawsze" — pomyślał Rafael, siadając pod drzewem.

Kluczem wszelkiej wiedzy jest bezsprzecznie znak zapytania; przeważną część wielkich odkryć zawdzięczamy słowu: *Jak?* mądrość zaś życia polega na tym, aby się pytać w każdej okoliczności: *Czemu?* Ale też ta sztuczna wiedza przyszłości niweczy nasze złudzenia.

Toteż Valentin, wziąwszy bez filozoficznych intencji dobry uczynek starej panny za temat dla swoich dumań, znalazł go pełnym jadu.

„To, że panna do towarzystwa może się we mnie kochać — powiadał sobie — w tym nie ma nic nadzwyczajnego: mam dwadzieścia siedem lat, tytuł i dwieście tysięcy funtów renty! Ale żeby jej pani, która boi się wody jak kot, woziła ją łódką aż tu do mnie, czyż to nie jest rzecz dziwna i osobliwa? Te dwie kobiety przybyłe do Sabaudii po to, aby spać jak susły, pytające o południu, czy już jest dzień, miałyby dziś wstać przed ósmą, aby gonić w moje ślady?"

Niebawem stara panna i jej czterdziestoletnia naiwność ukazały się jego oczom jako nowe przebranie tego fałszywego i złośliwego świata, jako małostkowa sztuczka, niezręczny spisek, dokuczliwość iście księża lub kobieca. Czy pojedynek był bajką, czy też chciano go jedynie nastraszyć? Tym małym duszom, zuchwałym i dokuczliwym jak muchy, udało się podrażnić jego próżność, pobudzić jego ambicję, podniecić ciekawość. Nie chcąc ani dać się wystrychnąć na dudka, ani uchodzić za tchórza, ubawiony może tym dramacikiem, Rafael zjawił się w kasynie tegoż samego wieczora. Przystanął sobie wsparty o kominek i stał spokojnie w wielkiej sali, bacząc, aby nie dać żadnego powodu do zaczepki; ale badał twarze, wyzywając poniekąd towarzystwo tym przeglądem. Niby dog pewien swojej siły oczekiwał walki na własnym terenie, nie szczekając daremnie. Pod koniec wieczoru przechadzał się po sali gry, od drzwi wchodowych do sali bilardowej, rzucając od czasu do czasu spojrzenie na młodych ludzi zabawiających się partyjką. Po kilku chwilach usłyszał swoje nazwisko. Mimo że mówili cicho, Rafael domyślił się łatwo, że jest przedmiotem narady; wreszcie pochwycił parę zdań mówionych głośniej:

— Ty?

— Tak, ja!

— Chciałbym to widzieć!

— Założysz się?

— Och, pójdzie!

W chwili, gdy Valentin zaciekawiony przedmiotem zakładu zbliżył się, aby przysłuchać się rozmowie, wysoki i silny młody człowiek, przystojny, ale obdarzony owym zuchwałym i ostrym spojrzeniem ludzi wspierających się na jakiejś materialnej przewadze, wyszedł z sali bilardowej.

— Panie — rzekł spokojnie, zwracając się do Rafaela — podjąłem się oznajmić panu coś, czego pan widocznie nie wie: mianowicie że pańska twarz i osoba są tutaj niemiłe wszystkim, a mnie w szczególności... Jest pan zbyt uprzejmym, aby się nie poświęcić dla ogólnego dobra; proszę tedy pana, abyś zechciał nie pojawiać się w kasynie.

— Panie, ten żarcik, już powtarzany za Cesarstwa w kilku garnizonach, stał się dziś bardzo niesmaczny — odparł zimno Rafael.

— Ja nie żartuję — odparł młody człowiek. — Powtarzam panu: pańskie zdrowie ucierpiałoby mocno od pobytu tutaj; upał, światło, dym, towarzystwo, wszystko to szkodzi panu bardzo.

— Gdzie pan studiował medycynę? — spytał Rafael.

— Drogi panie, maturę zdałem w strzelnicy Lepage'a w Paryżu, a doktorat u pana Cerisier, króla floretu.

— Zostaje panu zdobyć ostatni stopień — odparł Valentin — niech pan przestudiuje kodeks grzeczności, a będzie pan skończonym gentlemanem.

W tej chwili młodzi ludzie, uśmiechnięci lub milczący, zbliżyli się od bilardu. Gracze porzucili karty, aby się przysłuchać sprzeczce, która ich widocznie cieszyła. Sam wśród tego wrogiego świata Rafael starał się zachować zimną krew i nie popełnić najmniejszego fałszywego kroku; ale gdy jego przeciwnik pozwolił sobie na sarkazm, w którym zniewaga kryła się pod bardzo dotkliwą i sprytną formą, odparł poważnie: Pojedynek, Czary

— Panie, nie uchodzi już dziś policzkować kogoś, ale nie wiem, jakimi słowami napiętnować postępowanie tak nikczemne.

— Dosyć, dosyć! Wyjaśnicie to jutro — rzekło kilku młodych ludzi, rzucając się między zapaśników.

Rafael opuścił salon w charakterze strony obrażającej, przyjąwszy spotkanie w pobliżu zamku Bordeau, na małej spadzistej łączce, opodal świeżo przebitej drogi, którą zwycięzca mógł się dostać do Lyonu. Rafael musiał tedy nieodzownie albo znaleźć się w łóżku, albo

opuścić Aix. Towarzystwo tryumfowało. Nazajutrz około ósmej rano przeciwnik Rafaela wraz z dwoma świadkami i chirurgiem przybył pierwszy na plac.

— Będzie nam tu doskonale; śliczny czas na pojedynek! — wykrzyknął wesoło, spoglądając na błękit nieba, na wodę i skały, bez śladu smutku lub obawy. — Jeżeli go drasnę w ramię — ciągnął — wpakuję go do łóżka na jaki miesiąc, co, doktorze?

— Co najmniej — odparł chirurg. — Ale zostaw pan tę wierzbę w spokoju; inaczej zmęczysz sobie rękę, nie będziesz panem swego strzału. Mógłbyś go pan zabić zamiast zranić.

Rozległ się turkot powozu.

— To on — rzekli świadkowie. Niebawem ukazała się na drodze kolaska podróżna zaprzężona w cztery konie i powożona przez dwóch pocztylionów.

— Osobliwy obyczaj! — wykrzyknął przeciwnik Rafaela. — Jedzie na cmentarz ekstrapocztą...

W pojedynku, jak w grze, najlżejsze okoliczności oddziałują na wyobraźnię jego aktorów; toteż młody człowiek oczekiwał z pewnym niepokojem przybycia tego powozu, który zatrzymał się na drodze. Stary Jonatas wysiadł ciężko pierwszy, aby pomóc Rafaelowi; podtrzymał go swymi wątłymi ramionami, rozwijając dlań względy, jakie kochanek okazuje kochance. Znikli w ścieżkach, które dzieliły gościniec od miejsca przeznaczonego na spotkanie i pojawili się aż po dobrej chwili; szli wolno. Czterej świadkowie tej osobliwej sceny doznali głębokiego wzruszenia na widok Rafaela wspartego na ramieniu sługi: blady i zmieniony, szedł krokiem podagryka, ze spuszczoną głową, nie mówiąc ani słowa. Rzekłbyś, dwaj starcy jednako złamani, jeden czasem, drugi myślą; pierwszy miał swój wiek wypisany na białych włosach, młody nie miał już wcale wieku.

— Nie spałem, proszę pana — rzekł Rafael do przeciwnika.

Te lodowate słowa i straszliwe spojrzenie, które im towarzyszyło, wstrząsnęły dreszczem tego, kto był istotnym sprawcą. Miał świadomość winy i wstydził się w głębi swego postępku. W postawie, głosie i geście Rafaela było coś niesamowitego. Margrabia uczynił pauzę, wszyscy milczeli. Niepokój i naprężenie doszły szczytu.

— Jest jeszcze czas — ciągnął — dać mi lekkie zadośćuczynienie; ale niech mi pan je da, albo pan umrze. Liczysz pan jeszcze w tej chwili na swą zręczność, nie wzdragając się przed myślą o walce, w której sądzisz, że masz wszelkie przewagi. Otóż ja, mój panie, jestem wspaniałomyślny, uprzedzam pana o mojej wyższości. Posiadam straszliwą władzę. Aby unicestwić pańską zręczność, aby zamglić pańskie spojrzenia, wystarczy mi pragnąć tego. Nie chcę być zmuszony korzystać z mej siły, zbyt drogo mnie to kosztuje. Nie pan jeden przypłaciłby to śmiercią. Jeżeli tedy odmówi mi pan przeproszenia, pańska kula pójdzie w tę kaskadę mimo pańskiej wprawy w mordowaniu, a moja prosto w pańskie serce bez mierzenia.

Bezładne wykrzykniki przerwały Rafaelowi. Mówiąc te słowa, margrabia prażył przeciwnika nieubłaganie jasnym spojrzeniem; wyprostował się, ukazując twarz martwą, podobną twarzy złośliwego wariata.

— Każ mu milczeć — rzekł młody człowiek do jednego ze świadków — ten głos skręca mi wnętrzności!

— Panie, przestań pan... Te przemowy są zbyteczne — zakrzyknęli na Rafaela chirurg i świadkowie.

— Panowie, spełniam obowiązek. Czy ten młody człowiek ma poczynić jakie zarządzenia?

— Dosyć, dosyć!

Margrabia stał nieporuszony, ani na chwilę nie tracąc z oczu Karola, swego przeciwnika, który ujarzmiony magiczną niemal potęgą był niby ptak w obliczu węża: zmuszony znosić to mordercze spojrzenie, umykał przed nim i wracał bez ustanku.

— Daj mi wody, pić mi się chce... — rzekł do świadka.

— Boisz się?

— Tak — odparł. — Oko tego człowieka pali, urzeka mnie.

— Chcesz go przeprosić?

— Już nie czas.

Ustawiono przeciwników w odległości piętnastu kroków. Każdy miał przy sobie parę pistoletów; wedle programu mieli strzelać dwukrotnie, do woli, ale po sygnale danym przez świadków.

— Co ty robisz, Karolu? — zawołał młody człowiek sekundujący przeciwnikowi Rafaela — kładziesz kulę przed prochem!

— Zginąłem! — odpowiedział szeptem — postawiliście mnie na wprost słońca.

— Jest za panem — rzekł Valentin poważnym i uroczystym głosem, nabijając wolno pistolety, nie troszcząc się ani o dany już sygnał, ani o baczność, z jaką przeciwnik brał go na cel.

Ten nadnaturalny spokój miał coś straszliwego, co udzieliło się pocztylionom, sprowadzonym tam okrutną ciekawością. Bawiąc się ze swoją władzą lub chcąc jej doświadczyć, Rafael rozmawiał z Jonatasem i patrzał nań w chwili, gdy rozległ się strzał przeciwnika. Kula Karola strzaskała gałązkę wierzbiny i poszła w wodę. Rafael, strzelając na oślep, trafił wroga w serce. Nie zwracając uwagi na upadek młodzieńca, sięgnął żywo po jaszczur, aby sprawdzić, ile go kosztuje życie ludzkie. Talizman był nie większy od listka dębiny.

— I cóż, co wy tam patrzycie, pocztylioni? W drogę! — rzekł margrabia.

Przybywszy tegoż samego wieczora do Francji, skierował się natychmiast drogą do Owernii i udał się do wód w Mont Dore. W czasie tej podróży zrodziła się w jego sercu nagła myśl, z tych, które padają w naszą duszę niby promień słońca przez gęste mgły w jakiej zapadłej dolinie. Smutne blaski, nieubłagana mądrość! Oświecają spełnione wypadki, odsłaniają nam nasze błędy i zostawiają nas bez przebaczenia wobec siebie samych. Pomyślał nagle, iż posiadanie władzy, choćby najbardziej olbrzymiej, nie daje wiedzy posługiwania się nią. Berło jest zabawką dla dziecka, toporem dla Richelieugo, a dla Napoleona dźwignią do ruszenia świata. Władza zostawia nas takimi, jak jesteśmy i powiększa jedynie wielkich. Rafael mógł był zrobić wszystko, nie zrobił nic.

U wód w Mont Dore zastał ten sam świat, który wciąż odsuwał się od niego z ową skwapliwością, z jaką uciekają zwierzęta, gdy zwęszą trupa jednego ze swoich. Nienawiść ta była wzajemna. Ostatnia jego przygoda wzbudziła w nim głęboki wstręt do społeczeństwa. Toteż pierwszym jego staraniem było poszukać odludnego schronienia w pobliżu wód. Czuł instynktownie potrzebę zbliżenia się do natury, do szczerych uczuć oraz do tego wegetatywnego życia, w które zanurzamy się tak chętnie na wsi. Nazajutrz wdrapał się nie bez trudu na szczyt Sancy; zwiedził wyżnie doliny, napowietrzne horyzonty, nieznane jeziora, sielskie szałasy w górach Mont Dore, których surowe i słodkie powaby zaczynały wabić pędzle naszych artystów. Niekiedy spotyka się tam cudowne krajobrazy pełne uroku i świeżości, stanowiące jaskrawy kontrast z charakterem tego górskiego pustkowia. O jakieś pół mili od wsi Rafael trafił na miejscowość, gdzie natura, zalotna i radosna jak dziecko, znajdowała jak gdyby przyjemność w tym, aby ukrywać swoje skarby. Widząc to malownicze i naiwne ustronie, postanowił w nim osiąść. Życie musiało tam być spokojne, automatyczne, roślinne jak życie krzewu.

Wyobraźcie sobie przewrócony stożek, ale stożek z granitu o szerokiej krawędzi, rodzaj miednicy z brzegami wyzębionymi w dziwaczne szczerby: tu płaskie tafle bez żadnej wegetacji, gładkie, sine, po których promienie słoneczne ślizgają się jak po zwierciadle, tam skały spękane, wyszczerbione, poorane wyrwami, z których zwisają masy lawy podmyte z wolna wodą deszczową. Tu i ówdzie skały te wieńczyło parę karłowatych drzew poruszanych wiatrem; tu i ówdzie urocza i chłodna murawa, z której wystrzelał bukiet kasztanów wysokich jak cedry; to znów żółtawe groty otwierały czarne i głębokie usta, oszańcowane głogiem, kwiatami i opatrzone językiem z zieloności. Na dnie tego pucharu, który był niegdyś kraterem wulkanu, znajdował się staw z wodą czystą jak diament. Dokoła tej głębokiej sadzawki, obramionej granitem, wierzbiną, mieczykami, jesionami i tysiącem aromatycznych roślin kwitnących w tej chwili, rozciągała się łąka zielona jak angielski trawnik; delikatną i ładną trawę podlewała woda sącząca się ze szczelin skalnych, a nawoziły ją szczątki roślin, bez ustanku znoszone przez burze z wierzchołków górskich. Staw ten, nieregularnie powycinany niby kraj sukni, mógł mieć trzy morgi; łąka miała sążeń albo dwa szerokości; tu i ówdzie zaledwie było dość miejsca na przejście dla krów. Na pewnej wysokości roślinność kończyła się. Granit przybierał w atmosferze najrozmaitszą postać i nabierał owego zamglonego odcienia, który daje wysokim górom jakby

podobieństwo z chmurami. Łagodnemu widokowi doliny te nagie i łyse skały przeciwstawiały dzikie i jałowe obrazy rozpaczy, groźbę zawalenia się, kształty tak fantastyczne, że jedną z nich nazwano *Kapucynem*, tak podobna jest do mnicha. Niekiedy te ostre igły, te harde zwały, te napowietrzne jaskinie, rozświecały się nagle, zależnie od położenia słońca lub igraszek atmosfery i przybierały odcień złota, barwiły się purpurą, przybierały ton żywo różowy, to znów matowy i szary. Wyże te migotały nieustającą grą barw, mieniąc się niby tęczowe gardziołko gołębia. Często między dwiema falami lawy, rozciętymi jak gdyby ciosem siekiery, jasny promień słońca wnikał o wschodzie lub o zachodzie aż w samą głąb tej uśmiechniętej doliny i igrał w wodach sadzawki, podobny do złotej smugi, która przez szczelinę w okiennicy wdziera się w pokój Hiszpanki, starannie zasłonięty na czas sjesty. Kiedy słońce wznosiło się ponad starym kraterem, wypełnione wodą w jakimś przedpotopowym wstrząśnieniu skaliste boki rozgrzewały się, dawny wulkan rozpalał się, a jego nagłe ciepło budziło nasiona, zapładniało roślinność, barwiło kwiaty i przyspieszało dojrzewanie owoców w tym małym, nieznanym zakątku ziemi. Kiedy Rafael tam przybył, spostrzegł parę krów pasących się na łące; uczyniwszy kilka kroków w stronę stawu, ujrzał w miejscu, gdzie brzeg był najszerszy, skromny domek zbudowany z granitu i pokryty drzewem. Dach tego szałasu w harmonii z otoczeniem strojny był mchami, bluszczem i kwiatami; znać było, że porosły jest od dawna. Wątła smuga dymu, z którą ptaki były już oswojone, dobywała się z wpół rozwalonego komina. Koło drzwi wielka ławka znajdowała się między dwoma olbrzymimi przewierścieniami, czerwonymi od kwiatów o balsamicznej woni. Zaledwie widać było mury pod liśćmi wina i pod girlandami z róż i jaśminu, rosnącymi swobodnie i bez ładu. Obojętni na te sielskie ozdoby mieszkańcy nie troszczyli się o nie zupełnie, zostawiając naturze jej dziewiczy i swawolny wdzięk. Pieluszki zawieszone na krzaku porzeczki schły na słońcu. Był tam kot przycupnięty na maszynie do gręplowania lnu; poniżej mosiężny, świeżo wyszorowany kociołek leżał wśród obierzyn ziemniaków. Z drugiej strony domu Rafael spostrzegł ogrodzenie z suchych cierni, zapewne mające bronić ludziom dostępu do warzywa i owoców. Tu — zdawało się — świat się kończył. Mieszkanie to podobne było do owych gniazd ptaszych zmyślnie umocowanych w załomie skały, kunsztownych i niedbałych zarazem. Była to natura szczera i dobra, sielskość prawdziwa, ale poetyczna, ponieważ kwitła o tysiąc mil od naszych wyczesanych poezji, nie była podszyta żadną *ideą*, wiodła się jedynie z samej siebie jako istny tryumf przypadku. W chwili gdy Rafael przybył, słońce rzucało swoje promienie od prawej ku lewej, podnosiło barwy roślinności, stroiło w czary światła i w kontrasty cienia szarożółte tło skał, rozmaitą zieleń liści, niebieskie, czerwone lub białe masy kwiatów, pnące się rośliny i ich kielichy, miękki aksamit mchów, purpurowe grona owoców, zwłaszcza zaś przejrzystą taflę wody, w której odbijały się wiernie granitowe wierzchołki, drzewa, domy i niebo. W tym rozkosznym obrazie wszystko miało swój blask, od błyszczącej miki aż do kępek trawy ukrytych w łagodnym półmroku; wszystko było harmonijne dla oczu: i łaciata krowa o lśniącej sierści, i wątłe rośliny wodne zwisające frędzlami nad falistym brzegiem, gdzie brzęczały owady strojne w lazur lub szafir, i korzenie drzew niby włosy przyprószone piaskiem, wieńczące bezkształtną twarz z kamyków. Ciepłe wonie wody, kwiatów i grot przenikające to samotne ustronie dały Rafaelowi wrażenie niemal rozkoszy. Majestatyczną ciszę, która panowała w tym gaiku, zapomnianym może w rejestrach poborcy, przerwało nagłe szczekanie psów. Krowy obróciły głowy ku przybyszowi, ukazały Rafaelowi swoje wilgotne pyski i zaczęły szczypać trawę, przyjrzawszy się tępo. Zawieszone na skale niby czarami, koza i jej koźlę przybiegły w podskokach i ułożyły się na płycie granitowej w pobliżu Rafaela, zdając się go pytać wzrokiem. Szczekanie psów wywabiło na dwór tłustego dzieciaka, który stanął z otwartą buzią; potem nadszedł starzec o siwych włosach, średniego wzrostu. Dwie te istoty były w harmonii z krajobrazem, powietrzem, kwiatami i domem. Zdrowie przelewało się w tej bujnej naturze; starość i dziecięctwo były tam piękne; była w tych wszystkich typach istnienia jakaś pierwotna beztroska, bezmyślność szczęścia urągająca naszym filozoficznym kazaniom i lecząca serce z jego sztucznych namiętności. Starzec był z typu owych modeli ulubionych męskiemu pędzlowi Schnetza: ogorzała twarz o licznych zmarszczkach, które zdawały się twarde w dotknięciu, prosty nos, wydatne policzki z czerwonymi żyłkami niby stary liść winny, budowa koścista, wszystkie znamiona siły nawet tam, gdzie siła zanikła; ręce zgrubiałe — mimo że już nie pracowały — porośnięte białym i rzadkim

włosem. Postawa jego, postawa prawdziwie wolnego człowieka pozwalała zgadywać, że we Włoszech zostałby może rozbójnikiem dla miłości swej cennej swobody. Chłopiec, prawdziwe dziecko góralskie, miał czarne oczy zdolne patrzeć w słońce bez zmrużenia, płeć brązową, ciemne włosy w nieładzie. Był zwinny i pewny w ruchach jak ptak; przez dziury lichej odzieży wyglądało jędrne i białe ciało. Obaj stali w milczeniu koło siebie, ożywieni tym samym uczuciem, wyrażając fizjonomią zupełną tożsamość ich jednako bezczynnego życia. Starzec przejął igraszki dziecka, a dzieciak usposobienie starca, jak gdyby mocą paktu między dwiema słabościami, między siłą bliską swego końca a siłą bliską rozkwitu. Niebawem kobieta mająca około lat trzydziestu zjawiła się w progu. Idąc, przędła. Była to Owerniatka, z twarzą rumianą, wesołą i otwartą, z białymi rękami, z fizjonomią Owerniatki, postawą Owerniatki, czepkiem i suknią Owerniatki, bujną piersią Owerniatki, a także i jej mową; doskonałe wcielenie tej ziemi, jej pracowitych obyczajów, ciemnoty, oszczędności, serca — wszystko to w niej było.

Pozdrowiła Rafaela, wdali się w rozmowę. Psy uspokoiły się, starzec usiadł na ławce w słońcu, a dziecko szło za matką wszędzie, gdzie się obróciła, milczące, ale wsłuchane, przyglądające się obcemu.

— Nie boicie się tu, matusiu?

— I czegóż mielibyśmy się bać, panoczku? Kiedy zatarasujemy wejście, któż by tu wlazł? Zresztą — rzekła, wprowadzając margrabiego do izby — i cóż by złodzieje mieli nam tu brać?

Wskazała poczerniałe od dymu ściany, na których za całą ozdobę znajdowały się owe niebiesko, czerwono i zielono kolorowane obrazki przedstawiające *Śmierć Kredytu*, *Męką Zbawiciela* i *Grenadierów Gwardii Cesarskiej*; dalej stare orzechowe łóżko z kolumienkami, stół o wygiętych nogach, zydle, dzieża na chleb, słonina wisząca u sufitu, sól w garnku, piec; na kominku pożółkłe malowane gipsy. Wychodząc z domu, Rafael ujrzał wśród skał człowieka, który trzymał w ręku motykę i który, pochylony, ciekawie spoglądał ku domowi.

— To mój chłop, panoczku — rzekła Owerniatka z poufałym uśmiechem wieśniaczki — robi tam w górze w polu.

— A ten starzec to wasz ojciec?

— Z przeproszeniem pańskim, to dziadek mojego chłopa. Jak go pan tutaj widzi, ma sto dwa lata. I ot, niedawno zaprowadził piechotą naszego malca do Clermont! O, to był silny mężczyzna; teraz nic tylko śpi, pije i je. Bawi się zawsze z naszym małym. Czasem malec wyciągnie go w góry; pomalutku, ale idzie.

W jednej chwili Rafael postanowił żyć między tym starcem a dzieckiem, oddychać ich atmosferą, jeść ich chleb, pić ich wodę, spać ich snem, wytworzyć sobie ich krew w żyłach. Kaprys umierającego! Stać się niby ostrygą na tej skale, ocalić swoją skorupę na kilka dni dłużej usypiając śmierć, stało się dlań arcytypem indywidualnej moralności, istotną formułą ludzkiego istnienia, pięknym ideałem życia, jedynego życia, prawdziwego życia. Serce jego wypełnił głęboki egoizm, w którym grzebie się świat. W jego oczach nie było już świata, świat przeszedł cały w niego. Dla chorych świat zaczyna się u wezgłowia, a kończy się w nogach ich łóżka. Ten krajobraz stał się łóżkiem Rafaela.

Któż bodaj raz w życiu nie śledził kroków i krzątania się mrówki, nie wsuwał słomki w jedyny otwór, którym oddycha ślimak, nie śledził lotu ważki, nie podziwiał tysiąca żyłek zabarwionych jak róża katedry gotyckiej, które się odcinają na czerwonym tle liścia dębiny? Któż nie przyglądał się długo z rozkoszą śladom deszczu i słońca na łupkowym dachu lub też nie wpatrywał się w krople rosy, w płatki kwiatów, w rozmaite kształty ich kielichów? Kto nie zamknął się w owych cielesnych marzeniach, leniwych, a pełnych treści, bez celu, a mimo to wiodących do jakiejś myśli? Któż wreszcie nie prowadził życia dziecka, życia próżniaka, życia dzikiego człowieka bez jego trudów? Tak żył Rafael przez szereg dni, niedbale, bez pragnień, czując wyraźne polepszenie, jakiś dobrobyt cielesny, który uśmierzył jego niepokoje, ukoił cierpienia. Wspinał się na skały i siadał na jakimś szczycie, z którego oczy jego obejmowały niezmiernie rozległy krajobraz. Tam pozostawał całe dni niby roślina na słońcu, jak zając w swoim legowisku. Lub też oswajając się z życiem roślinności, z kaprysami nieba, śledził postępy wszystkich spraw na ziemi, w wodzie i w powietrzu. Starał się zespolić z wewnętrznym rytmem tej przyrody,

utożsamić się z jej biernym posłuszeństwem tak doskonale, aby wejść pod despotyczne i zachowawcze prawo, władnące istnieniami pozbawionymi woli. Nie chciał już dźwigać samego siebie. Podobny owym dawnym zbrodniarzom, którzy ścigani przez trybunały byli ocaleni, o ile schronili się w cieniu ołtarza, próbował wślizgnąć się w sanktuarium życia. Udało mu się stać integralną częścią tej szerokiej i potężnej rodzajności: zespolił się z odmianami pogody, wmieszkał się we wszystkie rozpadliny skał, poznał obyczaje i nawyki każdej rośliny, zbadał porządek wód, ich rozmieszczenie, zaznajomił się ze zwierzętami; słowem zrósł się z tą ożywczą ziemią tak doskonale, że poniekąd podchwycił jej duszę i przeniknął tajemnice. Dla niego nieprzeliczone kształty wszystkich królestw były rozwinięciem tej samej substancji, kombinacją tego samego ruchu, szerokim oddechem olbrzymiej istoty, która działała, myślała, chodziła, rosła i z którą on chciał rosnąć, chodzić, myśleć, działać. Fantastycznie zmieszał swoje życie z życiem tej skały, wrósł w nią. Dzięki temu tajemniczemu iluminizmowi, temu sztucznemu ozdrowieniu, podobnemu do owych dobroczynnych majaczeń, jakie natura zsyła, iżby były odpoczynkiem w cierpieniu, Valentin kosztował rozkoszy drugiego dziecięctwa w pierwszych chwilach swego pobytu w tym lubym ustroniu. Żył tam, odkrywając drobiazgi, podejmując tysiąc rzeczy, a nie kończąc żadnej, zapominając nazajutrz o wczorajszych projektach; zbywszy troski, czuł się szczęśliwy, myślał, że jest ocalony. Pewnego rana został przypadkiem w łóżku aż do południa, zatopiony w swym marzeniu utkanym z jawy i ze snu, które daje rzeczywistości pozory złudy, a majakom plastykę prawdziwego istnienia, kiedy nagle, nie wiedząc zrazu, czy to dalszy ciąg snu, usłyszał pierwszy raz biuletyn swego stanu zdrowia dany przez gospodynię Jonatasowi, który jak codziennie przyszedł ją pytać o pana. Owerniatka myślała z pewnością, że Rafael jeszcze śpi, i nie zniżyła diapazonu swego góralskiego głosu.

— Et, ani lepiej, ani gorzej — mówiła. — Znów kaszlał całą noc, tak że człek myślał, że już ducha wyzionie. Kaszle, pluje to dobre panisko, że aż litość bierze. Pytamy się z moim chłopem, skąd on bierze siłę, żeby tak kaszlać. To serce się kraje. Co on ma za takie piekielne choróbsko? Co dobrze to z nim nie jest, o, nie! Zawsze mnie strach zbiera, że rano go zastanę nieżywego w łóżku. Blady jest jak ten panjezusik z wosku! Widzę go przecież, jak wstaje, hej! To biedne ciało to biedne ci jak szczapa. I czuć go już też niedobrze, uczciwszy uszy. A on ani dba o to, goni i goni, jakby miał zdrowie na przedaż. Twardy człek z tym wszystkim, ani się poskarży! Ale po prawdzie, lepiej by mu było leżeć w ziemi niż chodzić po łące, bo strasznie nieborak się wycierpi! Ja mu tego nie życzę, rozumie pan, nie nasz interes w tym. Ale choćby nam i nie dawał tyle, co daje, i tak bym go lubiła; nie o te pieniądze chodzi. Och, Boże — ciągnęła — to tylko te paryżany mają takie pieskie choróbska! Skąd oni to biorą? Biedne chłopaczysko! To pewna, że się to dobrze nie skończy. Ta frybra, widzi pan, to go zjada, żre, niszczy! On się tego nie domyśla, on o tym nie wie. Nie widzi nic... Nie trzeba płakać dlatego, panie Jonatasie. Trza sobie powiedzieć, że to szczęście dla niego będzie już nie cierpieć. Powinien by pan odprawić za niego nowennę. Widywałam, jak taka nowenna bardzo dobrze skutkowała. Ba, ja bym zapłaciła piękną świeczkę do kościoła, aby ocalić takie poczciwe stworzenie, takie dobre panisko, czysty baranek wielkanocny...

Rafael miał już za mało głosu, aby móc się dać słyszeć, musiał tedy cierpieć to okropne gadulstwo. Jednakże gniew wygnał go z łóżka; ukazał się w progu.

— Stary łotrze — krzyknął na Jonatasa — chcesz więc mnie zamordować?

Wieśniaczka myślała, że zobaczyła upiora i uciekła.

— Zabraniam ci — ciągnął Rafael — zaprzątać się moim zdrowiem.

— Tak, panie margrabio — odparł stary sługa, ocierając łzy.

— I najlepiej uczynisz na przyszłość, nie przychodząc tu bez mego rozkazu.

Jonatas usłuchał; ale nim odszedł, obrzucił margrabiego wiernym i spółczującym spojrzeniem, w którym Rafael wyczytał wyrok śmierci. Zniechęcony, uświadomiony naraz co do swego stanu, Valentin usiadł na progu, założył ręce i spuścił głowę. Jonatas przerażony zbliżył się do pana.

— Panie...

— Precz, precz! — krzyknął chory.

Następnego ranka Rafael, wspiąwszy się na skały, usiadł w zarosłej mchem rozpadlinie, skąd mógł widzieć wąską dróżkę, prowadzącą z miejscowości kąpielowej do jego

schronienia. U stóp skały ujrzał Jonatasa znów rozmawiającego z Owerniantką. Jakaś złośliwa siła tłumaczyła mu potrząsania głową, rozpaczliwe gesty, okrutną prostotę tej kobiety, przyniosła mu z wiatrem nieszczęsne słowa. Zdjęty grozą uciekł na najwyższe szczyty i został tam do wieczora, nie mogąc wygnać posępnych myśli tak nieszczęśliwie zbudzonych w jego sercu ową okrutną troskliwością, jakiej był przedmiotem. Naraz wieśniaczka sama wyrosła przed nim niby cień w cieniu wieczora; spódnica jej w białe i czarne prążki zamajaczyła w jego wyobraźni niby wyschnięte żebra szkieletu.

— Idzie już chłód wieczorny — rzekła. — Jeśli pan tu zostanie, dojdzie pan tu jak ulęgałka. Trzeba wracać. To niezdrowo oddychać rosą, do tego nic pan nie jadł od rana...

— Krocset diabłów! — wykrzyknął. — Stara wiedźmo, zostaw mnie, daj mi żyć, jak mi się podoba albo stąd zmykam! Już dość, że mi kopiesz dół co rano, przynajmniej nie kop mi go wieczór...

— Panu, dół? Ja panu kopię dół! Gdzież niby ten pański dół? Toć ja bym pana chciała widzieć krzepkim jak nasz ojciec, a nie w dole. Dół, et! zawsze nam dość wcześnie do dołu...

— Dość! — rzekł Rafael.

— Niech pan się mnie chwyci pod ramię.

Uczucie, które człowiek znosi najtrudniej, to litość, zwłaszcza kiedy na nią zasługuje. Nienawiść ma coś pobudzającego, daje żyć, rodzi zemstę; litość natomiast zabija, osłabia jeszcze naszą słabość. Jest to zło w obleśnej formie, wzgarda pod tkliwością albo tkliwość pod zniewagą. Rafael znalazł w stuletnim starcu litość tryumfującą, w dziecku litość ciekawą, u kobiety litość natrętną, u jej męża litość interesowną; ale pod jakąkolwiek formą objawiało się to uczucie, zawsze było brzemienne śmiercią. Poeta robi ze wszystkiego poemat, straszliwy albo radosny, wedle obrazu, który go uderzy; jego namiętna dusza odtrąca łagodne odcienie i wybiera zawsze żywe i jaskrawe kolory. Litość ta wydała w sercu Rafaela straszliwy poemat żałoby i melancholii. Nie pomyślał z pewnością o szczerości naturalnych uczuć, kiedy zapragnął zbliżyć się do natury. Kiedy myślał, że jest sam pod drzewem, zmagając się z uporczywym kaszlem, który zostawiał go zawsze do ostatka wyprutym z sił, widział nagle błyszczące oczy małego chłopca, postawionego na czatach w zaroślach; chłopak przyglądał mu się z ową dziecięcą ciekawością, w której jest tyleż drwin, co przyjemności, z jakąś nieokreśloną domieszką okrucieństwa. Straszliwe: *Bracie, trzeba umrzeć* trapistów zdawało się nieustannie wypisane w oczach wieśniaków, wśród których żył Rafael; nie wiedział, czego się bardziej lękać, ich naiwnych odezwań czy ich milczenia; wszystko go w nich krępowało. Jednego rana ujrzał dwóch czarno ubranych ludzi, którzy krążyli dokoła niego, obwąchując go niejako i oglądając ukradkiem; po czym udając, że zaszli tu spacerem, zadali mu parę zdawkowych pytań, na które odpowiedział krótko. Poznał w nich lekarza i proboszcza z miejscowości klimatycznej, zapewne przysłanych przez Jonatasa, wezwanych przez gospodarzy lub ściągniętych zapachem bliskiej śmierci. Ujrzał w tej chwili własny kondukt, usłyszał śpiewy księży, policzył świece. Piękności tej bujnej natury, na której łonie mniemał, iż odnalazł życie, jawiły mu się już tylko poprzez krepę. Wszystko, co wprzód zwiastowało mu długie życie, obecnie przepowiadało mu bliską śmierć. Nazajutrz wyjechał do Paryża, skąpany w melancholijnych i serdecznie żałosnych życzeniach swoich gospodarzy.

Po całonocnej podróży obudził się w jednej z najweselszych dolin w Bourbonnais, której horyzonty i widoki tańczyły przed nim, szybko unoszone niby mgliste obrazy snu. Natura roztaczała się jego oczom z okrutną zalotnością. Tu Allier rozwijał wśród bujnego krajobrazu swą płynną i lśniącą wstęgę; dalej sioła, skromnie ukryte w gardzieli żółtawych skał, ukazywały wieże swoich kościółków; to znów w małej dolince młyny jawiły się nagle po jednostajnych winnicach; a wciąż przesuwały się powabne zameczki, wioski wiszące u skał lub drogi wysadzane majestatycznymi topolami; wreszcie Loara i jej długie diamentowe płachty zalśniły wśród złotego piasku. Czary bez końca! Natura rozigrana, żywa jak dziecko, ledwie zdolna pomieścić w sobie miłość i jurność czerwcową, ściągała nieodparcie zgasłe spojrzenia chorego. Zaciągnął żaluzje w karecie i starał się usnąć. Wieczorem — minął już Cosne — obudziła go wesoła muzyka, znalazł się w pełni zabawy wiejskiej. Poczta mieściła się tuż koło rynku. Podczas gdy pocztylioni przeprzęgali konie, ujrzał rozbawioną ludność oddającą się tańcom, dziewczyny strojne kwiatami, ładne, pełne pokusy, ożywioną młodzież, potem gęby starych wieśniaków radośnie zaczerwie-

nione winem. Małe dzieci dokazywały, stare baby gawędziły wśród śmiechów; wszystko miało swą wymowę, uciecha malowała się nawet w strojach i w zastawionych stołach. Plac i kościół miały radosną fizjonomię; dachy, okna, drzwi nawet, wyglądały również odświętnie. Podobny umierającym, drażliwym na najlżejszy hałas, Rafael nie mógł zdławić przekleństwa ani też pragnienia, aby nakazać milczenie tym skrzypkom, zmieść ten ruch, zgłuszyć ten gwar, rozpędzić tę urągającą mu wesołość. Zgnębiony wsiadł do powozu. Kiedy znów spojrzał na plac, ujrzał, że radość pierzchła, wieśniaczki rozbiegły się, a ławki opustoszały. Na trybunie dla orkiestry ślepy grajek rzępolił dalej na klarnecie hałaśliwą melodię. Ta muzyka bez tańca, ten samotny starzec o pomarszczonej twarzy, w łachmanach, z rozwianymi włosami, w cieniu lipy, to był niby fantastyczny obraz życzenia Rafaela. Padał strumieniami ulewny deszcz czerwcowy, który rodzi się z chmur naładowanych elektrycznością i ustaje równie szybko. Była to rzecz tak naturalna, że Rafael, ujrzawszy na niebie parę białych chmurek unoszonych wiatrem, nie pomyślał nawet o tym, aby spojrzeć na swój jaszczur. Wtulił się w kąt powozu, który niebawem potoczył się drogą.

Nazajutrz znalazł się u siebie, w swoim pokoju, przy kominku. Kazał rozpalić wielki ogień, zimno mu było. Jonatas przyniósł listy, wszystkie były od Pauliny. Otworzył pierwszy bez pośpiechu, rozwinął tak, jak gdyby to był papier z jakimś wezwaniem płatniczym. Przeczytał pierwsze zdanie:

„Wyjechałeś! Ależ to ucieczka, Rafaelu mój... Jak to! Nikt nie może mi powiedzieć, gdzie jesteś? A jeśli ja nie wiem, któż będzie wiedział?..."

Nieciekawy dalszego ciągu, wziął obojętnie listy i rzucił je w ogień, patrząc okiem bez blasku i ciepła na igraszki płomienia, który skręcał pachnący papier, obracał go, zwęglał, trawił.

Szczątki listów potoczyły się na popiół, pozwalając mu dojrzeć urywki na wpół spalonych zdań, słów i myśli, które machinalnie, jakby dla rozrywki, odczytywał w płomieniu.

„Siedzę u twoich drzwi... czekam... Kaprys... jestem posłuszna... Rywalki... ja, nie!... twoja Paulina... kocha... już nie Paulina?... Gdybyś mnie chciał opuścić, nie rzucałbyś mnie... Wiekuista miłość... Umrzeć..."

Słowa te obudziły w nim jak gdyby wyrzut: chwycił szczypce i ocalił z płomieni ostatni strzęp listu.

„...Szemrałam — pisała Paulina — ale nie skarżyłam się, Rafaelu! Zostawiając mnie z dala od siebie, chciałeś mi zapewne odjąć brzemię jakiejś zgryzoty. Któregoś dnia zabijesz mnie może, ale zbyt jesteś dobry, aby mi dać cierpieć. Proszę cię więc, nie odjeżdżaj już w ten sposób. Wierzaj, ja mogę znieść największe męki, ale przy tobie. Zgryzota, którą ty byś widział, nie byłaby już zgryzotą: noszę w sercu o wiele więcej miłości, niż ci okazałam. Mogę wszystko znieść, wyjąwszy płakać z dala od ciebie i nie wiedzieć, co ty..."

Rafael położył na kominku ten sczerniały w płomieniu szczątek listu, po czym rzucił go nagle w ogień. Ten papier był zbyt żywym obrazem jego miłości i jego nieszczęsnego życia.

— Idź po pana Bianchon — rzekł do Jonatasa.

Horacy przybył i zastał Rafaela w łóżku.

— Mój drogi, czy możesz mi sporządzić napój lekko zaprawny opium, który by mnie utrzymywał w nieustannej senności, ale tak, aby stały użytek tego środka nie wyrządził mi szkody?

— Nic łatwiejszego — odparł wtedy doktór — ale trzeba by wstawać bodaj na kilka godzin w dniu, aby jeść.

— Kilka godzin? — przerwał Rafael — Nie, nie! Najwyżej na godzinę.

— Co ty chcesz osiągnąć? — spytał Bianchon.

— Spać, to jeszcze żyć! — odparł chory. — Nie wpuszczaj nikogo, choćby to była panna Paulina de Vitschnau! — rzekł Valentin do Jonatasa, podczas gdy lekarz pisał receptę.

— I cóż, panie Horacy, czy jest jeszcze nadzieja? — spytał stary sługa młodego doktora, odprowadzając go do drzwi.

— Może ciągnąć jeszcze długo, albo umrzeć dziś wieczór. Szanse życia i śmierci są równe. Nic nie rozumiem — odparł lekarz, czyniąc gest zniechęcenia. — Trzeba go rozrywać.

— Rozrywać! Panie doktorze, pan go nie zna. Niedawno temu zabił człowieka i ani mrugnął!... Nic go nie rozerwie.

Rafael przebył kilka dni zanurzony w nicości swego sztucznego snu. Dzięki materialnemu działaniu, jakie wywiera opium na naszą niematerialną duszą, człowiek ten o tak potężnej wyobraźni zniżył się do poziomu gnuśnych żyjątek, które pleśnieją w głębi lasów, podobne do szczątków roślinnych, nie czyniąc kroku, aby pochwycić łatwą zdobycz. Zgasił nawet światło na niebie, słońce nie wschodziło dlań już. Około ósmej wieczór wstawał z łóżka; nie mając jasnej świadomości swego istnienia, zaspakajał głód, po czym kładł się z powrotem. Godziny jego, zimne i pomarszczone, przynosiły mu jedynie mgliste obrazy, majaki światła i cienie na mrocznym tle. Zagrzebał się w głębokim milczeniu, w zaprzeczeniu ruchu i inteligencji. Jednego wieczora obudził się o wiele później niż zazwyczaj i nie zastał obiadu. Zadzwonił na Jonatasa.

— Możesz sobie odejść — rzekł. — Dałem ci majątek, będziesz miał szczęśliwą starość; ale nie pozwolę ci igrać z moim życiem. Jak to, nędzniku! Jestem głodny. Gdzie mój obiad? Odpowiedz!

Jonatas uśmiechnął się z zadowoleniem, wziął świecę, której płomień migotał w głębokim mroku olbrzymich apartamentów pałacowych, zaprowadził swego pana, który znów stał się automatem, do obszernej sieni i otworzył nagle drzwi. Rafael stanął zalany światłem, olśniony, zaskoczony niesłychanym widowiskiem. Świeczniki obciążone świecami, najrzadsze kwiaty z cieplarni, stół błyszczący od srebra, złota, perłowej masy, porcelany; królewska uczta, dymiąca apetycznymi daniami, łechcąca podniebienie. Ujrzał tłum przyjaciół w otoczeniu strojnych i czarujących kobiet z odkrytymi piersiami, obnażonymi ramionami, z włosami pełnymi kwiatów, z błyszczącymi oczyma, każda w innym typie, drażniąca pod rozkosznym przebraniem. Jedna uwydatniła ponętne kształty irlandzkim kubraczkiem; druga miała na sobie lubieżną baskinę andaluzyjską; ta na wpół naga jako Diana Łowczyni; ta znów skromna i pełna miłości, w kostiumie panny de la Vallière: wszystkie jednako chętne do szału i upojeń! Oczy biesiadników błyszczały radością, miłością, rozkoszą. W chwili gdy martwa twarz Rafaela pojawiła się we drzwiach, buchnął nagły okrzyk, szybki, migotliwy jak promienie tej improwizowanej biesiady. Głosy, zapachy, światło, te porywająco piękne kobiety, podziałały na wszystkie jego zmysły, obudziły jego żądzę. Rozkoszna muzyka ukryta w sąsiednim salonie pokryła strumieniem harmonii ten upajający zgiełk i dopełniła osobliwej wizji. Rafael uczuł, iż rękę jego ściska pieściwa dłoń, dłoń kobiety, której świeże i białe ramiona wyciągały się, aby go utulić, dłoń Akwiliny. Zrozumiał, że ten obraz nie był mglisty i urojony jak ulotne obrazy jego wyblakłych snów, wydał straszliwy krzyk, zamknął nagle drzwi i uderzył służącego w twarz:

— Potworze, poprzysiągłeś tedy mnie uśmiercić! — krzyknął.

Następnie drżąc cały od niebezpieczeństwa, jakie mu groziło, znalazł siły, aby się dostać do pokoju, wypił silną dawkę snu i położył się.

— Cóż u licha! — mruknął Jonatas, podnosząc się. — Toć pan Bianchon nakazał, aby go rozrywać.

Była blisko północ. O tej godzinie Rafael przez jeden z owych fizjologicznych kaprysów, które stanowią zdumienie i rozpacz medycyny, jaśniał we śnie dziwną pięknością. Żywy rumieniec barwił blade policzki. Czoło, pełne wdzięku jak czoło młodej dziewczyny, płonęło geniuszem. Życie kwitło na tej spokojnej i wypoczętej twarzy. Rzekłbyś, dziecię uśpione pod skrzydłem matki. Spał dobrym snem; koralowe usta falowały równym i czystym oddechem, uśmiechał się, przeniesiony z pewnością w marzeniu w jakieś piękne istnienie. Może miał sto lat, może jego wnuki życzyły mu długiego życia; może siedząc na prostej ławce, w słońcu, w zieleni, widział jak prorok z wysokiej góry ziemię obiecaną w dobroczynnej oddali...

— Jesteś więc?

Słowa te, wymówione srebrnym głosem, rozproszyły mgliste kształty jego snu. Przy blasku lampy ujrzał siedzącą na łóżku Paulinę, ale Paulinę wypiękniona przez rozłąkę i ból. Rafael zdumiał się na widok tej twarzy, białej jak płatki wodnego kwiatu, która w obramieniu długich czarnych włosów zdawała się w mroku jeszcze bielsza. Łzy wypisały na jej policzkach swą błyszczącą kolej i wisiały na nich gotowe spaść przy najlżejszym

ruchu. Ubrana biało, z pochyloną głową i ledwo dotykając łóżka, była tam niby anioł, który zstąpił z nieba, niby zjawa, którą jedno skinienie może zdmuchnąć.

— Ach! Zapomniałam wszystkiego! — wykrzyknęła w chwili, gdy Rafael otworzył oczy. — Mam głos jedynie po to, aby ci powiedzieć: jestem twoja! Tak, moje serce jest tylko miłością. Och, nigdy, aniele mego życia, nie byłeś tak piękny. Oczy twoje strzelają piorunem... Ale zgaduję wszystko, tak. Byłeś szukać zdrowia z dala ode mnie, bałeś się mnie... A więc...

— Idź, idź! Zostaw mnie! — odparł wreszcie Rafael głucho. — Ależ idźże! Jeżeli tutaj zostaniesz, umrę. Czy chcesz patrzeć na moją śmierć?

— Umrzeć! — odparła. — Czyż ty możesz umrzeć beze mnie? Umrzeć, ależ ty jesteś młody! Umrzeć, ależ ja cię kocham! Umrzeć! — dodała głębokim i złamanym głosem, ujmując namiętnym ruchem jego ręce... — Zimne! — rzekła. — Czy to złudzenie?

Rafael wyciągnął spod poduszki płatek swego jaszczura, cienki i mały jak płatek barwinka, i pokazując go, rzekł: Pożądanie, Śmierć

— Paulino, piękny obrazie mego życia, pożegnajmy się.

— Pożegnać? — odparła zdziwionym głosem.

— Tak. To jest talizman, który spełnia moje życzenia i wciela moje życie. Patrz, ile mi go zostało. Jeżeli jeszcze na mnie spojrzysz, umrę...

Młoda kobieta myślała, że Valentin oszalał, wzięła talizman i poszła po lampę. Oświecona migotliwym promieniem, który padał równocześnie na Rafaela i na talizman, przyjrzała się nader bacznie i twarzy kochanka, i ostatniej cząstce czarodziejskiej skóry. Na widok Pauliny pięknej grozą i miłością Rafael nie władał już swą myślą: wspomnienia rozkosznych scen i upajających szałów namiętności zwyciężyły w jego od dawna uśpionej duszy i obudziły się w niej niby źle zgaszony ogień.

— Paulino, pójdź!... Paulino!..

Straszliwy krzyk dobył się z gardła młodej kobiety, oczy jej rozszerzyły się, brwi gwałtownie ściągnięte niewymownym bólem rozsunęły się ze zgrozą. Czytała w oczach Rafaela owo wściekłe pożądanie, będące niegdyś przedmiotem jej dumy; ale w miarę jak to pragnienie rosło, skóra, kurcząc się, łechtała jej rękę. Bez zastanowienia uciekła do sąsiedniego salonu, zatrzaskując drzwi.

— Paulino! Paulino! — krzyczał umierający, biegnąc za nią — kocham cię, ubóstwiam, pragnę!... Przeklinam cię, jeśli mi nie otworzysz! Chcę umrzeć twoim!

Znalazłszy niezwykłą siłę, ostatni błysk życia, wywalił drzwi i ujrzał swą kochankę wpół nagą, tarzającą się na kanapie. Paulina na próżno siliła się przebić; chcąc znaleźć rychłą śmierć, próbowała się udusić szalem.

— Jeżeli ja umrę, on będzie żył! — powtarzała, siląc się zacisnąć węzeł.

Włosy jej rozsypały się, ramiona były nagie, strój w nieładzie... W tej walce ze śmiercią, z oczyma we łzach, z rozpłomienioną twarzą, wijąc się w straszliwej rozpaczy, odsłaniała pijanemu miłością Rafaelowi tysiące powabów, które podsycały jego szał; rzucił się na nią niby drapieżny ptak, rozdarł szal i chciał ją wziąć w ramiona.

Umierający szukał słów, aby wyrazić żądzę, która pożerała wszystkie jego siły, ale znalazł jedynie zdławione rzężenia w piersi, której każdy oddech wżerał się wgłąb i zdawał się wychodzić z trzewi. Wreszcie, nie mogąc już dobyć głosu, ugryzł Paulinę w pierś. Zjawił się Jonatas przerażony krzykami i silił się wydrzeć młodej dziewczynie trupa, nad którym przycupnęła w kącie.

— Czego chcesz? — rzekła. — Jest mój, zabiłam go, czyż nie przepowiedziałam tego!

Epilog

— A co się stało z Pauliną?

— A, z Pauliną? Dobrze. Czy siedziałeś kiedy w cichy, zimowy wieczór w domu, przy kominku, rozkosznie zatopiony we wspomnienie miłości lub młodości, patrząc na pręgi wyżarte przez ogień w polanie dębowym? Tu płomień kreśli czerwone pola warcabnicy; ówdzie daje połysk aksamitu; błękitne języczki biegną, skaczą i igrają na żarzącym się tle ogniska. Zjawia się nieznany malarz, który spożytkuje ten płomień; ten jedyny w świecie artysta kreśli wśród tych migotliwych tonów fioletu lub purpury twarz o nadnaturalnej wręcz delikatności, zwiewny majak, którego traf nie powtórzy już nigdy: to kobieta

o włosach rozsypanych wiatrem, której profil oddycha rozkoszną namiętnością: ogień w ogniu! Uśmiecha się, ginie, nie ujrzysz jej już. Żegnaj, kwiecie płomienia! Żegnaj, niezupełny, nieoczekiwany pierwiastku przybyły zbyt wcześnie lub zbyt późno, aby się stać jakim pięknym diamentem!

— Ale Paulina?

— Nie rozumiesz? Zaczynam jeszcze raz. Miejsca! Miejsca! Przybywa, oto jest, królowa złudzeń, kobieta, która mija jak pocałunek, kobieta żywa jak błyskawica, jak ona strzelająca płomieniem z nieba, istota przedwieczna, będąca cała duchem, cała miłością! Obleka jakieś dziwne ciało z płomienia lub też dla niej płomień ożywił się na chwilę! Linie jej kształtów mają ową czystość, która powiada wam, że ona idzie z nieba. Czyż nie błyszczy jak anioł? Czy nie słyszysz, jak powietrze drży od jej skrzydeł? Lżejsza niż ptak spada tuż koło ciebie: jej straszliwe oczy działają urocznie; jej luby, ale przemożny dech przyciąga twoje wargi z magiczną siłą; ucieka i porywa cię, nie czujesz już ziemi. Chcesz przeciągnąć jeden jedyny raz twoją podrażnioną, twoją szaloną rękę po tym śnieżnym ciele, musnąć jej złote włosy, ucałować jej błyszczące oczy. Mgła upaja cię, niebiańska muzyka czaruje. Drżysz wszystkimi nerwami, jesteś samą żądzą, samą męką. O, szczęście bez nazwy! Dotknąłeś warg tej kobiety; ale nagle budzi cię okrutny ból. Och, och! Głowa twoja padła na róg łóżka, całowałeś jego ciemny mahoń, zimne złocenia, brąz, amora z mosiądzu...

— Ale, panie autorze, Paulina?

— Jeszcze? Słuchaj. W piękny ranek, wyjeżdżając z Tours, młody człowiek mający wsiąść na *la Ville d'Angers* trzymał w dłoni rękę ładnej kobiety. Zespoleni w ten sposób, oboje podziwiali długo, ponad szeroko rozlanymi wodami Loary, białą twarz sztucznie wykwitłą we mgle niby twór wody i słońca lub jak kaprys chmur i powietrza. Ta wiotka postać — ondyna i sylfida na przemian — bujała w przestworzu niby słowo na próżno szukane, które biegnie w pamięci, nie dając się pochwycić; przechadzała się wśród wysp, potrząsała głową poprzez wysokie topole; potem olbrzymiejąc w oczach albo roztaczała tysiąc lśniących fałdów swej sukni, albo błyszczała aureolą opisaną słońcem dokoła jej twarzy; bujała nad wioskami, nad pagórkami i zdawała się bronić parowemu statkowi przepłynąć pod zamkiem Ussé. Rzekłbyś, widmo Pani Wodnej, broniącej swojej dziedziny przed nowoczesnymi wynalazkami.

— Dobrze, rozumiem; to Paulina. A Fedora?

— Och, Fedorę spotka pan... Była wczoraj w *Bouffons*, dziś wieczór będzie w Operze, jest wszędzie. Ona jest, można rzec, społeczeństwem...

Paryż, 1830–1831.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-komedia-ludzka-jaszczur

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, Komedia ludzka, Jaszczur, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Przekłady Boy'a, t. 76, nakł. Bibljoteka Boy'a, Warszawa 1924

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0064-9

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.